

NA KREDYT
Zadłużeni
ratują państwo

GRY WYWIADÓW
Rosyjska dywersja
zagroza Polsce

BITWA O DONBAS
Paweł Pieniażek
z linii frontu

ELON MUSK
Wszystkie szaleństwa
i metody miliardera

RAJ JURAJSKI
Jak dobrze
być tubylcem

Kraków 15 maja 2022 nr 20 (3801)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Co się dzieje z papieżem

Katolickie pismo społeczno-kulturowe
www.TygodnikPowszechny.pl



W WYDANIU
KATALOG
COPERNICUS
FESTIVAL
2022





Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki” w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – **i Twoja opowieść.**

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

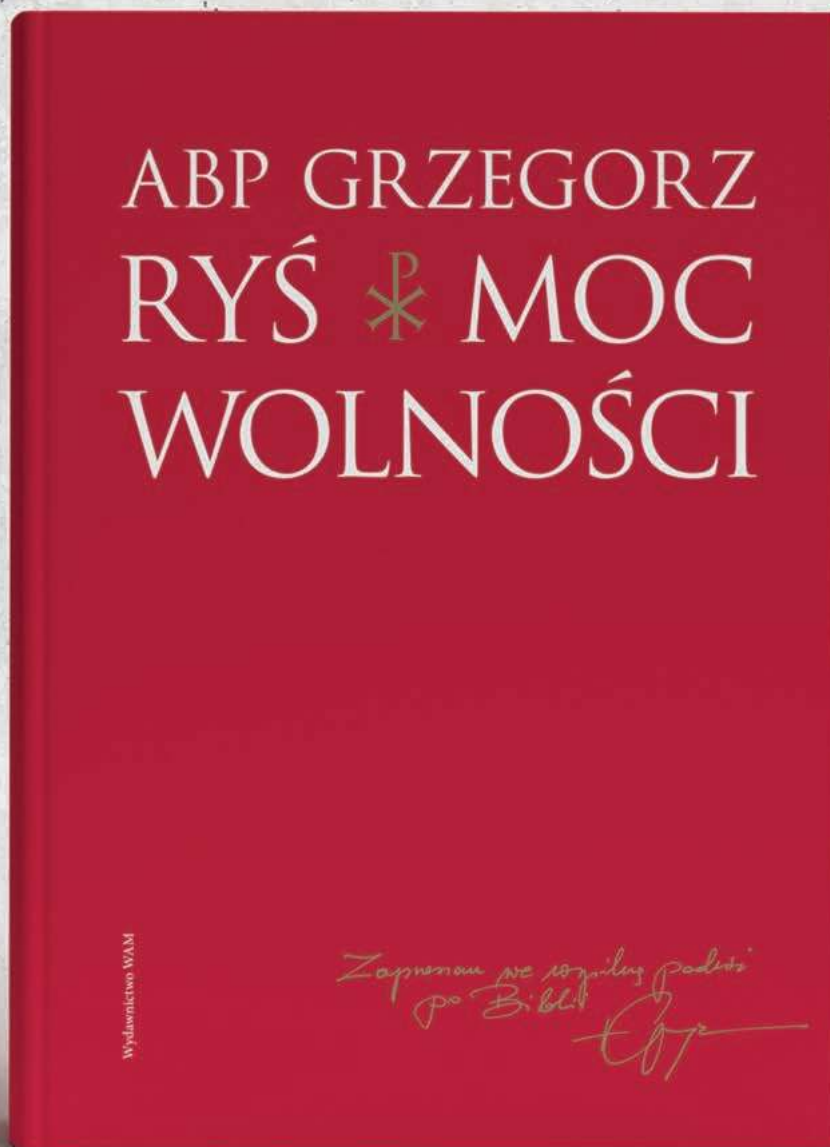
SALES||manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

ABP GRZEGORZ RYŚ, MOC WOLNOŚCI

NIE MA WOLNOŚCI BEZ MIŁOŚCI I MIŁOSIERDZIA



Arcybiskup Grzegorz Ryś głosi Słowo Boże z mocą,
bez efektownej retoryki i z żywym doświadczeniem
bliskości Boga.



27 Taka grzeczna dziewczynka

EWELINA BURDA

W dzieciństwie nie zostały zauważone przez system – bo kryteria diagnostyczne bazowały na doświadczeniach chłopców. Dziś, jako dorosłe kobiety, diagnozują się w spektrum autyzmu. I znajdują ulgę.



42 Obrona manewrowa

PAWEŁ PIENIAŻEK Z LINII FRONTU W OBLUDZIE CHARKOWSKIM

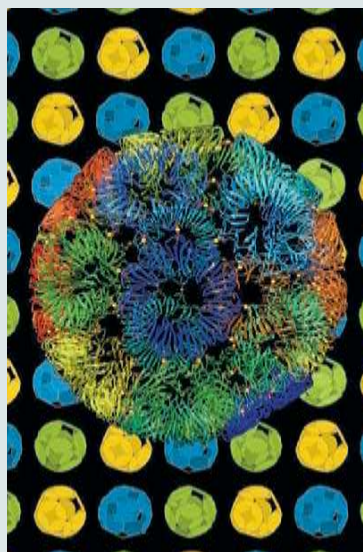
Rosyjska armia próbuje odciąć Donbas od reszty Ukrainy. Gdzieś na wschód od Charkowa, na kluczowym teraz odcinku frontu, ukraińscy żołnierze walczą o to, aby ten plan udaremnić.



32 Omylny

EDWARD AUGUSTYN

Papież jest uparty, przekonany o własnej racji, a przecież nie zawsze ją ma. Na przykład gdy mówi o sprawach wojny i polityki.



60 Opakowanie ważne jak lek

ANNA BARTOSIK

Badacze z Małopolskiego Centrum Biotechnologii opracowali obiecującą technologię dostarczania do organizmu aktywnych substancji w białkowych klatkach.

64 Raj jurajski

ADAM ROBIŃSKI

Lodowce omijały to miejsce, czyniąc je przytulną dziuplą. Głębokie, mokre doliny, pełne naturalnych schronień, gdzie łatwo się ukryć. Tu się czuje znaczenie słowa „dom” – mówi Andrzej Muszyński, tubylec.



78 Uciekam, więc jestem

MAREK BIENČZYK

Uciekinierzy to najbardziej radykalna postać nas samych. To my, wypowiedzeni do końca. Przedstawienie bytu w podczewieni, kiedy ujawnia się jego skryta istota.

6 Długa droga do zwycięstwa
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

20 Jesteśmy państwem frontowym
ROZMOWA Z GRZEGORZEM
MAŁECKIM, BYŁYM SZEFEM
AGENCJI WYWIADU

24 Plaster na złamaną nogę
PIOTR WÓJCIK:
*Czy na rynku mieszkaniowym
w Polsce może być lepiej?*

27 Taka grzeczna dziewczynka
EWELINA BURDA

■ **WIARA**

32 Omylny
EDWARD AUGUSTYN

36 Mikołaj nie pękł
ROZMOWA Z O. MICHAŁEM
OSEKIEM, PRZEOREM
GDAŃSKIEGO KLASZTORU
DOMINIKANÓW,
o ratowaniu zabytkowej bazyliki

39 W mieście proroków
MARCELINA SZUMER-BRYSZ
Z ŞANLIURFY W TURCJI:
*Tutaj przyszedł na świat
Abraham*

■ **ŚWIAT**

42 Obrona manewrowa
PAWEŁ PIENIAŻEK

46 Uciekłem z Mariupola
SERHIJ WAGANOW:
*Fotoreporter spędził 20 dni
w oblężonym mieście*

MAJA HITTI / GETTY IMAGES



TEMAT TYGODNIKA

12 Tancerz w kostiumie robota
AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Elon Musk jest jak Twitter: też dokonał
rewolucji, też miał wspaniałe intencje. I też
rządzi w chaosie. Po co najbogatszy człowiek
świata kupił sobie najgorętszego kartofla
internetu?

■ **DODATEK SPECJALNY** ■

Katalog Copernicus Festival 2022

■ **FELIETONY** ■

31 DOROTA MASŁOWSKA
41 ZUZANNA RADZIK
59 TOMASZ STAWISZYŃSKI
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: PAPIEŻ FRANCISZEK
FOT. ALESSIA GIULIANI / GETTY IMAGES
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

47 Rosja to wróg
MARTA ZDZIEBORSKA:
*Demokraci obawiają się,
że wyborców dopadnie
„zmęczenie Ukrainą”*

50 Czeskie czołgi jadą na wschód
PATRYCJA BUKAŁSKA
*Dlaczego akurat Czesi wysyłają
Ukrainie ciężką broń?*

53 Oda do skromności
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
*Czy Macron zreformuje system,
który odpycha od polityki coraz
więcej ludzi?*

■ **HISTORIA**

56 Celtycki cud
PEADAR DE BURCA:
*Jak Irlandia stała się krajem
imigrantów*

■ **NAUKA**

60 Opakowanie ważne jak lek
ANNA BARTOSIK

■ **KULTURA**

64 Raj jurajski
ADAM ROBIŃSKI

68 Widma i duch
DARIUSZ KOŚCIŃSKI *o spektaklu*
„Imagine” Krystiana Lupy

71 Mleko snów
PIOTR KOŚCIEWSKI:
*59. Międzynarodowe Biennale
Sztuki w Wenecji pokazuje,
że sztuka nie tylko może poruszać,
ale też dawać przyjemność*

74 Czarne, białe i szare
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Babi Jar. Konteksty”
Siergieja Łożnicy

76 Odwołany koniec historii
LEKTOR *o ukraińskim numerze*
miesięcznika „Znak”

■ **ZMYŚŁY**

78 Uciekam, więc jestem
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➤ **„Pegasusy” i demokracja**

Programy szpiegowskie stały się groźną pokusą dla krajów
uważających się za praworządne – piszą **AGATA KAŻMIERSKA**
i **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** | powszech.net/pegasusy

➤ **Strona świata [Podkast Powszechny]**

Afganistan przetrwał pierwszą zimę pod rządami talibów.
Czy krajowi grozi klęska głodu? Co z prawami kobiet?
– o tym opowiada **WOJCIECH JAGIELSKI** | powszech.net/podkast

Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

[f /TYGODNIKPOWSZECHNY](https://www.facebook.com/tygodnikpowszechny) ■ [i /TYGODNIK](https://www.instagram.com/tygodnik) ■ [y /TYGODNIK](https://www.youtube.com/tygodnikpowszechny) ■ [y /TYGODNIKPOWSZECHNY](https://www.youtube.com/tygodnikpowszechny)



OBRAZ
TYGODNIA

DŁUGA DROGA DO ZWYCIĘSTWA

Każdy kolejny tydzień potwierdza, że Rosja nie jest w stanie wygrać rozpetanej przez siebie wojny. Nie wie też, jak z niej wyjść, aby nie wyglądało to na kompletną porażkę.

WOJCIECH KONOŃCZUK

WYSTĄPIENIE WŁADIMIRA PUTINA NA placu Czerwonym w rocznicę zakończenia II wojny światowej, najważniejszego rosyjskiego święta państwowego, nie przyniosło zaskoczenia. Wielu obserwatorów spodziewało się ogłoszenia powszechnej mobilizacji czy wręcz wojny z Zachodem, tymczasem rosyjski wódz powtórzył stały zestaw propagandowych haseł i kłamstw, które płyną z Kremla od pierwszego dnia inwazji. Rosjanie kolejny raz usłyszeli, że prowadzą „starcie” (bo przecież nie „wojnę”) z neonazistami i banderowcami, wspieranymi przez USA oraz „ich młodszych towarzyszy”. Że Moskwa chciała dialogu, ale zły Zachód go odrzucił. Że Rosja musiała „wykonać atak

uprzedzający”, co było „koniecznym i jedynym słusznym rozwiązaniem”, aby odeprzeć „zagrożenie od naszych granic”.

W wystąpieniu Putina ani razu nie padły słowa „Ukraina” i „Ukraińcy”. Bez tego łatwiej utrzymywać mobilizację własnego społeczeństwa, którego otepiona większość jest przekonana, że Rosja prowadzi wojnę sprawiedliwą i podobnie jak przed 80 lat walczy z „hydrą neofaszyzmu”. Rocznicą dnia zwycięstwa wypadła jednak błąd, zaś lśniące mundury kilkunastu tysięcy paradujących żołnierzy nie były w stanie jej rozjaśnić.

Rosyjska niemoc w trwającej od dwóch i pół miesiąca wojnie jest bowiem coraz bardziej widoczna. Sądząc po słowach dyktatora,

8 maja na Ukrainie przypada – obok dnia pamięci o ofiarach II wojny – także Dzień Matki. Do Użhorodu przyjechała nieoczekiwanie Jill Biden: spotkała się z Ołeną Zeleńską oraz dziećmi i matkami ewakuowanymi ze wschodniej Ukrainy.

Kreml jak na razie nie ma innego pomysłu niż kontynuowanie „specjalnej operacji wojskowej” w jej obecnej formie. Nic nie wskazuje jednak na to, by agresorowi udało się przełamać ukraińską obronę choćby w Donbasie, gdzie trwa ją szczególnie zacięte walki. Wciąż broni się część Mariupola – mimo wysiłków rosyjskiej propagandy, aby zdezawuować oczywiste bohaterstwo Ukraińców, które zapisze się wielkimi literami w ich historii.

Dla odparcia najeźdźcy i przejścia do kontrofensywy siły ukraińskie potrzebują więcej ciężkiej broni z Zachodu. Dostawę postępują, ale wciąż są mniejsze niż potrzeby. Ważne miejsce zajmuje tu Polska, co dobrze oddają słowa ukraińskiego premiera Denysa Szmyhala: „Nie mogę mówić o szczegółach, ale pod względem udzielanej pomocy militarnej Polska jest naszym drugim najważniejszym partnerem, zaraz po USA”. Bez większych dostaw z Zachodu nie dojdzie jednak do przełomu w tej wojnie, a może się okazać, że czas gra na korzyść Rosji. Gospodarka ukraińska pozostaje bowiem w znacznym stopniu sparaliżowana, finanse publiczne będą wymagały kilkudziesięciomiliardowego wsparcia, masowe bezrobocie i zubożenie staje się faktem. Kreml najwyraźniej uznał, że w końcu zmęczy Ukraińców i Zachód na tyle mocno, że podyktuje im swoje warunki.

Tymczasem w Unii Europejskiej trwa już gorączkowe wysiłki, aby nałożyć na Rosję kolejne sankcje i podnieść jej cenę wojny. Wprowadzenie embarga naftowego blokuje jednak Węgry, domagając się pięcioletniego okresu wyłączenia, mimo że – podobnie jak Polska czy Niemcy – byłoby w stanie zrezygnować z importu rosyjskiej ropy w ciągu kilku miesięcy.

Na tle propagandy Putina przekaz płynący z Kijowa jest jak powiew świeżego powietrza wolności. Kolejne wystąpienie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego – w szczególności te z 8 i 9 maja – to swoiste majstersztyki zarówno co do treści, poziomu oratorskiego, jak i sposobu zrealizowania. Cały świat dzisiaj widzi, że Ukraina jest mocarstwem moralnym. Zełenski skutecznie zagrzewa własne społeczeństwo do dalszego oporu; przekonuje, że „nie ma kajdan, które mogłyby skuć nasz wolny duch”, gdyż „wcześniej czy później Ukraińcy zwyciężą”.

Ale zarazem nie ukrywa, że „droga do zwycięstwa będzie długa”. ©

Tekst ukończono 9 maja o godzinie 12.

Rosja deprawuje pamięć historyczną

WOJCIECH PIĘCIAK



STRACH BYWA NAPRAWDĘ KIEPSKIM DOGRADCĄ. Władze miejskie Berlina tak wystraszyły się perspektywy starć 8-9 maja między Ukraińcami i Rosjanami, którzy żyją w stolicy Niemiec, że w jej newralgicznych (z punktu widzenia polityki pamięci) miejscach zakazały w tych dniach flag i rosyjskich, i ukraińskich. Gdy Ukraińcy zaprotestowali, tłumaczono, iż chodzi o to, by upamiętnienie rocznicy końca II wojny światowej w maju 1945 r. „oddzielić od tego, co dzieje się w maju 2022 r.”.

Rzecz w tym, że tego nie da się rozdzielić. Nie po tym, jak z instrumentalizacji II wojny światowej Putin uczynił uzasadnienie dla swej polityki. Wymierzonej zresztą nie tylko w Ukrainę: w zdeprawowanej wizji Putina „nazistami” mają być dziś nie tylko Ukraińcy, lecz wszyscy, którzy sprzeciwiają się Moskwie. Wizja ta nie jest nowa (przypomnijmy odkrycie Kremla sprzed paru lat, iż w 1939 r. to Polska była winna wojnie), ale teraz przyjęła formę totalitarną. I karykaturalną: gdyby nie cierpienie milionów ludzi, można by zażartować, że Putin bawi się w upiorną

pseudohistoryczną rekonstrukcję. Oto Rosjanie to „współcześni Żydzi” (tak mówi rosyjska TV), którzy przeciw sobie mają właśnie „nazistów”, tj. kraje wrogie. Ale to nie zabawa: niosąc pożogę Ukrainie, wizja Putina ma też przekonać Rosjan, iż ofiary są dziś równie uzasadnione jak 80 lat temu.

Gdy przyjmuje się taką wizję siebie i świata, słowa Ławrowa – który Zełenskiego porównał do Hitlera, Hitlerowi przypisał „żydowską krew” i uznał, że największymi antysemitami byli sami Żydzi – stają się na swój sposób logiczne. Do „nazistów”, z którymi Rosja toczy „wojnę świętą” (bo błogosławioną przez swoją Cerkiew), można wtedy zaliczyć i Polaków, i Czechów, i Niemców (bo niemieckie haubice trafią wkrótce na Ukrainę), i także Żydów (wg rosyjskiego MSZ Żydzi w armii ukraińskiej to „żydowskie faszyści”).

Czy traktowanie historii jako narzędzia, które ma pomóc w nazywaniu dobra złem, a zła dobrem, na koniec obróci się przeciw rosyjskiemu reżimowi? Czy gdy ta wojna się skończy, pamięć o tamtej sprzed 80 lat będzie taka sama? Oto są pytania. ©P

Zbudowaliśmy instalacje, ale skąd wziąć gaz?

ODCIĘCIE POLSKI OD ROSYJSKIEGO GAZU nie stawia nas w dramatycznej sytuacji, gdyż energetyka jest jednym z nielicznych przykładów ciągłości polskiej polityki pomimo zmian władzy. PiS stworzyło koncepcję gazoportu, który następnie zrealizowała PO z PSL, dzięki czemu terminal LNG dostarcza nam 5 mld m³ surowca rocznie, a obecnie trwa jego rozbudowa do 7,5 mld. Finalizowany właśnie gazociąg Baltic Pipe potencjalnie będzie mógł nam zapewnić co roku nawet 10 mld m³ błękitnego paliwa, co w zupełności wystarczyłoby do zastąpienia gazu z Rosji, którego sprowadzaliśmy do tej pory ponad 9 mld m³. Nasze magazyny gazu są wypełnione w 80 procentach, co jest jednym z najwyższych poziomów w UE.

Diabeł tkwi w szczegółach. Po pierwsze, pojemność tych magazynów jest niska, więc rezerw gazu wystarczy na dwa

miesiące. Baltic Pipe pełną przepustowość osiągnie natomiast dopiero w przyszłym roku. Do końca obecnego będzie mógł przetransportować niespełna miliard m³. Poza tym „bałtycka rura” nie dociera do norweskich złóż, lecz jest jedynie podpięta do gazociągu Europipe II, biegnącego z Norwegii do Niemiec.

Kluczowe będzie więc zakontraktowanie surowca i zarezerwowanie sobie przepustowości w tym istniejącym już gazociągu. Koncesje PGNiG na wydobycie norweskiego gazu zapewnią jedynie 2,5 mld m³ surowca. Koncesja na duńskim złożu Tyra da nam kolejny miliard rocznie, jednak tylko przez 6 lat, poza tym jej uruchomienie się przeciąga.

PGNiG wciąż nie zdradziło, gdzie kupi pozostały surowiec. Jeśli spółka nie zdąży podpisać długoterminowego kontraktu, będziemy musieli nabywać gaz na rynku, co skąże nas na potężne wahania cen. Będziemy się także ratować gazem z Niemiec, sprowadzanym przez rewers na Jamale. Czyli rosyjskim, tylko kupowanym od pośrednika. © PIOTR WÓJCIAK

NBP na tarczach

KOLEJNA PODWYŻKA stóp procentowych do 5,25 proc. zaskoczyła ekonomistów, którzy oczekiwali, że zobaczą je nawet na poziomie 5,75 proc. Najwidoczniej Narodowy Bank Polski uważa, że tempo wzrostu cen zacznie niebawem hamować. Albo powoli godzi się z tym, że stracił nad nim kontrolę. Inflacja w kwietniu sięgnęła 12,3 proc., a do wakacji może dobić nawet do 15 proc. Coraz wyższe stopy procentowe sprawiają, że tysiące Polaków żegnają się z marzeniem o własnym mieszkaniu. Liczba wniosków kredytowych w kwietniu br. była o 38,8 proc. mniejsza niż przed rokiem.

Rząd mówi o „putinflacji”, wskazując winnego, ale coraz wyraźniej widać też, że pieniądze, które NBP zdejmuje z rynku za pomocą podwyżek stóp, rząd tłoczy tam z powrotem poprzez kolejne tarcze. Decyzje NBP w tym roku zmniejszą konsumpcję o ok. 20-30 mld zł. Jednocześnie sama waloryzacja emerytur wraz z wypłatą 13. i 14. świadczenia wpompują Polakom do kieszeni ponad 30 mld zł. Pomoc najbardziej potrzebującym emerytom jest oczywiście jednym z ważniejszych zadań państwa. Problem w tym, że ten społecznie szczytny cel kłóci się z antyinflacyjną polityką NBP. © P MAREK RABII

Plan na szybsze wybory

WYBORY PARLAMENTARNE jesienią 2022? To wydaje się prawdopodobne, choć do urn powinniśmy pójść dopiero rok później. W otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego zaczyna jednak przeważać pogląd, że wcześniejszy termin daje większą szansę wygranej w obliczu długotrwałej inflacji i kryzysu związanego z wojną w Ukrainie. Pretekstem mogłoby stać się rozstanie ze sprawiającą wciąż kłopoty partią Zbigniewa Ziobry, a w efekcie brak większości sejmowej. Tyle że rozbrat z Ziobrą (który pozwoliłby wygasic spór z UE i uruchomić pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy) wcale nie jest pewny – brak nawet jednego procenta głosów może pokrzyżować plany partii władzy.

Ostatni sondaż pracowni IBRIS daje PiS-owi 35,9 proc. poparcia i sporą przewagę nad opozycją, ale z uwagi na fakt, że jedyna partia, z którą ugrupowanie Kaczyńskiego może stworzyć koalicję, to balansująca na granicy progu Konfederacja – wcale nie jest pewne, że PiS będzie rządził w przyszłym Sejmie. © P MAREK KĘSKRAWIEC

KRAJ W SKRÓCIE

BIORĘ

Z korespondencji opublikowanej w serwisie Poufna Rozmowa wynika, że poseł PiS Jacek Kurzępa prosił min. Michała Dworczyka o pomoc w znalezieniu dodatkowej pracy. „Nie ukrywam, że kredyt hipoteczny żęra wszystkie moje pobory z uczelni (zarabiam tam zaledwie 5.200), kredyt to 3.200, zatem szukam ratunku – pisał w październiku 2019 r. – Bez dodatkowego zatrudnienia nie przeżyję i popadnę w poważne kłopoty. Tyle. Jakby co, biorę wszystko”.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

PŁACE

„No niestety, jak się zaciąga kredyty, to się je spłaca” – mógłby odpowiedzieć Dworczyk, ale chyba nie odpowiedział. Zrobił to dopiero poseł Marek Suski (na zdjęciu), komentując ostatni komunikat Rady Polityki Pieniężnej o podwyżkach stóp procentowych.

ŚPIEWAM

Sąd Rejonowy Warszawa-Mokotów skazał Beatę Kozidrak na karę 5-letniego zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych i 20 tys. zł świadczenia na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu. Łagodny wyrok sędzieja uzasadniła m.in. „niekwestionowanym dorobkiem artystycznym” piosenkarki.

CYTAM

290 tys. tegorocznych maturzystów analizowało fragment „Życia na poczytaniu”, książki rozmów z pisarzami naszego redakcyjnego kolegi Grzegorza Jankowicza.

Minister chce mieć lex

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



JEŚLI WOJNA I UCHODŹCZY KRYZYS, KTÓRY TRAFIŁ już do szkół, nie spowodowały przeprowadzenia antagonizującego edukacyjne środowisko projektu przez niszczarki, to nie spowoduje tego nic. Lex Czarnek 2.0 trafi znów pod obrady parlamentu: jeżeli zostanie przegłosowane, kuratorzy dostaną więcej władzy i nad szkołami, i nad wchodzącymi do nich organizacjami.

Min. Czarnek mówi o pracach „w uzgodnieniu z Kancelarią Prezydenta”. Tylko co tu uzgadniać, skoro weto do pierwszej wersji projektu nie miało ponoć podłoża merytorycznego – minister twierdził, że prezydentowi chcącemu „zgody narodowej” nie spodobał się tylko moment uchwalania zmian (wojna). Czy „przed 1 września” lub „na jesieni” – to dwie wersje terminów oddania Lex Czarnek 2.0 – coś się w nim zmieni? Koncepcja zgody narodowej najwyraźniej już się zmieniła: minister chce mieć swoje lex, a naród musi się na to zgodzić. © P

Wirusem już przestaliśmy się przejmować

STAN EPIDEMII zostanie zniesiony 16 maja – ogłosił minister zdrowia Adam Niedzielski. Zmiana to raczej symboliczna, bo od dawna żyjemy tak, jakby covidu nie było (nawet w części przychodni, nie mówiąc o tramwajach, mało kto używa maseczek). Politycy już kilkakrotnie uspokajali, że wzrosty zakażeń nam nie grożą, a w populacji powszechnie występują przeciwciała. Dane zdają się to potwierdzać: liczba raportowanych przez GUS zgonów wróciła do wielkości sprzed pandemii. – Ekspertki patrzą jednak szerzej i wskazują na ryzyko powikłań nawet po lekkiej infekcji oraz ryzyko powstawania kolejnych wariantów wirusa: on wcale nie musi mutować w mniej zjadliwe typy – przypomina epidemiolog Rafał Halik.

Co prawda średnia krocząca dla Polski nie przekracza kilkuset przypadków, jest to jednak efekt radykalnych ograniczeń testowania, bo w zeszłym tygodniu ten sam wskaźnik w Niemczech przekraczał 70 tys., we Francji prawie 43 tys., a w Wielkiej Brytanii 11 tys. W Polsce po prostu przestaliśmy koronawirusa monitorować. Halik wskazuje też na ryzyko „podciągania” infekcji covidowych pod choroby o podobnym przebiegu: – Znam przypadek starszego mężczyzny, któremu lekarz zdiagnozował dychawię oskrzelową, a duszności wziął za objawy alergii sezonowej. Ten człowiek z ciekawości postanowił w domu zużyć stary test „jeszcze z pandemii” i sam u siebie zdiagnozował covid. © P MACIEJ MÜLLER



EBRAHIM NOROOZI / AP / EAST NEWS

AFGAŃSCY TALIBOWIE zarządzili, że w przestrzeni publicznej kobiety mają obowiązek noszenia burki – nakrycia, które zastania całą głowę prócz obszaru wokół oczu. Do tej pory, po przejęciu władzy w sierpniu 2021 r., talibowie nakazywali kobietom nosić chusty, a burki „zalecali”. Hibatullah Achundzada, emir (przywódcą) Islamskiego Kalifatu Afganistanu, który wydał to rozporządzenie, dodał, że kobiety zasadniczo powinny zakrywać całe ciało i pozostawać w domu, jeśli nie mają poza nim ważnych spraw do załatwienia. Na zdjęciu: targ w Kabulu, 8 maja 2022 r. © WP/ AFP

USA: nowy spór o prawo aborcyjne



MARTA ZDZIEBORSKA

W PONIEDZIAŁEK 2 MAJA WYDARZYŁO SIĘ coś, czego tak bardzo bała się liberalna Ameryka. Dziennikarze portalu Politico ujawnili szkie opinii Sądu Najwyższego, z którego wynika, że większość sędziów chce unieważnienia wyroku z 1973 r., legalizującego aborcję na życzenie. Jeśli dojdzie do zmian w orzecznictwie (wyrok zapadnie prawdopodobnie w czerwcu), za regulacje dotyczące aborcji będą odpowiadać władze stanowe. A te od lat dążą do zaostrzenia prawa: już w 13 republikańskich stanach uchwalily przepisy, które po zniesieniu spornego orzeczenia niemal całkowicie zakazają aborcji. W niektórych ustawach nie przewiduje się wyjątków w przypadku gwałtu lub kazirodztwa, a za aborcję lekarzom grozi do 10 lat więzienia. Antyaborcyjna fala może objąć 26 stanów.

W reakcji na przeciek z Sądu Najwyższego, na ulice wyszły tysiące ludzi. Burzliwe było w Waszyngtonie, gdzie budynek Sądu ogrodzono ponad dwumetrowym płotem, a w jego okolicy ściągnięto dodatkowe patrole policji. W obronie prawa do aborcji stanął katolik Joe Biden, który powiedział, że „wolność kobiety do wyboru jest kwestią fundamentalną”. Demokraci zapowiadają głosowa-

nie za ustawą gwarantującą prawo do aborcji w całym kraju (choć gest ten byłby tylko symboliczny, bo partia nie ma wystarczającej liczby głosów w Senacie). Z kolei politycy związani z ruchem pro-life promują federalny zakaz aborcji, na co przy obecnym rozkładzie sił też nie ma szans.

Spór o prawo do przerywania ciąży podbił stawkę przed wyborami uzupełniającymi do Kongresu. Jak pisze „New York Times”, strach przed zadarciem z umiarkowanym elektora-tem sprawia, że czołowi Republikanie – ci sami, którzy przez lata walczyli o obalenie wyroku z 1973 r. – teraz unikają tematu jak ognia.

A w cieniu debat o aborcję w miniony wtorek odbyły się prawybory w Indianie i Ohio. W tym wyścigu, który wyselekcjonował kandydatów do głównego starcia w listopadzie, wygrało 22 polityków promowanych przez Donalda Trumpa. Wielkim zwycięzcą jest m.in. kandydat na senatora J.D. Vance, którego notowania w sondażach poszybowały dopiero po tym, jak dostał poparcie od byłego prezydenta, mającego wciąż silną pozycję w Partii Republikańskiej.

Dla jednej części Stanów miniony tydzień był dobry. Dla drugiej – nie mogło być gorzej.

Historyczny sukces Sinn Féin

WYBORY SAMORZĄDOWE, które odbyły się w Wielkiej Brytanii 5 maja, miały pokazać, jak bardzo tzw. *partygate* – seria towarzyskich spotkań w siedzibie premiera na Downing Street w czasie lockdownu – zaszkodziła Partii Konserwatywnej. I rzeczywiście konserwatyści ponieśli spore straty w Anglii, Walii i Szkocji (w Irlandii Północnej odbywały się wybory do regionalnego parlamentu), a opozycyjna Partia Pracy przejęła część okręgów – w tym symbolicznie ważny okręg Westminster w Londynie. Torysów mandaty odbierali też kandydaci Liberalnych Demokratów i Zielonych.

W Worcester – probrexitowym bastionie torysów, uważanym za wskaźnik nastrojów w kraju – jednym z nowych radnych będzie Tom Piotrowski, mieszkający od kilkunastu lat w Wielkiej Brytanii, zaangażowany w sprawy społeczne i nieraz cytowany na łamach „TP”. Piotrowski startował z ramienia Zielonych, a w politykę zaangażował się po referendum brexitowym, w którym, jak podkreśla, nie miał prawa głosu jako obywatel Polski. Mówi, że jest dumny, iż tym razem jego głos został usłyszany.

Gdy idzie o premiera Johnsona, raczej zachowa stanowisko. Straty torysów są poważne, ale nie katastrofalne, a do wyborów parlamentarnych jeszcze sporo czasu.

Najważniejszą informacją i tak jest historyczne zwycięstwo Sinn Féin w Irlandii Północnej (27 mandatów w 90-osobowym parlamencie, podczas gdy największa partia unionistyczna DUP zdobyła 25). Oznacza to, że po raz pierwszy w historii na czele rządu lokalnego stanie przedstawiciel partii republikańskiej, opowiadającej się za zjednoczeniem Irlandii – będzie to Michelle O'Neill, kierująca Sinn Féin w Irlandii Północnej.

Jednak aby tak się stało, wicepremier musi przedstawić DUP, bo umowa pokojowa z 1998 r. stanowi, iż rząd w Belfaście zawsze muszą tworzyć partie republikańska i unionistyczna. Spór o regulację wprowadzone w Irlandii Północnej po brexicie sprawia, że może to być sporym wyzwaniem.

© PATRYCJA BUKALSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

BEATYFIKACJA

W peruwiańskiej miejscowości La Florida wysłannik papieża kard. Baltazar Porras beatyfikował s. Marię Augustynę Rivas López, zamordowaną w 1990 r. przez lewicowych partyzantów ze Świetlistego Szlaku. Zakonnica zginęła na rok przed męczeńską śmiercią w Pariacoto polskich franciszkanów Zbigniewa Strzałkowskiego i Michała Tomaszka.

KOMISJA

Biskup trewirski Stefan Ackermann zawiesił proces beatyfikacyjny założyciela Ruchu Szentszackiego o. Józefa Kentenicha. W 2020 r. pojawiły się zarzuty, że Kentenich dopuszczał się nadużyć, także seksualnych, i manipulacji w sprawowaniu władzy nad założonym przez siebie Instytutem Sióstr Maryi. Sprawę bada komisja historyczna.

NOMINACJA

Biskupi francuscy wybrali na zastępcę sekretarza generalnego i rzecznika Konferencji Episkopatu Francji Diane Pilotaz – 40-letnią specjalistkę od marketingu i komunikacji.

PREZENT

Przedstawiciele Austriackiego Katolickiego Ruchu Kobiet wręczyły papieżowi podczas śródoowej audycji ogólnej kopię ikony przedstawiającej bułgarskie święte Petkę i Marinę ze stułami jako atrybutem kapłaństwa. Wcześniej Austriacki rozmawiał w Kurii Rzymskiej o sytuacji kobiet w Kościele.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chłasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM



ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

PO 70 LATACH dyskusji o kapłaństwie kobiet w Kościele ewangelicko-augsburskim, dziewięć diakonek zostało ordynowanych na księży (7 maja 2022 r. w Warszawie). Ordynację poprowadził bp Jerzy Samiec, który zaznaczył, że Kościół długo nie rozpoznawał, iż Chrystus powołuje bez względu na płeć. Podkreślił też, że ordynacja nie jest celem, a jedynie bramą i nowym początkiem służby. © P JT

Ksiądz Galus kontra Kościół



ARTUR SPORNIAK

MODLIMY SIĘ ZA ARCYBISKUPA I JEGO WSPÓŁPRACOWNIKÓW o ich uwolnienie od wpływów szatana i złych duchów, bo ewidentnie sprzeciwiają się posłuszeństwu Duchowi Świętemu walcząc z Bogiem i ludźmi” – tak odpowiedział ks. Daniel Galus, lider wspólnoty Miłość i Miłosierdzie Jezusa z Czatachowej, na nałożoną nań przez abp. Wacława Depo karę suspensy, czyli zawieszenia w czynnościach kapłańskich.

O ks. Galusie zrobiło się głośno, gdy w 2020 r. zaczął nawoływać do nieprzestrzegania covidowych restrykcji. Został wówczas upomniany, a gdy to nie poskutkowało, otrzymał karę odbycia półrocznych rekolekcji w odosobnieniu, której również nie podjął (nawet wtedy, gdy potwierdziła ją w 2021 r. watykańska Kongregacja ds. Duchowieństwa). Skutkiem tej niesubordynacji jest nałożenie suspensy. Ponadto abp Depo zakazał współpłocie, która stała się murem za ks. Galusem, używania przymiotnika „katolicka”, a teren „pustelni” w Czatachowej wyłączył z użytku liturgicznego.

Archidiecezja częstochowska ma zatem swojego „Natanke”. O ile jednak ks. Natanek swoją „pustelnię” zbudował w Grzechynie obok Makowa Podhalańskiego na terenie prywatnym, o tyle „pustelnia” ks. Galusa znajduje się na terenie kościelnym i zapewne diecezja będzie chciała ją odzyskać. Wygląda więc na to, że to dopiero początek wojny ks. Galusa i jego zastępów z atakującymi go „siłami szatańskimi”. © P

Dobry, stary islam i tradycjaliści

FRANCUSCY MUZUŁMANIE zapraszają katolickich tradycjonalistów do konwersji na islam. Organizacja Miséricorde pour l’humanité France opublikowała materiały promujące religię Proroka i pokazujące – spokojnie, kompetentnie, z szacunkiem – podobieństwa i różnice pomiędzy nią a współczesnym katolicyzmem. Podkreślono w nich, że islam nie zmienia swej nauki, a jego doktryna jest niezależna od ludzkich autorytetów, takich jak papież. Przypomniano, że muzulmanie też czczą Jezusa i Maryję, modlą się zwróceniu na wschód, przywiązują dużą wagę do tradycji, rodziny i ochrony życia.

Skierowanie oferty do środowisk znanych z islamofobii wydaje się karłowatym pomysłem. Ale – jak tłumaczą organizatorzy – niechęć do ich religii wynika z niewiedzy, antyislamskiej propagandy i lęku przed zadawaniem pytań. Swoją myśl uważają za strategię zwycięską: wiele osób będzie mogło lepiej poznać islam, niektórzy może się nawrócić. Zapewniają, że kampania już przynosi skutki: otrzymują telefony i maile od tradycyjnych katolików, które stają się okazją do pierwszego spotkania. © P E A

KULTURA W SKRÓCIE

SCENARIUSZ

Podczas festiwalu Mastercard OFF CAMERA tradycyjnie ogłoszono wyniki konkursu Script Pro. Nagrodę główną Stowarzyszenia Filmowców Polskich otrzymali Anna Dembowska i Karol Starnawski. Ich scenariusz pt. „Dwie matki” wyróżniono za „poruszający portret kobiet w sytuacji bez wyjścia i postawienie ważnych pytań o istotę macierzyństwa w trudnej sytuacji polityczno-kulturowej”. Tekst został napisany w oparciu o reportaż Moniki Andruszewskiej publikowane na łamach „TP”.

ZDJĘCIA

Po dwóch latach przerwy Fotoplastikon Warszawski jest ponownie dostępny dla zwiedzających. Z tej okazji po raz pierwszy udostępniono wystawę stereoskopowych zdjęć pokazujących stolicę jesienią 1927 r. Fotoplastikon Warszawski działa od 1905 r. w zabytkowej kamienicy Hoserów w Alejach Jerozolimskich pod nr 51.

SCENOGRAFIA

Zwycięzcą prestiżowej Nagrody Architektonicznej im. Miesa van der Rohe za rok 2022 została dublińska pracownia Grafton Architects – wyróżniono jej projekt Town House, Kingston University w Londynie. To pierwszy budynek uniwersytecki, który zdobył tę nagrodę. Jury doceniło wykreowanie przestrzeni, która tworzy doskonałą atmosferę nie tylko do nauki, ale po prostu bycia razem.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Czy grzyby zastąpią krowy

OD LAT 60. ubiegłego wieku spożycie i światowa produkcja wołowiny wzrosły dwukrotnie, co negatywnie odbija się na środowisku. Dlatego coraz więcej wysiłku wkłada się w zaprojektowanie substancji, które przypominałyby mięso, ale nie wymagały hodowli zwierząt. Z analizy opublikowanej w „Nature” przez Floriana Humpenödera i współpracowników wynika, że szczególnie korzystne mogłoby być zastąpienie części mięsa wołowego białkiem wytwarzanym przez hodowane w bioreaktorach grzyby.

Proces wytworzenia białek przez grzyby wciąż wymaga znacznych obszarów pól uprawnych ze względu na wykorzystanie w produkcji roślin cukrowych, ale ogranicza ilość pastwisk, zużycie wody i emisję gazów cieplarnianych. Jeżeli do 2050 r. białko z grzybów zastąpiłoby 20 proc. spożycia mięsa wołowego na osobę, to na pastwiska przekształcono by o połowę mniej terenów leśnych. W konsekwencji dwukrotnie zmniejszyłby się wskaźnik emisji dwutlenku węgla.

Co ciekawe, wzrost udziału białek mikrobiologicznych w diecie do 50 lub 80 proc. przyniósłby dalszy, ale nie tak radykalny spadek tych wskaźników – na pewnym etapie produkcja rolna osiągnęłaby maksymalną wydajność i konieczne byłoby zajęcie większego obszaru. © P KATARZYNA DZIADOWICZ

Wojny mikrobow

BAKTERIE są drugim, po roślinach, głównym składnikiem życia na Ziemi. Ich łączna biomasa, według oszacowań z 2018 r., przewyższa aż 35-krotnie biomasę wszystkich lądowych i morskich zwierząt. Jak dotąd poznaliśmy ok. 30 tys. gatunków bakterii, ale w rzeczywistości mogły ich wyewoluować miliardy. Wiele z nich żyje w złożonych koloniach, a poszczególne gatunki mogą wchodzić w interakcje. Jaka jest ich natura?

Jak zapewniali w „Science” Jacob D. Palmer i Kevin R. Foster, z dotychczasowych badań wyłania się spójny obraz: poszczególne gatunki bakterii na ogół utrzymują wrogie relacje. Spotykamy grupy rywalizujące o zasoby, gatunki pasożytujące na innych czy zjadające się nawzajem. Dla nas to zresztą dobra wiadomość – znalezienie naturalnych wrogów chorobotwórczych bakterii mogłoby pozwolić uniezależnić się od antybiotyków.

W trudnych warunkach, np. w toksycznym środowisku i przy małym zagęszczeniu populacji, pomiędzy gatunkami bakterii może narodzić się kooperacja. Ale najczęściej kończy się ona z chwilą, gdy warunki środowiskowe robią się bardziej żońsne. © P ŁK



BOUREIMA HAMA / AFP / EAST NEWS

WIELKI ZIELONY MUR miał ocalić Afrykę przed potknięciem przez Saharę. Uchwalony w 2005 r. projekt zakładał utworzenie grubego na 15 km pasa lasów na długości 8 tys. km od Senegalu do Dżibuti. Miał odtworzyć 100 mln hektarów terenów zielonych i stworzyć 10 mln miejsc pracy. Zrealizowano jedynie od 4 do 20 proc. celu, a 80 proc. posadzonych drzew uschło. Dziś program skupia się na tradycyjnych metodach gospodarki wodą i wiedzy tutejszych społeczności. I – miejscami – działa. Dolina Zinder w Nigrze ma 50 razy więcej drzew niż w 1975 r. W Mali zrehabilitowano pół miliona hektarów gruntów. Na zdjęciu: miejscowość Simiri w Nigrze, na granicy Wielkiego Zielonego Muru, listopad 2021 r. © P WB

TANCERZ W KOSTIUMIE ROBOTA

Elon Musk jest jak Twitter: też dokonał rewolucji, też miał wspaniałe intencje. I też rządzi w chaosie.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PO CO NAJBOGATSZY CZŁOWIEK ŚWIATA KUPIŁ sobie najgorętszego kartofla internetu? Musk twierdzi, że na Twitterze nie chce zarabiać – i to akurat może nie być trudne, bo serwis od lat ma problemy z rentownością. Możliwe, że wydał 44 mld dolarów wyłącznie dlatego, że taki miał kaprys. Jego twitterowe konto obserwuje już ponad 91 mln użytkowników – sześć razy więcej niż wszystkich przywódców państw Unii Europejskiej razem wziętych i cztery razy więcej niż amerykańskiego prezydenta.

– Jest wyjątkowo skuteczny w wykorzystywaniu statusu celebryty do napędzania swoich biznesów, więc możliwe, że to przede wszystkim one, a nie sam Twitter, będą czerpały z tego zakupu korzyści – mówi „Tygodnikowi” dr Ben Little z Uniwersytetu Wschodniej Anglii, współautor książki o miliarderach nowych technologii.

Najbardziej prawdopodobne jest jednak to, że tak jak w przypadku innych jego biznesów, Elon Musk postanowił przewrócić do góry nogami całą branżę, w którą właśnie zainwestował. Albo znajdzie się na granicy bankructwa. Realizacja obu tych opcji jednocześnie też nie jest wykluczona.

Opętany geniusz?

Najłatwiej byłoby dowiedzieć się o planach Muska wobec Twittera od niego samego. Sęk w tym, że ich nie wyjawiał. Od stycznia po cichu skupował akcje spółki, a gdy już było jasne, że stał się

największym udziałowcem, odrzucił propozycję zasiadania w radzie nadzorczej, by w połowie kwietnia poinformować, że wykupuje cały serwis. Wyda na to 44 mld dolarów, z czego 21 mld w gotówce (to 8 proc. wartości jego całego majątku i nawet gdyby spalił te pieniądze w kominku, wciąż pozostałby najbogatszym człowiekiem świata). Transakcję przypieczętował, oczywiście na Twitterze, słowami: „Następnym, co kupuję, będzie Coca-Cola, żeby z powrotem dodawać do niej kokainę”.

Kiedy branża biznesu i technologii w osłupieniu czekała na oświadczenie dotyczące przyszłości jednej z największych platform społecznościowych świata, Musk ograniczył się do komunikatu, że „wolność słowa jest skałą, na której opiera się sprawnie funkcjonująca demokracja”, a on chce usprawniać serwis, m.in. dodając nowe funkcje i zwalczając boty, czyli fałszywe, udające ludzi konta, rozsiewające spam. I zapewne można by było to uznać za komunikat równie zręcznie skonstruowany, co nic nieznanego, gdyby... nie chodziło o Muska. Bo miliarder od dawna powtarza, że jest „radykałnym obrońcą wolności wypowiedzi” i wcześniej wielokrotnie publicznie krytykował moderację treści oraz blokowanie użytkowników za „łamanie zasad społeczności”. Do tego sam twituje. Np. ostatnio retorycznie pytał: „kto finansuje organizacje chcące kontrolować twój dostęp do informacji?”.

To wystarczy do napędzania tsunami analiz i komentarzy o tym, że Twitter zmieni się



Elon Musk na placu budowy Tesla Gigafactory pod Berlinem. 3 września 2020 r.

w świątynię nienawiści (jakby dotąd nią nie był), co zapowiadać ma ponoć przywrócenie konta Donalda Trumpa, zbanowanego wkrótce po tym, jak podzegał do ataku na Kapitol w 2021 r. Tyle że Musk – chociaż rok temu rzeczywiście był przeciw wyrzucaniu z serwisu ówczesnego prezydenta USA – teraz niczego w tej kwestii nie sugerował. Konkretnie na temat tego, co chce zrobić z Twitterem, wciąż nie ma.

Plany Muska można próbować odgadnąć na podstawie tego, co robił wcześniej, ale – jak ujął to pisarz Walter Isaacson, autor powstającej właśnie biografii miliardera – opisywanie życiorysu Muska jest „jak próba robienia notatek podczas picia z węża strażackiego”. Z kolei Ashlee Vance w książce „Elon Musk: Tesla, SpaceX and Quest for a Fantastic Future” napisał: „To opętany geniusz w najwspanialszej wyprawie, jaką ktokolwiek kiedykolwiek wymyślił. Bardziej niż dyrektora generalnego goniącego za bogactwami przypomina generała organizującego wojsko, by zapewnić sobie zwycięstwo. Tam, gdzie Mark Zuckerberg chce ci pomóc w udostępnianiu zdjęć dzieciaków, Musk próbuje... coś... ocalić ludzkość przed zagładą, którą sama na siebie ściągnie, albo która przypadkowo na nią spadnie”.

Kapitalista z rozmachem?

W latach 80. czekolada w RPA była tania, ale za ładnie zapakowaną klienci byli gotowi płacić więcej. Ile były warte elegancko opakowane czekoladowe jajka? Pięciu chłopców, którzy za bezcen skupywali czekoladę, topili ją i formowali, pakowali w błyszczącą folię, a następnie sprzedawali w bogatych dzielnicach Pretorii, szybko stwierdziło, że przebiecie jest dwudziestokrotne. Kiedy sąsiedzi próbowali protestować, że to za drogo, reagowali przećwiczoną wcześniej odpowiedzią: że kupowanie ich produktu oznacza wspieranie młodych kapitalistów. I to działało. Wśród tych pięciu młodych kapitalistów byli Elon Musk i jego młodszy brat Kimbal.

Chłopcy pracowali, chociaż nie musieli. Ich ojciec Errol twierdzi, że miał udziały w kopalni szmaragdów w Zambii i – według jego wersji – rodzina miała tyle pieniędzy, że „trudno było domknąć sejf”. Elon i Kimbal mieli nawet podczas drzemki ojca zwędzić mu dwa drogocenne kamienie i je

MAJA HITJI / GETTY IMAGES

→ sprzedać. W tekstach biograficznych o Musku można znaleźć nieoficjalne informacje, że jego ojciec nie stronił od przemocy wobec synów i żony, co zresztą doprowadziło do rozwodu. Dziś nikt z rodziny nie chce o tym mówić. Elon utrzymuje natomiast, że żadnej kopalni szmaragdów nie było. I że po wyjeździe z RPA do Kanady, a później do USA utrzymywał się z dorywczej pracy oraz m.in. z pobierania opłat za wejście do klubu nocnego, w który zamienił własny pokój w akademiku. Studia skończył zadłużony na 100 tys. dolarów.

Kiedy w 1995 r. zakładał z bratem pierwszą firmę, to właśnie ich ojciec wyłożył ponad 28 tys. z 200 tys. dolarów przekazanych przez inwestorów. Strona internetowa Musków była jednym z pierwszych katalogów firm w sieci i okazała się doskonałą inwestycją.

Błyskawicznie zdobyła popularność i po zaledwie czterech latach odkupił ją komputerowy gigant Compaq Computer Group. Elon zarobił na tym 22 mln dolarów, które szybko zainwestował w kolejny biznes – internetowy bank x.com, który rok później połączył się z konkurencyjną firmą świadczącą inter-

netowe usługi finansowe. Tak powstał PayPal.

Tu zyski przyszły jeszcze szybciej. Serwis został w 2002 r. wykupiony przez eBay za 1,5 mld dolarów, a Musk w siedem lat po otwarciu pierwszej firmy miał dość pieniędzy, by nie pracować do końca życia. Zamiast tego zamarzyła mu się... szklarnia na Marsie.

Jak twierdzi, w 2001 r. zdał sobie sprawę, że zimnowojenny wyścig w kosmos był „ulotnym fenomenem” i „technologicznym konkursem na to, kto nasika najdalej, napędzanym przez niezrównoważone wydatki publiczne”. Wychowany na „Star Treku” trzydziestolatek postanowił, że to on osobiście coś z tym zrobi. Jego plan zakładał przeniesienie na Marsa za pomocą lądownika niewielkiej szklarni wypełnionej odżywczym żelom i nasionami roślin, które stałyby się pierwszymi przejawami życia na tej planecie. Po jakimś czasie w ślad za roślinami poleciliby koloniści.

Problemem okazał się już pierwszy element planu – rakietą. Amerykanie zażyli sobie za nią 80 mln dolarów. Rosjanie za stary nuklearny pocisk balistyczny chcieli niewiele mniej. Musk przysiadł

więc do czytania starych radzieckich schematów rakiet. Tak ponoć narodziła się SpaceX.

Firma wyrzuciła branżę kosmiczną do góry nogami. Jej rakiety nie tylko startują, ale też wracają na Ziemię i po krótkim przeglądzie są gotowe do kolejnego lotu. Rekordzistka latała już kilkanaście razy, oszczędzając miliony dolarów na silnikach i wyposażeniu, które w klasycznych, jednorazowych rakietach rozbija się o powierzchnię oceanu. SpaceX zdystansował konkurencję, zbijając koszty.

By zarobić na wielkie marsjańskie marzenia, SpaceX zajął się projektem tylko nieco bardziej przyziemnym. Postanowiła zostać pierwszym globalnym dostawcą internetu. System Starlink, dzięki floty 45 tys. nisko orbitujących satelitów, ma zapewniać połączenie z siecią z każdego miejsca na planecie. Muskowi nie można odmówić rozmachu: w całej historii ludzkości wystrzelono dotąd w kosmos nieco ponad 12 tys. sztucznych obiektów, a około 4 tys. wciąż jest aktywnych.

Pierwszy test ogniowy Starlink przechodzi właśnie teraz, w Ukrainie. Projekt budzi też jednak obawy, że taka liczba

Przygody jego ego

IMAGE ELONA MUSKA to klucz do jego biznesowych sukcesów, ale często przyczyna tarapatów, w które zwykle sam się wpędza.

TWEET ZA 40 MILIONÓW

W sierpniu 2018 r. Musk ponoć zażartował na Twitterze, że zdobył środki na wykupienie wszystkich akcji Tesli. Żadnego wykupu jednak nie było. Amerykańska Komisja ds. Papierów Wartościowych uznała tweet za próbę nielegalnej manipulacji i ukarała biznesmena oraz Teslę grzywnami po 20 mln dolarów. W ramach ugody wszystkie tweety Muska dotyczące Tesli muszą być zatwierdzane przez prawników. Niedawno dopytywany, co z perspektywy myśli o swo-

im żarcie, Musk odpisał: „było warto”.

TESLA JEST ZA DROGA

Ani kara, ani ugoda nie powstrzymały go od tweetowania o Tesli. Wystarczyło, by w 2020 r. napisał: „cena akcji Tesli jest moim zdaniem zbyt wysoka”, by wycena runęła o 14 mld dolarów. Wkrótce potem akcjonariusze Tesli pozwali Muska za działanie na szkodę firmy.

„PEDOFIL” I ŁÓDŹ

PODWODNA W 2018 r. ego Muska dało o sobie znać podczas operacji ratowania tajskich uczniów uwieczonych w zalanej jaskini. Zaproponował wyciągnięcie ich przy pomocy mini-łodzi podwodnej z części rakietywowych. Kapsuła trafiła do Tajlandii, ale nie nadawała się do wykorzystania. Gdy jeden

z kierowników operacji ratunkowej nazwał to „PR-ową sztuczką”, Musk w odpowiedzi nazwał go publicznie „pedofilem”. Parę dni później przeprosił, ale potem znów zaatakował. Ostatecznych przeprosin ratownik doczekał się po sądowym pozwie.

US AIR FORCE NIE LUBI

TRAWKI 6 września 2018 r. Musk wystąpił w podkaście „The Joe Rogan Experience”. W trakcie dwugodzinnego show gospodarz podał mu cygaro z marihuaną. Jedno zaciągnięcie kosztowało go spadek akcji Tesli, ale też problemy z Siłami Powietrznymi USA, które zażądały od SpaceX audytu bezpieczeństwa. Musk ostatecznie na tym zarobił, bo koszty kontroli – 5 mln dolarów – pokrył amerykański podatnik.

TREN DLA HARAMBE

Musk, przez kilka lat związany z kompozytorką i wokalistką Grimes, w 2019 r. pozazdrościł jej kariery i opublikował własny singiel. Elektroniczna oda do goryla zastrzelonego w zoo po tym, jak na wybieg wpadło dziecko, nie wdarta się jednak na listy przebojów.

COVID I LEKI PRZECIWDEPRESYJNE

Podczas pandemii Musk podawał w wątpliwość zalecenia lekarzy i siał dezinformację. Twierdził, że covid zniknie sam, że jest łagodny i nie dotyka dzieci. Za wprowadzenie lockdownu porównał też premiera Kanady do Hitlera. Teraz znalazł sobie nowy medyczny cel i przekonuje, że leki przeciwdepresyjne są przyczyną samobójstw. Gromy ciskane przez lekarzy i naukowców nie robią na nim wrażenia. ©

satelitów zwiększa ryzyko przypadkowych kolizji na orbicie, a astronomowie zamiast gwiazd na niebie wkrótce będą mogli oglądać jedynie migające światełka „orbitalnych routerów wifi”.

Mistrz marketingu?

Warty ponad 100 mld dolarów SpaceX jest pierwszym z filarów imperium Muska, ale większe pieniądze zarabia drugi filar, nie mniej rewolucyjny. Teslę w 2003 r. założyli Martin Eberhard i Marc Tarpenning. Musk dołączył do nich rok później. Zaczął właśnie marzyć o rewolucji w branży motoryzacyjnej (jakby przewrót w branży kosmicznej mu nie wystarczał) i zastąpieniu silników spalinowych elektrycznymi. Zainwestował w Teslę 7 mln dolarów, choć nie miała nawet prototypu pierwszego pojazdu.

Wizję rewolucji szybko przysłoniły piętrzące się wyzwania. W książce pt. „Power Play” Tim Higgins pisze, że w owym czasie nawet sam Musk uważał, iż szanse na sukces są marne, a część jego pracowników próbowała zarobić na giełdzie, obstawiając rychły zgon firmy. Zamiast się poddać, nowy właściciel przeszedł na sterowanie ręczne – odsunął założycieli firmy i zaczął nadzorować praktycznie wszystko, od projektowania, przez produkcję, po marketing. Według Ashlee Vance’a Tesla była wówczas próbującym się organizować chaosem, w którym inżynierowie i pracownicy działu sprzedaży miotali się od kryzysu do kryzysu. Musk wyglądał wówczas, jakby był na granicy załamania nerwowego.

Jak to ujął Tim Higgins, „w ten sposób powstały samochody na podobieństwo Muska”. I w tym właśnie kryje się chyba jeden z większych paradoksów tego przedsięwzięcia. Tesla odniosła sukces dzięki presji Muska na realizację celów, które wydawały się nieosiągalne. Ale jej szef był zarazem sprawcą największych kryzysów firmy – czy to wywołanych jego nieprzemyślanymi wymaganiami, czy oskarżeniami o mobbing ze strony pracowników. A także mało rozsądnymi tweetami.

Higgins opisuje, jak w czasie, gdy fabryka akumulatorów Tesli w Nevadzie miała spore opóźnienia produkcyjne, Musk postanowił rozpalic na jej dachu ognisko, po to tylko, by zrobić sobie zdjęcie. Podobno na skraju załamania znalazł się wówczas także dyrektor fabryki, nie wiedząc, jak zrealizować zachciankę

Seria pozwów o mobbing w firmach Muska

nie świadczy o wysokiej kulturze korporacyjnej.

A fakt, że on sam zwyczajnie trolluje w internecie – o klasie jego charakteru.

szefa w miejscu wypełnionym materiałami łatwopalnymi. Ostatecznie pomogło rozłożenie koców przeciwpożarowych.

W tym szaleństwie jest jednak metoda. – Ford czy Toyota wydają na marketing 8-9 proc. przychodu, po około 15 mld dolarów. Cała reklama Tesli to Twitter i 90 mln obserwujących profil Muska – mówi nam prof. David B. Yoffie, wykładowca strategii biznesowej w Harvard Business School i autor serii książek na temat biznesu w sieci.

W 2008 r. Tesla i SpaceX znalazły się na krawędzi bankructwa. Musk miał do wyboru zainwestować ostatnie 30 mln w jedną z firm, by ratować ją kosztem drugiej, bądź podzielić pieniądze po równo i ryzykować, że zostanie z niczym. Wybrał drugą opcję.

Wkrótce SpaceX dostał duży kontrakt od NASA na dostawy ładunków na Międzynarodową Stację Kosmiczną, choć na tamtym etapie firma miała na koncie tylko jeden udany start i trzy wybuchowe porażki. Teslę przed krachem uratowała inwestycja Daimlera, a później 465 mln dolarów pożyczki od rządu USA, co pozwoliło firmie stworzyć jej flagowy Model S. Już w połowie 2020 r. akcje Tesli przekroczyły cenę 440 dolarów i firma stała się warta więcej niż General Motors i Ford razem wzięte. Pół roku później osiągnęły 880 dolarów.

Nieomylny wizjoner?

W tych spektakularnych sukcesach fani Muska widzą dowody na jego geniusz i nieomyślność. Amerykański program kosmiczny nadal polegałby na rakietach pamiętających Kennedy’ego, ale pojawił się Musk z raketami startującymi i lądującymi w takt przebojów Davida

Bowiego. Silniki elektryczne są dobre dla meksów? Przyszedł Musk i z samochodów z takim napędem uczynił symbol statusu na miarę Rolls Royce’a, a cała branża motoryzacyjna zastanawia się dziś, jak go dogonić.

Gdzie się Musk obejrzy, tam nadciąga przyszłość? Niekoniecznie. Ma też na koncie pomysły, które można byłoby nazwać „ekscentrycznymi”, gdyby lepiej nie pasowało do nich słowo „niewypały”. Neuralink ma stworzyć pierwszy interfejs do łączenia umysłu człowieka z komputerem. Na razie jednak z firmy odeszła większość kluczowych naukowców, a 15 z 23 małp, którym wszczepiono prototypowe urządzenia, nie żyje. Po pięciu latach badań Neuralink pokazała jedynie krótkie nagranie, na którym makak, używając wyłącznie impulsów własnego mózgu, gra w grę Pong. To ciekawy eksperyment, ale do cyberpunkowego „internetu w głowie” droga stąd raczej daleka.

Kolejny projekt, równie odległy od sukcesu, to Boring Company – firma, której stworzenie Musk obwieścił tweetem, stojąc w ulicznym korku. Miała przeobrazić miasta, drążąc pod nimi sieć tuneli, którymi superszybkie magnetyczne kapsuły przewoziłyby pasażerów. Powstały piękne, futurystyczne animacje, ale gdy firma zrealizowała swoje pierwsze dzieło – podziemną pętlę pod Las Vegas – okazało się, że zamiast przestronnych kapsuł ciasnym tunelikiem powoli jeżdżą... zwykające tesle-taksówki.

„Nie chcę was zaszokować, ale nie zawsze mam rację” – tłumaczył Musk podczas niedawnego wywiadu na konferencji TED w Vancouver.

Dr Jekyll czy Mr Hyde?

Twitter we wniosku złożonym w Komisji Papierów Wartościowych i Giełd podał, że jednym z zagrożeń związanych z planowanym przejściem przez Muska jest potencjalna utrata personelu. Wedle źródeł „The Washington Post” i Bloomberg, sam Musk miał proponować cięcia etatów, gdy zbierał pieniądze na przejście serwisu. W zeszłym tygodniu, kiedy transakcję potwierdzono, dyrekcja firmy zorganizowała spotkanie dla wszystkich pracowników. Od prezesa Paraga Agrawala usłyszeli jednak tylko: „Będziemy nadal spędzać czas z Elonem, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, i w miarę, jak będziemy się tego dowiadywać, będziemy dzielić się z wami tą wiedzą”. ➔

→ Agrawal nie potrafił też powiedzieć, czy i jak zmieni się podejście firmy do wolności słowa i bezpieczeństwa. Wymagał się nawet od odpowiedzi, czy na platformę wróci Trump. Słowem, nie miał do powiedzenia wiele, bo i jemu chyba nikt za wiele nie mówi.

O ile walne spotkanie pracowników przebiegało pod znakiem dezorientacji, nastrój na zebraniu działów odpowiadających za politykę firmy i moderację treści był grobowy. Kierująca nimi prawniczka Vijaya Gadde ponoć rozplakała się, mówiąc o dumie z dotychczasowej pracy swoich podwładnych. Uważana za kompas moralny firmy, odgrywała kluczową rolę w decyzjach o usunięciu z platformy reklam politycznych czy zamknięciu konta Trumpa. Od wielu miesięcy była też celem ataków amerykańskiej skrajnej prawicy.

„Niektórzy z najlepszych pracowników Facebooka czy Google’a przeszli do Twittera, bo ta firma była skłonna do eksperymentów, do wypróbowywania nowych pomysłów i do obrony swoich zasad w taki sposób, w jaki nie robi tego konkurencja” – mówił „The Washington Post” Brandon Borman, były szef komunikacji firmy, dodając: „Mam nadzieję, że Musk da im siłę, a nie zastraszy czy zmusi do odejścia”.

Jest się kogo obawiać. Pierwszym głośnym skandalem dotyczącym pracowników firm Muska jest opisany przez Ashlee Vance’a przypadek pracownika Tesli, który nie przyszedł na firmowe spotkanie, bo zaczęło mu się rodzić dziecko. Prezes miał mu zrobić karczemną awanturę, że „powinien sobie wybrać priorytety”. Musk temu zaprzecza, ale powtarzającym się w jego firmach schematem jest sterowanie ręczne i harówka części pracowników po 80 godzin tygodniowo. Magazyn „Vanity Fair” opisał, jak pracownicy SpaceX i Tesli informują się nawzajem o humorach prezesa, „żeby wiedzieć, czy do biura przyjdzie Dr Jekyll, czy Mr Hyde”. W Tesli pilnie śledzi się transmisje ze startów wszystkich rakiet SpaceX, „dlatego, że to bezpośrednio wpływa na nastrój Elona na następnych kilka dni”. To samo ma dotyczyć pracowników SpaceX w dni, kiedy publikowane są wyniki sprzedaży Tesli.

Seria pozwów o mobbing w przedsiębiorstwach Muska nie świadczy o wysokiej kulturze korporacyjnej. A fakt, że wielokrotnie musiał on przepraszać za

Historia Twittera

LISTOPAD 2004 ■ Barista Jack Dorsey dostaje pracę w platformie podkastowej Odeo.

2005 ■ Odeo szuka nowego pomysłu, a Dorsey proponuje budowę platformy do wysyłania krótkich wiadomości. Założyciel Odeo Noah Glass nazywa ją „Twitter”.

21 MARCA 2006 ■ Pierwszy tweet Jacka Dorsey: „Just setting up my twttr”.

KWIECIEŃ 2007 ■ Dorsey prezesem.

CZERWIEC 2007 ■ Firma wyceniana jest na 20 mln dolarów.

SIERPIEŃ 2007 ■ Pierwszy hashtag #.

PAŹDZIERNIK 2008 ■ Jack Dorsey zostaje usunięty ze stanowiska prezesa.

15 STYCZNIA 2009 ■ Użytkowniczka Janis Krums pierwsza publikuje informacje o przymusowym lądowaniu airbusa na rzece Hudson i zdjęcie, a Twitter staje się źródłem newsów na żywo.

KWIECIEŃ 2009 ■ Aktor Ashton Kutcher jako pierwszy zdobywa milion obserwujących.

MAJ 2009 ■ Konto zakłada Donald Trump. Przez 12 lat wyśle 57 tys. tweetów.

CZERWIEC 2009 ■ W Iranie Twittera po raz pierwszy wykorzystano do koordynowania demonstracji.

WRZESIEŃ 2011 ■ Serwis ogłasza, że ma 100 mln użytkowników na całym świecie.

LISTOPAD 2013 ■ Spółka, wyceniana na 31 mld dolarów, wchodzi na giełdę.

GRUDZIEŃ 2014 ■ Twitter obiecuje skupić się na walce z hejtem.

CZERWIEC 2015 ■ Dorsey znów prezesem.

MARZEC 2016 ■ Twitter zastępuje chronologiczny przegląd tweetów algorytmem. Krytycy zarzucają firmie tworzenie baniek informacyjnych.

LISTOPAD 2018 ■ Twitter zwiększa limit znaków ze 140 do 280.

CZERWIEC 2019 ■ Serwis informuje o tysiącach fałszywych kont z rosyjską dezinformacją.

8 STYCZNIA 2021 ■ Konto Donalda Trumpa skasowane po ataku na Kapitol.

LISTOPAD 2021 ■ Dorsey na stanowisku prezesa zastępuje Parag Agrawal.

KWIECIEŃ 2022 ■ Firmę kupuje Elon Musk. ©

publiczne obrażanie ludzi, czy że zwyczajnie trolluje w internecie – jak ostatnio Billa Gatesa za to, że utył – o klasie jego charakteru.

Jedyną z niewielu osób, które naprawdę optymistycznie zareagowały na zakup Twittera, był Jack Dorsey, założyciel tego serwisu, który stwierdził: „Elon jest jedynym rozwiązaniem, któremu ufam”. Zresztą w branży natychmiast pojawiła się plotka, że Musk będzie chciał, by firmą znów zaczął kierować Dorsey.

– Elon robi z Twittera prywatną firmę, nie potrzebuje ani rady nadzorczej, ani Jacka – dementuje w rozmowie z nami prof. David B. Yoffie. – Jeśli masz prywatną firmę, możesz się konsultować i prosić o rady, kogo chcesz.

Wróg cenzury?

Twitter pod pewnymi względami jest podobny do Muska. Też dokonał rewolucji. I też miał wspaniałe intencje. Twórcy serwisu chcieli dać ludziom narzędzie do komunikacji z całym światem. Tylko że teraz Twitter przypomina technologiczny, społeczny i polityczny węzeł gordyjski. I bynajmniej nie tylko dlatego, że manipulacje botnetowych demiurgów przyczyniły się do wyboru Donalda Trumpa na prezydenta, do brexitu czy do wzrostu antyimigranckich nastrojów na zachodzie Europy, ze wszystkimi tego obrzydliwymi konsekwencjami. Nie chodzi o to, co Twitter nam robi, ale o to, co robimy sobie sami.

„Twitter bierze subtelne, bogate wartości, które wnosimy w komunikację, i kwantyfikuje je za pośrednictwem liczby obserwujących, polubień i retweetów, a my stopniowo zaczynamy robić to, co Twitter nagradza. Jeśli nie, to i tak nie ma to znaczenia, bo wtedy nikt nie zobaczy tego, co piszemy. Stajemy się tym, czego oczekuje od nas gra. Albo przegrywamy. To dzieje się właśnie z najważniejszymi ludźmi, branżami i tematami na świecie” – pisał niedawno na łamach „The New York Timesa” Ezra Klein, autor książki „Why We’re Polarized”. Twitter – poza tym, że jest źródłem szybkiej, możliwe, że najszybciej przekazywanej na świecie informacji – może się też kojarzyć z obleczonym w zgrabny interfejs szambanem pełnym pogardy i złośliwości.

Musk twierdzi, że nie podoba mu się cenzura w mediach społecznościowych, a Klein odpowiada na to słowami filozofa Isaiaha Berlina: „Wolność dla wilków czę-

sto oznaczała śmierć dla owiec”. Obawa, że poluzowanie dotychczasowych obustrzeń bardzo pogorszy sytuację, wydaje się jednak zabawna. Ten dzień dawno już uciekł z butelki, a korek wyjęli dotychczasowi szefowie Twittera.

Przyjaciel ludzkości?

Elon Musk jest twarzą pokolenia biznesmenów, którzy w postępie technicznym widzą zbawienie dla ludzkości. Ale nie każdy rodzaj postępu uważa za pożądany. Od lat powtarza on, że jedno z największych zagrożeń dla przetrwania naszego gatunku stanowi sztuczna inteligencja. „Dzięki niej przywołujemy demona” – mówił osiem lat temu podczas konferencji w słynnym Massachusetts Institute of Technology, dodając: „Znacie historie, w których facet z pentagramem i wodą święconą mówi: »Tak, jestem pewien, że potrafię kontrolować demona«? To nie działa”. Część inżynierów uznała wówczas jego uwagi za tak absurdalne, że – jak relacjonowało „Vanity Fair” – żegnali się słowami „wracamy do pracy nad przyzywaniem”.

Musk mówił jednak całkiem poważnie. W 2014 r. zainwestował w laboratorium DeepMind, prowadzące zaawansowane badania nad sztucznymi inteligencjami, które nie tylko pokonują ludzkich arcymistrzów w grę go, ale także pomagają dokonywać przełomów m.in. w medycynie. „Nie myślałem o tym w kategoriach zwrotu z inwestycji, lubię po prostu przyglądać się temu, co dzieje się ze

Tesla odniosła sukces dzięki presji Muska

na cele, które wydawały się nieosiągalne.
Ale był on zarazem sprawcą największych kryzysów firmy.

sztuczna inteligencją” – tłumaczył w telewizji CNBC. Ostatecznie DeepMind zostało wykupione przez Google’a, a sam Musk w rok później otworzył laboratorium OpenAI, którego celem jest opracowywanie „przyjaznej sztucznej inteligencji”. „Bardzo inteligentni ludzie sądzą, że komputer nigdy nie będzie tak inteligentny, jak oni. To arogancja i oczywista nieprawda” – wyjaśniał w wywiadzie dla „The Times”.

W 2018 r. miliarder wycofał się z kierowniczej roli w OpenAI, bo jego własna Tesla w coraz większym stopniu skupia się na badaniach zaawansowanych algorytmów. A w 2021 r. zapowiedział, że jego firma stworzy humanoidalnego robota-asystenta (choć trudno ocenić, na ile poważna jest ta zapowiedź, bo prezentowany na tej samej konferencji „robot” okazał się tancerzem w kostiumie).

■ ■ ■

Czy po przejściu Twittera Musk może jeszcze bardziej zepsuć ten serwis? Niewątpliwie, jeśli idzie o wykorzystywane tam algorytmy sztucznej inteligencji, Musk ma świadomość, jakie stanowią one zagrożenie, m.in. powodując tworzenie się baniek informacyjnych. Jedną z nielicznych zapowiedzi – że chce likwidować boty – może napawać optymizmem, choć rodzi także pytania. Na przykład o to, czy znikną wtedy także automatyczne konta, które np. publikują historyczne zdjęcia według daty lub wersety wierszy. Albo informujące, gdzie właśnie wylądował prywatny odrzutowiec Muska.

Bez wątplenia na Twitterze jest miejsce na ulepszenia. Jeśli Musk przyłoży się tak, jak w przypadku rakiet czy elektrycznych samochodów, i postara się dowiedzieć jak najwięcej o branży, w którą właśnie zainwestował, z całą pewnością natknie się na informacje, że użytkownicy Twittera wcale tak bardzo nie lubią tego całego hejtu. Gdy największy ze wszystkich trolli, były prezydent Donald Trump, został usunięty z platformy w styczniu 2021 r., odsetek osób dorosłych w mediach społecznościowych, twierdzących, że korzystają z Twittera, wzrósł o 21 proc.

Z pewnością nie zgadniemy, co zrobi Musk. W końcu to on jest geniuszem i najbogatszym człowiekiem świata. Choć nie wykluczamy, że do czasu publikacji tego tekstu będzie bankrutem.

© AGATA KAŹMIERSKA
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Włara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Janowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Piotr Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata,
Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Oszczerstwo



BIBLIJNA CHOROBA CARAAT, ODDAWANA zazwyczaj przez tłumaczy jako trąd, od wieków stanowiła wyzwanie interpretacyjne. Dermatologiczne zawiłości – choćby taka: „a oto nabrzmiałość biała na skórze, a zamieniła ona włos na biały, albo wybujanie dzikiego mięsa w nabrzmiałości” (Kpł 13, 9; Cylkow) – ekscytowały zdecydowaną mniejszość czytelników. Niezwykle pomocna okazała się gra słów autorstwa rabina Szymona syna Lakisza, po dziś dzień służąca za podstawę znakomitej większości komentarzy.

Czytamy mianowicie w Talmudzie, że „oto nauka o trędowatym” (14, 2; cierpiący na *caraat* to *mecora*) należy rozumieć jako „oto nauka o moci szem ra” – czyli dosłownie o człowieku „wynoszącym na zewnątrz złe imię”, o oszczercy, zniesławiającym bliźnich, albo w wersji złagodzonej: oczerniającym, mówiącym źle o innych, plotkującym. Dalej komentarze podążają w ustalonym kierunku: takie działanie dzieli ludzi, nic więc dziwnego, że „oddzielony przebywać będzie; poza obozem będzie mieszkanie jego” (13, 46). Jeszcze wypada nawiązać do Prorokini Miriam, która „rozprawiała wraz z Ahronem o Mojżesz, z powodu żony Kuszytanki, którą pojął” (Lb 12, 1), po czym „pokryła się trądem, jakby śniegiem” (wers 10). Na tym zwykle komentarz się kończy, a szkoda – ciekawe są słowa Aarona, który przeprosza młodszego brata za siebie i za siostrę oraz dodaje: „Niechajże nie będzie ona jak ów płód martwy, któremu przy wyjściu z łona matki już odgniła połowa ciała!” (w. 12). Mojżesz w pięciu hebrajskich słowach (*El na refa na la*) modli się za Miriam: „O Boże, uzdrowź ją!” (w. 13).

Spójrzmy na stan Prorokini już nie przez pryzmat etyki wypowiedzianą się o innych, lecz oczyma posiadającego elementarną wiedzę medyczną współczesnego człowieka. Miriam przebywała tydzień poza obozem na kwarantannie – zapewne według wytycznych z Księgi Kapłańskiej: „A jeżeliby plama biała była na skórze ciała jego, ale nie głębsza z wejrzenia niż skóra, a włos na niej nie zbieleł; tedy zamknie kapłan zakażonego na siedem dni” (Kpł 13, 4). Należy więc mniemać, że nie miała jednoznacznych objawów *caraat*, jednak trzeba ją było odizolować, bo potencjalnie stwarzała zagrożenie dla innych. Teraz wydaje nam się to oczywiste, ale przypomnijmy sobie teorię, że epidemię wywołuje morowe powietrze – wszak dopiero pod koniec XIX w. przyjęto, że czynnikiem chorobotwórczym są mikroorganizmy. Tymczasem w Pięcioksięgu najwyraźniej jest świadomość rozprzestrzeniania się chorób poprzez zarażenie! Osobom dotkniętym *caraat* oraz chorobami wenerycznymi – a przez to uznanym za nieczyste – nakazuje się izolację, a po odzyskaniu zdrowia wypranie szat i obmycie. Czy nie należałoby uznać „nieczystości rytualnej” również za kategorię medyczną? ©

O. WACŁAW

Oszajca: Grabarze



„UJRZAŁEM NOWE NIEBO I NOWĄ ZIEMIĘ, pierwsze niebo i pierwsza ziemia przemieniły”, mówi Jan, autor Apokalipsy. Następnie zobaczył Jeruzalem i usłyszał: „Oto mieszkanie Boga z ludźmi. On zamieszka z nimi (...) On otrze z ich oczu każdą łzę i nie

będzie już śmierci ani bólu, ani krzyku, ani cierpienia (...) Oto wszystko czynię nowe”. Ale jak na razie wszystko toczy się po staremu.

Anton Dowgopół, lekarz, dyrektor szpitala w Irpieniu z oddziałami w Buczy i Worzelu, po ataku wojsk rosyjskich na jego miasto widzi: „Ciała [zabitych] były dosłownie wszędzie. Zalegały na ulicach przez wiele dni”. Sześć razy prosi najeźdźców o zgodę na pogrzebanie martwych, dopiero za siódmym razem usłyszy: „Chcesz chować? Chowaj! Tylko wiedz, że tam pracują snajperzy i mogą cię zabić”.

Serhiej Matiuk, grabarz z Buczy, drugi bohater reportażu Tatiany Kolesnychenko i Patryka Michalskiego, najpierw sam zaczął chować zabitych, potem dołączył do niego Artem, leśniczy i tatuażysta Władysław. „Jeździli po mieście (...) Wyciągali ciała z rozbitych samochodów, czasami zbierali je z chodników, albo wchodzili do ostrzelanych mieszkań”. Buczę wywołono, ale „Serhij, Artem i Władysław nie są już w stanie pracować bez siebie. Okupacja się skończyła, a oni dalej kopią razem groby na cmentarzu w Buczy”, a Anton „za chwilę pobiegnie do kostnicy, gdzie trwa identyfikacja ciał. Potem pójdzie do pacjentów. Jest psychiatrą i pewnie dzięki temu wytrzymał. Teraz chce pomóc ludziom, którzy nie są w stanie pogodzić się z tym, co zobaczyli”.

W starych katechizmach mamy spis uczynków miłosiernych co do ciała. Głodnych nakarmić. Spragnionych napoić. Nagich przyodziać. Podróżnych w dom przyjąć. Więźniów pocieszać. Chorych nawiedzać. Umarłych pogrzebać. A w jeszcze starszym tekście, w Księdze Tobiasza, Tobit, ojciec Tobiasza, mówi: „Głodnym dawałem chleb, nagim ubranie, a jeśli zobaczyłem zwłoki kogoś z moich rodaków rzucone za mury Niniwy, grzebałem je. Pogrzebałem również zamordowanych z rozkazu króla Sennacheryba. (...) Musiałem się ukrywać”, gdyż król chciał go zabić. I tak do Starego i Nowego Testamentu dopisujemy Testament Najnowszy. Patrząc na Tobita, na Antona, Serhieja, Artema i Władysława oraz na tych, którzy codziennie w Ukrainie i gdzie indziej za ostatnią posługę, za „otarcie łez” płacili i płacą swoim zdrowiem i życiem, nie sposób nie widzieć, że to oni stwarzają to „nowe”. Udowadniając, że apokalipsa to nic innego jak teraźniejszość. Wciąż dzieje się to samo, choć nie tak samo. Wciąż pędzą przez świat, poganiani przez budowniczych rajów na ziemi, śmiercionośni jeźdźcy i wciąż rodzą się samarytanie, którzy nie tylko z czysto praktycznych powodów podnoszą z ziemi poranionych i stratowanych. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Prawdziwy czyn

Diabeł jest kolektywny.

(...)

Pycha

– charakterystyczny

atrybut diabła

– to społeczny instynkt

zachowawczy.

Pokora jest zgodą

na śmierć społeczną.

SIMONE WEIL



*Stoisz prosto
albo cię podpierają.*

MAREK AURELIUSZ



TYM RAZEM REFLEK-
sja wyrastająca rze-
czywiście z okru-
chu, tzn. z frag-
mentu tekstu po-
zornie mało znaczą-

cego.

Chodzi o następujące zdanie z roz-
mowy Jezusa z Nikodemem (litur-
gia przypomniła je niedawno): „Kto
spełnia wymagania prawdy, zbliża
się do światła, aby się okazało, że jego
uczynki zostały dokonane w Bogu”
(J 3, 21).

Dobrze jest najpierw sprawdzić
tekst oryginalny. Jest on bowiem
o wiele prostszy (tłumaczenie sięga po
rozbudowaną i nieco poetycką frazę)
i brzmi: „Kto czyni prawdę, zbliża się
do światła” (grec.: *ho poion ten alethe-
ian*); tak też – dosłownie – tłumaczy
św. Hieronim: *qui facit veritatem*.

Właśnie tak. Można mówić prawdę;
ale można również czynić prawdę. Jest
prawda zdania (słowa, wypowiedzi)
i prawda czynu.

Podobnie też można kłamać sło-
wem/językiem; ale można również
kłamać swoimi czynami.

Kiedy kłamiemy czynami?

Otóż, pewnie wtedy, gdy jest
w nich jakieś drugie – najczęściej nie-
widoczne (bo świadomie ukryte) dno.
Przykładowo, spalam się w wyczer-
pującej pracy i wszyscy mają mnie
wręcz za wzór poświęcenia. Ja jednak
po prostu „robię karierę” i mając usta

pełne sloganów o „służbie”, każdy
swoój czyn wykonuję z grubą intere-
sownością.

Albo: Jestem postrzegany jako
wielki filantrop, angażuję się we
wszystkie akcje pomocowe i charyta-
tywne. Wydają na nie naprawdę gi-
gantyczny majątek. Cóż, kiedy moim
zamiarem i intencją (oczywiście, głę-
boko ukrytą – może nawet przed sa-
mym sobą?) nie jest wcale pomoc lu-
dziom, lecz ich przekupienie?

We wszystkich takich sytuacjach
rzeczywiście nie chcemy „zbliżyć się
do światła”. Nie chodzi tu bowiem
o światło jupiterów i flesze dzienni-
karzy; chodzi o światło, które przyszło
na świat w Osobie Jezusa Chrystusa.
Ono nie oświeśla, lecz... prześwieśla.
Poznanie Jezusowe. Jan mówi o nim
w Ewangelii rozdział wcześniej: „Kiedy
przebywał w Jerozolimie w czasie Pas-
chy, w dniu świątecznym, wielu uwie-
rzyło w imię Jego, widząc znaki, które
czynił. Jezus natomiast nie zwierzał się
im, bo wszystkich znał i nie potrzebo-
wał niczyjego świadectwa o człowieku.
Sam bowiem wiedział, co w człowieku
się kryje” (J 2, 23-25).

To jest właśnie światło, przed któ-
rym uciekamy, jeśli nasze czyny są
kłamliwe. Gdyż w gruncie rzeczy
znamy przenikliwość tego światła,
znamy jego zdolność odsłaniania tego,
co tak starannie chcieliśmy zasłonić.

Prawdziwy czyn światła się
nie boi. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (15-22 V)

5. niedziela wielkanocna: Dz 14, 21b-27;

Ps 145; Ap 21, 1-5a; J 13, 31-33a. 34-35;

Poniedziałek, święto św. Andrzeja Boboli:

Ap 12, 10-12a; Ps 34;

1 Kor 1, 10-13. 17-18; J 17, 20-26;

Wtorek: Dz 14, 19-28; Ps 145; J 14, 27-31a;

Środa: Dz 15, 1-6; Ps 122; J 15, 1-8;

Czwartek: Dz 15, 7-21; Ps 96; J 15, 9-11;

Piątek: Dz 15, 22-31; Ps 57; J 15, 12-17;

Sobota: Dz 16, 1-10; Ps 100; J 15, 18-21;

6. niedziela wielkanocna: Dz 14, 21-27;

Ps 145; Ap 21, 1-5b; J 13, 31-35.

Wybrał PIOTR SIKORA

JESTEŚMY PAŃSTWEM FRONTOWYM

GRZEGORZ MAŁECKI, BYŁY SZEF AGENCJI WYWIADU:

Rosjanie mogą przeprowadzić w Polsce jakąś operację dywersyjno-sabotażową. Wysadzić na przykład w powietrze istotny obiekt, nie zostawiając śladów. Zakładam, że polskie służby mają tego świadomość.

MARCIN ŻYŁA: Przyznaję: po napaści Rosji na Ukrainę przeczytałem amerykański podręcznik obrony cywilnej z lat 80., żeby sobie przypomnieć, co robić po ataku atomowym. Przesadziłem?

GRZEGORZ MAŁECKI: Obawiam się, że taką wiedzę trzeba odświeżać. Za szybko uwierzyliśmy w koniec historii. Dlatego sądzę, że to źle, iż w szkołach nie ma przy-

sposobienia obronnego. Że nie uświadamia się Polakom, jak przygotować się do sytuacji nadzwyczajnych. Nadzwyczajnych, ale jednak coraz bardziej realnych. Finowie, również sąsiedzi Rosji, uczeni są obrony cywilnej od dziecka. U nas ona w praktyce nie istnieje.

Aż tak?

Decyzja o połączeniu dowództwa Obrony Cywilnej z Państwową Strażą Pożarną doraźnie zadziałała pozytywnie,

lecz na dłuższą metę spowodowała, że ta pierwsza straciła znaczenie. Powinniśmy powołać osobną strukturę, z własnym budżetem i zadaniem edukowania obywateli. Ale to nie jedyny problem. Większość polskich schronów przeciwlotniczych jest dziś w złym stanie lub, jak pod wrocławskim dworcem głównym, pełni funkcje handlowe. W przepisach budowlanych nie uwzględnia się też adaptacji garaży i piwnic do tej funkcji. Tymczasem wojna na Ukrainie udowadnia nam,



że cywile są podstawowym celem działania wojska rosyjskiego. Niemcy do nas nie wejdą – możemy sobie wyobrazić tylko jednego agresora.

To jak się samemu przygotować?

Dobrze mieć plan ewakuacji. Zaplanować, dokąd i w jaki sposób opuścimy miejsca, które mogą być obiektem rosyjskich działań. Bo widać już, że konflikt nie byłby powtórką II wojny światowej, okupacji całego kraju. Każdy powinien pomyśleć o lokalizacji, w której może się ukryć – większość ludzi pozostanie bez dostępu do schronów.

Na pewno nie ma co się zdawać na państwo. Polska nie jest przygotowana na to, aby w czasie wojny zajmować się pojedynczymi obywatelami. Dobrym pomysłem jest zorganizowanie lokalnej wspólnoty, grupy samoobrony, w której następowałyby fuzja zdolności jej członków – jeden ma zdolności organizacyjne, drugi kontakty z władzą, trzeci dostęp do zapasów. Pamiętajmy też, że w sytuacji kryzysowej objawiają się wokół jednostki słabsze, które nie poradzą sobie bez pomocy innych.

Może i trochę straszmy, ale patrząc na rolę Polski w pomocy Ukrainie, pytania o to, czy Rosja zagraża również nam, same cisną się na usta.

W 2014 r., próbując otruć Siergieja Skripala i jego córkę przy użyciu toksycznego nowiczoła, agenci rosyjskiego GRU *de facto* dokonali ataku chemicznego na Salisbury.

Czy to samo mogłoby się dziś zdarzyć np. w Gorzowie Wielkopolskim?

To mało prawdopodobne. Jestem przeciwno demonizowaniu rosyjskich służb specjalnych. Rosjanie potrafią być profesjonalni, ale służby są zawsze emanacją państwa – a państwo rosyjskie jest słabe. W ich służbach wysoki kunszt operacyjny ściera się z dziedzictwem sowieckim: korupcją, ręcznym sterowaniem i konkurencją wewnętrzną. Inna rzecz, że teraz przeprowadzenie podobnej operacji byłoby trudniejsze. Przepływ ludzi między Rosją a Zachodem jest niewielki i dokładnie monitorowany.

Za bardzo uwierzyliśmy w moc Kremla?

Do końca nie wiemy, w jakim celu uderzyli w Salisbury. Skłaniałbym się do wniosku, że była to wewnętrzna rozgrywka między ich instytucjami siłowymi.

Gdyby jednak doszło do podobnego ataku dziś, reakcja NATO byłaby inna?

Jeśli pyta pan o to, czy zostałyby przywołany artykuł 5. traktatu waszyngtońskiego, odpowiedź zależy od tego, kto byłby celem operacji. Jeśli rosyjski opozycjonista – wątpię. Jeśli Polak lub Amerykanin – to całkiem możliwe.

Sytuacja, w której artykuł 5. powinien zostać przywołany, lecz spory sojuszników powodują, że tak się nie dzieje, jest marzeniem Władimira Putina. Bez artykułu 5. nie ma NATO.

To prawda. Ale podważyć sens i siłę NATO nie jest tak łatwo, a sam Putin koncentruje się w tych tygodniach na osiągnięciu maksymalnych efektów na frontach Ukrainy. Zaangażowanie Amerykanów – dostawy zaawansowanej broni, ryzykowne wizyty sekretarzy obrony i stanu w Kijowie – jest bezprecedensowe. Oni naprawdę uwierzyli, że Rosjan da się wypruć z Ukrainy.

Czyli Putin ma rację mówiąc, że Stany Zjednoczone zaangażowały się w *proxy war*, wojnę zastępczą z Rosją?

Przysięga wojskowa 3. Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej. Rzeszów, 26 listopada 2017 r.



→ *De facto* tak właśnie jest, choć otwarcie tego nikt nie przyzna. Amerykanie liczą na to, że klęska Putina doprowadzi do upadku jego reżimu.

W tej wojnie Polska jest państwem frontowym?

Należy wręcz założyć, że jesteśmy w sytuacji realnego zagrożenia polskiej państwowości. Oczywiście ryzyko to dzisiaj nie jest duże, ale trzeba poważnie o nim już myśleć.

Jak?

Mobilizacja powinna objąć wszystkich ekspertów. Niestety, nie widzę np. prób ściągania przez rząd fachowców reprezentujących specjalizacje przydatne w tych realiach, a funkcjonujących poza administracją. W Stanach Zjednoczonych byli szefowie służb i doświadczeni oficerowie są regularnie angażowani przez władze i konsultowani w sprawach bezpieczeństwa narodowego. U nas możemy ich oglądać jako gości w telewizji, dobranych zresztą według klucza politycznego lub towarzyskiego.

Zgłaszają się do mnie byli współpracownicy z ogromnym doświadczeniem pracy w Rosji, Białorusi i Ukrainie. Nikt do nich nie dzwoni, ich wiedza się marnuje. To bardzo niepokojące. Przypomina mi się rok 1939, kiedy z powodów politycznych przydziału do jednostki frontowej odmówiono generałowi Władysławowi Sikorskiemu.

Służby specjalne mogą się przydać do bieżącej polityki?

Są niezbędne. Sprawny wywiad – pokazuje nam to wojna na Ukrainie – działa już w inny sposób niż jeszcze w niedawnej przeszłości. Bywa, że efekty jego pracy widzimy na pierwszych stronach gazet, niemal w czasie rzeczywistym. Informacje są prezentowane publicznie, jak to robią od kilku miesięcy Amerykanie, „rozbrajając” plany Rosjan. Służby specjalne mogą też pomagać w prowadzeniu polityki międzynarodowej. Nasi politycy muszą się tego jeszcze nauczyć. U nas służby są wciąż objęte kordonem wielkiej tajemnicy.

Czym Polsce grozi ta wojna?

Jesteśmy częścią wspólnoty euroatlantyckiej i dla rosyjskich służb specjalnych skuteczne oddziaływanie na Polskę polega w realizowaniu strategicznych celów. Ale Rosja nie ma szerokiej strategii,

ma tylko cele strategiczne: poszerzanie swojej sfery oddziaływania. Zgadzam się z historykiem Timothy Snyderem, że Putin wie, iż nie jest w stanie dogonić Zachodu, więc jedyną metodą radzenia sobie z nim jest jego osłabianie.

Pomogło wydalenie 45 rosyjskich oficerów wywiadu działających pod ochroną statusu dyplomatycznego?

Nie rozwiązało problemu. Oczywiście, utrudniliśmy Rosji prowadzenie operacji wywiadowczych, bo rezydentura w placówce dyplomatycznej jest zawsze bezpieczną przystanią dla wywiadu. Nie można jednak przeceniać jej wartości. Najbardziej agresywne rosyjskie działania nie są prowadzone z ambasady w Warszawie.

A skąd?

Z pozycji centrali steruje się operacjami w terenie, czyli tam, gdzie jest koncentracja wojsk, przebywają cudzoziemcy, oddziały natowskie i gdzie prowadzi się działania przekładające się na sytuację na Ukrainie. To m.in. rejon Rzeszowa i województwo podkarpackie, a także okolice Lublina.

Wkrótce ściągną tu nie tylko Rosjanie, ale też Chińczycy, być może służby Iranu i innych państw bliskowschodnich. Stajemy się kolejnym frontem rywalizacji pomiędzy mocarstwami. Będzie tu się toczyć gra podobna do tych, jakie w czasie zimnej wojny toczyły się w Niemczech i Austrii.

Dwa tygodnie temu Amerykanie zaostrzyli retorykę. Teraz podkreślają konieczność strategicznego osłabienia Rosji. Nie obawia się Pan, że zaprowadzony do narożnika Putin sięgnie po radykalne środki? Amerykańskie służby nieoficjalnie sugerują możliwość zdetonowania niewielkiego ładunku nuklearnego nad słabo zaludnionym fragmentem Ukrainy.

To poważne ryzyko. Putin doprowadzony do takiej sytuacji nie zarządziłby wyrafinowanych operacji wywiadowczych. Z wszystkich negatywnych scenariuszy eskalacji ryzyko detonacji niewielkiej bomby nuklearnej na terenie Ukrainy uważam za największe, choć nadal jest ono niskie.

Ale Amerykanie już się nie zatrzymają. Dla nich czerwona linia została przekroczona. Są zdeterminowani, żeby obalić reżim Putina.

Przez Polskę jadą już transporty zaawansowanej, ciężkiej broni dla Ukrainy. Rosjanie coraz śmielej atakują infrastrukturę kolejową na zachodzie tego kraju. Putin grozi też, że same transporty mogą stać się celem nalotów. Nie ma ryzyka, że „przypadkowa” rakietą uderzy w cel wojskowy na terenie Polski?

Nie sądzę, żeby Rosjanie się do tego posunęli. Natomiast nie wykluczam, że mogą przeprowadzić jakąś operację dywersyjno-sabotażową w Polsce. Np. wysadzić w powietrze jakiś istotny obiekt, nie zostawiając śladów.

Zakładam, że polskie służby mają tego świadomość. Lekkim optymizmem napawają informacje o zatrzymaniu przeprowadzanych przez kontrwywiad np. w Przemyślu. Nasza aktywność operacyjna będzie się też koncentrować w pobliżu miejsc, o których się nie mówi publicznie. Amerykanie w takich sytuacjach zwykle zakładają tajne bazy.

Ze statusem państwa frontowego zyskujemy czy tracimy?

Krótkoterminowo na pewno zyskujemy. Głos Polski liczy się teraz na Zachodzie, uczestniczymy w procesie podejmowania decyzji. Ale co dalej, będzie zależało od tego, jak tę sytuację wykorzystamy. Byłem przewodniczącym Komitetu Wywiadu Cywilnego NATO w czasie, gdy finalizowała się reforma systemu wywiadowczego sojuszu, i miałem okazję dobrze go poznać. Tam uznanie zdobywa się z racji kompetencji, a nie dawnych zasług. Tymczasem w Polsce w ostatnich latach zainteresowanie władz kierowało się stronę rozbudowy aparatu represji czy egzekucji prawa, a nie aparatu wywiadowczego, który powinien monitorować zagrożenia. Obawiam się, że wśród przedstawicieli władzy dominuje przekonanie, iż w obecnej sytuacji kontrwywiadem zajmą się głównie Amerykanie. Ale nawet najbliższy sojusznik nie będzie realizować celów państwa goszczącego.

W latach 80. w podobnej sytuacji byli Hiszpanie – utworzone tam bazy amerykańskie zostały objęte ścisłą ochroną kontrwywiadowczą. Jednak zainteresowanie wywiadu USA skupiło się także na wewnętrznej sytuacji politycznej kraju i zaowocowało ofensywnymi działaniami na tyle zaawansowanymi, że doszło do tego, iż goście zostali przyłapani na inwigilacji siedziby premiera i z Ma-

drytu wydano wszystkich pracowników rezydentury CIA.

Jest jednak różnica z Hiszpanią lat 80. I dla nas, i dla Amerykanów Ukraina to teraz miejsce decydujące o przyszłości. Możemy założyć, że nasze cele są zbieżne.

Zgoda, czasy są inne. Amerykanie są naszymi najbliższymi sojusznikami, ale to sojusznik globalny, który ma swoje cele, będzie postępował według własnych reguł. Naszych interesów w kraju musi strzec nasz kontrwywiad i aby tak było, musi być silny oraz profesjonalny.

Co robi w Polsce wywiad rosyjski?

Podstawową rolę wywiadu jest wiedzieć, co się dzieje. Co jest za kulisami polityki, jakie są intencje władz. Ale wywiady mają również oddziaływać na rzeczywistość tak, aby zmieniać ją w kierunku zgodnym z interesami danego kraju. Rosjanie wywierają presję dość agresywnie i bezwzględnie.

Jak to się objawia?

Za pośrednictwem podmiotów biznesowych i medialnych kształtują pożądaną dla siebie świadomość społeczną. Wpływają na polityków, aby podejmowali właściwe decyzje. Podręcznikowym tego przykładem były do niedawna Niemcy. Zresztą, błędy popełniała cała Europa Zachodnia. Np. nigdy nie miałem wątpliwości, że nieoficjalne referendum niepodległościowe w Katalonii w 2017 r. było zakulisowo stymulowane przez rosyjski wywiad. Dzisiaj mamy dowody, że rosyjscy oficerowie kontaktowali się z liderami katalońskiego ruchu separatystycznego.

W ostatnich dniach w Hiszpanii wybuchła też afera Pegasusa – okazało się, że podsłuchiowano 60 telefonów należących do liderów i innych osób związanych z tzw. katalońskim Procesem Niepodległościowym. Grozi ona upadkiem rządu, gdyż separatyści, którzy wspierają gabinet, zagrozili wyjściem z koalicji, jeśli sprawa nie zostanie w całości ujawniona. Premier Pedro Sánchez stoi przed diabelską alternatywą: albo osłabi służby specjalne, albo upadnie rząd. To również daleki efekt rosyjskich działań.

Czy w Polsce Rosjanom trudniej zdobywać informacje? Nie ma u nas sentymentów prorosyjskich, jak na Słowacji i Węgrzech, nie ma licznej



MATERIAŁY PRASOWE

PUŁKOWNIK GRZEGORZ MAŁECKI był szefem Agencji Wywiadu w latach 2015-16. Służbę rozpoczął w 1991 r. w Urzędzie Ochrony Państwa, w kolejnych latach pełnił funkcję doradcy szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz reprezentował polskie służby w strukturach NATO. W latach 2009-12 był I radcą ambasady RP w Madrycie. Bohater wywiadu-rzeki „W cieniu. Kulisy wywiadu III RP”, autorstwa Łukasza Maziewskiego (2021).

mniejszości rosyjskojęzycznej, jak w Estonii i Łotwie.

Po prostu wymaga to innej metodologii. Paradoksalnie, antyputinizm Polaków ułatwia ich służbom tzw. działania pod obcą flagą. Łatwiej ukryć się im za czymś innym, np. za skrajną ideologią. Łatwiej też podawać się choćby za Rosjanina reprezentującego opozycję wobec Putina. Tak rosyjskie służby działają na Białorusi. Rozpracowywanie środowisk dysydenckich i emigracyjnych to przecież tradycyjna metoda działania służb rosyjskich. W Polsce otworzyły się też przed nimi możliwości podawania się za rosyjskojęzycznych uchodźców z Ukrainy.

Na czym praktycznie polegają takie działania?

Dziś nikomu nie jest potrzebne formalne zobowiązanie do współpracy. Ważny jest efekt: wpływanie na ludzi za pomocą różnych instrumentów, np. ideologii albo pieniędzy. W spolaryzowanym społeczeństwie jest to zawsze łatwiejsze. Rosjanie działają też psychologicznie, uwzględniając deficyty danego człowieka. Osoby zaangażowane w działalność społeczną, aktywiści – są pożądanym celem. Tym bardziej że odsłaniają się bardzo w internecie. Służby mają ułatwiony wgląd w ich osobowość.

Wróć do słabości naszych służb. Polski kontrwywiad ma dziś charakter kądłubowy. Większość pieniędzy idzie na wynagrodzenia dla funkcjonariuszy. Jeśli przybywa etatów, to tylko na papierze.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego ograniczyła znacząco obecność w dziesięciu województwach – teraz w kraju jest tylko pięć delegatur, a w niektórych regionach nie ma pełnego pokrycia kontrwywiadowczego. Tymczasem zadań przybywa. ABW jest wciąż odpowiedzialna za cyberbezpieczeństwo administracji rządowej. To również powoduje ograniczenie działań w terenie. A praca wywiadu i kontrwywiadu wymaga niezależności, asertywności i przede wszystkim ogromnej cierpliwości, bo chodzi o działania wieloletnie.

Bez wzrostu nakładów na służby specjalne, bez zwiększenia ich liczebności będziemy coraz bardziej narażać swoje bezpieczeństwo. Niemiecka Federalna Służba Bezpieczeństwa (BND) jest odpowiedzialną Agencją Wywiadu w Polsce – obie instytucje mają podobne zadania, włącznie z wywiadem elektronicznym. Tylko że BND ma sześć i pół razy więcej personelu i dwudziestotrykrotnie większy budżet.

Stany Zjednoczone to jeszcze inny model – tu tzw. wspólnota wywiadowcza obejmuje kilkanaście agencji, często działających w obrębie poszczególnych rządowych departamentów.

Dobry przykład jest znacznie bliżej. Niezwykła jest zmiana, jaką przechodzą teraz, w trybie *emergency*, ukraińskie służby i instytucje państwowe. Cięży tu wprowadzić wciąż dziedzictwo Związku Sowieckiego, zwłaszcza wciąż wszechobecna korupcja i specyficzna kultura prawna. Ale zrozumienie potrzeby reform i absorpcja filozofii euroatlantycznej w działaniu służb – są niesamowite. W ukraińskiej armii przekłada się to np. na dużą samodzielność dowódców pododdziałów czy poszczególnych żołnierzy, którzy nie patrzą w górę i nie czekają na rozkazy, jak w armii rosyjskiej.

Tymczasem w Polsce w październiku powstał parlamentarny zespół ds. reformy służb specjalnych. Stworzyli go politycy od Konfederacji po SLD. Celowo nie zaproszono do niego polityków, którzy nie są członkami komisji ds. służb specjalnych, żeby bieżąca polityka nie miała wpływu na propozycje zmian. Ale zainteresowanie pracami komisji systematycznie maleje. Na ostatnie jej posiedzenie przyszło tylko dwóch członków.

©® Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

Plaster na złamaną nogę

PIOTR WÓJCIK

Wbrew powszechnemu przekonaniu, Polska była w ostatnich latach liderem budowy mieszkań w Europie. Ale odbywało się to niemal bez udziału państwa, co zawyżało ceny. Lepiej nie będzie.

TRZY MILIONY MIESZKAŃ – TĘ OBIETNICĘ PiS składał dwukrotnie. Najpierw w 2006 r., a potem po 10 latach, przy okazji prezentacji programu „Mieszkanie plus”. Po kolejnych sześciu latach możemy już powiedzieć, że z szumnych deklaracji zostało niewiele, co potwierdził NIK w opublikowanym w marcu raporcie. „Rząd deklarował, że do końca 2019 r. wybuduje 100 tys. mieszkań – jednak do użytku oddano nieco ponad 15 tys., a 20,5 tys. znajdowało się w budowie (stan na koniec października 2021 r.)” – czytamy w informacji pokontrolnej.

Imposybilizm polskich polityków w kwestii mieszkalnictwa sprawił, że po trzech dekadach budowania demokratycznej i rynkowej Polski głównym sposobem zdobycia dachu nad głową jest udanie się do banku po kredyt na lokal od dewelopera. Państwo, które mogłoby budować bloki taniej, z mniejszą marżą, w zasadzie nie odgrywa żadnej roli na rynku. Niestety, w nadchodzącym czasie nawet opcja z kredytem będzie dostępna dla coraz mniej licznej grupy Polaków. Miks rosnących stóp procentowych i wciąż drożejących nieruchomości odetnie od kredytu tysiące rodzin szukających własnego kąta, a ich sytuację pogorszy jeszcze kryzys uchodźczy.

13 lat za Węgrami

Ceny mieszkań w Polsce uparcie nie chcą się zatrzymać lub przynajmniej znacząco wyhamować. Według raportu NBP za



Budowa nowego osiedla mieszkaniowego. Warszawa, 6 grudnia 2021 r.

IV kwartał ubiegłego roku ceny transakcyjne nowych lokali w dziesięciu największych miastach wzrosły o 19 proc. Na rynku wtórnym „jedynie” o 12,5 proc. Biorąc pod uwagę, że wynagrodzenia w tym samym czasie wzrosły o 9 proc., można powiedzieć, że pod względem mieszkaniowym po raz kolejny zbiednieliśmy. Za średnie wynagrodzenie w ubiegłym roku mogliśmy kupić nieco ponad 0,7 metra kw. mieszkania. W 2016 r. było to prawie 0,9 m. Oznacza to spadek naszej siły nabywczej o ponad jedną piątą w zaledwie pięć lat. Mało tego, w marcu już w czterech polskich miastach średnia cena ofertowa lokali deweloperskich była wyższa niż 10 tys. zł za metr. Mowa oczywiście o Warszawie, ale też o Krakowie, Gdańsku i Wrocławiu. Następny w kolejce do przebicia tej bariery jest Poznań, a zapewne jeszcze w tym roku 10 tys. zł za metr będzie normą w Katowicach i Szczecinie.

Według raportu firmy Deloitte „Property Index 2021”, na nabycie 70-metrowego lokalu statystyczny Polak musi pracować niemal osiem lat – oczywiście jeśli nic w tym czasie nie będzie wyda-

wał. W Holandii, Włoszech, Niemczech i Danii na analogiczne mieszkanie trzeba pracować sześć lat. Najlepiej w Europie jest w Irlandii, gdzie wystarczy zarobki z trzech lat, a najgorzej – w Czechach i na Słowacji. W tych krajach na nowe mieszkanie trzeba wydać równowartość ponad dziesięciu rocznych pensji.

Faktem jest, że w ostatnich latach w Polsce budowało się naprawdę sporo – a dokładnie rzecz biorąc, budowali prywatni deweloperzy. W 2020 r. oddano 221 tys. mieszkań, co według Deloitte’a w przeliczeniu na liczbę mieszkańców dało nam pierwsze miejsce w Europie. Kłopot w tym, że startowaliśmy z wyjątkowo niskiego poziomu, więc nadwiślańska luka mieszkaniowa wciąż jest ogromna. W Polsce na tysiąc obywateli przypadają dziś 393 mieszkania, podczas gdy na Węgrzech 458, w Czechach 468, a w Niemczech 515. Musielibyśmy wybudować aż 5 mln dodatkowych lokali, żeby nasz zasób mieszkaniowy był równie obfity, jak za Odrą. Dośnięcie pod tym względem przynajmniej Węgier wymagałoby budowy niemal 3 mln lokali. W obecnym tempie zajęłoby to nam jakieś 13 lat.



ARKADIUSZ ZIOŁEK

Niestety, mimo wciąż dużych niedoborów (prawie 2,6 mln dorosłych Polaków mieszka z rodzicami, w tym połowa ludzi w wieku 25-34) niedługo nie będzie miał kto tych lokali kupować. Seria ostrych podwyżek stóp procentowych w pierwszej kolejności oczywiście uderza w „starych” kredytobiorców – ale oni zrobią wszystko, by dalej spłacać raty i nie stracić wymarzonego mieszkania. Jastrzębia polityka RPP wpłynie bardziej na odcięcie od pieniędzy wielu innych potencjalnych klientów banków, których zdolność kredytowa spada dziś wraz z rosnącymi stopami.

Przytłaczająca większość kredytów hipotecznych w Polsce ma zmienne oprocentowanie (w ubiegłym roku odpowiadały one za 95 proc. podpisanych umów). Jest ono wyrażone jako „WIBOR + marża banku”. Ta ostatnia dla hipotek wynosi przeciętnie niecałe 2,5 proc. Z kolei WIBOR związany jest ze stopą referencyjną ustalaną przez NBP, a jego poziom przebił już 6 proc. Tymczasem jeszcze na początku października wynosił 0,25 proc. W przypadku kredytu na 400 tys. zł oznacza to wzrost miesięcznej

raty o ok. 1300 zł. Wcześniej cała rata wynosiła ok. 1700 zł.

Miecz obosieczny

A to nie wszystko. Od tego roku obowiązuje nowa rekomendacja Komisji Nadzoru Finansowego, która zaleca zaostrożenie polityki kredytowej, by uniknąć krachu na rynku kredytowym. Na przykład takiego, jaki miał miejsce w USA w 2008 r. – Na początku marca KNF zalecił bankom, by w ocenie zdolności kredytowej klientów przyjmowały wzrost stóp o kolejnych 5 punktów procentowych. Oznacza to, że bank obliczając zdolność kredytową klientów musi założyć, że WIBOR wynosi nie 6, a 11 proc. Wcześniej ten bufor wynosił jedynie 2,5 pkt. proc. – tłumaczy dr Marcin Wroński, wykładowca Szkoły Głównej Handlowej.

– Surowsze regulacje, ograniczające dostęp do kredytu hipotecznego, mogą zwiększać stabilność sektora bankowego i chronić kredytobiorców przed dostępem do kredytów, których nie byłoby w stanie spłacić – tłumaczy motywy KNF dr Wroński. Zaostrożenie tych zaleceń jest jednak mieczem obosiecznym, gdyż dramatycznie zmniejsza zdolność kredytową Polek i Polaków, odcinając w ten sposób tysiące młodych ludzi od jedynej realnej możliwości zdobycia dachu nad głową. – Na skutek nowych wymogów KNF i ostatnich podwyżek stóp procentowych NBP zdolność kredytowa Polaków spadła o jedną trzecią. Trzyosobowa rodzina z dochodem 10 tys. zł brutto miesięcznie, poszukująca kredytu na 30 lat, w marcu mogła liczyć na 420 tys. zł. Dziś jest to 260 tys. zł – wylicza ekonomista z SGH. Za taką kwotę w Katowicach można obecnie kupić 30-metrową kawalerkę. W Krakowie czy Warszawie co najwyżej „mikro-apartament”, w którym nawet singiel mógłby nabawić się klaustrofobii.

Efekty zaostrożenia polityki kredytowej obserwujemy już teraz. Po ubiegłorocznej hossie, gdy liczba udzielanych kredytów biła rekordy, obecnie na rynku kredytowym ma miejsce załamanie. Według marcowego „Pulsu Nieruchomości” banku PKO BP, już w lutym (a będzie gorzej) wartość wniosków kredytowych spadła o prawie jedną trzecią w stosunku do roku poprzedniego, liczba udzielonych kredytów zaś o jedną czwartą. Wyraźnie zmalała także aktywność inwesty-

cyjna deweloperów, którzy najwyraźniej przygotowali się na spadek popytu wynikający z miksu wzrostu cen, rosnących stóp i polityki KNF. Na niższą aktywność wpływ mają także rosnące koszty budowy mieszkań. Według PKO BP, koszt wytworzenia 4-piętrowego bloku wzrósł w ciągu roku o 13 proc., a apartamentowca o 17 proc. W efekcie w lutym deweloperzy rozpoczęli budowę tylko 10 tys. mieszkań – jeszcze latem ubiegłego roku było to nawet 15-16 tys. miesięcznie.

Na barkach klientów

Co gorsza, w najbliższych miesiącach poszukujące dachu nad głową rodziny, które odbijają się od rosnących wymagań banków, będą miały też potężne problemy ze znalezieniem mieszkania na wynajem. A nawet jeśli znajdą, to czynsz może okazać się jeszcze bardziej przytłaczający niż kredyt. Kryzys uchodźczy wygenerował bowiem ogromne potrzeby na rynku najmu, które można wręcz nazwać szokiem popytowym. Oferty mieszkań na wynajem znikają w niezwykłym tempie.

„Właściciele wycofali dużą część zasobu z rynku, aby ułokować w nim uchodźców, co wsparł rządowy program pomocy finansowej. Z drugiej strony, sami uchodźcy wygenerowali impuls popytowy na tym rynku. Dostępność mieszkania na wynajem istotnie spadła” – wskazują analitycy PKO BP. W marcu w 15 z 16 miast wojewódzkich liczba ofert mieszkań na wynajem zmniejszyła się o połowę lub więcej. We Wrocławiu na koniec marca dostępna była jedna piąta mieszkań oferowanych w lutym. W Krakowie zaledwie co czwarte.

– Teoretycznie powstały deficyt mogłoby zaspokoić państwo, budując mieszkania, ale skoro nie robi tego dla własnych obywateli, wątpliwe, by politycy

→

SPROSTOWANIE

Nawiązując do informacji zawartych w artykule prasowym pt. „Las bez certyfikatu”, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” w dniu 24 kwietnia 2022 r., informujemy, iż zawierał on nieprawdziwe informacje, tj. nieprawdą jest, że w październiku 2021 r. dyrekcja RDLP w Łodzi straciła certyfikat. Prawda jest bowiem, że RDLP w Łodzi w dniu 29.09.2021 r. zrezygnowała z posiadanego certyfikatu FSC.

→ uczynili to dla tych, którzy nie mogą głosować – mówi dr Wroński.

Równocześnie dramatycznie wzrosły czynsze ofertowe tej garstki mieszkań, która jeszcze się ostała. Ich właściciele postanowili wykorzystać szok popytowy, wiedząc, że chętnych znajdą bez problemu. W Krakowie w marcu stawki najmu wzrosły o jedną trzecią – w stosunku do lutego. W Katowicach, Poznaniu i Gdańsku w ciągu miesiąca ceny poszły w górę o jedną czwartą.

Po fiasku „Mieszkania plus” rząd dał sobie spokój z budowaniem lokali, choć na pewno byłoby to z korzyścią dla kredytobiorców – te mieszkania byłyby tańsze. Z końcem maja wchodzi za to w życie program „Mieszkanie bez wkładu własnego”, który umożliwi bankom udzielanie kredytów osobom bez oszczędności. 20 proc. wartości nieruchomości (ale nie więcej niż 100 tys. zł) – gwarantować będzie państwo. Jeśli kredytobiorca przestanie spłacać zadłużenie z uzasadnionego powodu, otrzyma pomoc. Według dr. Wrońskiego, to krok w słusznym kierunku, ale zarazem niewielki.

– W najbliższych miesiącach dostęp do kredytów będzie się stawał coraz bardziej ograniczony, a zdolność kredytowa klientów jeszcze spadnie wraz z kolejnymi podwyżkami stóp procentowych. Oznacza to, że kredyt będą mogły wziąć osoby naprawdę dobrze zarabiające, a te zazwyczaj nie mają problemu ze zgromadzeniem wkładu własnego – zauważa ekonomista.

25 kwietnia rząd ogłosił również założenia nowego programu wsparcia kredytobiorców. Większość proponowanych rozwiązań skierowana jest jednak do osób, które już kredyt dostały, lecz dziś mają problemy z jego spłatą z powodu kolejnych decyzji RPP. Tacy klienci otrzymają możliwość wzięcia „wakacji kredytowych”, czyli przesunięcia części rat na później, co niestety wydłuży okres spłaty zobowią-

zania. Poza tym dofinansowany zostanie istniejący już Fundusz Wsparcia Kredytobiorców, a jego procedury uproszczone.

– Rozwiązania proponowane przez premiera Mateusza Morawieckiego są niczym lek przeciwbólowy podany pacjentowi, który potrzebuje operacji. Nie rozwiązują podstawowego problemu, jakim jest transfer ryzyka zmian stóp procentowych na kredytobiorców, którzy w przeciwieństwie do banków nie mogą się w żaden sposób zabezpieczyć – nie pozostawia złudzeń Marcin Wroński. To ostatnie zdanie jest kluczowe. Cały koszt jastrzębiej polityki RPP (zmierzającej do zmniejszenia inflacji) w ostatnich miesiącach został przerzucony na barki zadłużonych obywateli. Państwo nic nie traci, banki również.

WIBOR do kosza?

Rząd zapowiedział także, że od przyszłego roku wskaźnik WIBOR zostanie zastąpiony przez inny, bardziej przyjazny dla kredytobiorców. Obecne powiązanie oprocentowania kredytów z WIBOR-em wzbudza bowiem uzasadnione wątpliwości. WIBOR w założeniu obrazuje koszty zdobycia kapitału potrzebnego do udzielenia kredytów przez banki, które zarabiać mają na marży oraz prowizji. Wzrost stóp procentowych powinien więc być dla nich neutralny. Tymczasem na nich korzystają, bo oprocentowanie kredytów rośnie, a wzrost kosztów jest iluzoryczny. – Według szacunków NBP każdy punkt procentowy, o który rosną stopy procentowe NBP, to ok. 4 mld zł wyższych zysków banków. Podwyższając stopy procentowe, RPP przenosi pieniądze z portfeli polskich rodzin do portfeli właścicieli banków – wskazuje Wroński.

– W założeniu wskaźnik WIBOR powinien odzwierciedlać stopę oprocentowania pożyczek na rynku międzybankowym. W praktyce do takich transakcji prawie nie dochodzi, więc banki wy-

ceniają ich koszt w oparciu o własne modele. Banki w Polsce nie finansują więc akcji kredytowej za pomocą kredytów na rynku międzybankowym, gdyż mają mnóstwo depozytów od klientów. Co więcej, mają je prawie za darmo, gdyż oprocentowanie depozytów jest dziś minimalne. Nie muszą więc pożyczać pieniędzy od siebie nawzajem – wyjaśnia ekonomista, co potwierdza sam NBP w swoich publikacjach. „Banki finansują się głównie depozytami sektora niefinansowego, które zwykle stanowiły stabilne źródło finansowania. (...) W sektorze bankowym utrzymuje się znaczna nadwyżka depozytów nad kredytami” – czytamy w „Raporcie o stabilności sektora finansowego” z grudnia ubiegłego roku.

Rząd proponuje uzależnienie oprocentowania kredytów od wskaźnika bliższego stopie procentowej NBP niż WIBOR-owi. Wszak WIBOR jest obecnie wyższy od stopy NBP aż o 1,5 pkt. proc. Paweł Borys, szef rządowego Polskiego Funduszu Rozwoju, przywołał publikowany przez NBP wskaźnik POLONIA, oparty na faktycznych transakcjach pomiędzy bankami, których zresztą jest bardzo niewiele – są dni, gdy ich wartość wynosi okrągłe zero. 2 maja wskaźnik ten wyniósł 4,5 proc., a więc dokładnie tyle, co stopa referencyjna NBP. Problem w tym, że ta korzystna z pozoru zmiana nie zmieni logiki systemu i zmniejszy oprocentowanie kredytów jedynie na chwilę. – Zmiana stawki WIBOR na stawkę POLONIA nie będzie miała większego wpływu na sytuację kredytobiorców. Obecnie POLONIA jest istotnie niższa od WIBOR, ale gdy cykl podwyżek stóp się skończy, różnice pomiędzy obiema stawkami będą już niewielkie – wskazuje Wroński.

Sytuacja mieszkaniowa w Polsce w perspektywie najbliższych miesięcy, a nawet lat zapowiada się więc wyjątkowo ponuro. Mogłoby ją poprawić uruchomienie państwowego programu budowy tanich mieszkań przeznaczonych na długotrwały wynajem, a także zatrzymanie wzrostu oprocentowania kredytów. – By chronić polskie rodziny przed skutkami polityki antyinflacyjnej, należy przywrócić elementarną równowagę w relacjach klientów i banków oraz okresowo zamrozić wysokość rat kredytowych – wskazuje dr Marcin Wroński. Niestety na ani jedno z tych rozwiązań się nie zanosi.

© PIOTR WÓJCIK

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, Wydział II Cywilny pod sygn. akt II Ns 1338/18 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Daros, synu Zygmunta i Janiny, zmarłym 2 listopada 2004 roku w Legionowie, ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie przy ulicy Dickensa 24 m. 10.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE



Taka grzeczna dziewczynka

TEKST EWELINA BURDA | ILUSTRACJE MAGDA WOLNA

W dzieciństwie nie zostały zauważone przez system – bo kryteria diagnostyczne bazowały na doświadczeniach chłopców. Dziś, jako dorosłe kobiety, diagnozują się w spektrum autyzmu. I znajdują ulgę.

DIAGNOZA Z POZORU NIE ZMIENIŁA w moim życiu nic, a tak naprawdę zmieniła w nim wszystko. Nie dostałam żadnej magicznej tabletki, a raczej klucz do odczytania siebie – opowiada Anna. – Przyszło ukojenie: bo twój układ nerwowy czasem potrzebuje po prostu czegoś innego niż u większości ludzi. A to wszystko, co czujesz, jest normalne.

– Po diagnozie chciałam o tym krzyknąć. Żeby wreszcie świat zrozumiał, o co mi, o co nam chodzi – mówi Kamila.

NIE WYGLĄDASZ | – Jestem siedem lat po diagnozie zespołu Aspergera. I po tylu latach wciąż pojawiają się reakcje niedowierzające – opowiada Ewa Furgał, edukatorka antydyskryminacyjna, założycielka Fundacji Dziewczyny w Spektrum i au-

torka książki „Dziewczyna w spektrum”. – Czasem ktoś usiłuje mnie przekonać, że w diagnozie na pewno się pomylili, bo przecież świetnie sobie w życiu radzę. Zdarzyło mi się usłyszeć, że „nie wyglądam”. A spektrum autyzmu przecież nie widać. To problem przy diagnozowaniu, że nie ma żadnego markera biologicznego, który to definitywnie rozstrzygnie, autyzm nie wyjdzie przecież z badań krwi.

Definiowanie spektrum autyzmu zmieniało się przez lata: od postrzegania go jako choroby do oficjalnej naukowej definicji, według której jest „całościowym zaburzeniem rozwojowym”. Coraz częściej jednak w fachowej literaturze oraz wśród ekspertów zastępuje się określenie „zaburzenie rozwojowe” sformułowaniami takimi jak „inny model rozwojowy” czy „neuroróżnorodność”.

Anna mówi: – Gdy musiałam gdzieś zadzwonić, robiłam dokładne plany tych rozmów, do wizyty w nowym miejscu przygotowywałam się sprawdzając mapę, jakbym planowała napad na bank. Nie chodziłam do fryzjera, bo *small talk* →

→ jest dla mnie nie do zniesienia. Całe życie słyszałam, że taka moja uroda. Przez lata próbowano mi wmówić, że jestem po prostu introwertyczką. Ale czy można być aż taką introwertyczką, że mdleje się, gdy wokół jest hałas i migoczące światła?

Według pierwszej obowiązującej w Polsce klasyfikacji, ICD-10, którą stosowano od lat 90., w spektrum autyzmu wyróżniało się autyzm dziecięcy, autyzm atypowy i zespół Aspergera. Dziś według nowej, Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób ICD-11, nie wyróżnia się już np. zespołu Aspergera. Termin „autyzm” zastąpiło „spektrum autyzmu”, w diagnostyce używa się opisowych podkategorii, które określają to, jak funkcjonuje dana osoba (pod uwagę brana jest niepełnosprawność intelektualna, choroby genetyczne oraz stopień komunikacji werbalnej).

Historia Justyny: – Od kiedy pamiętam, miałam problem z nawiązywaniem kontaktu wzrokowego. Lata temu przeczytałam gdzieś, że osoby, który nie patrzy w oczy, postrzegane są jako te, które kłamią. Nie chciałam, by tak o mnie myślano. Na siłę patrzyłam ludziom w oczy, bardzo się przy tym męczyłam.

STARA-MALUTKA | Spektrum autyzmu jest trudne w diagnozowaniu, bo przypadki mogą mieć różne natężenia objawów. Mogą być do siebie jednocześnie bardzo podobne, ale i bardzo różne: nie każdy, kto ma kłopoty z relacjami z ludźmi, empatią czy powtarzalnymi czynnościami, będzie osobą w spektrum.

Początki diagnozowania w Polsce przypadają na lata 80. i 90. Kobiety, które dziś szukają odpowiedzi, mają po trzydzieści, czterdzieści lat. W dzieciństwie często zostały pominięte, system ich „nie wyłapał”, bo kryteria diagnozowania spektrum odzwierciedlały doświadczenia chłopców. O specyfice spektrum u kobiet i dziewcząt oraz o trudnościach, jakie wynikają z istniejących norm i wytycznych, które mimo zmian wciąż są nastawione na doświadczenia chłopców, więcej mówi się i pisze dopiero od kilku lat. Kluczem do zrozumienia historii tych dziewczynek jest słowo „grzeczna”, odmieniane przez wszystkie przypadki.

– Mała dziewczynka mogła z powodu wrażliwości sensorycznej bardzo źle znosić mycie i czesanie popłatanych długich włosów. Gdy próbowała się buntować, szybko w imię norm społecznych następowała pacyfikacja, a ona kolejnym razem

już w spokoju dawała sobie czesać włosy, choć był to dla niej duży dyskomfort. Tłumiła emocje w sobie. Bliscy z zewnątrz widzieli potem już tylko cichą i grzeczną dziewczynkę, która nie sprawia problemów – mówi Ewa Furgał. I opowiada swoją historię. – Byłam strasznie zalekionym dzieckiem, bałam się absolutnie wszystkiego. Nie chciałam wychodzić na podwórko, nie rozumiałam, w jakim celu dzieci się w ogóle bawią. Wolałam siedzieć sama w domu, czytać książki. Na pierwszy rzut oka: idealne, grzeczne dziecko.

Kamila wspomina: – Uczyłam się bardzo dobrze, a w szkole miałam opracowaną strategię, żeby być niezauważalną. Nikt nie szukał źródła moich różnych problemów, bo przecież byłam taka grzeczna i pilna. Zawsze czułam, że nie pasuję do żadnej grupy, ale nigdy nie wiedziałam, dlaczego tak jest. Silnie odczuwałam wszelkie emocje, ale myślałam, że inni też tak mają. Później przyszły epizody depresyjne, zaburzenia odżywiania.

Opowiada Justyna: – Jako dziecko bardzo lubiłam mieć wszystko zaplanowane. Jeśli chciałam założyć ulubioną spódnicę, to po prostu musiałam to zrobić, tak jak planowałam, bez względu na to, że miała już plamy i dziurę. Koleżanki? Nie miałam ich wiele, wolałam spędzać czas sama. Mówiono o mnie, że jestem taka „stara-malutka”, zawsze stonowana, wybierałam towarzystwo dorosłych. Moja mama często słyszała od innych, że chciałby mieć takie grzeczne dziecko.

Anna: – Gdy byłam mała, unikałam relacji z dziećmi, bardzo chciałam być już dorosła, bo oczami wyobraźni widziałam, jak nie muszę już z obowiązku robić tych wszystkich rzeczy, których nie cierpiałam: chodzić na urodziny do koleżanek z klasy, jeździć na kolonie. Robiłabym tylko to, co bym chciała. Jak łatwo się domyślić, prawdziwe dorosłe życie nie wyglądało jak to z moich dziecięcych marzeń.

– Zestaw cech i zachowań, charakterystyczny dla rozwoju w spektrum autyzmu, zaczyna być widoczny w pierwszych latach życia, wtedy można zacząć je diagnozować. Wtedy też ujawniają się różnice między chłopcami a dziewczynkami, będącymi w spektrum, w ich zachowaniach i społecznym odbiorze – tłumaczy Ewa Furgał. – Dziewczynki są silnie socjalizowane do roli wynikającej z płci: do bycia niekonfliktową, uprzejmą, spokojną. Z większą starannością uczone są kompetencji społecznych i komunika-

cyjnych, mają większą motywację, żeby się przystosować do grupy. Nawet jeśli dziewczynka jest w spektrum, socjalizacja sprawia, że gdy patrzymy na nią z zewnątrz, to jej problemów na pierwszy rzut oka nie widać. I rodzice często w ogóle nie szukają diagnozy.

Gdy przychodzi okres dojrzewania, zmienia się sporo. – Wtedy ta presja na dostosowanie się, „nierobienie problemów” jest bardzo silna. W okresie dojrzewania dziewczyny muszą radzić sobie z wieloma ogromnymi zmianami, dotyczącymi nie tylko ciała, ale też emocji czy kontaktów z rówieśnikami. To bardzo trudny czas – podkreśla Furgał. – A gdy maskowanie, czyli ukrywanie autystycznych charakterystyk, zaczyna przekraczać zasoby, pojawiają się problemy lękowe, częste są zaburzenia odżywiania, epizody depresyjne. Wiele dziewczyn trafiało w takich sytuacjach do psychologów, terapeutów, ale często nie dostawały diagnozy, a źródła ich problemów szukano gdzie indziej, bo przecież nie wpisywały się w kryteria spektrum autyzmu.

Historia Magdaleny: – W dzieciństwie nie umiałam się integrować, bawić, pracować w grupie. Chodziłam do psychologów i psychiatrów, żeby w końcu wyjaśnić, dlaczego tak nie zgrzywam się z otoczeniem. Mój nastoletni bunt przyszedł szybko, miałam dwanaście lat, jak zaczęłam palić i pić. Chciałam sobie jakoś odmienić postrzeganie tego świata, który ciągle mnie nie rozumiał. Żeby kogoś poznać, pójść na randkę, zawsze musiałam być po alkoholu. Zanim związałam się z moim mężem, nigdy wcześniej nie miałam kontaktów seksualnych na trzeźwo. Dostawałam kolejną diagnozę stanów depresyjnych, zaburzeń lękowych, ale to nie wyjaśniało wszystkiego. Cierpiałam przez trzydzieści lat. Nie wiedziałam, że można odbierać ten świat jako coś przyjemnego. Na studiach zaczęłam pisać, trafiłam wtedy do środowiska, które mnie bardziej zaakceptowało.

PRZESTAŃ WYMYŚLAĆ | Nie ma danych, które pokazywałyby, jak liczna jest grupa osób w spektrum autyzmu. Raport Najwyższej Izby Kontroli z 2020 r. przywołuje ogólnostatystyczne dane, według których spektrum może występować u jednego dziecka na 100. Dane dotyczące dorosłych? Brak. Stworzenie statystyk w Polsce utrudnia fakt, że zdiagnozowanych dorosłych powyżej czterdziestego roku życia jest wciąż bardzo niewiele.



– Gdy jesteś dorosły, nie masz co liczyć na zrozumienie i wybaczenie, powinieś się „ogarnąć” i „przestać wymyślać” – mówi Justyna. – Od lat pracuję w finansach, teraz kończę studiować psychologię. Ludzie dziwią się, że skoro radzę sobie w pracy z trudnymi zadaniami, to jaki ja mogę mieć problem, żeby zadzwonić i umówić się do dentysty? A to czynność, która mnie fizycznie przerasta.

Anna: – Bardzo fiksuję się na zleconych czynnościach, potrafiłam pracować ciągiem po kilkanaście godzin. W pracy to wykorzystywano. Jestem prawniczką, niedługo mam egzamin adwokacki. O spektrum nigdy nie powiedziałabym głośno, znam to środowisko i na pewno odbiłoby się to na moim życiu zawodowym. Niedawno usłyszałam od kolegi z biura, że teraz każdy musi mieć jakąś modną przypadłość. Ciekawe, czy o mnie też by tak pomyślał, gdyby wiedział?

PRZYSZŁA ULGA | Diagnoza dla dorosłej kobiety jest często życiowym przełomem. – Przychodzi wielka ulga, że wiesz, o co naprawdę teraz z tobą chodzi – mówi Ewa Furgał. – Gdy miałam 22 lata, przeszłam mój największy kryzys psychiczny i próbę samobójczą. Trafiłam do szpitala

ANNA:

Myślę czasem
o tej dziewczynce, o mnie
z przeszłości: szkoda,
że ta diagnoza przyszła tak
późno, ale dobrze, że w ogóle.
Nie siłowałabym się przez lata.

psychiatrycznego na miesiąc, opuściłam go z diagnozą depresji i schizoidalnego zaburzenia osobowości. Kiedy okazało się, że nie jestem schizoidalna, tylko w spektrum autyzmu, poczułam wielką ulgę, ale też złość. – Ulgę, bo w końcu to wszystko poskładało mi się w całość – dodaje Ewa Furgał. – Przez lata żyłam w poczuciu narastającej konsternacji, nieprzystawalności i niepewności. Pytałam siebie: dlaczego nie radzę sobie w sytuacjach, w których inni bawią się doskonale? Dlaczego, mimo że jestem inteligentną osobą i tak bardzo się staram, to ciągle czuję, że nie pasuję? Gdy nie widzi się w swoim oto-

czeniu podobnych osób, to poczucie bycia „dziwakiem” się nasila.

Ewa miała w sobie też sporo złości na to, że nikt wcześniej nie wyjaśnił jej wielu rzeczy, nie ułatwił życia. Było też trochę smutku związanego z tym, że gdyby wiedziała o spektrum, to być może poradziłaby sobie z różnymi trudnymi sytuacjami. – W diagnozie uczestniczyła moja była partnerka, choć wtedy już nie byliśmy razem. Ale poszła na diagnozę ze mną jako ta osoba, która znała mnie najlepiej. Gdy diagnoza padła i wyszliśmy z gabinetu, to ona się rozplakała. Powiedziała wtedy, że może gdyby to wiedziała, między nami ułożyłoby się inaczej, w wielu trudnych sytuacjach nie przypisywałaby mi motywacji, których nie miałam – wspomina.

Magdalena parę lat temu trafiła na wywiad z kobietą w spektrum. – Pomyślałam wtedy: chyba to znalazłam. Po diagnozie dostałam narzędzie do tego, żeby się z mojego ciągłego cierpienia uwolnić. Dzieliłam się tym ze znajomymi, pisałam posty. Powiedziałam też rodzinie, ale nie otrzymałam od nich zrozumienia, zostałam wyśmiana. Dziś nie utrzymujemy kontaktu – mówi. – Po diagnozie pojawiła się ulga. Dziś już nic nie zażywam, nie piję. W moim życiu zmieniło się mnóstwo rzeczy. Jestem też w trakcie diagnozowania zaburzeń dwubiegunowych. To wszystko jest bardzo trudne, bo spektrum może markować pewne objawy, ale czuję, że jestem na tej lepszej drodze.

Justynę do próby zdiagnozowania się namówiła koleżanka: – Miałam bardzo stereotypowe postrzeganie osób w spektrum autyzmu, na pewno nie myślałam, że ja też mogę się do nich zaliczać. Diagnoza dała mi spokój. Sytuacje, które były dla mnie trudne, nie ustąpiły magicznie, ale wiem, co się ze mną dzieje. Oprócz spektrum autyzmu mam też ADHD, te dwa terminy wyjaśniły mi, skąd się brało u mnie wiele rzeczy: jak np. kompulsywne objadanie się, które przychodziło, gdy mózg potrzebował stymulacji i nowych bodźców. Teraz uczę się nad tym panować – opowiada.

Annę problemy z przebudzowaniem i nadmiarem emocji doprowadziły do zaburzeń lękowych. – W akcie desperacji chodziłam od lekarza do lekarza. Dostałam sugestię, że może powinienam spróbować zdiagnozować się pod kątem spektrum. Od rodziny dostałam wsparcie. Odebrali to tak, jakbym całe życie ➔

→ kichała, a ktoś wreszcie powiedział głośno, że to katar.

Kamili pomogła grupa w mediach społecznościowych: – Okazało się, że inni pisząc o sobie, opisują dokładnie moje myśli. Pamiętam uczucie zmrózenia i obezwładniający płacz, który mnie wtedy ogarnął. I jak te silne emocje stopniowo przechodziły w wielką ulgę. Po nich przyszła fala *flashbacków*: po co robiłam różne rzeczy, dlaczego nie rozumiałam bliskich. Później były wizyty u psychiatry. Na długie cykle diagnostyczne nie było mnie wtedy stać. To było lato, miałam na nogach sporo ugryzień komarów. Rozdrapywałam je do krwi. Tym drapaniem w samotności odreagowywałam wszystkie odruchy, które tłumiałam, gdy byłam wśród ludzi. Dziś już wiem, że podskakiwanie, trzepotanie rękami, podśpiewywanie może mi bardzo pomóc. Jeśli inni tego nie rozumieją? Trudno, może następnym razem.

ZDEJMIJ MASKĘ | – Samoświadomość i diagnoza to klucz. Łatwiej jest zrozumieć swoje reakcje, emocje, zachowania. Sam „papierek”, jak mówią niektórzy, niczego nam magicznie nie odmienia, ale najczęściej jest takim punktem zwrotnym, wtedy można czytać, dowiadywać się, ma się pryzmat, przez który lepiej rozumie się siebie i otoczenie. Można zacząć zmieniać rzeczy w swojej codzienności, nauczyć się lepiej o sobie dbać – mówi Ewa Furgał.

Proces diagnozowania dorosłych nie jest tak jasno określony jak u dzieci. Nie ma oficjalnej ścieżki i brakuje wytycznych, ale eksperci podkreślają, że ważne

jest, by diagnozą zajął się zespół, w którym będą współpracować psychologowie, psychiatrzy i terapeuci. Wiele osób zostaje przy samodiagnozie lub diagnozie niepełnej. Najczęstszym powodem są finanse.

– System diagnostyczny wciąż nie jest idealnie dopasowany – twierdzi Ewa Furgał. – Dorosła kobieta, którą pominięto w dzieciństwie i która teraz szuka diagnozy, bardzo często spotyka się z tym, że „przesadza”, „wymyśla”. Na pierwszy rzut oka to osoby, które dobrze sobie radzą, skoro dotarły do tego etapu w swoim życiu. A najczęściej ten kawał życia przeżyły dzięki maskowaniu się. Kryły swoje instynktowne zachowania, które mogły być społecznie nieakceptowane. Ale to zawsze działo się kosztem czegoś. Najczęściej ich zdrowia psychicznego.

Kamila opowiada: – W dorosłym życiu nauczyłam się wchodzić w rolę dziewczynki, bo nie chciało mi się wiecznie przed wszystkimi tłumaczyć. Od zawsze byłam też bardzo wrażliwa na dźwięki, ale paradoksalnie to one i moja pasja do muzyki uratowały mi życie. Występowałam na scenie, śpiewałam nawet w zespołach punkowych. Tam mogłam wykrzyknąć całą moją frustrację, to mnie ratowało w kryzysowych momentach.

– Spektrum autyzmu diagnozuje się głównie przez różnego rodzaju deficyty. To zawsze wybija się na pierwszy plan. Ale zdecydowanie warto też rozwijać i inwestować w pasje, które są często priorytetem dla osób w spektrum. Nie tylko ciągle usiłować dogonić ludzi, których i tak nigdy się nie dogoni – podkreśla Ewa Furgał. – Bo wśród osób w spektrum dużo jest artystycznych talentów,

o takich osobach też jest głośniejsze: o pisarkach, artystkach. To może w jakiś sposób zakłamywać rzeczywistość, chociaż z drugiej strony bardzo ważne jest, aby pokazywać młodszym dziewczynom, że można z sukcesem realizować swoje pasje. Ale trzeba zawsze podkreślać: osoby w spektrum mają różne potrzeby i możliwości, jest wiele cech wspólnych, ale też ogrom różnic w odczuwanych trudnościach i codziennym funkcjonowaniu.

MNIEJ SIĘ BOJĘ | Anna: – Myślę czasem o tej dziewczynce, o mnie z przeszłości: szkoda, że ta diagnoza przyszła tak późno, ale dobrze, że w ogóle. Bo codzienność mogłaby być łatwiejsza, nie siłowałabym się tak przez lata, próbując dopasować. To wszystko, co dziś robię dla siebie, robię także dla niej.

Kamila: – Odeszłam z pracy, w której tkwiłam od lat, to mój wielki sukces, który zawdzięczam diagnozie. Na rozmowach kwalifikacyjnych mówiłam wprost: jestem w spektrum autyzmu. Rekruterzy często zaczynali na mnie patrzeć inaczej, czułam, jak moje kompetencje topnieją. Na jednej rozmowie zdobyłam się na odwagę i powiedziałam, że nie chcę pracować z osobami uprzedzonymi. A pracę i tak znalazłam.

Justyna: – Od czasu diagnozy się zmieniam. I słyszę mówione z wyrzutem: „Kiedyś byłaś inna”. Tak, bo robiłam rzeczy w społecznie akceptowanych normach. A to wszystko kosztowało mnie nieudzielnie pokłady energii, później musiałam się ładować, nie wychodząc kilka dni z domu. A nam czasem nie trzeba wiele, pomagają małe rzeczy: jak ciche godziny w sklepach, kiedy wyłączona jest muzyka i przygaszone światła czy strefy ciszy w pociągach i miejscach publicznych.

Magdalena: – Mam dziś mniej natręctw: nie bujam się, nie chodzę w kółko, nie muszę chodzić dokładnie tą samą trasą ani dokładnie o tej samej porze. Po diagnozie wiem, że one biorą się z autoregulacji mózgu i z tą wiedzą łatwiej mi je opanować. Radzę sobie też coraz lepiej z moją wybiórczością pokarmową, mam bardziej urozmaiconą dietę – kiedyś często fiksowałam się na jednym produkcie, a mam też dużo alergii i nietolerancji. Dziś mniej się boję i jestem w stanie próbować nowych smaków.

© EWELENA BURDA

Pogrążeni w głębokim smutku zawiadamiamy
o śmierci naszej ukochanej siostry

Ś.†P.

Oleńki z Sokolnickich
Majewskiej

zmarłej w Warszawie 30 kwietnia 2022 r.

RODZEŃSTWO Z RODZINAMI

Pogrzeb na cmentarzu w Pruszkowie odbył się 6 maja 2022 r.

Msza za duszę śp. Aleksandry z Sokolnickich Majewskiej zostanie odprawiona

1 lipca 2022 r. o godzinie 17.30 w kościele oo. Dominikanów w Poznaniu.

POŻEGNANIE

Imiona niektórych bohaterów zostały
zmienione.

DOROTA

Masłowska:

Kraina zapomnienia



ŚMIERĆ GRAŻYNKI, BAJKI, POZIOMKI, AZALII, każda zasługuje na osobny lament, osobny tren. Stare pijalnie alkoholi nie otoczone żadną ekonomiczną ochroną, nie miały szans w starciu z globalizacją, padały jedna po drugiej. Zalegające je

wcześniej stare gwardie klientów rozpiechły się, wymarły; lokale przejęły przybytki wysokoobrotowe, sformatowane, z uśmiechniętą obsługą, której tatuaże nie zostały zrobione w więzieniu, więc przedstawiają owoce. Wódki, koniaki i piwa zastąpiły dripy, serdelki (te krzepiące bomby wodno-mięsne; ni to potrawy, ni napoje gorące), pełnoziarniste kanapki z bio burakiem, kulawe stoliki z podłożoną pod nogę serwetką, stoły niekulawe, na których nie chwieją się laptopy, niskie ceny – ceny wysokie, więzi – brak więzi. O największą odporność na przemijanie podejrzewać by można elementy wyposażenia. Zapewne na wysypiskach walają się wciąż kawałki tamtych potłuczonych lusterek, do których piły pokolenia warszawskich pijaków zwykłych i niezwykłych, natchnionych i nienatchnionych. Kontuury, boazerie, kasetony, lampy z wiatrakami, witryny, w których schły wuzetki – długo pewnie jeszcze będą błąkać się po usypiskach błędnej, niemogącej się zbiodegradować materii. Po reszcie nie ma już śladu.

Tym większym zaszczytem jest wejście do Piotrusia. Zdaje się on błędem czy przeoczeniem systemu, kawałkiem starożytności, któremu z jakichś względów udało się przetrwać, przyciąć. Nowy Świat napiera, osacza. Naciska, perswaduje, próbuje jakoś odwieść Piotrusia od bycia Piotrusiem. Robi mu obok HM („ubierz się jakoś!”), Dom Whisky („tak jak Winiak Klubowy, tylko drogie”), sushi („to się teraz je, a nie żadne golonko”), i *happy socks* („skarpetki fajne, bez dziur”). Piotruś te prowokacje znosi godnie. Na roziluminowane wnętrza i efektowne witryny odburkuje napisem „bar kawowy” i dekadencją ciemnością. Skarpetki są tu zdecydowanie *unhappy*, w odcieniach stycziowego nieba; pachnie wódką w różnym stopniu przetrwania. Wprost ze zeuropeizowanej do śmieszności, uogólnionej ulicy-disneylandu wchodzi się w przeszłość, czas nieeuropejski.

Niby jest dwudziesta, ale trudno stosować tu tak arbitralne miary. Panuje tu godzina pijana. Towarzystwo jest już bardzo wesołe, tak wesołe, że aż już lekko smutne. Ewidencja

nie jest to wesołość nagle, świeżo podjęta, frenetyczna. To wesołość już przejrzała, praktykowana jakieś trzy, cztery czy pięć godzin. Zmęczona weseleniem się, nawet może nim rozdrażniona, rozeźlona. Jednak i nienasycona, ciągle pragnąca weselić się więcej, mimo braku sił, wciąż wysupłująca jakieś środki. Weselnicy nie chcą się poddać, zmęczeni, lecz i przerażeni nadciągającą nieuchronnie rozpaczą, próbują odwołać ją, przegonić kolejnymi kolejkami. W lodówce gasną torty, serniki, tetrisy kolorowej galarety – nierozchwytywane, czekają na swoją kolej jak niepyszne. Doczepiona do menu kartka ogłasza nowości – krówkówkę i kukulkówkę. W bałaganie zaplecza widać gar emaliowany pełen cukierków czekających na zalanie wódką.

Koło niefortuny kręci się powoli i w próżni. Niektóre karoce są już bliskie zamienienia się w dynie. Widzę kątem oka dwie starsze panie już pijane, jednak dolewające do swoich głów – jak do garów, w których waży się tajemna mikstura – jeszcze po jednym kieliszeczku i zastygające na dłuższą chwilę w rozprężeniu, niebycie, nicości. Ich oczy przepadają w rozkoszy pod powiekami, a twarze rozmiędalają się i nic już sobie nie mają do powiedzenia, osiągając pijacki zen. Pod kontuarem siedzi bardzo już głośnie, rozbisurmanione towarzystwo. Pięciu mężczyzn około pięćdziesięcioletnich rozpija ogromną butelkę wódki. Przejęli soundsystem; ciekawi mnie ich playlista, choć jest tak nieciekawa. Przede wszystkim „Och, Ela”, którą podejmują też trzy kobiety w wieku różnym – symbolizujące trzy pokolenia, albo też nimi będące – przy stoliku obok. Gęsty manhattan butelek po Perle przysyłania im swoje nawzajem twarze. Ze szczególnym naciskiem traktowane są wersy o nożu sprężynowym (Po tamtym zostało tylko wspomnienie!!!). Płomień piosenki przeskakuje ze stolika na stolik. Gdy przychodzi do refrenu, nie pozostaje nic innego, niż skowyczeć w tym chórze, którego celem nie jest, by śpiewać pięknie, a jedynie, by śpiewać jak najgłośniej, tak głośno jak kiedyś! Na drugi ogień idzie Maria Peszek. Tu gorzej ze znajomością słów – mężczyźni znają wyłącznie frazę „JEBIĘ TO”, tym bardziej chcą jednak wyciągnąć z niej wszystko. Zawodzą ją wyraźnie, dobitnie, z pasją, niemalże wyciągając w górę palce wskazujące jak naukowcy podkreślający wagę swojego twierdzenia. Ryczą, jakby czekali na ten moment tygodniami, tygodniami zobowiązań, rosnących rat kredytów i zapachu psa w windzie. Obok młody mężczyzna w skupieniu pije do telefonu. Zamiast w swoją smętną twarz w lustrze, wpatruje się na YouTube w ludzi podnoszących sztangi na siłowni.

Każdy skrył się tu przed bólem i niewygodą istnienia. Alkohol podkreca emocjonalny metabolizm; uśmiechy zamieniają się w grymasy bólu i na odwrót, sojusze w wojny i na odwrót, zauroczenie przechodzi w pogardę, śpiew w ryk. Na Nowym Świecie ukryty pod latarnią taki rezerwat, zapomniana kraina zapomnienia. ©

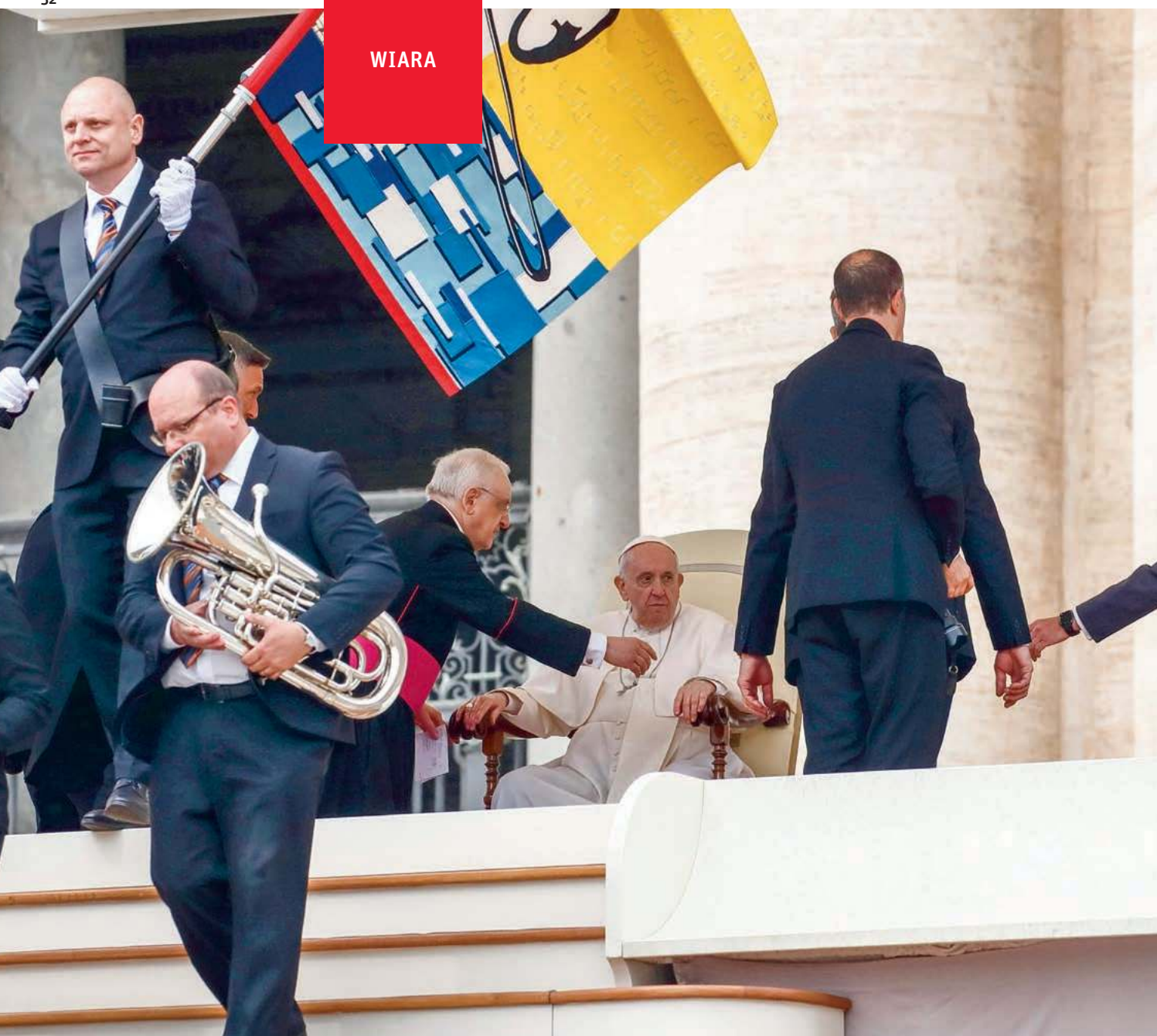
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



OMYLNÝ

Jest uparty, przekonany o własnej racji,
a przecież nie zawsze ją ma.

Na przykład gdy mówi
o sprawach wojny i polityki.

EDWARD AUGUSTYN

TO DEZINFORMACJA, OSZCZERSTWO, zniesławienie i koprofilia. Słyszałem, że niektórzy dostają za to pieniądze – napisał papież Franciszek o dziennikarzach, którzy oskarżają go o pro-rosyjską postawę. Od pierwszego dnia rosyjskiej inwazji takich opinii nie brakowało. Ostatni wywiad papieża dla „Corriere della Sera” sprawił, że będzie ich znacznie więcej.

Czy Franciszek rzeczywiście zasłużył na miano „papieża Putina”? Skąd wzięło się przekonanie o jego sympatii do



GRZEGORZ GAŁĄŻKA / SIPA / EAST NEWS

Papież na audiencji generalnej, plac św. Piotra, 4 maja 2022 r.

prezydenta Rosji i ile jest w tym prawdy? I wreszcie – kto odpowiada za upadek papieskiego autorytetu: koprofilni dziennikarze, Watykan czy sam Franciszek?

Klucznik z Kremła

Był koniec lata 2013 r. Od dwóch lat trwała wojna w Syrii. Wojska prezydenta Baszara Asada użyły broni chemicznej, zabijając kilkaset osób. Kolejna „czerwona linia”, wyznaczona przez prezydenta Baracka Obamę, została przekroczona. Spodziewano się amerykańskiej odpowiedzi.

4 września papież Franciszek, wybrany ledwie pół roku wcześniej, pisze list do Władimira Putina, który ma gościć przywódców państw G20 w Petersburgu. Prosi go o zapobieżenie amerykańskiej interwencji. Organizuje też całonocne modlitewne czuwanie na placu św. Piotra.

Zrobienie emisariuszem pokoju prezydenta Rosji, która wspierała syryjski rząd w walce z opozycją, było autorskim pomysłem papieża. Sekretariat Stanu był w tym czasie nieobsadzony – poprzedni sekretarz, kard. Tarcisio Bertone, złożył rezygnację, a nowo mianowany kard. Pietro Parolin z powodów zdrowotnych nie objął jeszcze urzędu.

Franciszek był przekonany, że do interwencji USA nie doszło dzięki jego „pokojowej inicjatywie”. Tyle że wojna trwała nadal i stawała się coraz bardziej okrutna. Dwa lata później, jesienią 2015 r., rosyjskie lotnictwo zaczęło bombardować syryjskie miasta opanowane przez opozycję (robi to do dziś). Do tej pory w Syrii zginęło ponad pół miliona ludzi, a 13 mln musiało uciekać z domów.

Ale przekonanie, że Putin to racjonalny polityk, który trzyma w rękę klucze do światowego pokoju, pojawiło się w Watykanie na długo przed pontyfikatem papieża Bergoglia. A za Benedykta XVI, po nawiązaniu relacji dyplomatycznych z Rosją, w 2010 r., kontakty stały się bardzo ciepłe. Prezydenta Putina wychwalano za „renesans chrześcijaństwa” w jego kraju, obronę tradycyjnych wartości, hojne wspieranie prawosławia na Bliskim Wschodzie i ratowanie tam cerkwi z wojennej pożogi.

Franciszek przyjmował go w Watykanie trzykrotnie – w 2013, 2015 i 2019 r. Znaczące było zwłaszcza drugie spotkanie, kilka dni po szczycie G7, na który prezydenta Rosji nie zaproszono, w reakcji na aneksję Krymu i rozpętanie wojny w Donbasie. Przyjęcie Putina w takim momencie przez papieża zostało odczytane jako wsparcie. Choć równie dobrze mogło wynikać z najważniejszej zasady watykańskiej dyplomacji: niewykluczania nikogo, zostawiania uchylonych drzwi do rozmów, „zsywania, a nie rozcinięcia”.

To zresztą jeden z głównych powodów niezrozumienia Watykanu i stawiania mu – dziś i w historii – zarzutów o sprzyjanie oprawcom. Stolica Apostolska nie zrywa kontaktów z dyktatorami, nie odcina się od przywódców państw, którzy wywołują wojny, łamią prawo między-

narodowe, prześladują swoich obywateli. Mówi, że rozmawia z każdym (choć papież nie z każdym się spotyka – np. nie spotkał się z kubańską opozycją podczas wizyty na wyspie ani z liderką z białoruskiej opozycji Swiatłaną Cichanouską).

„Pozytywna neutralność” ma dużą wartość i jeszcze większą cenę, kryje bowiem kilka pułapek. Umożliwia propagandowe wykorzystywanie autorytetu papieża przez tyranów i dyktatorów. Grozi popadnięciem w symetryzm, który nie ma nic wspólnego z prawdą i sprawiedliwością. I naraża Watykan na krytykę tych, którzy oczekują zdecydowanego stanowiska.

Gdy papież pisał list do Putina, konflikt w Syrii uważano za „wojnę domową”, choć już wtedy angażował, mniej lub bardziej oficjalnie, kilka państw. Ulla Gudmundson, była ambasador Szwecji przy Watykanie, wspomina, że w taki sam sposób Stolica Apostolska traktowała później wojnę w regionie ługańskim i donieckim, uznając ją za wewnętrzny problem Ukrainy. To była optyka Kremla. Podobnie jak nazwanie ataku na Ukrainę „rozpoczęciem rosyjskiej operacji militarnej” w oficjalnym komunikacie Watykanu wydanym w pierwszym dniu rosyjskiej inwazji.

Nomina sunt odiosa

„Papież nigdy nie wymienia z nazwiska głowy państwa, a tym bardziej nazwy kraju” – tłumaczył Franciszek jeszcze niedawno w wywiadzie dla argentyńskiej gazety „La Nación”. W podobny sposób mówili jego najwierniejsi obrońcy – Andrea Tornielli, dyrektor wydawniczy watykańskich mediów, i Antonio Spadaro, redaktor jezuickiego dwutygodnika „Civiltà Cattolica”. Wyjaśniali, że papież, przestrzegając tej zasady, kierują się względami moralnymi (publicznie można napiętnować grzech, nie grzesznika) i taktycznymi (zawsze trzeba pozostawić uchylone drzwi do pokojowych rozmów).

Tyle że w przypadku Franciszka argument „z tradycji” brzmi mało przekonująco. Argentyński papież nieraz pokazał, że nie przejmuje się panującymi w Watykanie zwyczajami, także dyplomatycznymi. Pójście do rosyjskiej ambasady w drugim dniu obecnej inwazji było tego dowodem.

Dlatego opinia publiczna żądała zdecydowanego opowiedzenia się Watykanu po stronie tych, którzy potępiają agresję, a nie tych, którzy, do spółki z rosyjską propagandą, szukają dla wojny

→ wymówek i eufemizmów. Domagała się jasnego stwierdzenia, kto odpowiada za śmierć i cierpienie niewinnych ludzi. Stanowisko papieża dla wielu było rozczarowaniem.

Zwłaszcza że Franciszkowi zdarzało się już wytykać winę krajom i rządzącym politykom: w lutym 2022 r. oskarżył Libię o zakładanie obozów koncentracyjnych, w lipcu 2015 r. – rząd Grecji o doprowadzenie kraju do zapaści finansowej.

Warto też przypomnieć mało znany epizod z wizyty w Paragwaju (2015 r.), gdy papież wtrącił do przemówienia uwagę: „Są tu obecni politycy, jest prezydent republiki. Powiem tak, po bratersku. Ktoś mi powiedział: »Zrób coś, bo jakiś człowiek został uprowadzony przez wojsko«. Nie wiem, czy to prawda, czy nie, czy słuszne, czy nie, ale jedną z metod stosowanych przez ideologie dyktatorskie ubiegłego wieku było rozdzielanie ludzi, wypędzanie ich lub osadzanie w więzieniu czy w nazistowskich albo stalinowskich obozach zagłady”. Mocne oskarżenie, skierowane do polityków rządzącej prawicowo-nacjonalistycznej partii, okazało się jednak nietrafione: za porwaniem nie stało rządowe wojsko, ale lewicowa bojówka terrorystyczna.

Trudno nie odnieść wrażenia, że powściągliwość i ostrożność papieża jest wybiórcza. Na publiczną krytykę Rosji, Chin czy nawet Kuby, gdzie łamane są prawa człowieka, jak dotąd sobie nie pozwolił. Jego obrońcy tłumaczą, że za tym milczeniem stoją wyższe racje.

Klakier Putina

„Rozmawiałem z Cyrylem 40 minut na Zoomie. Przez pierwsze 20 minut czytał mi, z kartką w rękę, wszystkie uzasadnienia dla wojny. Słuchałem i powiedziałem: »Nic z tego nie rozumiem. Bracie, nie jesteśmy na usługach państwa (...). Patriarcha nie może się zmieniać w ministranta Putina«” – powiedział Franciszek w wywiadzie dla „Corriere della Sera”. Aby po chwili, odpowiadając na pytanie, czy pojedzie do Kijowa, dodać: „W pierwszej kolejności muszę pojechać do Moskwy”.

Zaskakujące słowa. Po siedemdziesięciu dniach bezosobowych apeli do „tych, którzy wywołali wojnę” i „tych, którzy używają religijnego języka, by ją usprawiedliwić”, papież zrywa z zasadą, której dotąd on i jego apologety bronili.

Naiwnością byłoby sądzić, że poniosły go emocje, wylała się gorycz, nie ugryzł się

Antyamerykanizm Franciszka i jego permanentna krytyka Zachodu

nie oznacza automatycznie sympatii dla Rosji.

w porę w język. To świadoma zmiana strategii, nawet jeśli on sam wiele razy zapewniał, że żadnej strategii nie ma, i że mówi to, co w danej chwili uważa za słuszne. A na pewno przekreślenie dotychczasowej strategii watykańskiej dyplomacji, zamykające drzwi do dalszych rozmów, przynajmniej z Cyrylem – „ministrantem Putina”. I spisanie na straty wieloletnich starań – własnych i poprzedników – o „postawienie stopy biskupa Rzymu na rosyjskiej ziemi”. Także tych obecnych planów wyjazdu do Moskwy. Bo mało prawdopodobne, by doszło do tego bez zaproszenia ze strony patriarchy. Choć kto wie – Cyryl zrobi to, co mu na Kremlu każe.

O pielgrzymce do Rosji marzył już Jan Paweł II – wtedy na przeszkodzie stanął ówczesny patriarcha Aleksy II, który oskarżał polskiego papieża o prozelityzm i tworzenie łacińskich struktur na jego „kanonicznym terytorium”. Blisko celu był Benedykt XVI, który ocieplił relacje z Moskwą, ale jego plany zniweczyła śmierć Aleksiego w 2008 r.

Wybór Cyryla powitano w Watykanie z radością – w nowym zwierzchniku Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej widziano wybitnego teologa, który będzie godnym partnerem dla Ratzingera. Łączyło ich zresztą nie tylko zamiłowanie do wyrafinowanej spekulacji. Wielu widziało w patriarche obrońcę wartości konserwatywnych i tradycyjnych, krytykującego moralne zepsucie Zachodu, ideologię gender i małżeństwa jedнопłciowe.

Franciszek zintensyfikował wysiłki ekumeniczne i bardzo dbał o dobre relacje z Cyrylem. W 2016 r. doszło do ich pierwszego spotkania w Hawanie. Wspólna deklaracja zawierała, oprócz apeli o jedność chrześcijan, także pochwałę rosyjskiego prawosławia i krytykę zeświecczonego Zachodu. Był to ułkon w stronę patriarchy, choć przecież Franciszek nie zrobił go wbrew sobie – rzeczywiście podziwiał, jak mówił, odrodzenie religijne Rosji, a sam nieraz kryty-

kował kapitalizm, konsumpcjonizm i indywidualizm. Nawet w kwestiach obyczajowych ma podobne do Cyryla zdanie, tyle że potrafi je delikatniej wyrazić.

Do kolejnego spotkania miało dojść w czerwcu tego roku w Jerozolimie. Jeszcze miesiąc temu papież mówił dziennikarzom, że bardzo mu na nim zależy. Dwa tygodnie później przyznał z żalem, że trzeba je odwołać, bo dyplomacja Watykanu uznała, iż „w obecnej sytuacji wprowadziłoby zbyt wiele zamieszania”. Teraz uznał Cyryla za nic nieznaczącego klakiera.

Wideo-rozmowa, której szczególnie Franciszek zdecydował się obecnie zdradzić, miała miejsce 16 marca. Z inicjatywą wyszedł Cyryl, który spotkanie online wykorzystał propagandowo: rosyjska opinia publiczna miała się dowiedzieć, że rzymski papież o wojnie w Ukrainie myśli podobnie jak patriarcha. Watykan ograniczył się wtedy do lakonicznego komunikatu. Milczenie było ceną za rozpoczęte właśnie negocjacje w sprawie wizyty Franciszka na Kremlu. W wywiadzie dla „Corriere della Sera” papież przyznał, że starania o zaproszenie do Rosji podjął w dwudziestym dniu inwazji.

W Watykanie Cyryl był uważany za najlepszy kanał dostępu do Putina. Sądzono, że z jego pomocą uda się przeprowadzić ewakuację cywilów z Mariupola. Jednak obiecaną zgodę trzykrotnie w ostatniej chwili cofano. Papież bardzo to przeżył. Okazało się, że potajemne negocjacje z Moskwą nie mają sensu. U podstaw polityki Kremla leży kłamstwo. Franciszek poczuł się oszukany.

„Ujadowanie NATO”

„Może gniew Putina został nie tyle sprowokowany, co ułatwiony? Może przez ujadowanie NATO pod drzwiami Rosji?” – zastanawia się teraz Franciszek w rozmowie z dziennikarzami. A po chwili, nawiązując do innych wojen toczących się w świecie, dodaje: „Nie można myśleć, że jeden wolny kraj wypowiada wojnę innemu wolnemu krajowi. W Ukrainie ktoś inny wywołał konflikt”.

Twierdzenie, że rosyjska agresja na Ukrainę była uzasadniona jako „działanie prewencyjne” mające zapewnić bezpieczeństwo Rosji przed panoszącym się tuż obok wrogiem NATO, to jeden z ulubionych argumentów Kremla, w dodatku dobrze sprzedawany w świecie. Można go usłyszeć wszędzie, gdzie Pakt Północno-

atlantycki traktowany jest jako zbrojne ramie amerykańskiego imperializmu. Dla nas brzmi to jak peerelowski slogan, ale mieszkańcy Azji, Afryki czy Ameryki Łacińskiej mają inne doświadczenia. Franciszek powiedział kiedyś, że patrzy na świat z „perspektywy Magellana” – człowieka, który z Europy się wywodzi, ale dopiero spojrzenie z oddali, z Ameryki Łacińskiej, pozwala mu na jej właściwą ocenę.

– Antyjankesizm to polityczne DNA większości demokratycznych ruchów na tamtym kontynencie. Nie tylko lewicowych czy marksistowskich – mówi mi Artur Domosławski, reporter i ekspert od Ameryki Łacińskiej.

Dla większości Polaków Stany Zjednoczone są synonimem demokracji i światowego bezpieczeństwa. Pamiętamy ich wsparcie dla Solidarności, sojusz prezydenta Reagana i Jana Pawła II w walce z komunizmem. Dla ludzi z Ameryki Łacińskiej to imperium, które w ich krajach wspierało reżimy dyktatorskie, odpowiadało za wojny domowe, finansowało krwawe szwadrony.

W ojczyźnie obecnego papieża antyamerykanizm też jest mocny, choć ma nieco inny rodowód. Jego ojcem był Juan Peron, prezydent Argentyny w latach 1945-55.

– Peronizm jest z pewnością ważnym punktem w biografii Franciszka – mówi mi Joaquín Morales Sola, publicysta argentyńskiego dziennika „La Nación”, znający się z Franciszkiem od ponad 30 lat. Potwierdza to, co słyszałem wielokrotnie, także w Watykanie, gdy próbowano mi wytłumaczyć skomplikowany system przekonań obecnego papieża. Bo peronizm to zlepek niemal wszystkich możliwych poglądów, który potrafił połączyć – przynajmniej na jakiś czas – ludzi lewicy i prawicy, konserwatystów i progresistów.

Domosławski wyjaśnia to na przykładzie Solidarności, która też była masowa i skupiała ludzi o skrajnie różnych światopoglądach: od nacjonalistów przez liberałów po radykalnych egalitarystów (choć w przeciwieństwie do peronizmu była ruchem oddolnym).

Morales Sola na to porównanie kręci głową – dla niego zbyt dużo było w peronizmie faszyzmu (Juan Peron był attaché wojskowym w Rzymie za Mussoliniego) i populizmu. Choć program sprawiedliwości społecznej mógł porwać ludzi, w tym nastoletniego Bergoglio.

Jedną z najważniejszych cech tego politycznego nurtu była tzw. trzecia droga – zachowanie neutralności w czasach zimnej wojny i jednakowy dystans do Związku Sowieckiego i USA.

Morales Sola nie nazwałby jednak papieża peronistą. Tłumaczy, że dzisiejszy peronizm różni się od tego sprzed lat, a z kilkoma ostatnimi prezydentami Argentyny kard. Bergoglio był skonfliktowany. Uważa, że poglądy Franciszka to po prostu nauka społeczna Kościoła, z której Juan Peron czerpał pełną garścią. A jeszcze bardziej – Ewangelia, która jest czystszy źródłem pacyfizmu papieża niż jakakolwiek doktryna polityczna. Pacyfizmu radykalnego, tak jak radykalne jest Franciszkowe chrześcijaństwo.

Obaj moi rozmówcy są zgodni, że antyamerykanizm obecnego papieża nie oznacza sympatii do Rosji. My uważamy, że albo się jest po jednej, albo po drugiej stronie. Argentyniacy mówią, że jest też strona trzecia.

To prawda, że w latynoamerykańskich mediach powszechny jest pogląd, iż konflikt w Ukrainie jest wojną Rosji z USA i NATO. Ale jednocześnie wydarzenia na wschodzie Europy przedstawiane są jako walka wyzwolenicza z rosyjskim imperiaлизmem. To pojęcie zrozumiałe i bliskie

tamtejszym czytelnikom. Dlatego większość trzyma stronę Ukraińców.

Omylny i samotny

Na opinii o prorosyjskim papieżu zaważyły pierwsze dni inwazji. Co prawda papież odciął się od słów Sekretariatu Stanu na temat „operacji militarnej” (tak inwazję określa Putin, słowo „wojna” jest w Rosji zakazane), ale wpadka i tak poszła na jego konto.

Do obrazu symetrysty przyczynił się też jego apel do „wszystkich zaangażowanych stron” o powstrzymanie się „od jakichkolwiek działań, które prowadzą do cierpienia ludzi”. Brzmiało to jak wezwanie do Ukraińców, by zaniechali obrony swego kraju. Tyle że Franciszek wypowiedział te słowa podczas audyencji generalnej 23 lutego, dzień przed rozpoczęciem rosyjskiej inwazji.

Gdy prześledzimy wszystkie późniejsze wypowiedzi Franciszka o inwazji, nie znajdziemy ani jednej, która byłaby prorosyjska. Jest wiele pojedynczych zdań, które pozwalają na interpretację w jedną czy drugą stronę, ale to nie to samo. Chętnie zostały podchwyczone przez media, stając się przedmiotem oburzenia, krytyki, memów. Okazały się też użyteczne dla rosyjskiej propagandy.

→

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

Ś.†P.

Marię Nowińską „Myszę”

Lwowiankę z urodzenia, krakowiankę z wyboru,
która zasnęła w Panu w dniu 23 kwietnia 2022 r., w wieku 90 lat.

Była lekarką o wielkim sercu, bezgranicznie oddaną pacjentom, zaangażowaną przez ponad 50 lat w służbę na rzecz drugiego człowieka. Osobą pełną ciepła, troski i życzliwości dla ubogich, chorych i cierpiących, laureatką nagrody „Amicus Hominum” Samorządu Województwa Małopolskiego w 2017 r. dla osób działających na Rzecz Dobra Innych.

Doktor Maria – „Mysza” – przez lata współtworzyła społeczność Apteki Darów przy ul. Na Błonie w Krakowie, gdzie służyła potrzebującym.

Będzie nam Jej bardzo brakowało.

Rodzinie Zmarłej składamy wyrazy głębokiego współczucia

**PRZYJACIELE Z APTEKI DARÓW – STOWARZYSZENIA POMOCY
OBYWATELSKIEJ IM. ANNY FISZEROWEJ**

→ Wizerunkowej katastrofie pewnie dałoby się zapobiec, gdyby nie chaos w Watykanie. Przede wszystkim komunikacyjny. Pięć lat temu, podczas reorganizacji dykasterii komunikacji, Franciszek uznał, że sam będzie swoim rzecznikiem prasowym. To nie mogło skończyć się dobrze. Matteo Bruni, dyrektor Sala Stampa, rzecznikiem jest tylko z nazwy – jego rola ogranicza się do zarządzania biurem prasowym i przekazywania oficjalnych komunikatów. O tym, co robić w sytuacjach kryzysowych (do których prowadzą na przykład niektóre wypowiedzi papieża), nikt nie ma pojęcia.

Służby prasowe nie reagują na czas, nie odpowiadają na pytania. Czaszy Joaquína Navarro-Vallsa czy o Federica Lombardiego, którzy potrafili w każdej sytuacji cierpliwie i kompetentnie tłumaczyć dziennikarzom, co dzieje się w Pałacu Apostolskim, odeszły wraz z poprzednimi papieżami. Odsieczy Torniellego i Spadaro nadchodzą z opóźnieniem. Wszystko to można podsumować krótko: za późno, za mało.

Pracy swoim służbom nie ułatwia sam papież. O niektórych jego wywiadach telewizyjnych czy prasowych Sala Stampa dowiaduje się niemalże po fakcie. Do Domu św. Marty trafiają różni dziennikarze – własnymi ścieżkami. Wywiady zwykle nie są autoryzowane.

Franciszek nie ułatwia też pracy swojej dyplomacji. Można odnieść wrażenie, że prowadzi osobną, własną, czasem tylko zbieżną z działaniami Sekretariatu Stanu. Teraz, w sprawie rosyjskiej inwazji, obie poniosły porażkę, co pogłębiło rozgoryczenie i wzajemne pretensje.

Papież jest uparty, przekonany o własnej racji, a przecież nie jest nieomylny. Przynajmniej gdy mówi o sprawach wojny i polityki. I jest samotny, czemu trudno się dziwić.

Patrzy na świat ze swojej własnej perspektywy. Ukształtowała ją Ewangelia, argentyńska kultura, jezuicka szkoła, franciszkańska natura. Nie jest to perspektywa Putina ani Ukraińców, Polaków czy Amerykanów.

W lipcu 2016 r. w Krakowie, podczas spotkania z jezuitami, Franciszek mówił: „Świat nie jest czarno-biały. Ma tyle odmian szarości, że aż można się pogubić”.

Fakty mówią, że się pogubił.

© P EDWARD AUGUSTYN

Mikołaj nie pękł

O. MICHAŁ OSEK,
PRZEOR GDAŃSKIEGO KLASZTORU
DOMINIKANÓW:

Mam przekonanie, że nawet nasze odkrycia nie pozwalają mi mówić innym w trudnych chwilach: „Nie martw się, będzie dobrze”.

JOANNA WIŚNIEWSKA: Uff!

O. MICHAŁ OSEK OP: To „uff” trwa już od jakiegoś czasu. Kościół stoi, sklepienia są naprawione. Przygotowujemy się do odtworzenia zabytkowej posadzki, która była ewakuowana z nawy południowej. Teraz, ilekroć wchodzę do środka, nie opuszcza mnie poczucie wdzięczności, choć pracy przed nami jeszcze bardzo dużo.

Zabytkowej bazylice św. Mikołaja w Gdańsku groziła katastrofa budowlana.

Jesienią 2018 r. zaobserwowaliśmy postępujące pęknięcia na sklepieniu, posadzce i filarach. Z dnia na dzień wygradzaliśmy coraz większą część kościoła, żeby zapewnić bezpieczeństwo wiernym. Pierwsze ogrodzenie było zrobione z krzeseł, mało profesjonalnie. Potem pojawiły się wygradzenia taśmą, następnie siatki budowlane, a w końcu decyzja o zamknięciu kościoła w sercu Gdańska. Ojciec Maciej, mój poprzednik, powiedział wtedy, że to najtrudniejsza decyzja w jego życiu.

Co działo się potem?

Błyskawicznie powołaliśmy zespół specjalistów i rozpoczęliśmy badania. Stare zabytki nie mają projektu, nie wiadomo do końca, jak je zbudowano i jakie techniki przyjęto. Dlatego na początku wykonano szereg sond, badań architektonicznych, pomiarów, odkrywek, analiz. To zwiększyło naszą wiedzę o początkach tego monumental-



nego kościoła i pozwoliło stworzyć model budynku, który pomógł nam wytytować najlepsze rozwiązania ratunkowe.

Kiedy pojawiły się pierwsze dobre wieści?

Szybko. Pierwsza wpłata, która wpłynęła na konto klasztoru, zatytułowana była: „Mikołaju, nie pękaj!”. To była dla nas informacja, że nie jesteśmy z tym sami, że ktoś chce pomóc. Były też spotkania z różnymi znawcami tematu, jeden z nich powiedział: „Ten problem jest naprawialny”. To też były dobre wieści.

Skąd wzięliście pieniądze?

Przede wszystkim wykorzystaliśmy możliwości ustawowe związane z pomocą w opiece nad zabytkami. Przygotowaliśmy wnioski do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Gminy Miasta Gdańska, Samorządu Województwa Pomorskiego, żaden z nich nie został odrzucony. Zwracaliśmy się do różnych fundacji i firm. Dzięki temu wsparciu po 21 miesią-



MARTYNA NIECKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

Papieski parasol z 1928 r. odnaleziony w czasie remontu bazyliki św. Mikołaja w Gdańsku.
15 listopada 2021 r.

cach byliśmy w zupełnie innej sytuacji: przebadane zostały grunty pod kościołem, sklepienia były podparte specjalnym rusztowaniem wsporczym, wzmocniono niektóre elementy konstrukcji, kościół zyskał dokładne opomiarowanie, informujące o każdej anomalii. Dzięki temu mógł zostać otwarty.

Co poczuliście?

Tuż przed otwarciem mobilizację, radość i poczucie, że patrzy na nas historia. Ale wszystko trzeba było przygotować na nowo, a nawet przyzwyczaić się do myśli, że ktoś będzie w kościele. Już zapomniałem, jak to jest. Do tego trzeba było posprzątać. Podczas prac wyposażenie kościoła niemal w całości było przyślonięte czarnymi foliami. Gdy je zdjęto, pojawiały się barokowe rzeźby z ołtarzy, nasi dawni dobrze znani święci. To sceny niemal filmowe.

Pierwsza msza po otwarciu?

Pierwsze były niespory. Zorganizowaliśmy je dla osób, które są w naszych

duszpasterstwach. Ludzie płakali, gdy wchodzili do kościoła. A pierwszą mszę odprawił ojciec, który sprawował ostatnią liturgię przed zamknięciem. Jako pierwsza próg przekroczyła nasza najstarsza parafianka.

Czego nauczyła Was ta sytuacja?

To była szkoła komunikacji z naszymi parafianami. Musieliśmy przygotowywać precyzyjne informacje, gdzie odprawiamy msze, bo korzystaliśmy z gościnności innych gdańskich kościołów. Sporo w tym czasie zmieniło się w relacji duszpasterze–parafianie. To był pastoralny przewrót. Teraz robimy więcej. Wiemy, jak ważna jest informacja, chociażby ta o finansach. Informujemy naszych wierznych, ile otrzymujemy pieniędzy i jak je wydajemy, a także o postępach remontu – pokazujemy zdjęcia z prac, angażujemy w sprawę wszystkich zainteresowanych.

A co z relacjami?

Nagle i niespodziewanie znaleźliśmy się w małej przestrzeni. Poranną liturgię

odprawialiśmy w jednej z sal klasztoru – to nie to samo, co w bazylice, gdzie ludzie siedzą hen, daleko. Tu widać wszystko – znudzenie, zmęczenie, wszelkie reakcje na głoszone kazanie. Na początku było to onieśmiałające. Ale nie chciałbym już, żeby było jak wcześniej. Dystans w kościele nie jest potrzebny. Szkoda byłoby znać się tylko z widzenia, nie mieć relacji i nie witać się z sobą. Mamy wielką pomoc w naszych przyjaciółach, także taką prostą i codzienną, jak np. esemes, że w zakrystii ktoś zapomniał zgasić światła.

Kolejne prace przyniosły także odkrycia.

Było ich kilka. Znaleźliśmy jedną z chórągiewek, które zdobiły elewację kościoła od strony murów miejskich. Miały cieszyć oko i pokazywać splendor Gdańska. Nie wiedzieliśmy wcześniej, jak wyglądały. Odkryliśmy średniowieczną niszę w kościele, do tej pory zamurowaną. Do tego gotycki portal, jeden z najstarszych w mieście. Ale i barokowe, ażurowe drzwi, zabite współczesnymi płycinami. Polichromie na schodach imitującą kamienną posadzkę. Odkryliśmy też papieski parasol.

O nim było najgłośniejsze.

Papieskie *ombrellino*. Do okrycia doszło prozaicznie. Podczas wynoszenia starych dywanów okazało się, że w środku zawinięty jest parasol. Odkrył to brat Krzysztof i wysłał mi esemesa: „Tu jest jakiś parasol, do niczego się nie nadaje, wyrzucamy”. Od razu zbiegłem do kościoła i uderemniłem ten plan. Wiedzieliśmy, że w 1928 r. kościół uzyskał tytuł bazyliki mniejszej, a *ombrellino* było jednym z regaliów papieskich, które przyznawano takim miejscom. Trzeba więc było parasol ratować, bo przez dekady leżał w wilgotnej krypcie, narosły na nim grzyby. Był bardzo zniszczony. Udało się go uratować dzięki kilku dotacjom, a za tę największą od miasta mogliśmy wszystko doprowadzić do końca.

Nie wszystkim podobało się, że samorząd płaci za „parasolkę”.

To niestandardowy zabytek i on sam może się podobać lub nie, ale to nie tylko kościelne dziedzictwo. Każdego, kto krytykuje przekazywanie pieniędzy na konserwację zabytków kościelnych, oprowadziłbym po tym miejscu, pokazał, ile jest tu historii, ile kontekstów związanych

→ z miastem, różnymi rodzinami. Jak w soczewce można tu przeglądać dawne dzieje. To miejsce uprzywilejowane, jeśli chodzi o zachowanie wspólnego dziedzictwa. Szkoda by było, żeby tylko ze względu na to, że mamy różne światopoglądy, utracić je na zawsze. Chyba taka jest idea ochrony zabytków, chronimy wszystko, co mówi o naszej historii.

Ale to nie było ostatnie odkrycie?

Nie, niedawno naszym oczom ukazały się relikty klatki schodowej prowadzącej do lektorium. Dla laików może to wydawać się niezbyt atrakcyjne odkrycie, ale dla badaczy historii średniowiecza to coś absolutnie wyjątkowego. Potwierdzenie tego, co wcześniej było jedynie przypuszczeniem – jak takie schody wyglądały. Do tej pory nie wiedzieliśmy o ich istnieniu, zamurowano je w końcu XVII wieku. „Elektryzujące” – takie były komentarze w środowisku historyków na temat tego odkrycia. Teraz staramy się o remont tego miejsca. Poza tym wiele dowiedzieliśmy się o naszych zabytkach, np. okazało się, że w centrum Gdańska mamy średniowieczne przedstawianie pasji symultanicznej, czyli pokazanie Chrystusa i jego męki. Kiedyś przyciągało to uwagę, było bardzo kolorowe. Przeznaczono je dla zakonników, żeby mogli przeżyć w kościele mistyczną pielgrzymkę do Ziemi Świętej.



KAROL MAKURAT / REPORTER

O. MICHAŁ OSEK (ur. 1987) jest od 2019 r. przeorem dominikańskiego klasztoru w Gdańsku. W zakonie od 2007 r. Po święceniach w 2014 r. pracował m.in. w redakcji miesięcznika „W drodze”.

Istniała groźba zawalenia kościoła, a tu co rusz nowe odkrycia. Piękna metafora.

Cóż, życie. Gdy coś się w życiu wali, trudno myśleć, że może być inaczej. Nasze trudy jeszcze się nie skończyły, ale wiele etapów za nami. Pokonaliśmy różne schematy, w klasztorze bez kościoła nie można już było powiedzieć:

„Zawsze tak było”. Okazało się, że są lepsze rozwiązania duszpasterskie i że można jeszcze bardziej oszczędzać.

A co Ojcu dała ta sytuacja?

Poza kilkoma siwymi włosami, także odwagę w łamaniu przyzwyczajeń i myśl, że jeśli możesz coś zmienić na lepsze, zrób to teraz. Zmiany są dobre, także te w Kościele.

Można potraktować to jako metaforę ludzkiego życia, wyjścia z choroby, kryzysu i wydobycia pewnych skarbów?

Chyba tak, ale mam przekonanie, że nawet takie doświadczenia nie pozwalają mi mówić w trudnych chwilach innym: „Nie martw się, będzie dobrze”. Gdyby jesienią 2018 r. ktoś tak mi powiedział, nie potraktowałbym go jako osobę racjonalnie myślącą.

Jaka część kościoła nadal pozostaje do remontu?

Ta, do której nadal nie możemy wejść – nawa południowa. W naszym kościele można zobaczyć jednocześnie złote barokowe ołtarze, niezwykle cenne wyposażenie, a tu obok piasek, folie i rusztowanie. To dobra metafora Kościoła do zobaczenia na żywo.

© Rozmawiała JOANNA WIŚNIEWSKA

Sąd Rejonowy w Opolu Lubelskim informuje, że postanowieniem wydanym 3 marca 2022 roku w sprawie I Ns 342/21 zezwolił Markowi Januszowi Kalinowskiemu na złożenie do depozytu sądowego zasądzonych od niego wyrokami Sądu Rejonowego Lublin-Zachód w Lublinie z dnia 30 czerwca 2016 roku w sprawie IV K 620/15 tytułem odszkodowania kwot: 256,76 zł na rzecz Ahead Software GmbH; 369,28 zł na rzecz Win.Rar GmbH; 189,06 zł na rzecz Elaborate Bytes AG; 818,55 zł na rzecz Stirling Technologies Inc.; 478,29 zł na rzecz ABBYY Software House; 224,53 zł na rzecz CyberLink Corp.; 320,04 zł na rzecz Christian Ghisler & Co.; 160,33 zł na rzecz ACD Systems LCD; 50,70 zł na rzecz Daunpol spółki z ograniczoną odpowiedzialnością Wydawnictwa Kartograficznego; 320,83 zł na rzecz Jeppssen; 530,19 zł na rzecz Naviter do.o. 99,90 zł na StrategyFirts; 1007 zł na rzecz Pinnacle Systems GmbH; 28,77 zł na rzecz Mediamond; 267,18 zł na rzecz Kaspersky Lab; 1990 zł na rzecz Corel z zastrzeżeniem, że kwoty te mają być wydane na rzecz ww. podmiotów lub ich następców prawnych.

Sąd wzywa ww. podmioty lub ich następców prawnych do odbioru depozytu. W razie niepodjęcia depozytu Sąd stwierdzi likwidację, przy czym z chwilą likwidacji niepodjętego depozytu na Skarb Państwa przechodzą wszelkie korzyści i ciężary, jakie przyniósł od dnia, w którym znalazł się w dyspozycji przechowującego depozyt, zaś likwidacja niepodjętego depozytu nie uchyła skutków prawnych wynikających ze złożenia przedmiotu świadczenia do depozytu, określonych w odrębnych przepisach.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim

Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 526/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Adamie Włodzimierzu Skwiecińskim, zm. 5 marca 2021 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie

Wydział Cywilny pod sygn. I Ns 136/22 z wniosku Piotra Nowosada toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Chodyńskiej, zmarłej 2 stycznia 2022 roku w Chełmie, ostatnio zamieszkałej w Chełmie.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W mieście proroków

MARCELINA SZUMER-BRYSZ
Z ŞANLIURFY (TURCJA)

Tutaj według miejscowej tradycji przyszedł na świat prorok Abraham. Do jaskini, w której miał spędzić pierwsze lata życia, ciągną pielgrzymki – nie tylko muzułmanów.

NA DZIEDZIŃCU PRZED MECZETEM Świętego Narodzenia (Mevlid-i Halil Camii) w Şanlıurfie we wschodniej Turcji spory tłum. Kobiety w kolorowych chustach i długich sukniach, mężczyźni w islamskich nakryciach głowy i szerokich spodniach, no i dzieci, co chwilę wbiegające z głośnym śmiechem w stado gołębi, które wydziobują z płyty żółtego piaskowca rzucane im hojnie okruchy. Podniosłą atmosferę miejsca nieco zaburza codzienność pielgrzymów: ktoś w podcieniach je kanapkę, ktoś inny pije wodę albo pozuje do pamiątkowych zdjęć.

Meczec powstał w 1523 r., z polecenia paszy Muhammeda Seleha. Miasto, zwane wcześniej Edessą, od dawna było już wtedy częścią imperium osmańskiego. Różne tradycje mieszały się tu jednak od samego początku. Na miejscu meczetu w czasach bizantyjskich stał kościół Hagia Sofia, a w pierwszym wieku po Chrystusie inna chrześcijańska świątynia. Zanim powstała, modlili się tu Żydzi. Przed synagogą była z kolei świątynia pogańska.

Ale mało kto z obecnych na dziedzińcu pnie się po schodkach do drzwi meczetu. Wszyscy kierują się gdzie indziej: do niewielkich drzwi w podcieniach po lewej stronie, przedzielonych drewnianym przepierzeniem oddzielającym kobiety i mężczyzn. Choć to jeszcze nie świątynia, już należy zdjąć buty. Wejście jest niskie, trzeba się mocno pochylić. W niewielkim pomieszczeniu zastają rozmodlone kobiety, wpatrujące się w słabo zresztą widoczne wnętrza jaskini, oddzielone zaparowaną szklaną ścianą. Niektóre mo-



Sadzakwa Abrahama. Şanlıurfa, Turcja, marzec 2022 r.

dła się głośno, inne tylko kiwają w rytm wewnętrznej modlitwy, inne szlochają. Wszystkie wierzą, że właśnie w tym miejscu urodził się Abraham.

Zły król i dzieciątko

Choć nie ma zgody co do rzeczywistego miejsca narodzin proroka, tradycja islamska przyjmuje, że była to właśnie Şanlıurfa, a nie wskazywane przez Biblię Ur w dzisiejszym Iraku. Na potwierdzenie tej tezy podaje się między innymi fakt, że Abraham mieszkał później w krainie Haran. Tę zaś od Şanlıurfy, do lat 80. zeszłego wieku zwanej po prostu Urfa, dzieli niepełna 40 kilometrów. To w Harranie Bóg miał powiedzieć do Abrahama: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukazać” (Rdz 12, 1). Jednocześnie obiecał leciwemu już przecież prorokowi, że uczyni z niego wielki naród i rozślawi go na cały świat.

Wróćmy jednak na chwilę do jaskini narodzenia. Przed przyjściem Abrahama na świat wyrocznia miała przepowiedzieć królowi Nemrodowi, że niebawem urodzi się chłopiec, który pozbawi go władzy. Król – znana historia – nakazał zabić wszystkie niemowlęta, lecz matka proroka ukryła się w jaskini i tam jej syn przyszedł na świat. Ukrywali się tak przez pierwszych siedem lat życia Abrahama, nie rozpalając nawet ognia, by nie zdradzić kryjówki. Żywili się więc surowym mięsem, które matka proroka mieszała z kaszą bulgur. Tak wychował się prorok i tak powstały ciąg köfte – tutejszy przysmak z surowego mięsa.

To nie koniec legend. W odległości spaceru od Mevlid-i Halil Camii znajduje się kolejne miejsce związane z prorokiem. Balıklıgöl – dosłownie „staw z rybami”, śliczne jezioro z turkusową wodą, otoczone misterną kolumnadą z jasnego piaskowca. Miejsce zwane jest też sadzakwą Abrahama. Gdy Nemrod skazał (już drugi raz) proroka na śmierć za niszczenie posągów bożków, u podnóża zamku rozpalono wielki ogień. Król stracił węń Abrahama, ale Bóg zamienił ogień w wodę, a rozżarzone węgle w ryby, które do dziś pływają w sadzakwie i uchodzą za święte. Cud ów został opisany w 21. surze Koranu, noszącej tytuł „Prorocy”.

Prorok nad prorokami

Koran wspomina też wielu innych proroków. Dlaczego więc Abraham darzony jest przez wiernych taką atencją? Odpowiedź znajdujemy w książce islamskiego teologa Tariqa Ramadana „Śladami Proroka”. Przedstawia on Abrahama jako archetyp, najdoskonalszy wzór muzułmanina: człowieka, który całym sobą ofiarowuje się Bogu. „Koran podkreśla owo szczególne powiązanie z Abrahamem poprzez stanowcze, nieustanne wyrażanie czystego monoteizmu, przywiązania człowieka do boskiego planu, dostępu serca do Jego uznania oraz do Jego pokoju poprzez samo ofiarowanie. Takie znaczenie ma słowo islam, które zbyt często tłumaczy się pospiesznie jako koncepcję poddania, jednak zawiera ono również dwojakie znaczenie: »pokoju« i »szczerego samo-ofiarowania«. A zatem

→ muzułmanin to człowiek (...), który dąży do osiągnięcia bożego pokoju poprzez ofiarowanie samego siebie Najwyższej Istocie”.

Abraham czyni to, wypełniając za każdym razem wolę Boga, gdy ten wystawia go na próbę, a nawet kilka prób. Pierwszą – gdy Sara, żona Abrahama nakazuje mu wypędzenie Hagar, niewolnicy, która wcześniej urodziła prorokowi syna Ismaila. Zarówno prorok, jak i jego nałożnica cierpią, ale upatrują w tym wygnaniu wypełnienia boskiej woli, zwłaszcza po tym, jak Bóg obiecuje Abrahamowi, że pobłogosławi Ismailowi i uczyni go wielkim narodem. Druga próba, dobrze nam znana z Księgi Rodzaju, dotyczy młodszego, ukochanego syna. Koran opisuje to wydarzenie nieco inaczej niż Biblia, w obu jednak przypadkach chodzi o bezwzględne, pokorne poddanie się Abrahamu boskiej woli, które ostatecznie zostaje nagrodzone. Zgodnie z przekazem Koranu, Bóg jest obecny przy Abrahamie przez cały czas tej próby, podczas gdy w wersji biblijnej Abraham jest sam.

Abraham dla muzułmanów jest nie tylko wzorem wiernego, który ufa Bogu i jest gotów wszystko poświęcić. Jest też protoplastą ostatniego proroka: Mahometa. Ten przecież wywodzi się z rodu, któremu początek dał Ismail, wypędzony przez Abrahama, a pobłogosławiony przez Allaha syn proroka i Hagar.

Nie tylko muzułmanie

Wiedząc to, przestajemy się dziwić rozmodlonym kobietom w jaskini proroka

i pielgrzymom, którzy z namaszczeniem wpatrują się w wody sadzawki Abrahama. Nie tylko tu, ale w całej Şanlıurfie odczuć można rodzaj duchowego uniesienia. W zakątkach gwarne bazaru siedzą długobrodzi wytwórcy i sprzedawcy tespihów – islamskich różańców służących wiernym do modlitwy. Przy ich stoiskach co chwilę pojawiają się religijni mężczyźni w strojach, które trudno byłoby dostrzec w innym tureckim mieście. Bo na Abrahamie historia Şanlıurfy się nie kończy. Tradycja mówi, że również Hiob wywodzi się z tego miasta i właśnie tu ukrywał się w jednej z jaskiń, gdy Bóg dotknął go trądem. Do studni, z której tryśnęła ponoć zesłana przez Boga uzdrawiająca woda, również ustawiają się kolejki pielgrzymów.

Nie ma wśród nich wielu chrześcijan. A szkoda, bo w Şanlıurfie żywa jest też pewna legenda związana z Jezusem. Chodzi o Mandylion – wizerunek Jezusa „nie ludzką ręką uczyniony”. Gdy król Edessy Abgar V zachorował, wysłał do Jezusa swojego sługę z prośbą, by ten przybył i go uzdrowił. Syn Boży nie mógł tego uczynić, posłał więc swojego ucznia i listy do władcy. Cytowane przez Euzebiusza z Cezarei listy na początku VI wieku uznano za apokryfy. To pierwsza wersja historii. Druga mówi o tym, że wysłannik władcy miał za zadanie sporządzić portret Jezusa. Nie umiał tego zrobić, poprosił więc Jezusa, by przyłożył twarz do chusty. Powstały w ten sposób portret uzdrowił władcę i na całe lata stał się relikwią, której przypisywano cudowną moc ochrony

miasta przed najeźdźcami. W VIII wieku wizerunek trafił do stolicy Bizancjum i był tam przechowywany do 1204 r., kiedy to zaginął po czwartej krucjacie.

Był też w historii moment, w którym ówczesna Edessa stała się prężnie działającym ośrodkiem chrześcijaństwa. Chrześcijańskie gminy istniały tu już w II wieku. Gdy miejscowy władca nawrócił się na chrześcijaństwo, wokół miasta powstały liczne klasztory. Sprowadzano relikwie św. Tomasza Apostoła. Mieściła się tu także szkoła teologiczna Efrema Syryjczyka – późniejszego doktora Kościoła, komentatora Pisma Świętego i krzewiciela kultu maryjnego.

W mieście nie zachowało się wiele zabudów związanych z chrześcijaństwem, jednak spacerując po wąskich uliczkach dojdziemy w końcu do placu Ellisekiz. Znajduje się tu kościół świętych Piotra i Pawła, postawiony w 1861 r. na ruinach świątyni chrześcijańskiej z VI wieku. Ostatnie msze odprawiono tu w pierwszym roku istnienia Republiki Turcji. Od 1924 r. świątynia służyła kolejno jako fabryka tytoniu i magazyn winogron. Teraz mieści się tam centrum kultury, w którym odbywają się imprezy, spotkania i koncerty. Mimo to chrześcijańscy pielgrzymi, którzy dotrą do Şanlıurfy, nie będą rozczarowani. Samo miasto jest jak jeden wielki kościół.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Oprócz książki cytowanej w tekście korzystałam też z: Müslüm Cengizhan Akalin „Şanlıurfa. Başlangıcın tarihi”.



„UKOS ŚWIATŁA” na Krakowskim Festiwalu Filmowym 2022!

Wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego film „UKOS ŚWIATŁA” w reżyserii Wojciecha Szumowskiego **został zakwalifikowany do polskiego konkursu filmów dokumentalnych na 62. KRAKOWSKIM FESTIWALU FILMOWYM.**

Tegoroczna edycja Festiwalu odbędzie się w dniach **29 maja–5 czerwca** w krakowskich kinach oraz **3–12 czerwca** na festiwalowej platformie streamingowej KFF VOD.



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



ZUZANNA

Radzik:

Tygodnie pamięci



HUK PARADUJĄCYCH PO NIEBIE SAMOŁOTÓW, a od sąsiada skoczna muzyka i zapach grilla. Nie, to nie majówka, tylko izraelskie Święto Niepodległości. Ojcowie założyciele kraju chcieli świętować hucznie i na zewnątrz. Zamiast w domach, jak w diasporze, we własnym kraju święto jego powstania miało być celebrowane na ulicach i w parkach. Miało odtwarzać tamtą eksplozję radości, z jaką przyjęto niepodległość, i włączać w nią nowoprzybyłych, bo społeczeństwo powiększało się szybko i nie wszyscy ów moment pamiętali.

„To są takie trzy tygodnie” – powtarzają nam wszyscy, gdy czternaście dni wcześniej lądujemy w Izraelu, między Pesach a Dniem Pamięci o Zagładzie, który o tydzień wyprzedza Dzień Pamięci o Poległych i Dzień Niepodległości. Takie trzy tygodnie, gdy religijne święto i następujące po nim święta państwowe tworzą tożsamościowy cykl. Idealny czas, by sprawdzić, jaka jest izraelska pamięć o Zagładzie i jak kształtuje społeczeństwo, bo po to przywiozłam tu grupę aktywistów z Polski.

„To są takie trzy tygodnie” – powtarzają nam wszyscy, gdy czternaście dni wcześniej lądujemy w Izraelu, między Pesach a Dniem Pamięci o Zagładzie, który o tydzień wyprzedza Dzień Pamięci o Poległych i Dzień Niepodległości. Takie trzy tygodnie, gdy religijne święto i następujące po nim święta państwowe tworzą tożsamościowy cykl. Idealny czas, by sprawdzić, jaka jest izraelska pamięć o Zagładzie i jak kształtuje społeczeństwo, bo po to przywiozłam tu grupę aktywistów z Polski.

Zanim się jednak zacznie czas intensywnej nauki, prosto z lotniska jadę do znajomych. Przy świątecznym (ostatni wieczór Pesach), choć zupełnie świeckim stole czekają na mnie trzy pokolenia wywodzącej się z Polski rodziny, w której jeszcze niedawno myślano o naszym kraju z pewną niechęcią. Teraz na zmianę pytają o Warszawę, uchodźców i wojnę, wspominają, debatują o polityce. Dzień później zamienię tu parę słów po polsku z ocalałą z Zagłady. Nie będę pytać, jak się uratowała, bo pamiętam, ile złych emocji budziła w jej synu Polska jeszcze 4 lata temu.

Dla mnie te tygodnie ekspresji izraelskiej pamięci i tożsamości rozpoczynają się przy tym właśnie stole. Chyba dokładnie w momencie, gdy wędruję wzrokiem po ścianie hebrajskich książek, nowych i takich po dziadkach. W tyłu żydowskich domach gościłam na różnych kontynentach i zawsze mnie uderzała różnica ze światem, w którym się jest

większościową kulturą, a hebrajski to język codzienności. Życie na własnych warunkach... „Być wolnymi we własnym kraju”, będą śpiewać w hymnie o nadziei na zakończenie każdej z uroczystości przez następne tygodnie.

Zwykle jestem sceptyczna wobec patriotycznych imprez, ale teraz idę za tym wzruszeniem i wchodzę w cykl cudzych świąt państwowych z nową empatią. Może gdy wojna za progiem, jakoś łatwiej zrozumieć powtarzane tu deklaracje, że musimy być mocni i umieć się obronić? Może gdy słucha się przez tydzień w Jad Waszem o Zagładzie i tożsamości, to, co widzę za oknem, wydaje się mniej oczywiste?

Fascynujące są argumenty stojące za takim właśnie rytmem publicznej liturgii Izraela. Liturgii świeckiej, ale grającej na motywach tego, co znane: zapalania ognia niczym świecy, syreny niczym dźwięku szofaru. Dwanaście zniczy odpalanych w święto Niepodległości z czasu otwierających je uroczystości na Górze Herzla to oczywiście symbol zebranych znów razem dwunastu pokoleń. Sama zaś góra, czyli wojenny cmentarz, na który przeniesiono z Europy grób Teodora Herzla, stała się poniekąd sanktuarium narodowym.

Nic tu nie było oczywiste, nawet data. W końcu wybrano tę bliską Pesach. Niecały tydzień później wspomniana jest Zagłada, a po siedmiu dniach Dzień Niepodległości, jakby żałoba (według tradycji trwająca siedem dni) była kończona hucznym powrotem do życia. Trochę jak Pesach *à rebours*, mówiące: wróciliśmy na naszą ziemię bez niczyjej pomocy. Nieco później dodano Dzień Pamięci o Poległych, który w pierwszych latach naturalnie zawierał się w obchodach niepodległości. Wojen jednak przybyło.

Pamięć wplątana w wiosenne trzy tygodnie tylko pozornie jest prosta. Im bardziej emancypują się różne grupy w izraelskim społeczeństwie, tym bardziej ją trzeba rozpisywać na głosy. Dodać opowieści, których dotąd nie słuchano, i spleść w coś wspólnego. To już nie jest pamięć Izraela tworzonego kiedyś przez aszkenazyjskie elity. Musi pomieścić różne doświadczenia Zagłady, również greckich czy północnoafrykańskich Żydów, niedawno dodane do wystawy w Jad Waszem. Przypomnieć w dzień poległych etiopskiego żołnierza, znaleźć na Górze Herzla miejsce na pomnik żydowskich żołnierzy polskich armii, ale też na stojący nieopodal pomnik migrantów z Etiopii, upamiętniający cztery tysiące zmarłych w drodze do Izraela.

Ale spokojnie. Nieznośnie kiczowate płasy, piosenki i pokazy musztry na scenie przy grobie Herzla uchronią od dalszych wzruszeń.

©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● **BIELSKO-BIAŁA**, czwartek 19 maja, spotkanie z prof. Tadeuszem Sławkiem, „A jeśli nie trzeba się uczyć...” / stacjonarne /



KLUBYTYGODNIKA.PL

STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

● **RZESZÓW**, czwartek 19 maja, spotkanie z s. Barbarą Chyrowicz, „Chcieć albo nie chcieć: oto jest pytanie” / stacjonarne /

● **ZIELONA GÓRA**, piątek-sobota 20-21 maja, debaty na 5-lecie Klubu / stacjonarne /

REZERWUJ
ZAS!Więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

OBRONA MANEWROWA

Rosyjska armia próbuje odciąć Donbas od reszty Ukrainy. Gdzieś na wschód od Charkowa, na kluczowym teraz odcinku frontu, ukraińscy żołnierze walczą o to, aby ten plan udaremnić.

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z LINII FRONTU W OBYWODZIE CHARKOWSKIM



NIE MA TUTAJ ROZBUDOWANYCH OKOPÓW, głębokich i krętych, z którymi koczują wojenne fronty. Widać tylko wryte w ziemi jamy, przykryte gałęziami i sianem, które rozsiane są na osłoniętym drzewami terytorium. To w nich żołnierze mogą znaleźć chwilę wytchnienia, a także schronienie w razie zagrożenia. A ono jest nieustające: nad głowami co chwila świszczą pociski artyleryjskie.

– Przeleciał nad nami – mówi 21-letni żołnierz Serhij po tym, jak jeden z takich świstów rozlega się głośnie.

– Niech Bóg błogosławi ich celowniczego – ironizuje 39-letni Andrij.

Serhij przyznaje, że gdy naprawdę jest gorąco, to już się nauczyli, aby wskakiwać do jamy z ogromną prędkością. Tam przeczekują ostrzał, a potem od razu wycho-

dzą na pozycje, aby nie dać się zaskoczyć rosyjskiej grupie dywersyjno-rozpoznawczej. Zdarza się, że pod osłoną artylerii takie grupy uderzeniowe próbują podejść pod pozycje ukraińskie, aby zaskoczenia zaatakować i się przebić.

Od rosyjskiej armii Serhija i Andrija oddzielają tylko lekkie wzniesienia i rozmieszczone przez Ukraińców miny przeciwpancerne.

– Tam są ich pozycje. Do wczoraj stał tam czołg – pokazuje Andrij. – Każdego dnia próbują się przedrzeć. Wykorzystują głównie artylerię i helikoptery. Piechoty nie wysyłają, bo nie daje rady.

Bitwa o Donbas

Tutaj, na północnym odcinku frontu – tego, który dziś ciągnie się setki kilometrów od okolic Charkowa na północy przez Izium, Rubiżne i Popasną na wschodzie, aż po stepowe równiny obwodów zaporoskiego i mikołajowskiego na południu – ukraińska armia nie tylko się broni, ale także kontratakuje. Usiłuje odbić tereny, które wojska rosyjskie zajęły w pierwszych dniach i tygodniach inwazji rozpoczętej 24 lutego.

Kluczowym elementem tego etapu konfliktu jest Donbas: ten sam region we wschodniej części kraju, gdzie wiosną 2014 r. Rosja rozpętała tę wojnę, tworząc tam dwa kontrolowane przez siebie marionetkowe państwa. Z kolei dla wyniku obecnej bitwy o Donbas jednym z kluczowych miejsc jest to, w którym walczą Serhij i Andrij.

Bo chociaż rosyjska armia została odepchnięta od Charkowa, to wciąż kontroluje znaczną część regionu charkowskiego. Dzięki temu Rosjanie mogą z łatwością zaopatrywać swoje wojska, które próbują nacierać na Donbas z kierunku okupowanego już przez nich miasta Izium (w południowo-wschodniej części obwodu charkowskiego). Jeśli Rosjanom się to powiedzie, mogą odciąć Donbas od reszty terytoriów Ukrainy, a tym samym otoczyć walczące tam ukraińskie zgrupowanie, szacowane na kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy.

Jeśli natomiast siłom ukraińskim uda się odepchnąć Rosjan jeszcze dalej na wschód od Charkowa, wówczas mogą

wyjść na tyły rosyjskiego zgrupowania atakującego z rejonu Iziumu. Gdyby Ukraińcom się to udało, wówczas to sami Rosjanie mogliby się znaleźć w okrążeniu.

Na wojnie, ale blisko domu

Na początku inwazji ukraińska 93. Samodzielna Brygada Zmechanizowana „Chołodnyj Jar”, w której służą Andrij i Serhij, stawiała opór rosyjskiej armii w obwodzie sumskim. Potem została przerzucana tutaj, do sąsiedniego obwodu charkowskiego.

93. Brygada należy do najbardziej doświadczonych jednostek w ukraińskiej armii. Brała udział w kluczowych bitwach w Donbasie w latach 2014-15, jak te o Iłowajsk, donieckie lotnisko czy Debaltsewe. Także teraz, od pierwszych godzin rosyjskiej ofensywy na pełną już skalę, „Chołodnyj Jar” bierze nieustannie udział w walkach.

Serhij ma dodatkową motywację, by walczyć. Linia frontu przebiega kilkadziesiąt kilometrów od jego rodzinnego miasta. Po tym, co wydarzyło się w Mariupolu, Buczy i wielu innych miejscach, Serhij zdaje sobie sprawę, że bestialstwo może osiągnąć każdego. Liczba ofiar cywilnych i skala zbrodni wojennych wciąż jest niemożliwa do oszacowania.

W domu została jego matka, która teraz plecie siatki maskujące. Chce jakoś wesprzeć swoich synów – bo nie tylko Serhij, ale także jego młodszy brat służy w strefie działań zbrojnych. Gdy nadarza się okazja, Serhij rozmawia z matką przez telefon. Ona przekonuje, że się nie martwi, nic a nic. Ale czasem nie wytrzymuje i zaczyna płakać.

– Jestem na wojnie, a jednocześnie blisko domu. Dlatego muszę tu stać, żeby go obronić – mówi Serhij.

Na pozycjach warunki są spartańskie. W jamach jest chłodno i nie ma dużo miejsca. Jamy są dość płytkie. W obwodzie sumskim mieli głębsze okopy, w których można było porządnie się ukryć i spokojnie przemieszczać. Tutaj tego nie ma – gdy leci pocisk, muszą po prostu paść na ziemię lub wskakiwać do najbliższej jamy.

Serhij nie narzeka na wojenną monotonię, wyczekiwanie i dłużące się dni.

– Wracasz z posterunku, masz gdzie spać i co zjeść. Na ogniu szykujemy jedzenie. Gdyby nie kamizelka kuloodporna i karabin, byłoby tutaj jak na pikniku – próbuje żartować.



Iwan, dowódca baterii samobieżnych dział (na pierwszym planie), wraz z członkami swojej załogi. Linia frontu w obwodzie charkowskim, Ukraina, 29 kwietnia 2022 r.



Linia frontu przebiega kilkadziesiąt kilometrów od domu 21-letniego Serhija. Dla niego to dodatkowa motywacja, aby walczyć. 29 kwietnia 2022 r.

Nie dać się wziąć w kleszcze

→ Brak polowych umocnień wynika z tego, że żołnierze zajęli te pozycje niedawno, a także ze względu na dynamikę tej odłony wojny.

Przez ostatnie lata, aż do 24 lutego, starcia w Donbasie toczyły się na mniej więcej tych samych pozycjach, które obie strony zajmowały od początku 2015 r. Konsekwentnie je umacniali, znali je oraz całą okolicę jak własną kieszeń. Wojna okopowa, zazwyczaj o niskiej intensywności (co nie znaczy, że bez ofiar) – tak w ostatnich latach wyglądał konflikt w Donbasie. Teraz 93. Brygada walczy w innych warunkach.

23-letni Ołeksandr, mimo młodego wieku, jest dowódcą tej pozycji ukrytej na obrzeżach lasu. Również ona poznaczona jest licznymi jamami, przysłoniętymi przez drzewa. Ołeksandr służy już czwarty rok. Przyznaje jednak, że doświadczenie, które nabył w minionych latach, znacząco różni się od tego, z czym musi mierzyć się po 24 lutego.

– Wcześniej to była wojna pozycyjna, a tu są działania manewrowe. Jesteśmy w ciągłym ruchu. Rzadko się zdarza, żebyśmy siedzieli dłużej w jednym miejscu. Wcześniej bywało, że na jednej pozycji spędzaliśmy osiem-dziewięć miesięcy, przesuwając się tylko nieznacznie. A teraz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zmieniliśmy już kilkadziesiąt punktów – wyjaśnia Ołeksandr.

W wielu miejscach linia frontu przesuwa się niemal codziennie, więc nie ma

też okazji, aby ją lepiej umocnić. Także skala działań zbrojnych i wykorzystywany arsenał są nieporównywalne. Rosjanie powszechnie wykorzystują lotnictwo, drony i rakiety dalekiego zasięgu. Także ataki artyleryjskie są zmasowane. Dlatego oddziały piechoty rzadko kiedy ruszają do bezpośredniej walki. Większość czasu spędzają na ukrywaniu się, wyczekiwaniu i obronie przed natarciami przeciwnika.

– Jeśli wróg się przedrze, wezmą nas w kleszcze. Wątpię jednak, żeby im się to udało. Robimy wszystko, żeby tak się nie stało – mówi Ołeksandr.

Drony naprowadzają artylerię

Na pozycji Ołeksandra tego dnia akurat wszyscy mieli dobre humory. Siedzieli wokół drewnianego stołu i analizowali udaną akcję taktyczną: ludziom z jego plutonu dopiero co udało się ustrzelić rosyjski bojowy wóz piechoty (BMP); trafili go kierowanym pociskiem przeciwpancernym. Wciąż jeszcze płonął.

Plutonowy pokierował drona nad miejsce, gdzie płonął BMP, aby potwierdzić i zarejestrować, że rzeczywiście został on zniszczony. Zgodnie z ukraińskim prawem za zniszczenie takiego wrogiego pojazdu przewidziana jest nagroda finansowa w wysokości niemal 43 tys. hrywien (czyli prawie 6,5 tys. złotych). Żołnierze zapewniają jednak, że to nie pieniądze są dla nich motywacją.

– To najlepsza praca na świecie, bo broniemy swojej ziemi. A co może być lepszego? Najpierw uszkodziliśmy cięża-

rowy kamaz, a teraz zniszczyliśmy BMP. Krok po kroku wybijamy ich stąd – mówi Ołeksandr.

Ale także Rosjanie polują na ukraiński sprzęt wojskowy. Ze względu na dużą liczbę rosyjskich dronów, które pomagają naprowadzać ogień artylerii, załogi ukraińskich dział samobieżnych mają bardzo utrudnione zadanie. Podobnie jak żołnierze piechoty, bateria dział typu Goździk stoi ukryta pod drzewami. Na wyjściowe pozycje Goździki muszą przemieszczać się sprawnie, prowadzić szybki ostrzał i potem znowu szukać ukrycia.

– Rosjanie wykorzystują dużo artylerii, a przede wszystkim dużo bezzałogowych statków powietrznych. Część widzimy i słyszymy, więc można zawczasu odejść, schować się czy przemieścić. Ale niektórych nie da się dostrzec – przyznaje Iwan, dowódca baterii Goździków. – Mimo wszystko ich oszukujemy, wykręcamy się i jeździmy na nowe reduty, skąd razimy wroga.

Zobacz moją jaskółeczkę

Gdy zmierzamy na pozycję artylerii, przy drodze co jakiś czas pojawia się zniszczony rosyjski sprzęt wojskowy. Jak np. stojący na gruntowej drodze czołg, który na pancerzu ma namalowane litery „Z”. Albo raczej – to, co kiedyś było czołgiem. Kadłub pozbawiony jest bowiem wieżyczki, która na skutek wybuchu gdzieś daleko odleciała.

– To wszystko robota naszych chłopców – twierdzi Iwan.



Rosyjski czołg zniszczony przez baterię dział, którą dowodzi Iwan. Z prawej: łącznościowiec szuka fal radiowych, na których nadają Rosjanie; dzięki przechwytywaniu ich rozmów ukraińscy żołnierze mogą naprowadzać ogień artyleryjski i organizować zasadzki. 29 kwietnia 2022 r.

– Tak, to my – potwierdza jeden z członków załogi działa samobieżnego. – Ale nam też się dostaje. Zobacz moją jaśkoteczkę.

Pokazuje żelazną maszynę, której gruby pancerz jest obity odłamkami; na skutek ostrzału uszkodzony został bak. 21-letni Danyło, który jest dowódcą trafionego działa, wyjaśnia, że doszło do tego w trakcie pojedynku artyleryjskiego. Pocisk spadł kilka metrów od nich i odłamki wyrządziły trochę szkód.

– Nasza załoga go wciąż remontuje, ale dział samobieżne może już jeździć – mówi Danyło.

Po Buczy rwało mnie od środka

Tym razem obyło się bez strat. Ale wcześniej, gdy walczyli w obwodzie sumskim,

jeden z ich towarzyszy zginął. Najpierw został raniony w trakcie ostrzału. Reszta załogi chciała go uratować, ale zanim zdążyli do niego podejść, spadły kolejne pociski. Żołnierza nie udało się ocalić. Także dział samobieżne zaznało wtedy poważnych uszkodzeń, ale zostało szybko naprawione.

– Straty nas nie demoralizują, tylko dodają więcej złości – mówi Ołeksandr, dowódca drugiego działa samobieżnego.

Ołeksandr ma dwuipółletniego syna. Dawno go nie widział. Czasami, jak jadą do okolicznych wsi, widuje w nich dzieci. Choć wojna jest blisko, cieszy się na ich widok.

– Kiedy zobaczyłem to, co oni wyprawiali w Buczy, to mnie aż rwało od środka. Nie ma dla nich żadnej litości ani

nie będzie. Prawa rycerskie przestały obowiązywać – mówi Ołeksandr.

Na podstawie rozmów z żołnierzami ze swojej brygady Iwan twierdzi, że większość ma dzisiaj tę samą motywację: walczą, aby Rosjanie nie zajęli już więcej nowych terytoriów, żeby nie doszli do ich rodzin, do ich bliskich i ukochanych.

– Wróg wtargnął na naszą ziemię i musimy go stąd przegnać – mówi Iwan.

Los Donbasu nie jest przesądzony. Rosjanie nacierają z różnych kierunków i próbują przerwać ukraińską obronę w wielu miejscach, licząc, że trafią na słaby punkt.

Wojna manewrowa trwa.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Tekst ukończono 6 maja.



ATAK NA UKRAINĘ

SERWIS SPECJALNY

**Korespondenci wojenni,
analitycy ds. wschodnich,
doświadczeni dziennikarze i reporterzy
o sytuacji na froncie.**

Relacjonują:
Paweł Pieniążek, Wojciech Konończuk,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak,
Wojciech Jagielski, Grażyna Makara i Marcin Żyła.

Teksty, zdjęcia, wideo i podcasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



NATALIA BODNAR

Uciekłem z Mariupola

SERHIJ WAGANOW

Dreńczył nas lęk: co zrobimy z naszymi ciałami. Zdecydowałem, że w razie czego zawinę żonę w dywan i położę na balkonie.

Z BALKONU WIDZIAŁEM MORZE. ALE SŁOŹNY smak ginął w powietrzu zanieczyszczonym przez fabrykę. Poczulem go dopiero po przyjeździe Rosjan. Bo zamknęli fabrykę. Po raz pierwszy tak wyraźnie zobaczyłem też gwiazdy. Bo wyłączyli elektryczność. Kiedy było trudno, w morzu i gwiazdach szukałem wytchnienia.

Dolarami i hrywnami można było tapetować ściany. Wymienialiśmy się jedzeniem; znajomym z dziećmi daliśmy mięso i produkty mleczne, oni nam marchewki i kapustę. Okupanci odcięli gaz, internet, sieć komórkową, telewizję i ukraińskie radio. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje w Kijowie ani w innych częściach Ukrainy. Nie wiedzieliśmy, czy jeszcze jest jakaś Ukraina.

ŁUDZIE WĘDROWALI po mieście z pustymi butelkami. W końcu władze miasta zaczęły przywozić wodę w beczkowozach. Tam Rosjanie atakowali najchętniej. Wi-

działem, jak ci, którzy przeżyli ostrzał, wstawali, nabierali wody i wracali po trupach do domów. My zdążyliśmy nalać wody do wanny. Myśleliśmy się w deszczówce, by jej nie marnować.

Bałem się ciszy. Nie słyszało się syren ani ambulansów, ani ukraińskich żołnierzy; żadnej pomocy, żadnej nadziei. Tylko strzały i gwizd samolotów; jednego dnia między czwartą rano a trzynastą naliczyliśmy 21 samolotów; każdy zrzucił po mniej więcej cztery bomby.

12 marca w środku dnia zbombardowali sąsiedni blok. W jednej sekundzie wyschły mi usta. Nie pamiętam takiego strachu, choć byłem lekarzem, przez 15 lat pracowałem jako chirurg urazowy i nie mdleję na widok krwi.

Takiego horroru jak w Mariupolu nie przeżyłem nigdy. Widziałem domy padające pod rosyjskimi bombami. Widziałem, jak stawały w ogniu. Widziałem ulice zasłane trupami, z którymi nie wiadomo, co robić.

Przyznaliśmy, że dreńczy nas ten sam lęk: co zrobimy z naszymi ciałami. Zdecydowałem, że zawinę Irynę w dywan i położę na balkonie z legitymacją emerytalną, żeby ktokolwiek się tu zjawi, mógł ją zidentyfikować. Do takich rzeczy ograniczało się myślenie o przyszłości. Przeważnie jednak leżeliśmy bez słów. Baliśmy się dzielić tym, co chodziło nam po głowach.

Iryna zmywała naczynia i zmiatała podłogę, by zachować pozory normalnego życia. Normalnego cichego życia, które było za nami – z papierosami, tenisem, rowerem – do którego nigdy nie wrócimy. Powiedziałem jej: albo umrzemy, albo opuścimy Mariupol na zawsze.

SERHIJ WAGANOW, fotoreporter pracujący dla European Pressphoto Agency i wielu agencji ukraińskich, spędził z żoną Iryną 20 dni w oblężonym Mariupolu. Oto jego historia. Opowiedział ją w Użhorodzie na zachodzie Ukrainy, gdzie przebywa i – jak wielu uchodźców – zastanawia się, co dalej.

KĄŻDEGO WIECZORU spisywaliśmy trzy-punktowy plan na następny dzień. Punkt pierwszy: zagrać wodę (gazu nie było, ale zbieraliśmy drewno i rozpalaliśmy ogień przy domu). Drugi: ugotować kaszę albo prostą zupę. I trzeci: przeżyć.

Nie zrobiłem ani jednego zdjęcia. Po pierwsze: za bardzo się bałem. Po drugie: za bardzo się bałem. Po trzecie: jestem stary. Mam 63 lata i szwankujące zdrowie. Ciężko mi wchodzić po schodach. Nie przeżyłbym w wilgotnej piwnicy, którą przerobiono na schron. Kiedy nadlatywał samolot, po prostu odsuwaliśmy się od okien.

14 marca do naszego mieszkania wpadł mój przyjaciel lekarz, krzycząc, że mamy pięć minut na spakowanie się. Na początku okupacji Rosjanie zbombardowali jego dzielnicę i przeniósł się do naszej, do centrum. Codziennie o nim myślałem – był nie tylko przyjacielem, ale też właścicielem jednej z najcenniejszych rzeczy: samochodu.

W ciągu 20 dni schudłem około 8 kilo. Mogłem założyć wszystko, co było pod ręką. Zabraliśmy dwa plecaki z notebookiem Iryny, moimi lekami, aparatem i baterią, dzinsami, kurtkami, trampkami, T-shirtami... Jechaliśmy cztery dni przez Berdiańsk, Zaporozże, Dniepr, Winnicę i wreszcie trafiliśmy do Użhorodu. Nocowaliśmy u przyjaciół, ich przyjaciół i nieznajomych.

Przejechaliśmy przez 15 rosyjskich punktów kontrolnych. Byli bardzo młodzi i mieli broń. Zatrzymywali nas co 500 metrów. Na ostatnim punkcie dokładnie obejrzeli nasz samochód. W ubraniach schowaliśmy aparat z moimi zdjęciami z ostatnich 20 lat, w tym z wojny w Donbasie. Przeczyli go.

BYLIŚMY SZCZĘŚLIWI, kiedy usłyszeliśmy język ukraiński, chociaż to byli nasi żołnierze krzyczący w naszym kierunku: „Nie wychodźcie z samochodu, inaczej odstrzelimy wam łby”.

Do dziś nie tknęłam aparatu. Ale wróć do zdjęć. W nich jest moja dusza i serce.

© Wysłuchał w Użhorodzie DARIUSZ KAŁAN

Rosja to wróg

MARTA ZDZIEBORSKA

Amerykanie są solidarni z Ukraińcami, a USA szykują się na przyjęcie 100 tys. ukraińskich uchodźców. Politycy Partii Demokratycznej obawiają się jednak, że wyborców może w końcu dopaść „zmęczenie Ukrainą”.

LUBA WŁAŚNIE DOSTAŁA WIZĘ DO STANÓW Zjednoczonych, ale na razie nigdzie się nie wybiera. Mówi, że w Ukrainie ma męża, trzy psy i rodzinny dom. Ten ostatni będzie musiała zostawić, ale zarzeka się, że bez najbliższych nie wyjedzie.

Pięćdziesięcioletnia z podkijowskiej miejscowości Sviatopetrivske liczy po cichu, że wojna w Ukrainie skończy się maksymalnie w ciągu pół roku. To okres, w jakim – zgodnie z amerykańskimi przepisami – Luba powinna przekroczyć granicę USA, by wykorzystać wizę. Celem jej oraz jej męża jest Nowy Jork, gdzie od kilkunastu lat mieszka ich córka. Luba, agentka nieruchomości, oraz jej mąż, z zawodu architekt krajobrazu, emigrację za Ocean planowali już przed rosyjską inwazją. Nie myśleli, że przyjdzie im załatwiać formalności w takich okolicznościach.

– Na naszej ulicy zostaliśmy już tylko sami z mężem – mówi Luba, którą spotykam pod ambasadą USA podczas jej krót-

kiej wizyty w Warszawie. – Reszta sąsiadów, głównie rodziny z dziećmi, uciekła za granicę. Zanim pojechali, sąsiedzi dali mi klucze do swoich domów. Poprosili, żebym rozmroziła im lodówki i doglądała codziennie ich zwierząt. Nawet nie chcę myśleć, co będzie, gdy i nas tam zabraknie – tłumaczy Luba, która po odebraniu wizy z amerykańskiej ambasady wraca do Ukrainy.

– Zostaniemy w domu, dopóki w okolicach Kijowa będzie w miarę bezpiecznie. To biedniejsi Ukraińcy potrzebują teraz polskiej pomocy – mówi Luba.

Sosny w Buczy

Bilet powrotny wykupiony ma również Tania, 30-latką z Kijowa, która po ataku Rosjan schroniła się z mężem w Iwano-Frankiwsku w zachodniej Ukrainie.

Gdy pod koniec kwietnia spotykam ją pod ambasadą USA w Warszawie, Tania tłumaczy, że przyjechała do Polski tylko na jeden dzień: najpierw złożyła wnio-

sek o wizę do Kanady, a teraz chce dopytać o ogłoszony przez prezydenta Bidena program „Uniting for Ukraine”. W jego ramach od 25 kwietnia ukraińscy uchodźcy mogą ubiegać się o wyjazd do USA pod warunkiem, że znaleźli za Oceanem tzw. sponsora – np. mają tam krewnych lub poprosili o pomoc jakąś organizację pozarządową. W przypadku pozytywnego rozpatrzenia wniosku aplikujący będą mogli zostać w USA przez dwa lata, z pozwoleniem na pracę. Program jest pierwszym konkretem po tym, jak w połowie marca Joe Biden zapowiedział, że USA przyjmą 100 tys. ukraińskich uchodźców.

Tania mówi, że wyjazd do Stanów byłby dla jej rodziny najlepszym rozwiązaniem. Mieszkają tam już jej przyjaciele i chrzestny jej 3,5-letniego synka, co ułatwiłoby załatwienie formalności. Tłumaczy, że przed rosyjską inwazją nie brała nawet pod uwagę emigracji. Razem z mężem, wykładowcą akademickim, marzyli o przeprowadzce na przedmieścia Kijowa.

– Jeszcze na dwa tygodnie przed inwazją oglądaliśmy dom położony kilka kilometrów od Buczy. Bardzo podobały się nam tamtejsze sosnowe lasy. Nie moge uwierzyć, że te wszystkie okrucieństwa miały miejsce właśnie w tym miejscu – mówi ze łzami w oczach Tania, nawiązując do doniesień na temat rzezi w Buczy. Po wycofaniu się wojsk rosyjskich znaleziono tam ciała ponad 400 cywilnych mieszkańców miasta.

Teraz, gdy Ukraina wykrwawia się na oczach całego świata, Tania nie wyobraża sobie pozostania w ojczyźnie. Nie wierzy, że Rosja poprzestanie tylko na tej wojnie. – Nawet jeśli prędzej czy później dojdzie do rozejmu, Rosjanie znów w nas uderzą – przekonuje. – Tak było w 2014 r., tak jest teraz i tak może być za kilka lub kilkadziesiąt lat. Nie chcę być kiedyś staruszką uciekającą z własnego domu.

– Jeśli wyjedziemy za granicę, najbardziej będzie mi brakowało odwiedzin na grobie mojego taty, który zmarł dwa lata temu. Jeszcze przed wyjazdem do Warszawy zapaliłam na jego grobie znicz. To na szczęście – dodaje, bo bała się podróży z Iwano-Frankiwka do granicy z Polską.

→

Ładunek amerykańskich haubic M777 przeznaczonych dla ukraińskiego wojska. March Air Reserve Base, Kalifornia, 24 kwietnia 2022 r.



SSGT. ROYCE H. DORMAN / JUS MARINES / ZUMA PRESS / FORUM



MARTA ZDZIEBORSKA x3

Kolejka pod ambasadą USA w Warszawie, kwiecień 2022 r.

W pułapce przepisów

→ – To miała być dla nas szansa na ucieczkę do lepszego świata! – krzyczą pod amerykańską ambasadą Katia i Irina. Obładowane czterema walizkami Ukrainki przyjechały tu prosto z lotniska Okęcie, gdzie dowiedziały się, że nie mają szans na wylot za Atlantyk.

A przecież tak jak ponad 20 tys. ukraińskich uchodźców, którzy przedostali się z Meksyku do Stanów, kobiety miały dobry plan: polecić do meksykańskiej Tijuany, przekroczyć przejście graniczne z USA i dołączyć do mieszkających w Kalifornii krewnych.

Pech jednak chciał, że kobiety kupiły bilet do Meksyku na 28 kwietnia, czyli już po wprowadzeniu nowych przepisów, które z jednej strony ułatwiają Ukraińcom wjazd do Stanów, ale z drugiej strony zaostrzają restrykcje na przejściach wzdłuż południowej granicy USA. Jeszcze do 24 kwietnia ze względów humanitarnych ukraińscy uchodźcy mogli wjechać na terytorium USA bez wizy. Na to właśnie liczyły Irina i Katia, które w połowie kwietnia uciekły z rodzinnego Ałchewska w obwodzie ługańskim. Gdy rozmawiamy pod amerykańską ambasadą w Warszawie, do ich zaplanowanego wylotu do Tijuany zostało zaledwie sześć dni. Tak szybko nie uda im się uzyskać wizy do USA.

– Wracamy do znajomych w obwodzie zakarpackim – mówią zrezygnowane Katia i Irina. – To właśnie tam spędziłyśmy ostatni tydzień po ucieczce z obwodu ługańskiego.

Na wschodniej Ukrainie nie mamy czego szukać – dodają kobiety, które teoretycznie mogłyby skorzystać z drugiej szansy i złożyć wniosek o wyjazd w ramach programu „Uniting for Ukraine”.

Jest jednak jeden istotny problem: nie mają pieniędzy na kolejny bilet lotniczy. Już i tak, aby zaplanować wyjazd do Meksyku, zapożyczyły się u krewnych mieszkających w USA. – Musimy szukać innych opcji – mówią.

Na granicy z Meksykiem

W równie trudnej sytuacji co obie kobiety są Ukraińcy, którzy co prawda dostali się do Meksyku, ale nie zdążyli wjechać na terytorium USA przed wprowadzeniem nowych przepisów. Mają teraz dwie możliwości: znaleźć sponsora i aplikować o program „Uniting for Ukraine” albo czekać, aż USA zniosą pandemiczne restrykcje na granicy (decyzję o ich zniesieniu z dniem 23 maja zaskarżyli republikańscy prokuratorzy generalni; sprawę w połowie maja rozstrzygnie sąd federalny).

Do tego czasu Ukraińców będą obowiązywały te same zasady co migrantów innych narodowości: na wjazd do USA bez wizy szansę mają jedynie rodziny z dziećmi poniżej siódmego roku życia i dzieci podróżujące bez opieki dorosłych. Reszta migrantów zawracana jest do Meksyku – zwykle bez wnikania, czy mają podstawy do ubiegania się o azyl.

Joe Biden – krytykowany od roku za zwleknięcie z odwołaniem przepisów wprowadzonych za rządów Donalda Trumpa – teraz zbiera negatywne komentarze w związku z programem „Uniting for Ukraine”. Działacze organizacji pozarządowych zarzucają Demokracji, że pomoc dla ukraińskich uchodźców jest doraźna i nie gwarantuje im możliwości uzyskania prawa do pobytu stałego. Aktywiści denerwują się również, że ciężar finansowy przyjęcia Ukraińców spoczywa w głównej mierze na osobach prywatnych, organizacjach i instytucjach kościelnych, które zgłosiły się do pomocy jako sponsorzy.

Gotowość do pomocy

Jak wynika z sondażu Instytutu Gallupa, aż 78 proc. Amerykanów popiera przyjmowanie przez ich kraj uchodźców z Ukrainy. To więcej niż kiedykolwiek w ostatnim czasie – dotychczas największą gotowość do pomocy mieli w 1999 r., gdy Stany przyjęły kilkuset kosowskich Albańczyków (inicjatywę poparło wówczas 66 proc. respondentów).

Dla porównania, gdy w 2018 r. amerykańską granicę szturmowali uchodźcy z krajów Ameryki Środkowej, za ich przyjęciem opowiedziało się 51 proc. Amerykanów. Najbardziej sceptyczni byli wówczas Republikanie, którzy tym razem, w obliczu wojny w Ukrainie, chcą, by Ameryka przyjmowała ukraińskich uchodźców z otwartymi ramionami („na tak” jest 60 proc. konserwatywnych respondentów). Interesujące są również wnioski z marcowego badania YouGov America: podczas gdy ok. 60 proc. respondentów popiera przyjmowanie uchodźców z Ukrainy, to w przypadku przybyszów z innych krajów – Syrii, Afganistanu czy Salwadoru – na „tak” jest 40-45 proc. ankietowanych.

Proukraiński entuzjazm udzielił się też władzom niektórych amerykańskich miast. Na wsparcie dla uchodźców władze Nowego Jorku wyasygnowały ostatnio ponad 2 mln dolarów. Na falę przybyszów szykują się również inne metropolie, gdzie znajdują się największe skupiska ukraińskiej diaspory: Chicago, Seattle, Los Angeles i Sacramento. To ostatnie miasto, ponad półmilionowe, jest najbardziej „ukraińskie” w całych Stanach: według szacunków Migration Policy Institute około 18 tys. mieszkańców to ukraińscy imigranci.

Gotowość do pomocy uchodźcom z tej części Europy Wschodniej zadeklarował również amerykański episkopat, który chce zaangażować do przyjmowania przybyszów parafie i organizacje kościelne. Do tej pory katolicy za Oceanem pomagali Ukrainie poprzez zbiórki pieniędzy.

Zjednoczeni przeciw Rosji

Podczas gdy większość Amerykanów opowiada się za pomocą dla uchodźców, tylko 22 proc. jest za wysłaniem amerykańskich wojsk do Ukrainy. Jednocześnie mieszkańcy USA aprobują politykę Bidena, który od początku wojny nałożył na Rosję surowe sankcje i wydaje miliardy dolarów na pomoc wojskową dla Ukrainy.

W tej kwestii wyjątkowo zgodni są także politycy Partii Republikańskiej. Konserwatywni senatorowie kilkakrotnie naciskali na Pentagon, by ten przyspieszył dostawy sprzętu wojskowego dla Kijowa (grupa 40 senatorów naciskała wręcz, by Amerykanie przyjęli od polskiego rządu miği-29 i przekazali je Ukrainie). Republikańscy członkowie senackiej komisji ds. wywiadu zaapelowali również do administracji Bidena, by dzieliła się z Ukrainą nie tylko informacjami wywiadowczymi dotyczącymi Donbasu, ale także Krymu.

Za wsparciem dla Ukrainy opowiada się nawet senator Josh Hawley, uważany za jednego z największych prowokatorów w Partii Republikańskiej. Jeszcze przed rosyjską inwazją apelował o wspieranie Kijowa w umacnianiu zdolności obronnych. Jednocześnie kwestionował jednak zasadność poparcia administracji Bidena dla członkostwa Ukrainy w NATO (choć zarówno Białe Dom, jak i UE wykluczają szybką ścieżkę akcesji). Jeszcze przed 24 lutego Hawley argumentował, że w obliczu postępującej rywalizacji z Chinami Ameryka nie ma tak silnego interesu strategicznego w Europie, by wikać się w bezpośredni konflikt z Rosją.

Dziś, gdy rosyjska inwazja, przed którą administracja Bidena ostrzegała od grudnia 2021 r., jest faktem, poglądy Amerykanów są jednoznaczne: według kwietniowego sondażu ośrodka Pew Research, aż 70 proc. respondentów postrzega Rosję jako wroga USA, podczas gdy w styczniu takiej odpowiedzi udzieliło 41 proc. ankietowanych.

W ostatnich tygodniach proukraińskie nastroje obecne są również na an-



TANIA nie wyobraża sobie pozostania w ojczyźnie. Nie wierzy, że Rosja zostawi Ukrainę w spokoju, nawet jeśli dojdzie do rozejmu.



LUBA przyjechała do Warszawy na chwilę. Po odebraniu wizy z ambasady USA wraca do domu pod Kijowem. Zostanie tam, dopóki się da.

tenie konserwatywnej stacji Fox News, gdzie regularnie wypowiada się emerytowany generał Jack Keane. W swoich wystąpieniach apeluje nie tylko o zwiększenie pomocy wojskowej dla Ukrainy, ale także o dostawy broni dla Tajwanu na wypadek chińskiej agresji. „Musimy wyciągnąć wnioski z przeszłości. Mieliśmy szansę wesprzeć militarnie Ukrainę, jeszcze zanim doszło do rosyjskiej inwazji. Ale wtedy administracja Bidena nie chciała prowokować Putina” – przekonywał generał (trochę mijając się z faktami, bo dostawy broni z USA zaczęły się jeszcze przed 24 lutego).

Strach przed porażką

Nie można się jednak łudzić, że losy Ukrainy są dla zwykłych Amerykanów sprawą najwyższej wagi. Bardziej od sytuacji geopolitycznej w Europie niepokoją ich szybujące ceny paliwa: według sondażu Quinnipiac University to „największa bolączka” dla 30 proc. respondentów, podczas gdy o wojnie w Ukrainie wspominało zaledwie 14 proc.

Joe Biden, pochłonięty w ostatnich miesiącach polityką zagraniczną, robi co może, by pokazać, że nie zapomni

o problemach Amerykanów. Podczas gdy USA wysyłają kolejne dostawy broni Ukrainie, doradczyni prezydenta ds. polityki wewnętrznej Susan Rice robi tournée po studiach telewizyjnych i opowiada o planach zaostrzenia dostępu do broni (chodzi o tzw. broń widmo, czyli zestawy do samodzielnej konstrukcji, które nie mają numerów seryjnych, co utrudnia identyfikację sprawcy przestępstwa).

Na pół roku przed wyborami uzupełniającymi do Kongresu Biden czuje odech Republikańców i coraz bardziej próbuje przekierować uwagę na kwestie wewnętrzne: w celu obniżenia cen paliwa zniósł zakaz sprzedaży benzyny z większym dodatkiem biokomponentów, ogłosił plany wznowienia wydawania licencji na wydobycie ropy i gazu na ziemiach federalnych oraz obiecał załatwienie luki prawnej, która uniemożliwiała 5 mln Amerykanów skorzystanie z dofinansowania opieki zdrowotnej.

To, jak prezydent USA próbuje niekiedy uciec od tematu wojny w Ukrainie, pokazuje incydent z 6 kwietnia. Gdy dziennikarze spytali go o komentarz do rosyjskich zbrodni wojennych, ten odpowiedział: „Porozmawiajmy lepiej o opiece zdrowotnej”.

A nasze problemy?

Chwalony na arenie międzynarodowej za zaangażowanie w sprawę Ukrainy, na własnym podwórku Biden ma coraz gorsze notowania. Według większości sondaży jego działania popiera zaledwie 39 proc. Amerykanów, co może utrudnić Partii Demokratycznej walkę o utrzymanie kontroli w obu izbach Kongresu.

Sytuację Bidena i jego partii świetnie obrazują słowa Celindy Lake, która u Demokratów odpowiada za strategię. Cytowana przez portal Politico, Lake mówiła: „Wyborcy współczują teraz Ukrainie, ale w końcu dopadnie ich zmęczenie. Już teraz się zastanawiają: wydajemy tyle pieniędzy na pomoc za granicą, a ile środków przeznaczamy na rozwiązywanie własnych problemów?”.

Takie pytanie zadali już sobie Francuzi, którzy – porwani obietnicą nacjonalistki Marine Le Pen skoncentrowania się na sprawach francuskich – do drugiej tury wyborów prezydenckich wysłali właśnie ją. Podobnego scenariusza w listopadzie obawia się Białe Dom i amerykańscy Demokraci.

© MARTA ZDZIEBORSKA



Mural w Pradze autorstwa czeskiego artysty pochodzenia ukraińskiego o pseudonimie „ChemiS”. 18 marca 2022 r.

Czeskie czołgi jadą na wschód

PATRYCJA BUKALSKA

Jako jeden z pierwszych krajów europejskich Czechy wysłały Ukrainie ciężką broń, w tym artylerię i pojazdy pancerne. Dlaczego akurat oni?

OD INWAZJI ROSJI NA UKRAINĘ NIE MINĘŁO WIĘCEJ NIŻ KILKA DNI, GDY OGRODZENIE rosyjskiej ambasady w Pradze oblane czerwona farbą. Pojawiły się napisy „Putin to morderca” i „Ambasada piekła”. Potem były demonstracje, happeningi, znów czerwona farba.

Rosyjscy dyplomaci nie mogą już cieszyć się spokojem w tej urokliwej części praskiej dzielnicy Bubeneč. Tym bardziej że praskie władze nie pozostały głuche na społeczne emocje – pod koniec kwietnia w błysku fleszy zmieniono tablicę z nazwą ulicy, przy której mieści się ta placówka. I tak ambasada Federacji Rosyjskiej w Pradze znajduje się już nie na ulicy Korunovačnı, lecz na Ukraińskich hrđinů, czyli Ukraińskich Bohaterów.

Z kolei barierki pobliskiego mostu pomalowano na niebiesko-żółto i nadano mu imię Vitalija Skakuna – ukraińskiego żołnierza, który oddał życie, wysadzając most i opóźniając w ten sposób rosyjskie oddziały zmierzające w stronę Chersonia. „Wojna Rosji przeciwko Ukrainie to wojna przeciwko cywilizowanemu światu. Dlatego cały świat patrzy na ukraińskich bohaterów, którzy bronią wspólnych wartości. Ta inicjatywa jest ważna również dla czeskiej młodzieży, aby wiedziała, czym jest dobro, a czym zło” – stwierdził ukraiński ambasador Jevhen Perebyjnis.

Takie symboliczne gesty mają znaczenie i będą zapamiętane. Podobnie jak dostawy czołgów, pomoc dla uchodź-

ców, gromadzenie dowodów rosyjskich zbrodni wojennych (zeznania świadków wśród ukraińskich uchodźców mają zbierać czescy policjanci).

Wojna w Ukrainie postawiła Czechów na baczność.

Praga posyła czołgi

Na początku kwietnia w mediach pojawiły się informacje, że Czechy jako pierwszy z krajów NATO wysłały Ukrainie swoje czołgi typu T-72. Ponieważ są to maszyny budowane jeszcze według technologii sowieckiej, żołnierze ukraińscy mogą korzystać z nich bez specjalnego przeszkolenia.

Nie był to jedyny transport ciężkiego sprzętu – wiadomo, że z zasobów czeskiej armii na wschód pojechały także wyrzutnie rakietowe typu Grad, haubice Dana i bojowe wozy piechoty BMP; jak zawsze w takich wypadkach szczegóły nie są podawane do wiadomości publicznej. „Ciekawość to ludzka rzecz – pisała potem na Twitterze czeska minister obrony Jana Černochová, odmawiając szczegółowych informacji. – Tam toczy się wojna i nie będziemy ułatwiać sprawy mordercom z literą »Z«! [chodziło o znak malowany na rosyjskich pojazdach, który wykorzystuje też rosyjska propaganda – red.] Proszę mi wierzyć, wysyłamy niezbędny sprzęt woj-

skowy naszym ukraińskim przyjaciółom. I będziemy to robić dalej”.

Wiadomo jednak, że Czechy nie tylko są dziś w awangardzie państw wspierających militarnie Ukrainę – czeska pomoc zaczęła się na długo przed tym, jak 24 lutego tego roku Rosja rozpoczęła pełnowymiarową inwazję. Jak czytamy w publikacji Ośrodka Studiów Wschodnich, już wcześniej, w styczniu tego roku, „pod wpływem rosnącej presji militarnej Rosji na nieodpłatne przekazanie Kijowowi broni i amunicji” zdecydowało się kilka krajów NATO. Obok USA, Wielkiej Brytanii, Litwy i Estonii były Czechy i Polska.

Jednak Czechy – podobnie jak Polska – były aktywne na tym polu już dużo wcześniej: od roku 2014, gdy Putin rozpętał wojnę w Donbasie. Dotyczy to zarówno broni przekazywanej nieodpłatnie, jak też współpracy komercyjnej (według OSW wartość eksportu czeskiej broni do Ukrainy w latach 2014-20 wyniosła co najmniej 48 mln euro).

Pomaga nie tylko państwo czeskie, ale także społeczeństwo: broń dla ukraińskiej armii jest też teraz finansowana ze zbiórki organizowanej przez ukraińską ambasadę w Pradze – zebrano już ponad 40 mln dolarów.

Czesi i Rosjanie

Alexandr Mitrofanov, znany czeski komentator o rosyjskich korzeniach (urodził się w Rostowie nad Donem), od kilkunastu lat śledzi i analizuje rosyjskie media i wydarzenia polityczne – efektem jest wydana w ubiegłym roku książka „Mrázik z pendrekiem w ruce”, czyli „Dziadek Mróz z pałką w rękę”, ze znaczącym podtytułem: „Dlaczego współczesna Rosja jest taka i dlaczego być inna nie może”.

– Przez ostatnich 10 lat tłumaczenie Czechom Rosji było trudnym zadaniem. Stopniowo ostrzegałem przed takim rozwojem sytuacji, jaki widzimy, ale wielu czytelników i słuchaczy raczej to lekceważyło – mówi Mitrofanov w rozmowie z „Tygodnikiem”. – Przez to, jak poukładało mi się życie, mam doświadczenia jak niewielu innych ludzi: znam równie dobrze społeczeństwo czeskie, jak i rosyjskie, mentalność i rosyjską i czeską – opowiada publicysta. – Dlatego byłem i jestem w stanie zrozumieć i dopuścić do siebie to, czego inni widzieć nie chcieli, bo z różnych powodów wydaje im się to

sprzeczne z ich wyobrażeniami. Mówiąc krótko, u podstaw rosyjskiego społeczeństwa leżą: agresja, przemoc, ekspansywność i władza mafii. Traktowałem to poważnie, bo wiedziałem, że to nie oszczerstwo ani przesada, ale właśnie rzeczywistość.

Czy teraz opinia Czechów o Rosji się zmieniła? – Tak, radykalnie. Nagle ludzie do mnie piszą, że miałem rację – mówi Mitrofanov.

Tę zmianę widać w wynikach badania opinii publicznej prowadzonego przez agencję STEM: jeszcze rok temu postrzeganie Ukrainy i Rosji było w Czechach niemal identyczne. Co warto zaznaczyć, oba te kraje były oceniane nie najlepiej – odpowiednio 3,3 oraz 3,4 punktu na skali 1-5, gdzie 5 jest oceną najgorszą. Teraz ocena Ukrainy się poprawiła, zaś Rosja oceniana jest najgorzej od prawie 30 lat.

Co ciekawe, analiza STEM-u może sugerować, że to właśnie negatywny stosunek do Rosji – bardziej nawet niż sympatia do Ukrainy – może mieć wpływ na solidarność, jaką Czesi okazują dziś Ukraincom.

W obronie prawdy

W tym samym sondażu ponad połowa Czechów (57 proc.) deklaruje się jako jednoznacznie prozachodnia i postrzega Rosję jako agresora w obecnej wojnie. Jednocześnie jednak aż 33 proc. mówi, że nie ma jasnego poglądu w tej sprawie, 10 proc. wierzy rosyjskiej propagandzie, a z nich z kolei 4 proc. ma mocno prorosyjskie poglądy. Być może w skali kraju to niewiele, ale – jak zwracają uwagę analitycy STEM – potencjalnie to dziesiątki tysięcy osób, które mogą być bardzo aktywne w mediach społecznościowych.

To właśnie rosyjska dezinformacja jest postrzegana w Czechach jako jedno z większych zagrożeń. Dlatego przygotowano rządową stronę internetową (www.branmecesco.cz), na której można sprawdzić, jakie rosyjskie argumenty i informacje są fałszywe, a także w jaki sposób z taką dezinformacją można sobie radzić. Autorzy strony podkreślają, że fałszywe informacje dotyczą wprawdzie wojny w Ukrainie, ale jest to również zagrożenie dla Republiki Czeskiej i jedności Czechów w obliczu tej wojny. „Rozpowszechniając prokremlowską dezinformację, pomagacie

agresorowi – czytamy. – Dezinformacja i kłamstwa to broń przeciwko nam wszystkim”.

Cienie przeszłości

Wśród powodów, dla których większość Czechów zjednoczyła się w solidarności z Ukrainą, są także dwa wydarzenia z historii – tej bliższej i tej dalszej.

Pierwsze z nich to dwie tajemnicze eksplozje w magazynach amunicji w miejscowości Vrbětice jesienią 2014 r., w których zginęły dwie osoby. Wiadomo, że amunicja z tych magazynów trafiała na Ukrainę. Po długim śledztwie w ubiegłym roku poinformowano wreszcie o tym, czego powszechnie się spodziewano: istnieje uzasadnione podejrzenie, że za wybuchami stały służby rosyjskie, a konkretnie wywiad wojskowy GRU.

– Dla czeskiej opinii publicznej był to punkt zwrotny: chodziło o terrorystyczny atak Rosji na czeskim terytorium! Nawet Andrej Babiš, starający się o utrzymanie z Rosją choćby poprawnych stosunków, nie mógł się nie zgodzić na wydalenie rosyjskich dyplomatów – mówi „Tygodnikowi” czeski politolog Jiří Pehe.

W ciągu 48 godzin Czechy musiało opuścić 18 Rosjan. W odpowiedzi Rosja wydalila dyplomatów czeskich, a Czechy kolejnych rosyjskich – obecnie jest ich w Pradze jedynie siedmiu. Czechy trafiły też na rosyjską listę „państw nieprzyjacielskich”.

Natomiast drugim wydarzeniem, o jeszcze większym znaczeniu dla podstawy Czechów w obecnym konflikcie, jest stłumienie przez wojska Układu Warszawskiego w 1968 r. próby reformy systemu komunistycznego, którą nazwano Praską Wiosną. O sowieckich (i nie tylko) czołgach na ulicach miast i miasteczek Czesi nie zapomnieli i teraz ta pamięć o narodowym dramacie odezwała się ze zdwojoną siłą.

Nawiązania do tych wydarzeń sprzed ponad pół wieku pojawiają się na demonstracjach i na oficjalnych rządowych stronach. – To naprawdę ma wielkie znaczenie dla obecnego zachowania Czechów. Trauma sowieckiej okupacji z lat 1968-89 – a przecież ostatnich sowieckich żołnierzy udało się wysłać do domu dopiero w 1991 r. – wywiera wielki wpływ na decyzje podejmowane przez rząd. Jakby to powiedzieć... po prostu nie mamy z Rosjanami dobrych doświadczeń – mówi Jiří Pehe.

Duch Václava Havla

→ O tym, że za czeską pomocą dla Ukraińców stoi pamięć o roku 1968, mówił również premier Petr Fiala. Sprawuje on funkcję szefa rządu od października 2021 r., kiedy wybory parlamentarne wygrała jednoznacznie prozachodnia koalicja.

– Aktywność Czech wobec Ukrainy jest częściowo reakcją na doświadczenia roku 1968, ale częściowo to także próba potwierdzenia przez rząd zmiany kursu. Gabinet Petra Fiali w swojej deklaracji programowej oznajmił, że chce powrotu do hawlowskiej polityki zagranicznej po latach kwestionowania jej przez premiera Babiša i prezydenta Zemana – mówi Pehe.

Polityka wierności demokratycznym wartościom i prawom człowieka, której symbolem jest postać Václava Havla – w czasach komunizmu dysydenta, a potem pierwszego prezydenta demokratycznej już Czechosłowacji, a następnie Czech – została zarzucona przez poprzednie rządy na rzecz pragmatyzmu i dobrych relacji z Moskwą i Pekinem. W czasie kampanii wyborczej obecna rządowa koalicja obiecywała, że to zmieni. Teraz, w czasie wojny w Ukrainie, widać, jak bardzo jest to istotne. Jak również i fakt, że – choć niewiele osób jeszcze w to wierzy – wśród części czeskich polityków ideały Havla są nadal żywe.

Jeśli chodzi natomiast o prezydenta Miloša Zemana, to dokonał on zwrotu o 180 stopni. O ile po wybuchu wojny w Donbasie w 2014 r. twierdził, że to „wojna domowa między dwiema grupami Ukraińców” i składał wizytę w Moskwie, o tyle teraz uznał Putina za „szaleńca”, a rosyjską inwazję za „zbrodnię przeciwko pokojowi”.

– Sługa Putina z dnia na dzień stał się jego bezkompromisowym krytykiem – ironizuje Alexandr Mitrofanov, który uważa, że ta spektakularna zmiana opinii Zemana wynika raczej z jego lęku, że pod presją ulicy mogłoby dojść nawet do próby jego impeachmentu.

Do zoo za jedną koronę

Fala spontanicznej początkowo, a potem coraz lepiej zorganizowanej pomocy dla Ukraińców szukających schronienia w Czechach była podobna do tej w Polsce: wolontariat na dworcach, noclegi w prywatnych domach, transporty potrzebnych rzeczy i żywności wysyłane do Ukrainy, koncerty, zajęcia dla dzieci, dar-

mowe przejazdy pociągami (przez pięć dni od rejestracji), zniżki na bilety wstępu do muzeum itp. Do końca kwietnia do praskiego zoo Ukrainki z dziećmi mogły wejść za symboliczną jedną koronę.

Po ujawnieniu informacji o masakrze w Buczy jeden z najbogatszych Czechów – Ivo Lukačovič, właściciel portalu Seznam.cz – przekazał ukraińskiej ambasadzie 100 mln koron (ponad 4 mln euro). Z darowiznami pospieszyły też Škoda Auto i inne firmy. A także osoby prywatne.

W efekcie fundacja „Člověk v tísni” (Człowiek w potrzebie) – która zaczęła działać na rzecz Ukrainy jeszcze w 2014 r. – teraz podczas publicznej zbiórki zgromadziła na pomoc Ukraińcom aż 1,7 mld koron (ok. 70 mln euro). Jej ciężarówki wypełnione darami docierają do Charkowa, Zaporozża i obwodu ługańskiego. W samych Czechach fundacja wspiera m.in. edukację ukraińskich dzieci.

„Člověk v tísni” zwraca jednak uwagę, że potrzebny jest plan długofalowego działania. Fundacja zamówiła np. analizę optymalnego rozmieszczenia uchodźców, biorąc pod uwagę dostępność mieszkań i miejsc pracy oraz wolnych miejsc w szkołach. Okazuje się, że najbardziej przeciążone są Karlovy Vary, Pilzno i Praga, za to np. Brno i właściwie całe Morawy mają jeszcze niezapełnioną bazę.

Obecnie ocenia się, że do Czech przyjechało ok. 300 tys. Ukraińców – podobnie jak w Polsce, są to niemal wyłącznie kobiety i dzieci.

Miliony wolontariuszy

Podczas wcześniejszych kryzysów migracyjnych Czesi, a z pewnością czeskie władze, byli raczej niechętni przyjmowaniu uchodźców. Teraz jest inaczej. Dlaczego?

– Ukraina to kraj podobny kulturowo, tysiące Ukraińców mieszkały już wcześniej w Czechach. Po drugie, wojna wybuchła w kraju sąsiednim, zamykanie granic i metody stosowane w kryzysie syryjskim nie byłyby możliwe. Swoją drogą to ciekawe, czy teraz Czechy i Polska poprą próby ustanowienia wspólnej unijnej polityki azylowej – zastanawia się Jiří Pehe.

Do powodów, z których wynika życzliwość Czechów wobec ukraińskich uchodźców, można dodać jeszcze jeden: postawy polityków. W 2015 r. na porządku dziennym było populistyczne straszenie uchodźcami, w społeczeństwie siano lęk. W 2022 r. przesłanie rządu i ca-

łej koalicji od początku jest jasne: trzeba pomagać i będziemy pomagać. I tak się dzieje, a zaangażowanie we wszelaką pomoc (finansową, rzeczową, mieszkaniową, wolontariat) deklarują aż dwie trzecie dorosłych Czechów.

Nie znaczy to, że Czesi, nawet ci spieszący z pomocą, nie mają obaw. Według agencji STEM w związku z przybyciem uchodźców aż 70 proc. Czechów lęka się, że zmniejszy się ich bezpieczeństwo społeczne; ponad połowa boi się wzrostu bezrobocia. Od tego, jak państwo poradzi sobie z takimi obawami, będzie zależeć, czy uda się uniknąć napięć w relacjach Czechów z Ukraińcami (i tu może pomóc analiza „Člověk v tísni” w sprawie relokacji – bo często miejsca z największą liczbą wolnych mieszkań są jednocześnie miejscami najbardziej zubożałymi i przez to wrażliwymi na konflikty społeczne).

Mimo tych obaw po dwóch miesiącach od początku inwazji 64 proc. Czechów nadal opowiada się za przyjęciem i wsparciem ukraińskich uchodźców, wielu nawet za cenę pogorszenia własnego komfortu życia.

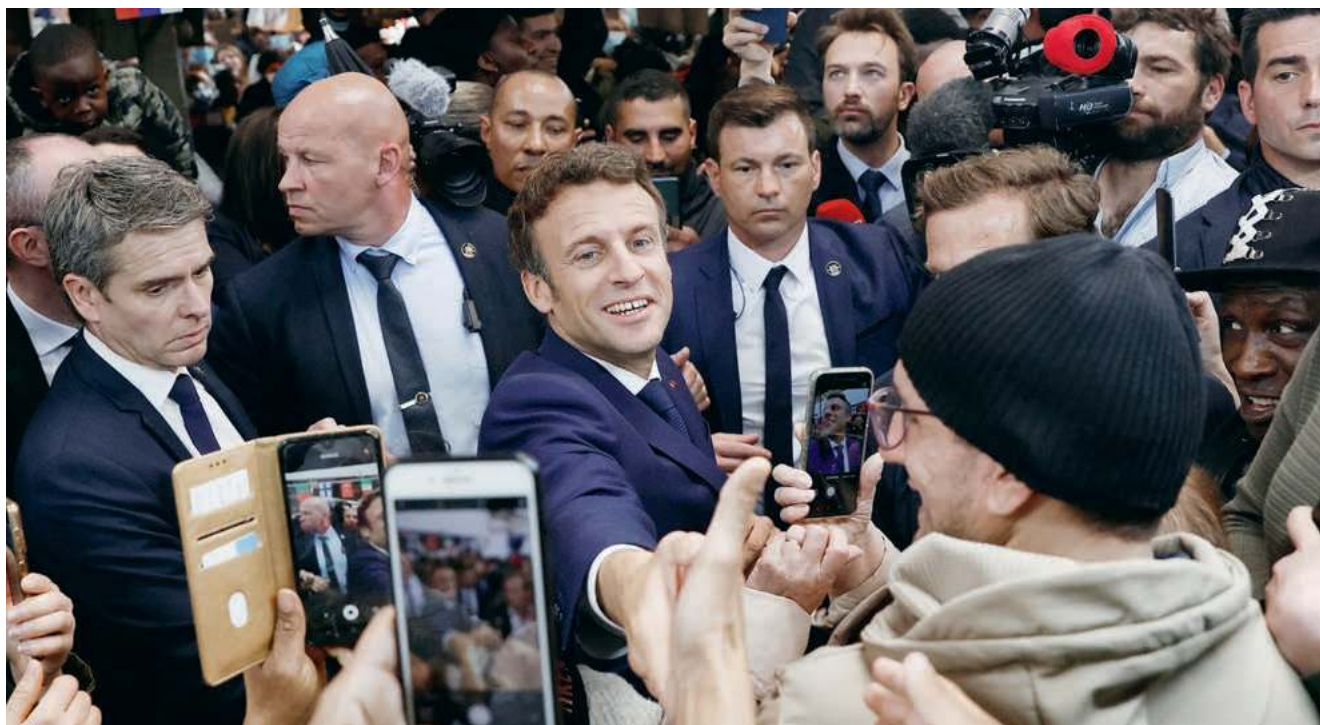
– Większość ludzi w Czechach była głęboko wstrząśnięta barbarzyństwem rosyjskich wojsk. Do tego doszła pamięć o roku 1968 i tak powstała spontaniczna fala solidarności z Ukrainą i Ukraińcami jako ofiarami barbarzyńców – mówi Mitrofanov. – Na dłuższą metę utrzymać taki poziom współodczuwania z Ukrainą będzie trudno, ale na razie się to nie zmienia.

Niepewna przyszłość

Wydaje się, że dość powszechne jest tu przekonanie, iż pomagając Ukraińcom – również jako prekursorzy w dostarczaniu broni – Czesi pomagają także sobie samym, bo w ten sposób chronią własny kraj.

Równocześnie bowiem tylko 9 proc. Czechów badanych przez agencję STEM uważa, że Europie Środkowej nie grozi dziś żaden konflikt. To najmniej od prawie 30 lat – jeszcze ubiegłego lata było ich prawie 30 proc. Z kolei aż jedna trzecia ankietowanych jest teraz przekonana, że wybuch konfliktu w naszym regionie jest tylko kwestią czasu.

Mimo to – lub może właśnie dlatego? – w Czechach nie słabnie fala solidarności z Ukrainą. Poparcie dla zdecydowanej polityki rządu w tej kwestii jest cały czas wysokie. ©© PATRYCJA BUKALSKA



BENOIT TESSIER / AP / EAST NEWS

Emmanuel Macron w czasie spotkania ze sprzedawcami na placu targowym na przedmieściach Paryża. 27 kwietnia 2022 r.

Oda do skromności

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

W drugiej kadencji prezydent Emmanuel Macron zamierza zerwać z wizerunkiem polityka aroganckiego i obcego zwykłym obywatelom. Czy uda mu się zreformować system, który odpycha od życia politycznego coraz więcej ludzi?

PODOBNIŁ JAK PIĘĆ LAT TEMU, RÓWNIEŻ w niedzielę 24 kwietnia Macron świętował swoje zwycięstwo przy dźwiękach hymnu europejskiego – „Ody do radości”, choć oprawa tego wieczoru była raczej skromna w porównaniu ze scenariem z wiosny 2017 r., gdy zwolennicy Macrona fetowali sukces w pobliżu szklanej piramidy na dziedzińcu Luwru.

Tym razem prezydent wystąpił na efemerycznej estradzie w popularnym miejscu spotkań paryżan – na Polach Marsowych w pobliżu wieży Eiffla. W towa-

rzystwie żony Brigitte pozdrawiał swoich zwolenników, a w tłumie powiewały francuskie i unijne flagi.

„Nie jestem już kandydatem jednego obozu, ale prezydentem wszystkich Francuzek i Francuzów” – wołał do zebranych Macron, dziękując za wsparcie także tym, którzy głosowali tylko po to, aby „zagrozić drogę ideom skrajnej prawicy”. I zapowiedział, że wyciągnie rękę także do wyborców swojej głównej konkurentki, nacjonalistki Marine Le Pen.

Stary-nowy prezydent zapewnił, że w kolejnej pięcioletniej kadencji wsłucha się w głos Francuzów. Chce zerwać z wizerunkiem aroganckiego i zamkniętego w Pałacu Elizejskim polityka. Wizerunkiem, który przylgnął do niego w ciągu minionych pięciu lat.

Na Polach Marsowych trwała jeszcze zabawa, gdy w innych miejscach – w Paryżu, Tuluzie, Lyonie czy Rennes – manifestowali przeciwnicy Macrona, w tym młodzieżowe grupy ultralewicowe oraz Żółte Kamizelki (liczba protestujących nie przekraczała nigdzie kilkuset osób). Podpalano kosze na śmieci, przewracano skutery, interweniowała policja. Jedno z haseł protestów brzmiało: „Ani Macron, ani Le Pen – lecz rewolucja!”.

Francja antysystemowa

Triumf Macrona jest bezapelacyjny: zdobył w drugiej turze niemal 58,5 proc. głosów. Jego konkurentka, szefowa nacjona-

listycznej prawicy Marine Le Pen, otrzymała ponad 41,5 proc. Przed pięciu laty, w pojedynku tych samych kandydatów, także wygrał Macron, ale z większą niż teraz przewagą – 66 do 34 proc.

Jednak pomimo przegranej skrajna prawica ma także powody do zadowolenia. Wybory te przyniosły wzrost wpływów formacji radykalnych – zarówno skrajnie prawicowych (oprócz Le Pen reprezentowanych też przez publicystę Érica Zemmoura), jak i radykalnie lewicowych – kandydat Francji Nieujarzmionej, Jean-Luc Mélenchon, przeciwny NATO i pobłażliwy wobec Putina, zgromadził w pierwszej turze ponad jedną piątą wszystkich głosów.

Wbrew pozorom nie są pozbawione sensu słowa Marine Le Pen, która swoją przegraną nazwała „olśniewającym zwycięstwem”. Liczone razem poparcie w pierwszej turze dla trzech kandydatów „antysystemowych” – czyli dla Le Pen, Mélenchona i ultraprawicowego Zemmoura – przekroczyło połowę ważnych głosów. To pierwszy sygnał ostrzegawczy dla liberalnej demokracji.

Drugim jest marginalizacja w tych wyborach tradycyjnych partii rządzących we Francji na zmianę przez ostatnie półwiecze – umiarkowanej neogaullistowskiej prawicy oraz partii socjalistycznej. Zarówno Valerie Pécresse (kandydatka tej pierwszej, obecnie występującej pod postacią partii Republikańskiej), jak też

→ socjalistka Anne Hidalgo odpadły z wynikiem poniżej 5 proc. głosów.

Nowe bloki polityczne

Trzecim wreszcie czerwonym światłem jest słaba jak na Francję frekwencja wyborcza w drugiej turze – ok. 72 proc.; to najniższa frekwencja od 1969 r. Poza tym w drugiej turze w geście protestu („Ani Le Pen, ani Macron!”) białą kartkę wrzuciło do urn 6 proc. głosujących, czyli ponad 2,2 mln osób.

Podobnie jak pięć lat temu, wyniki wyborów świadczą o postępującym rozwarstwieniu społeczno-geograficznym. Macron triumfował najczęściej w wielkich miastach, wśród osób wykształconych i zamożnych. Z kolei Le Pen – to faworytka Francji peryferyjnej, zwłaszcza na północy, wschodzie i południowym wschodzie kraju, którą wybierali chętnie pracownicy fizyczni i zubożała klasa średnia, ale także ogólnie młodzi wyborcy. Natomiast elektorat kandydata lewicy Mélenchona – to przede wszystkim wielkomiejscy prekariusze z dyplomami oraz imigranci z ubogich przedmieść.

Znana publicystka Natacha Polony komentowała na łamach tygodnika „Marianne”, że mamy dziś do czynienia z trzema blokami politycznymi – liberalno-wielkomiejskim, radykalną prawicą i radykalną lewicą – które coraz trudniej znajdują wspólny język. Według Polony – a jej diagnozę podziela wielu obserwatorów nad Sekwaną – wybory prezydenckie wskazują na „chorobę demokracji, dryfującej w stronę oligarchii, na nierówny i nieskuteczny system edukacyjny, technokratów (u władzy) patrzących na innych z wyższością”. To paliwo dla sił antysystemowych różnej maści.

W stronę kohabitacji?

Choć zapewnił sobie reelekcję, Macron nie może być pewny, czy uzyska pełnię władzy. Już wkrótce, w czerwcu, odbędą się bowiem wybory do izby niższej parlamentu – Zgromadzenia Narodowego – a ich wynik jest wysoce niepewny.

Partię prezydencką – Republiko Naprzód! (LREM) – osłabiają wewnętrzne waśnie. Według prasy były premier Édouard Philippe, oficjalnie lojalny wobec Macrona, po cichu szykuje się do przejęcia po nim schedy w wyborach prezydenckich za pięć lat. Rywalizacja między Macronem a Philippem, który założył niedawno własny ruch polityczny Hori-

zons, nie wróży najlepiej obozowi prezydenckiemu przed czerwcową próbą.

We Francji obowiązuje ordynacja większościowa (jednomandatowe okręgi wyborcze), czyli zasada „zwycięzca bierze wszystko”. Ten sposób wyłaniania deputowanych nie daje dużych szans na liczną reprezentację w parlamencie partii Marine Le Pen, Zjednoczeniu Narodowemu (RN). Inaczej może być z lewicą pod wodzą Mélenchona, która zamierza pójść do tych wyborów w jednym bloku – według wstępnego porozumienia oprócz Francji Nieujarzmionej znajdują się w nim Zieloni, komuniści i być może także socjaliści.

Po porażce w wyścigu prezydenckim ambitnemu 70-letniemu Mélenchonowi marzy się fotel premiera. W wypadku uzyskania większości przez lewicę doszłoby do rzadkiej we Francji sytuacji: rząd i prezydent pochodziliby z przeciwnych obozów politycznych (to tzw. kohabitacja). Według różnych sondaży z ostatnich dni większość Francuzów wolałaby dziś właśnie kohabitację niż samodzielne rządy Macrona.

Scenariusz kohabitacji wydaje się dziś realny. Inną opcją, równie prawdopodobną, jest rząd LREM ze słabą większością lub wręcz rząd mniejszościowy. W każdym z tych wypadków Macron miałby skrupowane ręce, co utrudniłoby mu przeprowadzenie planowanych przez niego – i bardzo niepopularnych – reform, takich jak podniesienie wieku emerytalnego z 62 do 64 lat czy ograniczenie świadczeń socjalnych.

Francja-Polska: animozje i interesy

Jak ponowne zwycięstwo Macrona wpłynie na relacje między Francją a Polską? Odpowiedź nie jest oczywista, bo ostatnie lata obfitowały w nieporozumienia, a nawet ostre spięcia na linii Paryż-Warszawa. Rząd PiS zerwał w 2016 r. podpisany jeszcze za rządów PO kontrakt na 50 śmigłowców Caracal, co wywołało oburzenie Francuzów. Macron należał do najostrzejszych unijnych krytyków naruszania krajowej praworządności przez rząd polski.

Do ostatniej utarczki doszło kilka tygodni temu, tuż przed drugą turą wyborów prezydenckich we Francji. Premier Mateusz Morawiecki zaatakował Macrona, zarzucając mu, że prowadzi telefoniczne negocjacje z Władimirem Putinem i porównując to do hipotetycznych rozmów między Hitlerem, Stalinem i Polem Po-

tem (szef rządu nie wspomniał przy tym, że Macron dzwoni jednocześnie do prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskigo). Ripostując, prezydent Francji dwukrotnie (w wywiadzie telewizyjnym, a potem prasowym) nazwał polskiego premiera przedstawicielem skrajnej prawicy, a także zarzucił mu antysemityzm. W odpowiedzi polski MSZ wezwał na rozmowę ambasadora Francji w Polsce.

Według Tomasza Orłowskiego, byłego ambasadora RP w Paryżu (w latach 2007-2014), a dziś wykładowcy paryskiej Sciences-Po, obaj przywódcy zachowali się „niestosownie”, choć „odpowiedzialność spada na tego, który zaczął”.

– Strona francuska miała wszelkie dane, żeby odczytać wypowiedź Morawieckiego [na kilka dni przed drugą turą wyborów prezydenckich – red.] jako wsparcie dla Marine Le Pen, nawet jeśli, jak uważam, nie był to zamiar polskiego premiera. Nie zmienia tego fakt, że Macron odpowiedział w sposób równie niestosowny, a jego oskarżenie o antysemityzm jest nieuzasadnione – mówi „Tygodnikowi” Orłowski.

Jądrowy kontrakt małżeński?

Tomasz Orłowski jest przekonany, że przedwyborczy incydent nie będzie miał trwałych skutków dla relacji francusko-polskich. – Ani Polska, ani Francja nie mają interesu w utrzymywaniu stanu napięcia. Choć na pewno pozostawi to „osad” w stosunkach między Macronem a Morawieckim, także w Radzie Europejskiej UE, która opiera się na kontaktach osobistych między przywódcami – dodaje.

Zdaniem Orłowskiego kontakty Warszawy i Paryża mają duży potencjał, zwłaszcza w kwestii rozwoju energetyki jądrowej w Polsce. Francja, która jest europejskim liderem energetyki atomowej (ok. 70 proc. elektryczności wytwarzają tam reaktory jądrowe) zabiega o kontrakty na budowę siłowni jądrowych nad Wisłą. Konkurencyjne oferty przygotowały USA i Korea Południowa. Nie wiadomo wciąż, która z tych propozycji zwycięży.

– Jedno jest jasne: Francja jest ewidentnie zainteresowana długotrwałą współpracą z Polską w tej dziedzinie, niezależnie od zwrotów politycznych. Nad Sekwaną mówi się, że energetyka jądrowa to kontrakt małżeński na co najmniej na pół wieku – dodaje Orłowski.

Przypomnieć trzeba, że w ciągu swojej pierwszej kadencji Macron zmienił gruntownie zdanie na temat atomu, co

ściągęło na niego gromy francuskiej lewicy przeciwnej energii jądrowej. O ile pięć lat temu obiecał zamknięcie 14 z blisko 60 istniejących dziś francuskich reaktorów jądrowych do roku 2035, o tyle pod koniec minionego roku ogłosił jednak, że Francja wzniesie nowe reaktory, choć ma to połączyć z rozwojem energii ze źródeł odnawialnych (wiatrową, słoneczną i wodną).

Macron patrzy na wschód

Kwestia, która – pomimo wspomnianego incydentu na linii Morawiecki-Macron – może dzisiaj zbliżyć Polskę i Francję, jest konflikt Unii i NATO z Rosją oraz euroatlantyckie wsparcie dla Ukrainy.

Od 24 lutego prezydent francuski – wcześniej oskarżany, także w Polsce, o pobłażliwość wobec Putina – wspiera ostre sankcje wobec Kremla i dostawy europejskiej broni dla armii ukraińskiej. Po odkryciu masakry w Buczy oświadczył, że zaprzestanie rozmów telefonicznych z prezydentem Federacji Rosyjskiej. Jednak 3 maja Macron ponownie zadzwonił do Putina. Według lakonicznego komunikatu Pałacu Elizejskiego, w trakcie trwającej ponad dwie godziny dyskusji francuski prezydent domagał się od rozmówcy m.in. „zgody na ewakuację (cywilów) z fabryki Azowstal w Mariupolu”, oblężonej przez wojska rosyjskie.

– Macron powinien mieć postawę bardziej ofensywną wobec Rosji i silniej odróżnić się od mało wyrazistej polityki wobec Kremla prowadzonej przez kanclerza Olafa Scholza – mówi „Tygodnikowi” francuski politolog Nicolas Tenzer, szef niezależnej strony eksperckiej Desk Russie. Tenzer uważa, że Francja mogłaby dostarczać więcej broni dla Ukrainy niż robi to obecnie. – Symbolicznie ważne

We Francji są dziś trzy bloki:

liberalno-wielkomiejski,
radykalna prawica i radykalna
lewica. Coraz trudniej
znajdują wspólny język.

byłoby też, gdyby Macron odwiedził prezydenta Zeleńskiego w Kijowie – dodaje ekspert.

Według Nicolasa Tenzera prawdziwym pytaniem jest to, czy zmiana nastawienia Macrona wobec Rosji jest definitywna i głęboka. – I druga kwestia: czy prezydent będzie orędownikiem rozszerzenia Unii o Ukrainę? Czy Francja zamierza naprawdę rozwijać europejskie siły zbrojne? W żadnym ze swoich dotychczasowych przemówień Macron jasno nie wyraził, jak widzi powiązanie NATO z europejską obronnością. Jest ważne, aby tę sprawę sprecyzował w bieżącej kadencji – uważa Tenzer.

System, który ledwo zipie

Wracając do polityki wewnętrznej: trudno oczekiwać od prezydenta ambitnej polityki zagranicznej, jeśli nie zrobi porządków na własnym podwórku. A w tej sprawie szef państwa nie ma czasu do stracenia.

W swoim wystąpieniu pod wieżą Eiffla Macron obiecał „nową erę”, która „nie będzie kontynuacją, ale zbiorowym wynalezieniem nowej metody rządzenia na kolejne, lepsze pięć lat”.

Już u progu poprzedniej kadencji wzywał obywateli do „rewolucji demokratycznej”, czyli do większego zaangażo-

wania w życie publiczne. I zapowiadał gruntowną modernizację systemu politycznego V Republiki, ufundowanego pół wieku temu przez generała de Gaulle’a.

System ten koncentruje władzę w rękach prezydenta – nazywanego czasem we Francji „monarchą republikańskim”. Symbolem tej władzy jest wyłączna kontrola głowy państwa nad użyciem broni atomowej – to tylko prezydent zna szyfr pozwalający na jej uruchomienie. W kampanii wyborczej w 2017 r. Macron zapowiadał m.in. zwiększenie roli parlamentu (przy jednoczesnym zmniejszeniu o dwie trzecie liczby deputowanych), reformę większościowej ordynacji wyborczej (aby dać szansę wejścia do parlamentu mniejszym formacjom), rozliczanie co rok swoich ministrów z wyników ich działań. Obietnice te pozostały dotąd na papierze. Teraz – jak podkreśla na łamach „Le Parisien” politolog Bruno Cautrès – Macron będzie musiał je podjąć. Inaczej grozi mu znów rewolta uliczna w rodzaju Żółtych Kamizelek.

Tomasz Orłowski: – Coraz wyraźniejszym problemem jest rozchodzenie się systemu V Republiki z oczekiwaniami obywateli. Zwrócili na to uwagę główni konkurenci Macrona: Le Pen chce ordynacji proporcjonalnej, a Mélenchon – zresztą nie on pierwszy – wzywa do stworzenia VI Republiki i zwoływania referendum z inicjatywy obywateli. To znak czasu: Francuzi chcą, żeby prezydent konsultował z nimi ważne decyzje, a nie rządził z oddali niczym Zeus na Olimpie.

Czy prezydent wyciągnie z tego wnioski? Nie wystarczą już piękne frazy, którymi Emmanuel Macron jak mało kto umie czarować wyborców. Francuzi są naprawdę zniecierpliwieni.

© SZYMON ŁUCYK

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy

w Warszawie, Wydział II Cywilny pod sygn. akt II Ns 1338/18 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Daros z domu Kułaga, córce Michała i Karoliny, zmarłej 29 września 2008 roku w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ulicy Dickensa 24 m. 10.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Brzesku pod sygn. I Ns 564/21 toczy się

postępowanie z wniosku Józefa Miki o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jego rzecz własności nieruchomości składającej się z działek ewid. nr: 521, 648 i 725, o łącznej pow. 0,57 ha, położonej w Dołędze, gm. Szczurowa. Wymienione działki powstały z parcel katastralnych z zaginionych lwh 178 i 197 gm. kat. Dołęga, dla których nie założono zbiorów dokumentów. W ewidencji gruntów jako osoby władające wskazano: Rozalię Rzepka (dz. nr 521 i 648) oraz Annę Majka, c. Wojciecha i Marii (dz. nr 725) – obie zamieszkałe w USA, brak dalszych danych.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

CELTYCKI CUD

Był taki czas, gdy na dwóch ludzi tutaj urodzonych
jeden wsiadał na statek płynący w obce kraje.
W jaki więc sposób Irlandia stała się krajem imigrantów?

PEADAR DE BURCA

ZACZNIEMY OD KRÓTKIEJ PODRÓŻY w czasie. Przyznaję, że przysiębiającej. Cofnijmy się o niemal 173 lata, do zachodnioirlandzkiej prowincji Connaught.

Takie oto zdania wydrukowała 14 maja 1849 r. amerykańska gazeta „Burlington Hawk Eye” (nadając im tytuł „Connaught ginie szybko”): „Udręki, jakich doświadcza lud Connaught w czasie obecnym, nie mają sobie równych w historii. Wszędzie panują tyfus i dyzenteria, a ludzie nie mają co włożyć na grzbiet. Gromady tuł się do siebie, bez żadnej osłony wydane na łaskę i niełaskę pogody. W parafii Balla skutkiem nędzy i chorób w ostatnich czterech latach ubyło dwanaście setek. W Carholly morze wyrzuciło na brzeg ciała topielca, a pewien mąż wyciął z niego wątrobę i serce, czym uraczył się on i jego głodująca rodzina. Sierota, której matka zmarła na cholerę, niosła jej ciało trzy mile, aby uzyskać pomoc urzędową przy pochówku. Nieszczęsna. Także ją samą zabrała choroba i zmarła dnia następnego. Hańba Anglii, która mimo całej swej zamożności dopuściła do takiej tragedii. Niech Ameryka wyciągnie do głodującej Irlandii pomocną dłoń. Stać nas na to, aby się dzielić”.

Wielki Głód z lat 1846-52 – bo o nim mowa – na pokolenia ukształtował irlandzką tożsamość. Stał się prapoczątkiem późniejszych nieszczęść, wojny domowej, biedy i masowej emigracji. Tak masowej, że w latach 70. XX wieku w londyńskich pubach zaczęły pojawiać się napisy: „Psom, Czarnym oraz Irlandczykom wstęp wzbroniony”.

Rzecz jasna, Irlandczycy emigrowali do Anglii i Ameryki także przed Wielkim Głodem. Powodowały nimi prześladowania religijne, nędza, a także stagnacja gospodarcza – w Irlandii nie było przemysłu. Przed czasami „Celtyskiego Tygrysa” Irlandia była raczej „Celtyskim Pustkowiem”, a Wielki Głód był przerażającym ucieleśnieniem tej pustki. Był naszą Hiroszimą, naszym Nagasaki i naszym Holokaustem. Irlandia, ówczesnie część Zjednoczonego Królestwa, najbogatszego kraju świata, utraciła milion zmarłych, a drugi milion ludzi opuścił kraj, udając się na emigrację.

Gdy zabrakło ziemniaków

Jak do tego doszło? Irlandzki Holokaust był rezultatem warunków stworzonych przez Anglię, psychologicznego środowiska przerażającej beznadziei, której towarzyszyło rozpaczliwe uzależnienie od ziemniaków – od nich zależała nasza zdolność do przeżycia.

Barbarzyńskie prawa, narzucane przez Anglików, blokowały dostęp do pracy i edukacji. Najlepsze pastwiska przeznaczono dla krów, których mięso wysyłano do Anglii. Dla Irlandczyków zostawały okrawki marnej ziemi, na której mogły się udać co najwyżej ziemniaki – zatem, aby utrzymać przy życiu swoje liczne rodziny, uzależnili się od nich.

Gdy więc uderzyła zaraza ziemniaczana, Irlandczycy okazali się bezbronni. Było to ludobójstwo w białych rękawiczkach, którym kierował brytyjski parlament. Warunki były tak ciężkie, że mię-



dzy rokiem 1841 a 1851 ludność kraju zmniejszyła się z 8,4 mln do 6,6 mln. Nie był to koniec demograficznej katastrofy: w 1861 r. doliczono się 5,8 mln, w roku 1871 – 5,4 mln, w 1881 – 5,2 mln, w 1891 – 4,7 mln, a w roku 1901 już tylko 4,4 mln ludzi. Ocenia się, że w ciągu stulecia – między 1841 a 1941 rokiem – do USA wyjechało 4,5 mln Irlandczyków.

Aby uzmysłowić sobie skalę tego procesu, należy zauważyć, że na dwóch ludzi urodzonych w Irlandii jeden wsiadał na statek płynący do Anglii lub do Ameryki. Pod koniec XIX wieku blisko połowa Irlandczyków urodzonych w kraju mieszkała poza jego granicami.

Niepodlegli i zacofani

Przenieśmy się teraz do lat 50. XX stulecia – do dekady, gdy pół miliona Irlandczyków (16 proc. populacji) opuściło kraj. Jedynie komunistyczna Niemiecka Republika Demokratyczna doświadczyła wtedy podobnego załamania demograficznego.



HISTORY AND ART COLLECTION / ALAMY / BE&W

Irlandzcy imigranci w Kansas City. Stan Missouri, USA, około roku 1909.

Odpowiedzialnością za to można obarzyć narodowe rewolucje, które miały miejsce w latach 1916-22. Po roku 1922 kolejne rządy w niepodległym już kraju utwierdzały struktury społeczne ukształtowane przez panowanie brytyjskie pod koniec wieku XIX, a zwłaszcza zamkniętą warstwę chłopską i autorytarny Kościół. Zamieniliśmy starego pana na nowego.

Odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosi głównie Éamon de Valera, przez długich 16 lat (1932-48) pełniący funkcję premiera. Prowadził politykę protekcyjnistyczną i niechętną modernizacji. Nie inwestował w infrastrukturę, a sektor prywatny traktowany był jak zaraźliwa choroba. Największym jego szaleństwem było wypowiedzenie Wielkiej Brytanii wojny handlowej. Hasło dnia brzmiało: „Palcie wszystko, co brytyjskie, za wyjątkiem ich węgla!”. Izolując w latach 1932-38 nasz kraj od największego partnera handlowego, De Valera doprowadził do katastrofy rolnictwo oraz ledwie rozwijający się przemysł. Konsekwencje od-

czuwaliliśmy jeszcze we wspomnianych latach 50. XX w.

W rezultacie tysiące młodych ludzi wchodzących na rynek pracy nie mogło znaleźć zatrudnienia. Szacuje się, że w latach 1949-56 PKB Irlandii wzrósł o 8 proc., podczas gdy w tym samym czasie przeciętny wzrost PKB w Europie Zachodniej wynosił 40 proc. W roku 1951 nasza Republika liczyła blisko 3 mln mieszkańców, a w roku 1961 doliczono się 2,8 miliona. Zbawienie przyszło od Amerykanów. Jak zwykle.

Kto miałby tu zostać?

W latach 60. XX w. nasza gospodarka ruszyła do przodu, gdy zamożna amerykańska klasa średnia, z pewnością zachęcana przez Johna Kennedy'ego (katolika z rodziny irlandzkiej), zaczęła szukać swoich korzeni. Skutkowało to rozkwitem turystyki oraz w konsekwencji spadkiem emigracji. Na początku lat 70. – po tym, jak w 1973 r. Irlandia weszła do Wspólnoty Europejskiej – więcej ludzi wracało

już, niż wyjeżdżało z kraju. W końcu dekady liczba ludności osiągnęła 3,3 mln. Było to przyjęte z entuzjazmem zerwanie z bardzo starą tradycją.

Niestety lata życia na kredyt i wydawania bez opamiętania, w połączeniu z drugim kryzysem naftowym w 1979 r., skutkowały zapaścią w następnej dekadzie. Dług publiczny poszybował, a zatrudnienie pozostało na niezmiennym poziomie. Towarzyszył temu gwałtowny wzrost liczby ludzi szukających pracy – następstwo wyżu demograficznego z lat 60. W efekcie Irlandia okazała się jedynym krajem zachodnioeuropejskim, który w latach 80. doświadczył ponownego wzrostu emigracji.

W sferze kultury towarzyszył temu nacisk na budowę tożsamości narodowej. Nasza definicja Irlandczyka była bardzo prosta: nie jesteśmy Brytyjczykami. Okazało się, że łatwiej jest określić, kim nie jesteśmy, niż zdefiniować się w sposób pozytywny. Prawie całkowita utrata naszego własnego języka bynajmniej →

→ nie pomogła. Byliśmy zakleszczeni w naszej trudnej historii i przykuci do wojny w Irlandii Północnej.

Graham Norton, dziennikarz BBC – jeden z 200 tysięcy, które wyemigrowały w latach 80. – w roku 1984 zauważył: „Bo kto właściwie miałby zostać w kraju? Jak widzicie, jesteśmy narodem emigrantów. Gdy tylko stracimy pracę – momentalnie pakujemy walizki. Świat nas lubi i to właśnie robimy: przenosimy się gdzieś indziej. Tym większy jest mój szacunek dla ludzi, którzy zostali, podjęli walkę i zmienili prawa”.

Nowa tożsamość

Mozna powiedzieć, że punktem zwrotnym dla kraju był dzień 13 lipca 1985 r., gdy na oczach światowych mediów i ponad miliarda widzów pewien młody Irlandczyk nazwiskiem Paul Hewson, znany również jako Bono, uratował kobietę, która znalazła się w niebezpieczeństwie. Przerwał występ, aby pomóc fance, której groziło zmiążdżenie. Irlandczycy spojrzeli na siebie jak na kreatywnych twórców, którzy nie są obojętni na to, co dzieje się wokół. Dało to siłę. Co prawda nie była to siła fizyczna, ale przecież zawsze siła.

Potem, w roku 1988, reprezentacja piłkarska zakwalifikowała się do Mistrzostw Europy i pokonała Anglię w meczu otwarcia. Było to zwycięstwo nad zniechęconym przeciwnikiem – w ciągu 90 minut pokonaliśmy osiem wieków cierpienia. Po dwóch latach, w roku 1990, dotarliśmy do ćwierćfinału w piłkarskich mistrzostwach świata. Co więcej, trenerem naszej drużyny narodowej był Jack Charlton – Anglik, który defilował na boisku niosąc flagę irlandzką.

W 1989 r. liczba emigrantów osiągnęła maksimum – 70 tys. osób – i odtąd zaczął się jej wyraźny spadek. Irlandia wygrała konkursy Eurowizji w latach 1992, 1993, 1994 i 1996, a siła muzyki leży również w jej międzynarodowym uznaniu. W tym samym czasie film „Moja lewa stopa” został nagrodzony czterema Oscarami, a widowisko „Riverdance” podbojem zdobyło Broadway.

Kształtowała się nowa tożsamość. Wyspa Świętych i Uczonych poddana została procesowi gwałtownej aktualizacji i doładowania, które miało wystrzelić ją w wiek XXI.

Naturalnie, istotną rolę spełniał czynnik ekonomiczny – legendarna eksplozja

„bańki internetowej”, dzięki której Irlandia przeskoczyła błyskawicznie od rachitycznej gospodarki opartej na rolnictwie do epoki telekomunikacji (i także przemysłu farmaceutycznego). Fundusze rozwojowe Unii Europejskiej pomogły pozbyć się archaicznej struktury.

Tutaj graniczną datą był rok 1987, gdy gospodarka zaczęła przekształcać się w model oparty na wiedzy. Unia Europejska zgodziła się na specjalne warunki w strefach ekonomicznych. Irlandzki podatek dochodowy od osób prawnych został obniżony z 40 proc. do 12,5 proc., co skutkowało napływem amerykańskich inwestycji. W rezultacie wykształceni pracownicy znaleźli zatrudnienie w rosnącym sektorze telekomunikacji i informatyki. Dziś ponad 800 firm amerykańskich zatrudnia w Irlandii 180 tys. pracowników – wielu z nich jest wysoko wynagradzanych, a inwestycje przynoszą rocznie 4,5 mld dochodu.

Imigracja zastąpiła emigrację

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów okazało się, że miejsc pracy jest więcej niż kandydatów. Już przed rokiem 1996 imigracja zaczęła systematycznie przeważać nad emigracją. W tym samym roku liczba ludności wzrosła do 3,6 mln. Dług publiczny został zredukowany, czego skutkiem był spadek stóp procentowych do poziomów rekordowo niskich. To z kolei napędziło koniunkturę na rynku nieruchomości i budowlanym.

Kraj stał się miejscem, gdzie inwestuje się pieniądze, do czego przyczyniło się zawarcie pokoju w Północnej Irlandii. Porozumienie Wielkopiątkowe z 1998 r., jakkolwiek chwiejne, przyniosło Wyspie stabilizację i umocniło jej pozycję jako dobrego miejsca do życia. Dzięki tanim liniom lotniczym w późnych latach 90. powróciły tysiące rodzin dawnych emigrantów, aby osiedlić się na stałe. W konsekwencji w roku 2004 w Irlandii mieszkały już 4 mln ludzi. Wraz z nimi przyjechały ich oszczędności życia.

I tak z kraju, który w latach 70. funkcjonował na skraju bankructwa, w pierwszych latach XXI w. Irlandia stała się krajem wielkich pieniędzy. Poziom życia wzrastał, a wraz z nim rosły koszty i ceny nieruchomości. Pokazała się nowa klasa Irlandczyków: ludzie zbyt zajętych zarabianiem pieniędzy, aby chwycić się za prace tak przyziemne jak sprzątanie lub

drobne remonty. Normą stało się, że mąż i żona przesiadują w swoich biurach do późna. Przewaga przyjazdów nad wyjazdami, jaka uwidoczniła się w latach 1996-2008, potwierdziła zapotrzebowanie na pracowników niezbędnych do przejęcia zadań, dla których Irlandczycy nie mieli czasu ani chęci.

Polacy wykazywali znaczną gotowość do emigracji do Europy Zachodniej, jakkolwiek początkowo Irlandia nie wyróżniała się jako jeden z podstawowych kierunków wyjazdów. Sytuacja uległa zmianie po akcesji Polski do Unii i otwarciu irlandzkiego rynku pracy. Dla Polaków, ale także dla Litwinów, Łotyszów czy Rumunów Irlandia oferowała wszystko, czego mógł poszukiwać imigrant: przyjazne nastawienie, dobry klimat ekonomiczny, relatywnie wysokie stawki, a także lepsze warunki pracy. Na korzyść Irlandii przemawiał także język angielski.

Imigracja zastąpiła emigrację, a Polacy oraz inni przyjeźdźni mieli swój udział w irlandzkim śnie o pewnym sobie euroatlantyckim narodzie, który uwolnił się z okowów Kościoła i kolonializmu.

■ ■ ■

Tymczasem wolność ta pogrążyła nas w bezmyślnym materializmie, który okazał się istotną przyczyną załamania ekonomicznego w roku 2008. Konsekwencją kryzysu, który po nim nastąpił, okazał się znaczny wzrost emigracji. Pomiędzy rokiem 2008 a 2012 liczba Irlandczyków wyjeżdżających z kraju zwiększyła się trzykrotnie. Urząd Statystyczny szacuje, że blisko 81 tys. opuściło kraj od kwietnia 2014 r. do kwietnia 2015 r. – to więcej niż najwyższe wskaźniki lat 50. i 80. Jednak wtedy większość wyjeżdżających stanowili obywatele irlandzcy, podczas gdy współcześnie wyjeżdżają przeważnie niedawni imigranci.

Natomiast liczba ludności Irlandii stale wzrasta. W kwietniu 2021 r. przekroczyliśmy 5 milionów. Potrzebowaliśmy na to około 150 lat.

© PEADAR DE BURCA

Przetł. Adam Lutogniewski

Autor (ur. 1973) jest irlandzkim pisarzem i dramaturgiem, od kilkunastu lat mieszka w Gliwicach. Felietonista katowickiego wydania „Gazety Wyborczej”. Jego zbiór felietonów „Uporczywie pogodne myśli” wydała Fabryka Słów.

TOMASZ

Stawiszyński: Wielka wizja



„BYŁO MNÓSTWO ZNAKÓW OSTRZEGAWCZYCH, po prostu nie przyjmowaliśmy ich do wiadomości. Przecież on miał swoją wielką wizję” – mówi Thomas Djursing, biograf Petera Madsena, człowieka, który w 2017 r., na pokładzie zbudowanej włas-

snoręcznie łodzi podwodnej „Nautilus”, brutalnie zamordował młodą szwedzką dziennikarkę Kim Wall. Słowa te padają w dokumencie „Kim Wall, zaginiona na morzu”, który od niedawna można oglądać na platformie HBO Max. Djursing jest wyraźnie poruszony. Ewidentnie nie może sobie wybaczyć, że dopiero *post factum* wszystkie rozsiane elementy psychologicznej układanki uformowały się w jego umyśle w tyleż logiczną, co przerażającą całość. Jak to w ogóle możliwe? Charyzmatyczny wynalazca i konstruktor, „duński Elon Musk” regularnie zadziwiający opinię publiczną kolejnymi ekscentrycznymi pomysłami, innowator otaczany powszechnym podziwem i szacunkiem, okazał się bezwzględny oprawca? Co więcej: tragedia na pokładzie „Nautilusa” była – na to wygląda – niekonieczna. Być może dałoby się jej uniknąć, gdyby nie ten właśnie mechanizm redukcji dysonansów, ignorowania niepokojących sygnałów, marginalizowania mniejszych lub większych zakłóceń w idealnym wizerunku wielkiego wizjonera.

Nie jest to oczywiście nic odosobnionego, to raczej, można powiedzieć, przygnębiająca swoją powtarzalnością klasyka. Ten motyw – odwracania wzroku, ignorowania oczywistości, niedopuszczania do siebie kontrastującej z obowiązującym wyobrażeniem prawdy – przewija się bodaj we wszystkich opowieściach o wpływowym, sławnych, dysponujących ogromną władzą ludziach, którzy okazali się seksualnymi drapieżnikami, psychopatycznymi mordercami itp. Czy będzie to Marcial Maciel Degollado, czy Ted Bundy, Jimmy Savile, Jeffrey Epstein, Harvey Weinstein, Władimir Putin, czy też setki innych podobnych im drapieżników – zawsze to samo. Otoczenie lekceważy oczywiste symptomy patologii, bo wysoka pozycja społeczna, zreżymowana narracja, nimb wybitności, a nawet geniuszu, wpływy i pieniądze działają niczym najskuteczniejszy anestetyk. Dopiero kiedy suma wyrządzonego zła przekracza jakąś masę krytyczną albo kiedy zupełnym przypadkiem coś wychodzi na jaw – wszyscy budzą się niby z sennego kosmaru.

I mówią to samo co Djursing: widzieliśmy, ale nie wierzyliśmy.

Jakie są źródła tej niewiary? Z pewnością można przytoczyć cały szereg psychologicznych mechanizmów zakrzywiania percepcji i stabilizowania raz już powziętych przekonań, które doskonale ten proces wytłumaczają. A jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nawet te najbardziej wysublimowane i przenikliwe analizy z pogranicza kognitywistyki, neuro nauk i ewolucjonizmu coś istotnego pomijają. Innymi słowy – same poniekąd wpadają w pułapkę, której przemysłną konstrukcję starają się naświetlić i wytłumaczyć. Nie oznacza to

oczywiście, że musimy w związku z tym sięgać po metafizykę. Wystarczy dość prosta, a zarazem – być może – dla niektórych obrazoburcza konstatacja.

A mianowicie: żyjemy w kulturze, która promuje drapieżnictwo. Nieprzypadkowo jeszcze w latach 70. ubiegłego stulecia tacy autorzy jak Robert Hare czy Christopher Lasch zwracali uwagę, że współcześnie osobnicy o cechach psychopatycznych i narcystycznych okazują się często najskuteczniejszymi uczestnikami gry społecznej. Pomimo deklarowanych wartości głęboko przeciwnych darwinistycznemu współzawodnictwu, realia wielu obszarów świata przypominają w gruncie rzeczy Hobbesowski stan natury. Przekonanie, że ktoś, kto znajduje się na szczycie jakiejś hierarchii – z powodu swojej pozycji, talentu, pieniędzy, a także *last but not least* „wielkiej wizji” – nie podlega regułom obowiązującym zwykłych śmiertelników, wciąż jest niezwykle głęboko zakorzenione. Podobnie jak przekonanie, że ekspansja, czyli droga na szczyt, jest jedynym kierunkiem nadającym życiu wartość. I że wymaga ona bezwzględności oraz braku skrupułów.

No dobrze, ale czy suma tych wszystkich akceptacji, a nawet gloryfikacji zachowań noszących ewidentne znamiona przemocy, tych wszystkich zaniechań, zaślepień i przemilczeń, rzeczywiście daje w efekcie figury w rodzaju Madsena, Epsteina czy Putina? Czy – innymi słowy – tego rodzaju postacie są produktem specyficznego kulturowego kontinuum, w którym na początku mamy kult siły i pieniędzy, na końcu zaś gwałt i morderstwo jako najpełniejszą realizację chorej fantazji o potędze?

Historia opowiedziana w filmie o tragicznych losach Kim Wall zdaje się potwierdzać tę diagnozę. Wzięcie jej na poważnie oznaczałoby jednak konieczność głębokiej rewizji tego, co dziś wciąż jeszcze jest powszechnie akceptowane, bo: niekiedy wynoszone na piedestał. Tymczasem o wiele łatwiej uznać, że świat dzieli się na „normalnych ludzi” oraz krwiożercze „potwory”, które zjawiają się nie wiadomo skąd, i które z naszym, „normalnym” światem i z nami, „normalnymi”, nie mają absolutnie nic wspólnego. ©

POŻEGNANIE

Rodzinie i Przyjaciołom Zmarłego

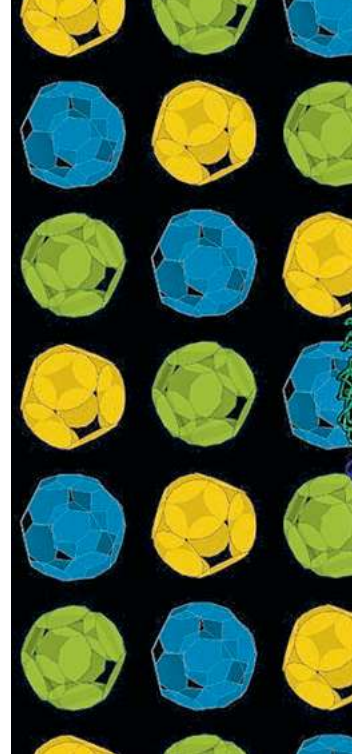
składamy wyrazy serdecznego współczucia
z powodu śmierci

Marka Goliszewskiego

założyciela i prezesa Business Centre Club

ZARZĄDY

„TYGODNIKA POWSZECHNEGO” I FUNDACJI TP



NAUKA

OPAKOWANIE WAŻNE JAK LEK

Badacze z Małopolskiego Centrum Biotechnologii opracowali obiecującą technologię dostarczania do organizmu aktywnych substancji w białkowych klatkach.

ANNA BARTOSIK

NAJBARDZIEJ POPULARNĄ I LUBIANĄ przez pacjentów formą leków są tabletki. Łatwe do przechowania i połknięcia; firmy farmaceutyczne produkują ich setki miliardów rocznie. We współczesnej biomedycynie coraz częściej mamy jednak do czynienia ze specyfikami, których nie można zamknąć w tabletkę. Ich substancje aktywne nie są małymi związkami chemicznymi, ale dużymi biologicznymi makromolekułami, jak chociażby cząsteczki mRNA stosowane w szczepionkach przeciwko SARS-CoV-2 czy przeciwciała monoklonalne, podawane, by zwalczyć wirusową infekcję.

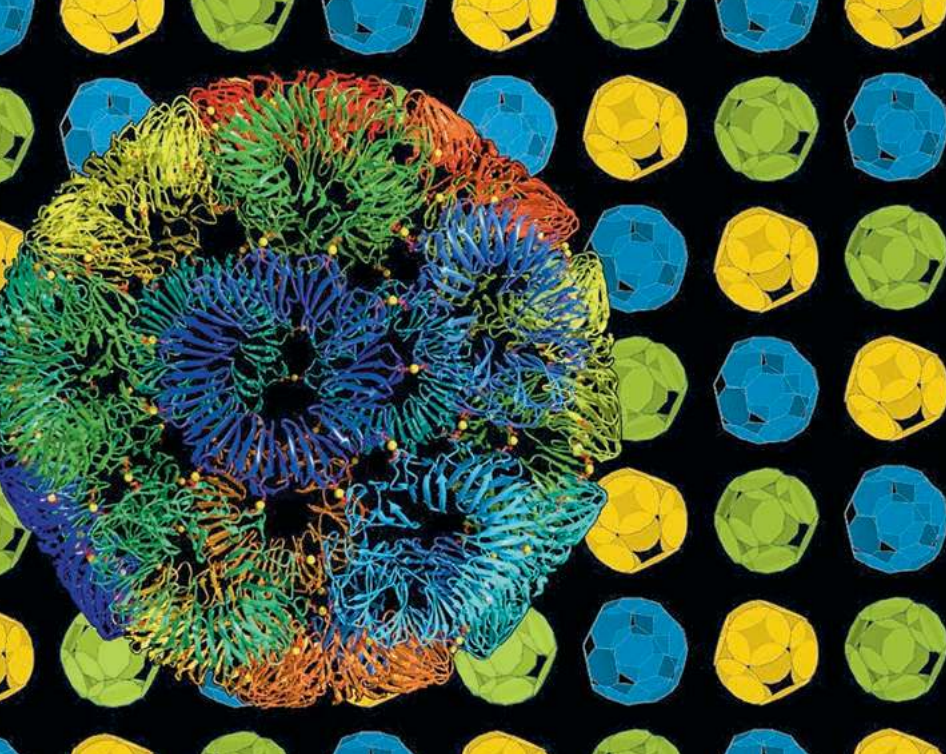
Cząsteczki te, poza tym, że mają spore rozmiary, są delikatne i wrażliwe na zmiany otaczającego je środowiska. Nawet niewielkie uszkodzenie może spowodować, że nie będą spełniać swojej funkcji. Istotnym wyzwaniem, np. w onkologii, jest też kontrolowane uwalnianie substancji aktywnych – bezpośrednio w obszarze guza, a nie w przypadkowym miejscu w organizmie.

Dlatego równoległe z rozwojem leków trzeba pracować nad odpowiednimi nośnikami. Często najlepiej sprawdzają się rozwiązania wymyślone już wcześniej przez naturę, którą naukowcy próbują naśladować. Jednym

z takich sposobów jest zamknięcie substancji aktywnych w naturalne „opakowania”, które mogą bez przeszkód podróżować po organizmie. W naturze obecne są takie struktury zbudowane z białek.

Pięć gramów żelaza

W organizmie człowieka białkowe struktury magazynują w komórkach potencjalnie szkodliwe substancje chemiczne – np. jony żelaza. Są one konieczne do prawidłowego funkcjonowania organizmu, ale w wolnej postaci katalizują reakcje chemiczne, które prowadzą do powstania toksycznych wolnych



MATERIAŁ PRASOWE

Prof. Jonathan Heddle z Małopolskiego Centrum Biotechnologii w Krakowie oraz wizualizacja stworzonej przez jego zespół klatki białkowej.

rodników (na ogół bardzo reaktywnych jonów, atomów lub cząsteczek). Z tego powodu w naszych komórkach musiała powstać biochemiczna infrastruktura pozwalająca na bezpieczne magazynowanie żelaza.

Ciało dorosłego człowieka zawiera od trzech do pięciu gramów żelaza, z czego aż 80 proc. wchodzi w skład hemoglobiny obecnej w czerwonych krwinkach. Reszta przechowywana jest w komórkach wątroby. Żelazo jest w ich wnętrzu uwięzione w trójwymiarowych strukturach zbudowanych z białka ferrytyny (od łacińskiego *ferratus*, co oznacza „pokryty żelazem”), z których jest uwalniane w ściśle kontrolowany sposób. Zazwyczaj struktury te składają się z 24 identycznych podjednostek – cząsteczek białka połączonych w kulistą, symetryczną klatkę z pustym wnętrzem, gdzie może się zmieścić aż do 4,5 tys. atomów żelaza. W mikroskopicie komórkowym naukowcy nazywają takie struktury nanoklatkami białkowymi.

Prawdopodobnie najbardziej rozpoznawane nanoklatki białkowe to otoczki wirusów, zwane kapsydami. To właśnie w ich wnętrzu znajduje się materiał genetyczny w postaci RNA lub DNA, uwalniany do wnętrza atakowanych komórek. Tak jest w przypadku chociażby towarzyszącego nam od przeszło dwóch lat SARS-CoV-2. Jego kapsyd jest dodatkowo uzbrojony w „kolce”, które nadają mu charakterystyczny wygląd i ułatwiają

infekowanie komórek układu oddechowego.

Wirusowe kapsydy czy nanoklatki ferrytyny zbudowane są z wielu cząsteczek jednego lub kilku białek, ułożonych w ściśle określony sposób dzięki zachodzącym między nimi oddziaływaniom chemicznym. Odtworzenie takiej struktury w laboratorium nie jest łatwe, ale dzięki podglądaniu naturalnych nanoklatek białkowych możemy wymyślić, jak je zmodyfikować, by pełniły nowe funkcje – np. stając się nośnikami dla biologicznych makrocząsteczek. Możemy też spróbować skonstruować klatki z białek, które w danym znanym organizmie ich nie tworzą.

Klatko, otwórz się

W 2019 r. naukowcy z Małopolskiego Centrum Biotechnologii (MCB) Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie pod kierunkiem profesora Jonathana Heddle’a zaprojektowali i zbudowali taką właśnie sztuczną nanoklatkę białkową przy pomocy występującego u bakterii białka TRAP (z angielskiego „pułapka”). Z połączenia 24 identycznych podjednostek – 11-kątnych pierścieni białkowych – powstała struktura o średnicy 22 nanometrów (milionowych części milimetra), połączona przy pomocy 120 „spinek” z jonów złota. Jest ona „matematycznie niemożliwa”, ze względu na zasady geometrii, ale możliwa biologicznie w świecie elastycznych białek, które tuszują drobne nieregularności geometryczne.

W krakowskim laboratorium otrzymano niezwykle stabilny, nawet w trakcie gotowania, pusty w środku kompleks białkowy, odporny na działanie kwasów i zasad. Ale za to rozpadający się na części składowe po wnikięciu do komórek. To w teorii pozwala na umieszczenie wewnątrz nanoklatki leku i wykorzystania jej do dostarczenia go tam, gdzie jego działanie przyniesie największy efekt. Kolejnym wyzwaniem było zaprojektowanie sztucznych nanoklatek, których sposób otwierania się można kontrolować – co miałoby jeszcze większe znaczenie w przypadku przyszłych medycznych zastosowań.

Na początku tego roku w prestiżowym czasopiśmie „Science Advances” zespół profesora Heddle’a we współpracy z naukowcami z Weil Cornell Medicine w USA i z Uniwersytetu w Leeds w Wielkiej Brytanii opisał postępy nad uzyskaniem tzw. programowalnych klatek białkowych.

– W przypadku naturalnych cząsteczek, takich jak kapsyd jakiegoś wirusa, możemy doprowadzić do jej rozpadu po wprowadzeniu konkretnych zmian do środowiska, np. jakiejś substancji do komórki – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem” prof. Heddle. – Programowalna klatka to taka, w której możemy z góry zdecydować, jakie warunki zewnętrzne będą wywoływały poszukiwany przez nas efekt strukturalny, taki jak rozpad klatki. Daje nam to większe możliwości kontroli jej zachowania – dodaje badacz.

Żeby stworzyć programowalną nanoklatkę zbudowaną z białka TRAP, naukowcy z Krakowa wykorzystali związki chemiczne zawierające siarkę, które łączyły ze sobą poszczególne elementy klatek w miejscu, gdzie w poprzedniej wersji klatki znajdowały się „spinki” z atomów złota. W obecności czynników redukujących wiązania siarkowe ulegały rozpadowi, a klatki się otwierały. Do śledzenia ich integralności zespół badaczy wykorzystał białka fluorescencyjne, które świeciły jednym kolorem, gdy znajdowały się razem w zamkniętej klatce, ale zmieniły kolor, gdy klatka była otwarta.

– Największym wyzwaniem było znalezienie takich związków chemicznych, →

→ które utrzymałyby stabilną strukturę klatki poza komórkami, a jednocześnie pozwalały na jej kontrolowany rozpad – mówi prof. Heddle.

W badaniach nanoklatek naukowcy z MCB wykorzystują szereg metod biofizycznych i biochemicznych, takich jak wspomniane białka fluorescencyjne. Najbardziej pomocną metodą jest jednak tzw. mikroskopia krioelektronowa, która pozwala na obrazowanie cząsteczek zamkniętych w bardzo cienkiej warstwie lodu niemal z atomową dokładnością. Zespół prof. Heddle'a do tych badań wykorzystuje należący do Uniwersytetu Jagiellońskiego synchrotron Solaris.

Komercjalizacja

Droga od odkryć naukowych dokonanych w ramach badań podstawowych, związanych z poznawaniem mechanizmów występujących w przyrodzie czy zachowań określonych substancji w różnych warunkach, do medycznych zastosowań w formie nowych terapii jest zazwyczaj bardzo długa. Wymaga przeprowadzenia całej serii testów dowodzących najpierw bezpieczeństwa terapii, a potem jej skuteczności. Klatki białkowe podlegają tym samym regułom – ich potencjalne zastosowanie w terapiach wiąże się w końcu z wprowadzaniem pewnej substancji do orga-

nizmu, co zawsze może prowadzić np. do pojawienia się niechcianej reakcji układu immunologicznego. Jak daleko jesteśmy więc obecnie od rzeczywistych zastosowań klatek białkowych w terapiach?

Jak dotąd największe postępy poczyniono w wykorzystaniu nanoklatek białkowych jako nośników szczepionek. Jednak w tym przypadku do przeniesienia materiału wywołującego reakcję układu odpornościowego (tu przewidzianą i pożądaną) wykorzystano samą powierzchnię klatki, a nie jej wnętrze.

– Przynajmniej jedna firma biotechnologiczna była w stanie umieścić antygeny na zewnątrz klatki oraz wykazać, że mogą to być skuteczne szczepionki – mówi prof. Heddle. – Choć trudno było sądzić, że takie podejście mogłoby całkowicie zastąpić inne formy szczepień, to wygląda na to, że szczepionki dostarczane w klatkach białkowych będą miały do odegrania pewną rolę. Badania nad dostarczaniem leków są na razie znacznie mniej zaawansowane – dodaje.

Niemniej badacze z Krakowa wierzą w potencjał swojego odkrycia – założyli już firmę biotechnologiczną nCage Therapeutics, której celem jest komercjalizacja uzyskanych wyników.

W innych ośrodkach prowadzone są np. badania z wykorzystaniem kla-

tek białkowych zbudowanych z ferrytyny – tego samego białka, które w naszych organizmach magazynuje żelazo. Takie klatki znajdują zastosowanie w badaniach onkologicznych, np. nad dostarczaniem chemioterapeutyków do komórek rakowych, czy w badaniach obrazowych, takich jak rezonans magnetyczny lub tomografia komputerowa nowotworów.

Izabela Stupka, doktorantka prof. Heddle'a i pierwsza autorka wspomnianej publikacji z „Science Advances”, w wykładzie wygłoszonym na kanale Copernicus na YouTube zwracała uwagę na to, że klatka opracowana w Małopolskim Centrum Biotechnologii nie ma równie zwartej struktury jak kapsydy wirusów albo klatki złożone z ferrytyny – co może nastęrczać pewne trudności.

– W przypadku klatki niczym nieokrytej istnieje ryzyko, że przedostaną się do niej jakieś enzymy, które mogłyby trawić jej ładunek. Przyszłe badania na komórkach i żywych organizmach będą wymagały odpowiedniego przygotowania klatki – np. pokrycia jej substancjami, które sprawią, że nie zaatakuje jej układ immunologiczny. Liczymy więc na to, że jeśli odpowiednio udekorujemy klatkę, spełni ona przewidziane zadanie – wyjaśnia badaczka.

© ANNA BARTOSIK

REKLAMA

Kraków

MuFo Rakowicka
ul. Rakowicka 22A
mufo.krakow.pl

Co robi zdjęcie?
Wystawa główna
Muzeum Fotografii w Krakowie
Zapraszamy od 13 maja

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Złoto inwestycyjne – lek na inflacyjne bolączki?

W rzeczywistości ukształtowanej przez rosnące ceny i ujemne stopy procentowe, gdzie oprocentowanie lokat pozostaje daleko w tyle względem inflacji, inwestorzy poszukują skutecznego zabezpieczenia swoich środków finansowych. Coraz częściej ich wybór pada na złoto inwestycyjne w postaci monet i sztabek, które w wyniku kryzysu finansowego z lat 2007-2009 sukcesywnie zyskiwały na znaczeniu. Co stoi za rosnącą popularnością kruszcu wśród polskich inwestorów? Na czym polega fenomen złota i czy dobrym pomysłem jest zakup sztabki lub monety w obecnej sytuacji?

Mnogość zawirowań na rynkach finansowych w ostatnim stuleciu doprowadziła do spadku zaufania do tradycyjnych form inwestowania i skierowania uwagi w stronę inwestycji alternatywnych. Inwestorzy zaczęli przywiązywać większą wagę do zabezpieczenia swojego portfela inwestycyjnego – wielu z nich wybrało do tego złoto.

Od wieków kruszec ten jest bowiem uznawany za najbezpieczniejszą lokatę kapitału, co wypukla jego rolę jako trudnej, a wręcz niemożliwej do zastąpienia części portfela inwestycyjnego. Wynika to z tego, że złoto cechuje się niską korelacją z innymi klasami aktywów, dzięki czemu jego funkcja nie sprowadza się wyłącznie do długoterminowego zabezpieczenia przed inflacją, ale generalnie pozwala ograniczyć ryzyko inwestycyjne.

Szczególnie w okresach podwyższonej zmienności na rynkach finansowych, którym zwykle towarzyszy wysoka inflacja, wyraźnie wzrasta rola złota jako transferu bogactwa.

Wojna w Ukrainie, będąca kolejnym ciosem wymierzonym w gospodarkę, które jeszcze nie zdołały pozbić się po pandemii, dokłada kolejną cegiełkę – chociaż w tym przypadku zasadnym byłoby użycie określenia „cegieł” – do wzrostu inflacji. Na tym tle na wyjątkowość złota jako inwestycji składa się kilka czynników, a najważniejszym z nich bez wątpienia jest ograniczona podaż kruszcu na świecie. Czyni to złoto odpornym na podstawową bolączkę współczesnego systemu monetarnego – „dodruk” pieniądza niemającego pokrycia w żadnym dobru materialnym. To motywuje Polaków do podjęcia lub zintensyfikowania aktywności inwestycyjnej.

Rosnącą rolę złota w portfelach polskich inwestorów odzwierciedlają wyniki firmy Tavex – lidera w zakresie dystrybucji inwestycyjnych metali szlachetnych w krajach Europy Północnej oraz jednego z wiodących podmiotów w Europie Środkowej, a także Południowo-Wschodniej. W I kwartale 2022 roku wartość sprzedaży złota w postaci monet i sztabek wzrosła o 50% w zestawieniu z analogicznym okresem ubiegłego roku. Wynik ten został osiągnięty m.in. dzięki wzrostowi ceny złota – wyrażonej w polskiej walucie – do najwyższego poziomu w historii. Wpływ na to miały również ostatnie wydarzenia geopolityczne, w kontekście których nie sposób nie wspomnieć o łatwości, z jaką w razie potrzeby można spieniężyć inwestycję. Rynek złota jest bowiem jednym z najbardziej zglobalizowanych rynków finansowych, a wielomiliardowy dzienny obrót aktywem oraz mnogość podmiotów zajmujących się nim sprawia, że inwestycję w razie potrzeby można bez problemu zamienić na dowolną walutę świata. Dzięki temu osoby inwestujące w złoto mogą nie tylko czuć się bezpieczne „tu i teraz”, ale również mogą ze spokojem patrzeć w przyszłość.

ALEKSANDRA OLBRYŚ

Analitik ds. Rynku Złota, Tavex



Tavex jest wiodącym dealerem metali szlachetnych, który oferuje również usługi wymiany walut oraz płatnicze na najlepszych warunkach. Grupa Tavex posiada oddziały w 12 europejskich krajach, w tym 5 w samej Polsce. Realizuje ponad 2 miliony transakcji rocznie.



RAJ JURAJSKI

Lodowce omijały to miejsce, czyniąc je przytulną dziuplą. Głębokie, mokre doliny, pełne naturalnych schronień, gdzie łatwo się ukryć.

Tu się czuje znaczenie słowa „dom”
– mówi Andrzej Muszyński, tubylec.

TEKST ADAM ROBIŃSKI | ZDJĘCIA JACEK TARAN

CHŁOPAK MA DWANAŚCIE LAT, GDY WIDZI przed sobą rogate, bezkształtne coś. Skała lśni jak złoty cielec i pnie się do nieba. Zapamięta z tej chwili cień, od którego chłodu cierpnie rozgrzana letnim słońcem skóra. Wciśnięte w masyw domy, jakby ich mieszkańcy chcieli się przed kimś schować. I białą grań, która szczyrzy się w granatowe niebo niczym wilczy pysk. Ale nijak nie będzie w stanie zapamiętać, co to za miejsce. Być może dlatego, że kuzynka, z którą przyjechał, zawyrokuje: Srokowa Skała. A to wcale nie jest Srokowa Skała.

Będzie potem szukać tej skały przez ćwierć wieku. Z widokiem wapiennego giganta zapisanym pod powiekami i niczym więcej. Dwie i pół dekady stukania palcem po mapie, pytania, błędzenia w terenie, kluczenia rowerem po jurajskich dolinach. Kiedy już założy rodzinę, uprze się, że to właśnie pod tą skałą chce wybudować chałupę. Ktoś mógłby to nazwać obsesją. Stratą czasu, głupotą, kaprysem albo naiwnością. Ale Andrzej Muszyński – pisarz, podróżnik, rolnik i prawnik, chyba w takiej kolejności – wykaże się imponującym uporem i cierpliwością, i ostatecznie naprawdę postawi dom dokładnie tam, gdzie zaplanował.

Wspomina: – Wtedy, dawno temu, wjechaliśmy z kuzynką nie w tę drogę, co trzeba. Po prostu się zgubiliśmy. Zobaczyłem piękną, majestatyczną skałę. Krajobraz zachęcający do pozostania. Krasowy. Bo kras to woda, a woda kusi, żeby się napić, przylgnąć do skały i się wygrzać. Ten drugi raz to był zupełny przypadek. Naprawdę długo szukałem tego miejsca. Człowiek sprzedawał działkę tam dalej, na wzgórzu. Wjechałem na przełęcz koło cmentarza i doznałem olśnienia. Wow, to jest to miejsce, w którym się jako dzieciak zakochałem. Zacząłem łązić po ludziach, pukać od drzwi do drzwi. Pytać, kto mi tu sprzeda działkę. W końcu pewien człowiek się zgodził. To był wąski pasek ziemi, zakrzaczony, zarośnięty. Prawdziwy środkowo-europejski busz. Miesiąc trwało, zanim to wszystko wyciąłem. Dało mi →

Andrzej Muszyński,
Powroźnikowa Skała w Jurze
Krakowsko-Częstochowskiej.
2 maja 2022 r.

→ to ogromną satysfakcję, bo wiem już, ile potrzeba pracy, żeby taki ugor doprowadzić do stanu używalności.

Swoją najnowszą książkę, „Dom ojców”, Muszyński zaczyna cytatem z wiersza W.H. Audena. Brytyjski poeta mówi w nim o skalnym krajobrazie, okolicy niewielkich odległości i sprecyzowanych miejsc, który przypomina matkę. Ojcowski krajobraz – krajobraz Ojcowa, ale i ojców, czyli przodków – jest więc tak naprawdę matczyny. Wydaje się, że w tych stronach nic nie jest oczywiste. Niby do stałem adres, jednak GPS-owi w telefonie niewiele on mówi. Nazwa wsi się zgadza, ale numer domu ginie w cieniu jurajskiej skały. Na szczęście wiem, że to nie Srokowa, ale Powroźnikowa Skała. Może tak byłoby prościej – opisywać tutejsze adresy wapieniem, a nie abstrakcyjnymi ulicami czy wsiami, z którymi najwyraźniej technologia sobie nie radzi?

Archeologiczny eksperyment

Przedwiośnie pod Powroźnikową Skałą. Ostre słońce, długie, poszarpane cienie. Od paru tygodni nie padało, więc lessowa gleba, na której od jesieni wzrasta irańska pszenica samopsza, jest spękana jak dno wyschniętej rzeki. Andrzej mówi, że ta uprawa to eksperyment. Samopsza to najstarsze udomowione zboże na świecie, znana człowiekowi od tysięcy lat, dziś wyparta przez o wiele bardziej płodne odmiany uprawiane na przemysłową skalę. Początkowo Muszyński chciał pojechać do Persji, zobaczyć dziką samopszę. Ostatecznie, w związku z pandemią, nasiona kupił od rolnika pod Gorlicami. Sporo zachodu będzie z tą uprawą również później, bo w przeciwieństwie do pszenicy zwyczajnej, samopszę trzeba łuskać. Opowieść o okiełznaniu jurajskiej ziemi, którą zaczyna się „Dom ojców”, czytam trochę jak relację z takiego rzucania sobie kłód pod nogi.

Choć wychował się w gospodarstwie na skraju Pustyni Błędowskiej, to kiedy w czwartej dekadzie życia postanowił zapuścić korzenie w Jurze, musiał się rolnictwa uczyć niemal od zera: – Ta książka wzięła się stąd, że kiedy po paru latach udręki w końcu weszło mi to zboże, z paroma workami pojechaliliśmy do młyna i w końcu dostaliśmy mąkę, z której można było upiec swój chleb, pomyślałem, że muszę to opisać. Od samego początku opowiedzieć, jak to jest przyjść na pole, które jest pełnym nieużytkiem. Jak ogromny

jest zakres czynności, które trzeba wykonać, i czasu, który musi upłynąć, zanim wyciągniesz z pieca bochenek. Myślałem, że to będzie nowelka. Coś w stylu „Starego człowieka i morza”, bo ten cały proces był dla mnie długą walką z żywiołem. Ale potem się okazało, że prowadzę eksperyment archeologiczny. Że robię to samo, co ludzie przed tysiącami lat.

Zanim pojedziemy na krajoznawczą wycieczkę po okolicy, spojrzą tym ludziom w oczy. Zdjęcia układają się w szereg. Wiszą przy schodach, dzięki czemu przypominają o sobie każdego poranka, jeszcze przed zejściem do kuchni. Rekonstrukcja twarzy przedstawiciela gatunku *Australopithecus africanus*. *Homo habilis*, człowiek zręczny. Młody *Homo ergaster* sprzed półtora miliona lat, którego niemal cały szkielet odnaleziono lat temu czterdzieści. *Homo heidelbergensis* i *Homo neanderthalensis*. Wreszcie ciemnoskóra kobieta z gatunku *Homo sapiens* sprzed kilkunastu tysięcy lat. Na końcu rodzinna fotografia z wakacji: uśmiechnięci Andrzej z żoną i córką na jakiejś plaży.

Cały ten ciąg fotografii zdaje się mówić: dziękuję wszystkim, którzy byli tu przede mną, bez was nie byłbym tym, kim jestem. „Poza fauną i florą ten pejzaż nie zmienił się wiele od czasów pierwszych ludzi. Skały stoją tu od milionów lat. Gdy wspinam się po Jurze, moje ciało przyjmuje pozycje pierwszych odkrywców. Co można dziś więcej zrobić? Jak inaczej przywrócić o nich pamięć? Jak jeszcze, poza wędrówką, oddać hołd tym ludziom, żyjąc na ziemi użyźnionej ich prochem?” – pisze Muszyński w „Domu ojców”. Książka jest więc opowieścią o zapuszczaniu korzeni, ale też o poszukiwaniu ducha miejsca. Prehistoryczny reportaż śledczy, głosi nota na okładce, w którym „nasi przodkowie należący do różnych gatunków hominidów są odmalowani równie żywo, jak dziadek czy sąsiedzi”.

Skażony język

Wsiadamy do wiekowej łady niwy. Andrzej mówi, że to jej ostatnie miesiące, bo lada moment ją sprzeda. Kupił ją w tym samym czasie co ziemię pod Powroźnikową Skałą. Nie miał wtedy dostępu do traktora, a łada świetnie sprawdzała się jako auto gospodarcze, którym można wjechać na pole. Napęd na cztery koła, zboże na przyczepkę i jazda. O jej właściwościach jezdnych przekonuje się, gdy

w jednej z wsi zostawiamy asfalt, żeby drapać się pod górę żłobionymi przez wodę drogami polnymi. Ale wcześniej chcemy się wtarabanić na sam szczyt Powroźnikowej. Zmienić perspektywę.

– Dopiero z góry widać, jak bardzo połowany jest ten krajobraz. Jak się kłębi, zatapia w półkształtach. Zupełnie jakby nigdy nie chciał się skończyć. Ostatnio się dowiedziałem, że to ma swoją nazwę w geografii. Takie półdoliny nazywa się rozdołami. Kończą się, rozwidlają, tworzą niekończącą się płataninę, labirynt. Łatwo stracić w nim orientację. Kiedy się tu przenieśliśmy z Krakowa i zacząłem odkrywać dla siebie ten teren, to, uwierz mi, z dziecięcy raz się tu zgubiłem. Ale tak kompletnie, całkowicie straciłem poczucie przestrzeni. Nie zdarzyło mi się to nigdzie indziej, nawet w afrykańskim lesie czy na pustyni.

– Teraz, po latach, nabyłeś już rozeznanie w tym terenie?

– Nigdy nie będę miał pewności, że się tu nie zgubię. To jest istota tego krajobrazu, on cię wprowadza w błąd, wabi. Chwila nieuwagi i nie wiesz, gdzie jesteś. Przy tak zróżnicowanym pejzażu widok zmienia się niemal co chwilę. Mimo to mam wrażenie, że całą moją tożsamość, cały patriotyzm determinuje geografia. W chwili, gdy wjeżdżam między te iglice skalne, czuję się w domu. Każdy wyjazd poza ten obszar jest jak podróż za granicę.

– Ale przecież krajobraz twojego dzieciństwa był inny. Wychowałeś się wśród piachów Błędowa. To jest dom nabyty. Napisałeś nawet, że to pustynia skaziła ci umysł i język, pomieszała wątki – zauważam.

– Tak było. Ja się wychowałem w kilku językach naraz. We wsi mówiło się gwara wiejską, ale ona miała sporo naleciałości ze śląskiej, bo byliśmy blisko Śląska, ludzie pracowali w kopalniach, więc nią przesiąkali. I z tego, jak mówił Kraków. Do tego dochodziła twórczość domowa, neologizmy, o których nie wiesz, że nimi są. I potem jak masz dwadzieścia, trzydzieści lat, to ci się wydaje, że mówisz klasyczną polszczyzną, a tak nie jest. Ostatnio redaktorka pewnego magazynu pytała mnie, czy jak piszę, że ktoś idzie pod depo, to ma to związek z koleją. A dla mnie „pod depo” zawsze znaczyło pod rękę!

– Pierwsze słyszę.

– No widzisz. A ja, zbliżając się do czterdziestki, biorę słownik i czytam, że to z gwary częstochowskiej. Ale to nie

koniec, bo do tego koktajlu dochodziły jeszcze polszczyzna przystankowa oraz ta, której wymagali od nas w szkole. I pamiętaj, że ciągle mówimy o funkcjonowaniu w obrębie jednego języka. Miałem w głowie chaos, nie wiedziałem, na jaki styl mówienia powinienem się w danym momencie przestawić. Kiedy mogę mówić po swojemu. I co to w ogóle znaczy mówić po swojemu.

– Przełożyło się to jakoś na twoje dzisiejsze pisanie?

– Chyba tak. Mam problem z proporcjami, z kompozycją. Potrafię zatracić się w wizji pisarskiej, co mi sprawia ogromną przyjemność, ale ciągle muszę się pilnować, żeby nie tracić umiaru.

Skała jako refugium

Zanim pojedziemy do Ojcowskiego Parku Narodowego, Andrzej chce mi pokazać Chochołowe Skały, grupę ostańców w Dolinie Szklarki. Potężne, górujące nad lasem, z daleka wyglądają jak fragment twierdzy. Pierwszy raz trafił tam kilka lat temu, w ciemne listopadowe popołudnie. Zostawiamy ładę przy polnej drodze, a potem, płosząc sarnę, pniemy się w górę usłanego dywanem zawilców zagajnika.

Zaduszki są co prawda za pół roku, ale droga krzyżowa na kolumnadzie niewysokich drzew sprawia, że wyobraźnia bierze się do roboty. Na szczycie wzniesienia krzyż i kilkanaście krzesel, ślad po jakiejś uroczystości. I symboliczna mogiła, do której ktoś przytwierdził tabliczkę: „Grób dzieci nienarodzonych”. Muszyński opowiada o znajomych, którzy mieszkają niedaleko Chochołowych Skał i którzy wielokrotnie, parę lat z rzędu widzieli, jak w sąsiedztwie krzyża przysiadają kilkadziesiąt bocianów. Ptaki odpoczywały na skale, a potem falą odlatywały w kierunku Wisły. Intuicja podpowiada, że to miejsce od dawna musiało być kojarzone z kultem religijnym.

– Jura Krakowsko-Częstochowska jest wyspą. Wyniesioną ponad całą okolicę. Jesteśmy w tej chwili na 470 metrach nad poziom morza, najwyższy punkt w tej okolicy ma ponad pięćset. To są podobne wysokości co na Podhalu. Lodowce raczej omijały to miejsce, czyniąc je tym samym przytulną dziuplą. Tak ją moim zdaniem widzieli pierwsi ludzie, którzy przyszli w te strony. Głębokie, mokre doliny, pełne naturalnych schronień, gdzie łatwo się ukryć. Tu się czuje znaczenie słowa „dom”.



ANDRZEJ MUSZYŃSKI (ur. 1984) jest pisarzem, autorem m.in. reportaży „Cyklon” i książek prozatorskich „Miedza”, „Podkrzywdzie”, „Fajrant” i „Bez”. Ostatnio ukazał się „Dom ojców”. Laureat nagród literackich i podróżniczych. Mieszka w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej.

– Ale skała kojarzy się przecież z czymś surowym, nieurodzajnym.

– Tak, pod warunkiem, że mówisz o ludziach uprawiających ziemię. Dla nich rzeczywiście skała będzie zbędna, bo bezpłodna. Ale dla przyrody, dla życia, jest czymś niezbędnym, zapraszającym. To refugium. Kiedy w lecie przyjrzyj się jej z bliska, zobaczysz, jak wiele owadów znika w jej szczelinach. To wbrew pozorom miejsce wyjątkowo gościnne – mówi. I dodaje, że dla niego cały ten wapien przyznosi otuchę również dlatego, że uczy bezinteresowności. Jest czymś, czego współczesny świat nie potrafi spieniężyć. Skały budzą zachwyt, za który nie trzeba płacić.

„Trzeba pobyć chwilę w Ojcowie. Dopiero potem człowiek zaczyna się szwendać po okolicy i odkrywa Dolinę Sąpsowską. Sąpsówka jest pełna jaskiń, jam i okienników, czyli murów skalnych z naturalnym otworem, których nie widać z zarośniętego dna doliny. Są ich setki”. Pisząc i mówiąc o Sąpsowskiej, Andrzej często mówi o niej po prostu „dobra dolina”. Dolina życia. Jedna z wielu, bo wraz z Doliną Prądnika, od której odchodzi, i paroma pomniejszymi, które z kolei łączą się z nią, tworzą jeszcze jeden labirynt.

Zostawiamy auto tuż obok granicy parku narodowego. Przed nami raptem pięć kilometrów marszu wzdłuż potoku. Przez, jak mówi Andrzej, kolebkę ludzkości w tych stronach. Liczba archeologicznych stanowisk neandertalskich i ludz-

kich jest w tych okolicach ogromna. W jednej z tutejszych jaskiń znaleziono jedno z najstarszych narzędzi rolniczych na terenach współczesnej Polski – motyki rogowe sprzed pięciu tysięcy lat. Ruch turystyczny jest tu o wiele mniejszy niż w samym Ojcowie. Mijamy kilka domostw, zapewne starszych niż park narodowy, bo dziś, z oczywistych względów, nikt nie dałby w nim zgody na budowę. Ostatni, skryty w cieniu potężnej skały, ma adres, ale wygląda na opuszczony.

– Pamiętam wiejskie zabawy z dzieciństwa, odbywały się co sobotę, i to w środku lasu – wspomina Andrzej. – To był niemal pogański rytuał. Ludzie rozkładali się z kocami między drzewami, pili wódkę. Młody człowiek zaliczał tam po kolei wszystkie możliwe inicjacje. Potem wracało się po ciemku przez las, co rusz widząc upojonych sąsiadów śpiących pod drzewami. Te powroty w świetle latarek to jedno z silniejszych moich wspomnień. Więc jak kiedyś przyjechałem do tej doliny, minąłem wieś, ostatnie domy, i nagle zobaczyłem tę chałupkę pośród lasu i skał, to wiesz, jaka była moja pierwsza myśl? „Jak ten facet wracał tu po nocy z wiejskich imprez?”. Oczami wyobraźni zobaczyłem to rozpalone gorzałką ciało tonące w chłodzie, w wilgoci, w ciemności doliny i chałupy.

Chociaż wędrujemy przez teren pozornie pusty, to jednak co rusz wraca do nas opowieść o domach. Tym należącym do rodziny bobrow, które w ramach akcji reintrodukcji gatunku wpuszczono do Sąpsówki w drugiej połowie XX wieku, w wyniku czego potok zamienił się w imponujących rozmiarów rozlewisko. O starej szwajcarskiej willi przyklejonej do skały, z malowniczym tarasem, użytkowanej przez sejsmografów z Polskiej Akademii Nauk. W przyległej jaskini, do której prowadzi wykuty w wapieniu korytarz, dawniej odbywały się bale. Jeszcze wcześniej dawała schronienie kozom, a gdy przez okolicę przetaczał się front I wojny światowej, to i całej wsi. Andrzej zwraca również uwagę na skały zwane Garncarskimi, bo dawniej stała przy nich chata garncarza, a człowiek lepił ceramikę przy samej drodze w górę doliny.

Kształt chmury

Łapię się na tym, że przestałem już zauważać połowę z mijanych ostańców, często zawieszonych nad doliną tak wysoko jak chmury. Być może po prostu za wysoko, ➔

→ przynajmniej dla oczu uspionych życiem na niżu. Na szczęście nie jestem w tym sam, Andrzej też przyznaje, że choć bywa tu regularnie, to niektóre z nich widzi po raz pierwszy.

– Wiesz, co mnie w nich jeszcze fascynuje? To, że się nie poddają opisowi, że wymykają się językowi. On się o nie rozbija. Gdyby twoje życie zależało od opisu konkretnej skały, nie byłbyś w stanie tego zrobić.

– To może z nimi rzeczywiście jest jak z chmurami? W jednej chwili coś ci przypominają, ale za chwilę już nie i opis się rozłączy – zauważam.

– Miejscowi od zawsze starali się dostrzegać w nich różne kształty, jakieś okręty czy płetwy. Za tym szły nazwy miejscowe. Ale nie wiem, czy to dobre rozwiązanie, bo przecież tu każda pora roku jest inna. Wapień potrafi drastycznie zmienić swój odcień. W teorii skała jest monotonna, jednokolorowa. Ale jak przez tydzień pada deszcz, to Powroźnikowa, którą widzę z okna, staje się czarna jak smoła. Z kolei śnieg wydobywa szarości. A jesienią, gdy długo świeci słońce i wszystko staje się nieprawdopodobnie wyraziste, krajobraz się zieleni, buki czerwienią, to te skały stają się wręcz kredowo-białe. Błyszczą jak cenny kruszec.

Wchodząc do Ojcowa, wkraczamy w inny świat. Taki z asfaltem, restauracjami, hodowlą pstrąga i wycieczkami szkolnymi, które przelewają się przez Bramę Krakowską. Rękawica góruje nad tym całym rozgardiaszem jak jeszcze jedno zjawisko atmosferyczne. Trzeba się wspinać po długich i krętych schodach, żeby w pełni zrozumieć istotę monstrualnej skały. Jaskinia Ciemna, teraz z wejściem zasłoniętym szczelną kratą, to system komór i korytarzy o łącznej długości ponad dwustu metrów. Z imponującym dziedzińcem, w całości ukrytym za kamiennymi palcami. Trudno wyobrazić sobie lepsze stanowisko obronne i obserwacyjne. I nie ulega wątpliwości, że właśnie tym to miejsce było. Pierwsze prace archeologiczne prowadzono tu jeszcze pod koniec XIX wieku, a kamienne zażytki, które znaleziono, należą do najstarszych w Polsce. Nie trzeba zamykać oczu, żeby wyobrazić sobie w tym miejscu ludzi. Trzy zakurzone sylwetki o neandertalskich rysach tkwią co prawda w bezruchu, ale przecież czas też się tu zatrzymał. Jeszcze jeden dom ojców.

© ADAM ROBIŃSKI



Widma i duch

DARIUSZ KOŚIŃSKI

Wydawało się, że Krystian Lupa chce zapytać o także swoją odpowiedzialność za to, że pokolenie dzieci-kwiatów zmieniło się w pokolenie dobrze ustawionych „dzbanów”. Niestety, szybko okazuje się, że żadnego rachunku sumienia nie będzie.

Po ŚWIATOWEJ PRAPREMIERZE Najnowszego spektaklu Krystiana Lupy na Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Teatrze Powszechnym w Łodzi (23 kwietnia) napisałem wiadomość do przyjaciela, który szedł na drugą prezentację i prosił, bym mu napisał, na co się ma przygotować. Zacząłem od rzeczy ważnych: „Bądź wypoczęty. Zjedz dobrą kolację, miej ze sobą butelkę wody”. A potem dopisałem: „Pierwsza część świetna.

Druga nie. Ale wytrzymaj, bo jestem ciekaw, co powiesz”. Właściwie miałem ochotę napisać: „jeśli wyjdiesz po pierwszej części, nic nie stracisz”.

Z sześciu godzin „Imagine” w pamięci została mi jedna, ale na dobre. W dodatku godzina zupełnie innego teatru niż ten, który zwykle się wiązać z nazwiskiem Krystiana Lupy.

Zapiskane o świetle

Wyszedłem z „Imagine” rozeźlony, jeszcze zanim rozległy się prapremierowe brawa i rozpoczęła cała ta coraz trudniejsza do zniesienia szopka („Reżyser!”, „Reżyser!”). Była godzina 1.24 i musiałem się spieszyć na autobus, którym dojeżdżam właśnie do domu. Piszę zaraz po przebudzeniu z autobusowej drzemki, by nie dać rozsądkowi wyciszyć emocji i nie oddzielić doświadczenia teatralnego, które ma pobudzić do wyobrażania sobie innej rzeczywistości, od rzeczy tak podstawowej jak zmęczenie, znużenie i narastająca irytacja, które odczuwałem z każdą minutą dłużącej się niemiłosiernie drugiej części.

O godzinie pierwszej w nocy nie byłem już w stanie słuchać rozciągniętych monologów, w których naprawdę rzadko pojawiają się myśli głębsze. Gdyby o tej porze jakiś mój znajomy postanowił mnie uraczyć takimi refleksjami, to poprosiłbym, żeby poszedł do



NATALIA KABANOW / MATERIAŁ PRASOWY TEATRU POWSZECHNEGO W WARSZAWIE

Próba spektaklu „Imagine”, reż. Krystian Lupa

siebie, przespał się i wrócił jutro ze świeżą głową. Ale przecież nie powiem tego artyście, którego zadumana twarz patrzy ze słupów w centrum Łodzi. Gorzej – „Artysta Wizjoner” sam sobie tego nie powie i będzie wykorzystywał swoją pozycję, żeby wraz z zespołem odgrywać przede mną własną przenikliwość intelektualną i moralną wrażliwość.

Ja naprawdę rozumiem potrzebę powiedzenia publicznie, że „Putin ch...”, ale może jednak lepiej robić to na ulicach, wraz z grupą protestujących Ukraińców (akurat tego dnia ulicami Łodzi przechodziła ich demonstracja). I może wobec realnych ludzkich tragedii ugryźć się w język, gdy szatan kusi do wygłoszenia komentarza, że każdy z nas jest uchodźcą, bo choć nadal siedzimy w domach, to już zaczęliśmy tułaczkę. Nie, nie jest pan żadnym uchodźcą – jest pan dobrze sytuowanym europejskim reżyserem teatralnym zarabiającym duże pieniądze i nocującym w luksusowych hotelach, więc bardzo proszę nie porównywać się z ludźmi, którzy nadal marzną w polskich lasach albo siedzą na dworcu w Przemyślu. Ja naprawdę rozumiem potrzebę, ale może jednak potraktować serio i odnieść też do siebie to pytanie, które pada ze sceny tak często: „Co ty robisz? Co ty tu teraz robisz?”.

Myszę, że Krystianowi Lupie właśnie jako artyście potrzebny jest ktoś, kto miałby odwagę powiedzieć (i kogo by wysłuchał), że nie wszystko, co się może

i chce powiedzieć, powiedzieć należy. Taki ktoś może zdołałby powstrzymać Andrzeja Kłaka przed „odgrywaniem” samospalenia Piotra Szczęsnego i przekonał reżysera, że naprawdę nie ma potrzeby dalszego budowania własnej legendy jako twórcy rekordowo długich przedstawień.

Tak, wiem – te długie, męczące przedstawienia lubią się dać interpretować jako procesy, w których zmęczenie, nuda, udręczenie ciężarem upływającego czasu mają wytworzyć specjalny rodzaj percepcji, wymusić wyjście poza zwykłe sposoby myślenia. Ale w przypadku „Imagine” wymusiły sporo wyjść z teatru i wytworzyły zenujące sytuacje, gdy aktorzy odwoływali się do realnych ludzkich tragedii, a nawet ośmielali się je „ewokować”, a widzowie, do których apelowali o współmyślenie, chyłkiem a z ulgą uciekali z sali. I to oni mieli rację. Bo jeśli protestuje się przeciwko przemocy i jednocześnie (bezwiednie? świadomie?) wykorzystuje się czysto przemocową sytuację teatralną (ja mówię – ty siedzisz cicho i słuchasz) i jednokierunkową relację etyczną (ja mówię o okrucieństwach wojny, o potrzebie wolności i protestu, a ty wychodzisz?!), to niestety wszystkie te podstawowe pytania i kwestie bierze się w nawias, a sytuacja egzystencjalnego i moralnego zatroskania zamienia się w proces pompowania własnego ego. I w fatalnie anachroniczny teatr.

To, że wyszedłem wściekły, sprawiła bowiem przede wszystkim ostatnia scena prapremierowej wersji – „szamański” występ Piotra Skiby. Poprzedza go jedna z niewielu w tej części sekwencji tchnących rytmem współczesności – pięć minut, w czasie których leżące na scenie w swobodnych pozach i z obnażonymi piersiami aktorki mówią, co mają w głowach. Scena ta niesie świeżość, której w całej drugiej części „Imagine” rozpaczliwie brakuje. Jest jak otwarcie okna w dusznym pokoju. Na dodatek prowadzona jest tak („mamy tylko pięć minut” – mówią aktorki), że wydaje się ostatnią. Gdy jeszcze na koniec feerią barw i dźwięków wybucha film z hippisowską utopią odgrywaną do „Strawberry Fields Forever”, naprawdę jestem pewien, że to już koniec. Trochę doczepiony i bardzo inny niż ta cała trzygodzinna modernistyczna męska męka, ale właśnie dlatego – fajny. No i wtedy niestety okazuje się, że musi jeszcze być solówka ulubionego aktora, który wykrzykuje artaudowskie zaklęcia

w najgorszej manierze anachronicznego teatru kontrkulturowego.

Naprawdę rozumiem potrzebę, żeby zademonstrować i wykrzyknąć, ale jeśli coś położyło kres tamtej utopii i zabiło jej skuteczność, to takie właśnie samonapuzzenie. Więc proszę się nie dziwić, że wyszedłem naprawdę wkurzony. Także dlatego, że strasznie mi szkoda tego przedstawienia.

Sonata widm

Bo „Imagine” trzygodzinne, kończące się po pierwszej części, jest ważne, przejmujące i wciągające, z nieoczywistą, wręcz zaskakującą kulminacją. W przedpremierowych deklaracjach Krystian Lupa powtarzał, że chce zapytać o klęskę kontrkultury lat 60. i 70., a dokładnie o to, „co spier...liśmy”, że tamte szanse na przemianę człowieka i świata zostały zmarnowane. Wydawałoby się więc, że chce przeprowadzić coś w rodzaju rachunku także własnego sumienia i zapytać o swoją odpowiedzialność za to, że pokolenie dzieci-kwiatów zmieniło się w pokolenie dobrze ustawionych „dzbanów”, których figurą jest aluzjnie przywoływany w spektaklu Ryszard Terlecki. Niestety, szybko okazuje się, że żadnego rachunku sumienia nie będzie, bo wyjściowe „my” natychmiast przekształcone jest w figuralne „oni” i odsunięte od biografii głównego sprawcy.

Sytuacja wyjściowa jest prosta, wręcz banalna: po wielu latach od rozpadu jakiejś kontrkulturowej komuny jej charzmatyczny lider (Grzegorz Artman) zaprasza „siostry i braci” na spotkanie rozliczeniowe. Jest ono też rodzajem spóźnionej stypy po Johnie Lennonie, którego „Imagine” to jednocześnie hasło do działania („Wyobraź sobie inny świat”) i program zniesienia podziałów prowadzących do agresji i walki. Spotkanie odbywa się w sytuacji powszechnie rozpoznawalnej klęski tego programu – toczącej się tuż obok wojny, powszechnej wrogości, dominacji ideologii opartej na nienawiści. Dawne idee i praktyki są w stanie rozkładu, którego ucieleśnienie stanowi rozpad lidera na niemal bierne, umierające, a w końcu znikające ciało i ucieleśnioną „resztkę umysłu” (Andrzej Kłak).

Na spotkanie przybywają kolejno osoby noszące znaczące imiona postaci ważnych dla kontrkultury. Lupa w wywiadach niby powtarza, żeby nie zwracać na nie uwagi, ale wystawia je i ustawia w spektaklu tak, że odruchowo uruchamia się →

→ gra w zgadywanie *who's who*. Że lider Antonin odwołuje się do Artauda, to jasne. Że Janis (Karolina Adamczyk) to Joplin, nawet nie trzeba się domyslać, bo niby postacie nie są ważne, ale w odpowiednim momencie piosenkę Janis się włączy. Domyślanie się, że Patti (Marta Zięba) to Smith, Susan (Anna Ilczuk) – Sontag, a Tim (rewelacyjny Julian Świeżewski) to chyba Timothy Leary, raczej przeszkadza niż pomaga, podobnie jak zachodzenie w głowę, czy młody o imieniu Michel (Michał Lacheta) to Foucault, kim na miły Bóg jest Marieliv (Ewa Skibińska) i czemu postać grana przez Michała Czachora nosi żeńskie imię Lucy.

Cała ta gra w figurki jest unikiem, rodzajem ochronnego uogólnienia, którego efektem (czy zamierzonym – nie wiem) jest wyczyszczenie przedstawienia z czegoś, co dla wyjściowego pytania wydaje się podstawowe: historycznego i osobistego konkrety. Jeśli punktem wyjścia miałyby rzeczywiście być stawiane serio pytanie „co spier...liśmy?”, to jednak oczekiwałbym, że Krystian Lupa wyjdzie spoza ochronnych figur i rzeczywiście postawi je sobie samemu. Wtedy zamiast zapraszać do współpracy aktorki i aktorów, mógłby napisać list do uczestniczek i uczestników jego własnej jeleniogórskiej „komuny”, albo różnych mitycznych towarzyszek i towarzyszy polskiej kontrkultury, i pytać konkretnie i historycznie, a nie alegorycznie i ogólnikowo. Bo to naprawdę jest ważne pytanie, co spowodowało, że na przykład Ryszard Terlecki albo i Jerzy Illg są tam, gdzie są, a świat wygląda, jak wygląda. O wiele bardziej interesująca byłaby konfrontacja Krystiana Lupy z samym sobą niż męka, na jaką skazany zostaje świetny aktor Grzegorz Artman cierpiący za nie swoje winy.

W pewnym momencie Ewa Skibińska zauważa coś, co niemal od początku wydaje się oczywiste: że zgromadzenie dawnych „towarzyszy broni” to prawdziwa „sonata widm”, które – owszem – mają aktywne aktorskie ciała i emocje, ale same są bezcielesne, pozahistoryczne, książkowe, jak Antonin, który pyta, ale nie jest specjalnie zainteresowany odpowiedziami. Jak to często u Lupy bywa, teatralne widma wpadają w otchłanie książkowych cytatów i zmęczenia sobą. Dopiero kiedy dojdą do ich dna i wyczerpią katalogi wielosłownych banałów, będą w stanie zrobić coś, co tę całą gadaninę jakoś ocali.

Jest w „Imagine” Lupy
coś dotykającego,
żywego, niewpadającego
w banał i manierę.

**To wiara w życie
kontrkulturowej utopii.
Choćby tylko w teatrze.**

Zmartwychwstanie Króla

Bo najważniejsza część „Imagine” nie ma wiele wspólnego z pytaniem Antonina i rzekomym rozliczeniem z kontrkulturą. Zaczyna się nie od słowa, ale od piosenki. I przewrotnie – nie od tytułowej, zganej do cna jak cały ten nieszczerzy słowotok, ale od „Don't Let Me Down” Beatlesów. Któraś z kobiet znajduje winylową płytę z „ich ostatnim koncertem” i podniecona opowiada, jak to wyszli 30 stycznia 1969 r. na dach wytwórni Apple Records i na oczach zawiadomionych przez porządnego obywatela policjantów zagrali koncert – pełni radości, ożywiając dawną wspólnotę. Także na scenie wszyscy się nagle ożywiają. Do dusznego pokoju wdzierają się życie, wymiatając widmowe awatary i miazmaty fałszywych rozliczeń. Zgromadzeni zaczynają entuzjastycznie tańczyć, wyraźnie zadowoleni, że nie muszą już wypowiadać tych wszystkich przemądrych słów.

Z tego tańca właśnie rodzi się najlepsza scena przedstawienia. Zaczyna się od cytatu z „Hair”: rozdawania LSD jak komunii. Ten profanacyjny gest inicjuje serię działań będących odwróceniem porządku sakramentalnej liturgii katolickiej, którą komunია wszak wieńczy. U Lupy jest ona początkiem procesu wiodącego przez modlitwę ku aktowi sakramentalnemu. Michał Czachor czyta wśród narastającej ekstazy fragmenty „Skowytu” Allena Ginsberga, przede wszystkim słynny „Przypis” z powtarzającym się refrenem „Święty, święty”.

Nagle wśród coraz bardziej ekstatycznie poruszających się aktorek i aktorów pojawia się znikąd kontrkulturowy mesjasz – Zmartwychwstały, Żyjący. Ciemna broda, ciemne długie włosy opadają puklami. Zebrani witają w nim zmartwychwstałego Johna Lennona (dla mnie to oczywiście Jim Morrison – Król Jaszczur, prawdziwe uosobienie kontrkulturowej

energii, bóg niezniszczalnego życia, Dionizos XX wieku).

Ważne, że kulminacyjny punkt „Imagine” to zmartwychwstanie kontrkultury, zaprzeczenie jej śmierci. Jest ono inscenizowane z odwołaniem do chrześcijańskiej ikonografii – do sceny ze świętym Tomaszem wkładającym palec w ranę Zmartwychwstałego. Pojawienie się Żyjącego rozpoczyna najbardziej dosłowne obcowanie z nim – rodzaj świętej teatralnej orgii, która zachowuje transowy rytm i stanowi całkowicie pozbawione ironii przywołanie wyobrażeń o wolnej miłości i komunii ciała. Gdy rytm tej zbiorowej sekwenacji powoli gaśnie i nagie ciała zastygają w bezruchu, przykrywane folią jak całunem, ich obraz pojawia się na ekranach zamykających scenę, by następnie mogły zostać uniesione w górę, wniebowzięte. Zmartwychwstały spełnił obietnicę – wrócił i zabrał do Królestwa wierne swoje. Liturgia spełniona. Dokonało się.

Jeśli jest w „Imagine” coś dotykającego, żywego, niewpadającego w banał i manierę, także manierę własną Krystiana Lupy, to ta odzyskana poprzez profanacyjny akt wykorzystania dramaturgii liturgicznej wiara w życie kontrkulturowej utopii. Że on jest możliwy tylko w teatrze – wiemy aż za dobrze. Ale właśnie w teatrze doświadczany, może stać się dotkliwy i działający. To teatr może zacząć proces odzyskiwania tej utopii, już choćby przez to, że zrodzi tęsknotę. Po pierwszej części wychodziłem z sali poruszony i bez ochoty na rozmowę o czymkolwiek, w niejasnym stanie poczucia winy i potrzeby zrobienia czegoś. Po powodzi niepotrzebnych słów w części drugiej wychodziłem tylko zły na artystę, który nie umie kiełznać swojego „ja”.

Możliwe zresztą, że zobaczyłem w typowym przedstawieniu teatru Krystiana Lupy coś, czego w tym teatrze nie ma, co temu teatrowi i temu artyście jest obce, a może wręcz wrogie – wyrastającą z profanacyjnego przejęcia modeli liturgicznych polską tradycję teatralną. Zobaczyłem, jak u Lupy objawia się duch teatru Mickiewicza i Grotowskiego. Na pytanie, czy nawiedza ona jego przedstawienie, czy tylko moje widzenie, nie umiem odpowiedzieć. Ale przypomniał mi się komentarz, jaki Jerzy Grotowski wypowiedział podobno na temat teatralnego guru Lupy – Tadeusza Kantora: „To geniusz, tylko niestety nie ma pojęcia, na czym jego genialność polega”. © DARIUSZ KOŚCIŃSKI



Mleko snów

TEKST I ZDJĘCIA: PIOTR KOSIEWSKI

Otwarte właśnie 59. Międzynarodowe Biennale Sztuki w Wenecji to jedno z najlepszych, jakie zorganizowano w ostatnich dekadach. Pokazuje, że sztuka nie tylko może poruszać, ale też dawać przyjemność.

SKĄD SIĘ WZIĄŁ TEMAT TEGOROCZNEGO Biennale? Twórczyni obecnej edycji, urodzona w Mediolanie kuratorka Cecilia Alemani sięgnęła po niewielką książeczkę urodzonej w Wielkiej Brytanii, a od 1941 r. mieszkającej w Meksyku artystki i pisarki Leonory Carrington (1917-2011), jednej z najbardziej niezwykłych twórczyń surrealizmu. Jej „The Milk of Dreams” (Mleko snów) to bajki, które opowiadała swym dzieciom, pełne przedziwnych postaci, jak John ze skrzydłami zamiast uszu czy Humbert, nie-

znośne dziecko, które zaprzyjaźnia się z krokodylem. Magiczny świat, w którym każdy może się zmienić, przekształcić. Stać się czymś lub kimś innym.

Kuratorka Biennale postanowiła sprawdzić, czy sztuka także jest takim świętem uwolnionym od ograniczeń, przestrzenią nieograniczonych możliwości. Alemani wybrała prace aż 213 artystek i artystów z 58 krajów (łącznie ponad 1000 prac). 180 z nich nigdy wcześniej nie było pokazywanych na Biennale w Wenecji. Co więcej, po raz pierwszy

w 127-letniej historii tej imprezy większość uczestników to kobiety lub osoby niebinarne.

Kapsuły czasu i aktualne pytania

Główna ekspozycja dotyka trzech kwestii, które wzajemnie się przenikają. Pierwszą są metamorfozy ciała i definicja człowieczeństwa. Przemiany tożsamości, która nie jest czymś trwałym, ale zmiennym, w zależności od okoliczności, relacji z innymi czy procesu emancypacji. W rysunkach Shuvinai Ashoony Inuitom w codziennym życiu towarzyszą syreny, ludzko-zwierzęce hybrydy i fantastyczne stworzenia morskie. Symbiozę, współistnienie zwierząt i ludzi pokazuje też urodzona w Chile Cecilia Vicuña, jedna z kluczowych dziś artystek, która otrzymała tegorocznego Złotego Lwa za całokształt twórczości. Portugalka Paula Rego, dziś już klasyczka, w swych figuratywnych, efektownych obrazach i rzeźbach przedstawia życie kobiet, ale też mężczyzn w świecie zaznaczonym przez konflikt, przemoc, opresję norm społecznych i religijnych. Ujawnia nieprzystawalność



Simone Leigh, „Sphinx” (2022) na wystawie „Sovereignty”,
Pawilon Stanów Zjednoczonych. 22 kwietnia 2022 r.



Noah Davis, „40 Acres and a Unicorn” (2007) na wystawie głównej
„The Milk of Dreams”. 21 kwietnia 2022 r.

⇒ wzorców i stereotypów kulturowych, wyobrażeń i inspiracji do rzeczywistości.

Drugim tematem wystawy są relacje między ludźmi jako zbiorowością, ale też między pojedynczymi jednostkami a Ziemią. Alemani stawia pytanie o inne ułożenie wzajemnych relacji, o życie na planecie w cieniu katastrofy klimatycznej. O możliwość stworzenia świata niehierarchicznego, o symbiozę i współpracę między ludźmi a innymi istotami, o szansę na, jak mówi filozofka Silvia Federici, „ponowne zaczarowanie” świata, znalezienie na nowo związku z naturą. O odkrycie na nowo jego magiczności, jak w wideoinstalacji „Of Men and Gods and Mud” (2022) autorstwa urodzonego w Libanie i nagrodzonego Srebrnym Lwem dla młodego artysty Alego Cherri. Bohater jego pracy tworzy tajemniczą istotę, która ma zaradzić zniszczeniom środowiska spowodowanym budową jednej z największych zapór hydroelektrycznych w Afryce, położonej na Nilu w północnym Sudanie.

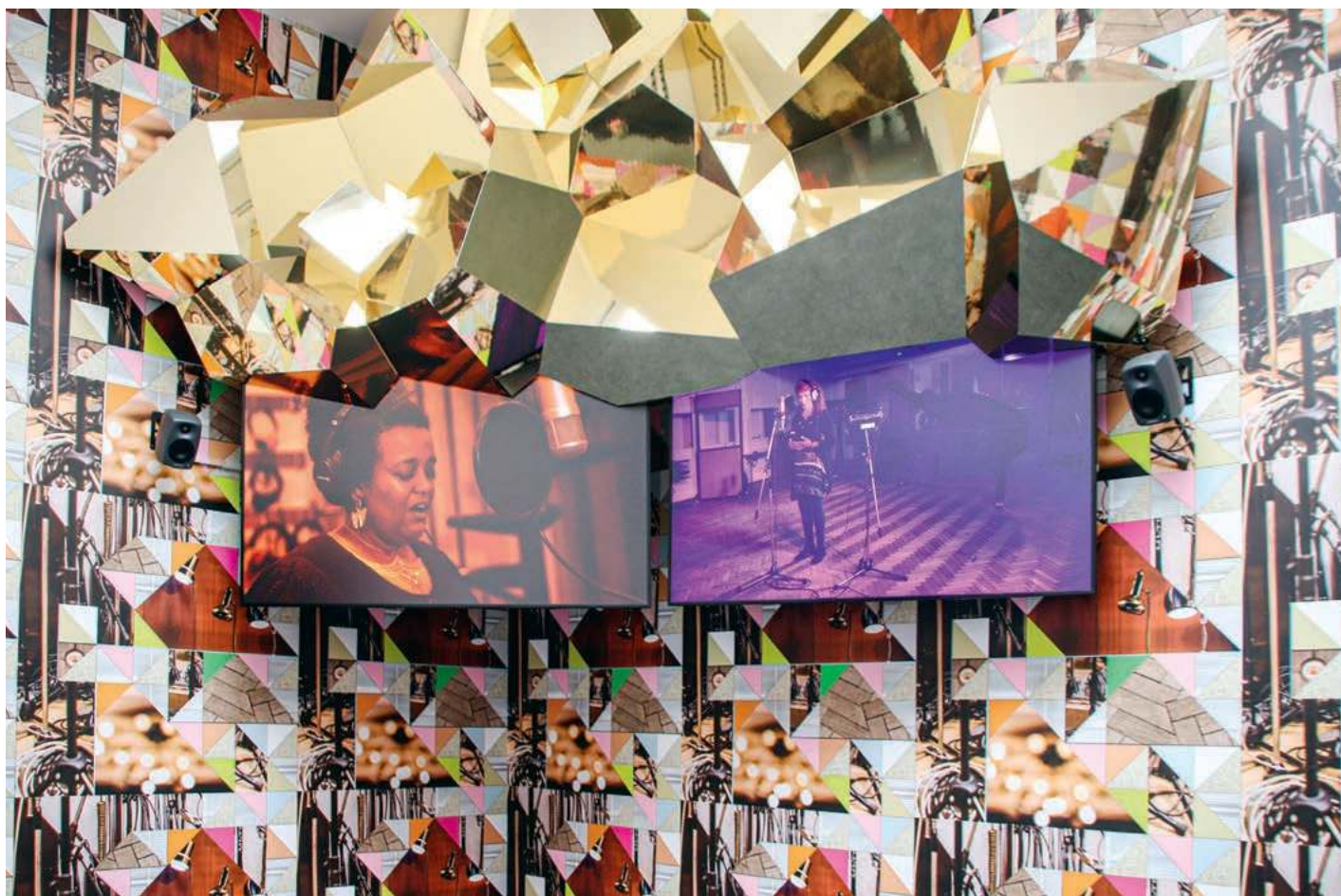
Są wreszcie na wystawie relacje między naszymi ciałami a technologiami. Dziś to temat szczególnie aktualny. Funkcjonujemy bowiem w świecie, przypomina Alemani, „dramatycznie podzielonym między optymizmem technologicznym – który obiecuje, że ludzkie ciało może być bez końca udoskonalane dzięki nauce – a strachem przed całkowitym przejściem przez maszyny poprzez automatyzację i sztuczną inteligencję”. Tę przepaść pogłębiła pandemia, która jeszcze bardziej ludzi od siebie oddaliła, a znaczna część interakcji odbywała się za pośrednictwem urządzeń elektronicznych.

Jednak „The Milk of Dreams” jest przede wszystkim zbiorem jednostkowych wypowiedzi. Kuratorka pominęła twórczość zbiorową, działania rozmaitych kolektywów czy grup, których głos w sztuce w ostatnich czasach stał się tak bardzo ważny. W niezwykłych obrazach przedwcześnie zmarłego Noaha Davisa oglądamy współczesne życie czarnoskó-

rego Amerykanina, jego wyobrażenia o świecie, mitologie, pokazane z ironią, kształtujące jego tożsamość. W haftach Britty Marakatt-Labby, artystki wywodzącej się z narodu Saamów, oglądamy świat jej społeczności, miejsca, w których żyją, ich codzienność. A wystawę w Arsenale otwiera monumentalna rzeźba Afroamerykanki Simone Leigh (Złoty Lew dla Najlepszego Uczestnika Wystawy Międzynarodowej) przedstawiająca kobietę, której spódnica przypomina gliniany dom, podobny do tych, jakie budowano w Czadzie czy Kamerunie. Oto pochwała kobiecej siły oraz oddanie swoistego hołdu tradycji ważnej części współczesnego amerykańskiego społeczeństwa.

W pawilonach narodowych

Simone Leigh reprezentuje też Stany Zjednoczone jako pierwsza Afroamerykanka w dziejach Biennale. Przekształciła pawilon, pokrywając go słomianą strzechą. Przypomina on teraz budynki, jakie wznoszono na niesławnych Wystawach



Sonia Boyce, „Feeling Her Way”, Pawilon Wielkiej Brytanii, 20 kwietnia 2022 r.

Kolonialnych. A w samym budynku pokazała swe rzeźby z brązu, ceramiki, ale też słomy, w ciekawy sposób łączące tradycję rzeźby afrykańskiej, w tym niezwykłych brązów z Beninu, z twórczością Alberta Giacomettiego czy Maksa Ernsta.

Podobne znaczące decyzje podjęły inne kraje. Stan Douglas jest pierwszym czarnoskórym artystą prezentowanym w pawilonie kanadyjskim. Pawilon nordycki został przemianowany na pawilon społeczności Saamów. Sonia Boyce jest pierwszą czarnoskórą kobietą reprezentującą Wielką Brytanię. Jej wystawa „Feeling Her Way” – nagrodzona Złotym Lwem za najlepszy pawilon narodowy – jest opowieścią o brytyjskiej tożsamości na przykładzie muzyczek. Otwierają ją wideo z nagraniem pięciu czarnych artystek, w różnym wieku i reprezentujących odmienne stylistyki, wykonujących wspólnie piosenkę. Wielogłos układa się w jeden utwór. Sonia Boyce przypomina o dziejach muzyki ostatnich dekad, ale przede wszystkim stawia pytanie o bry-

tyjskość: co ona dziś oznacza w wielokulturowym i wieloetnicznym społeczeństwie?

W Pawilonie Francji znalazła się Zineb Sedira, pierwsza artystka algierskiego pochodzenia reprezentująca na Biennale ten kraj. Jej wystawa „Dreams Have No Titles” przypomina o tworzeniu algierskiej kinematografii w latach lat 60. i 70. ubiegłego stulecia, o procesach modernizacyjnych i dekolonizacyjnych. Artystka rozmawia z osobami, które wtedy tworzyły, sięga do starych tytułów, ale też odzwierciedla na wystawie fragmenty konkretnych planów filmowych: inteligencki salon czy wnętrze baru, w którym na żywo kobieta i mężczyzna tańczą tango. Powstała niezwykła, nostalgiczna, ale też pełna humoru opowieść o przeszłości.

W ten nurt narodowych opowieści o tożsamości – w tym roku jest łącznie 80 pawilonów narodowych – bardzo dobrze wpisuje się polska wystawa, jedna z najciekawszych na całym Biennale. W tym roku nasz kraj reprezentuje rom-

ska-polska artystka Małgorzata Mirga-Tas. Ściany pawilonu szczególnie pokryły tkaniny nawiązujące do słynnego cyklu fresków z Palazzo Schifanoia w Ferrarze, jednego z największych arcydzieł XV wieku z przedstawieniem znaków zodiaku, scen z życia bogów olimpijskich oraz dworskiego życia. Na zewnątrz zaś znalazło się przedstawienie koła Fortuny, także zaczerpnięte z renesansowego dzieła: tym razem z talii kart tarota Coloni-Baglioni.

Artystka w „Przeczarowując świat” wykorzystała te dworskie dzieła – pałac był wzorem dla innych słynnych nowożytnych dworów, z Wersalem włącznie – do opowiedzenia o swojej społeczności, pokazywania, jak mówiła w rozmowie dla „Tygodnika Powszechnego”, „jak sami siebie widzimy”. Mirga-Tas opowiada o romskiej społeczności poprzez swych bliskich, przyjaciół czy osoby z różnych powodów dla artystki ważne. To ich przedstawienia znalazły się na tkaninach. Powstał zbiorowy portret we wnętrzu. ➔

Polityka

→ Maria Eichhorn zrezygnowała z prezentacji swych prac. Zamiast tego odsłoniła fundamenty Pawilonu Niemiec i zdarła ze ścian część warstw tynku. Ukazała w ten sposób przeszłość tego budynku, wzniesionego w 1909 r., a potem przebudowanego przez nazistów w 1938 r. Uwidoczniała ponurą i nadal przez niektórych wypieraną przeszłość, uwikłania w ideologię itd.

Gest Eichhorn przypominał, że Biennale zawsze było uwikłane w politykę. W tym roku jest to szczególnie widoczne. Pawilon Rosji, znajdujący się w samym centrum Giardini, pozostał zamknięty – sami artyści zrezygnowali z udziału w Biennale. Zamknięty budynek był może najlepszym symbolem wykluczenia, na jakie samo skazało się ich państwo. Nieopodal rosyjskiego pawilonu powstała zaś Piazza Ucraina, specjalna przestrzeń zaprojektowana przez młodą ukraińską architektkę Danę Kosminę – przestrzeń dla debat, rozmów i prezentacji kultury ukraińskiej. A wystawę „The Milk of Dreams” w Pawilonie Centralnym otwiera obraz wybitnej XX-wiecznej ukraińskiej malarki „naiwnej” Marii Prymaczenko, której część prac została niedawno zniszczona przez Rosjan.

Cecilia Alemani w tekście programowym podkreśla, że Biennale przypomina o tym, czego tak bardzo brakowało w ciągu ostatnich dwóch lat: „wolności poznawania ludzi z całego świata, możliwości podróżowania, radości ze wspólnego spędzania czasu, doświadczania odmienności”. Jednak Biennale przypomina też o tym, że żyjemy w bardzo niepewnym świecie.

© PIOTR KOSIEWSKI

współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI

59. Międzynarodowe Biennale Sztuki w Wenecji, wystawy czynne do 27 listopada br.

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM

Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM

www.radiokrakow.pl



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Siergiej Łoznica, 58. Krakowski Festiwal Filmowy, 29 maja 2018 r.

Czarne, białe i szare

ANITA PIOTROWSKA

**Siergiej Łoznica nie składa
broni w rozpracowywaniu
mechanizmów dziejowych.
W „Babim Jarze” otworzył
ziejącą jamę przez dekady
wypełnianą milczeniem
i odpadami z pobliskiej fabryki.**

SKORO ISTNIEJE JUŻ ROZRÓŻNIENIE MIĘDZY „prawdą czasu” i „prawdą ekranu”, należałoby uwzględnić jeszcze jedną prawdę – czasu, w którym dany film na ekrany trafia. „Babi Jar. Konteksty” ukraińskiego reżysera Siergieja Łoznicy miał premierę przed rokiem, ale dziś może być oglądany nieco inaczej.

W czasie, kiedy Ukraina krwawi w walce o swą suwerenność, a putinowska propaganda straszy „ukraińskim nazizmem”, dokument o tym, jak jesienią 1941 r. hitlerowcy wymordowali pod Kijowem prawie 34 tys. Żydów, dla części widzów może być problematyczny. Zwłaszcza że dotyczy regionu, który znalazł się w kleszczach dwóch totalitaryzmów i wielu jego mieszkańców spl-

miło się kolaboracją z nazistami. Złe wyuczucie chwili? Jednak zmontowana z archiwaliów opowieść o masakrze i jej politycznych uwarunkowaniach przynosi spotkanie z przeszłością „skrwawionych ziem”. I ze sposobem konstruowania historycznej narracji.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Łoznica zdążył już mocno oberwać, nie tylko za ten film. Chociaż wkrótce po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji wystąpił z Europejskiej Akademii Filmowej, by oprotować jej zbyt łagodne stanowisko wobec wydarzeń w Ukrainie, niecały miesiąc później został wyrzucony z Ukraińskiej Akademii Filmowej. Zarzuca mu się, że sprzeciwiając się bojkotowi wszystkich rosyjskich twórców, również tych antyputinowskich, szkodzi swojemu państwu. Na dodatek urodzony w Białorusi, wykształcony w Kijowie i Moskwie, od lat pracujący w różnych krajach Europy filmowiec sam nazywa siebie twórcą ukraińskim i jednocześnie kosmopolitą, co w warunkach wojny wywołuje kontrowersje. Autor fabularnego, jakże proroczego „Donbasu” (2018) czy kręconego na gorąco dokumentu „Majdan. Rewolucja godności” (2014), chcąc nie chcąc, uosabia wszelkie paradoksy polityki kulturalnej uprawianej podczas tej wojny.

„Babi Jar” to kolejny w dorobku Łoznicy, po „Błokadzie” (2005) i „Śmierci Stalina” (2019), mistrzowski kolaż archiwaliów – niemieckich, rosyjskich, ukraińskich. Z założenia miał być wypełnieniem białej plamy w radzieckiej

i poradzieckiej historii, rozliczeniem z przeszłością bliskiego reżyserowi miejsca, a przy okazji stać się lekcją dla nas. W wywiadach Łoznica chętnie porównuje hitlerowskie postrzeganie Żydów do dzisiejszej nienawiści rosyjskiej wobec Ukraińców. Ale nawet bez tej retoryki materia filmu jest na tyle gęsta i świeża, że obcowanie z nią czasem wywołuje dreszcze.

Wrażenie naoczności dają odrestaurowane materiały filmowe (wyglądają tak, jakby nakręcono je ledwie wczoraj), sugestywny sposób ich ułożenia (jednym z montażyistów był polski dokumentalista Tomasz Wolski) i dograna po latach realistyczna ścieżka dźwiękowa. Słuchać na niej codzienny gwar lwowskiej czy kijowskiej ulicy, strzępy wypowiedzi odczytywane z ruchu warg, bzyczenie much, które obsiadły ludzkie zwłoki. Gdyby nie czarne tablice informujące o konkretnym miejscu i dawno minionym czasie, można by mieć poczucie całkowitej immersji w ukraińskiej rzeczywistości wczesnych lat czterdziestych.

A film dokumentuje ją po kronikarsku, z niewielkim tylko komentarzem, jakkolwiek trudno zignorować ukryte w nim oskarżenia. Zanim ekran wypełni epitafium Wasilija Grossmana i dowiemy się, jak eksterminacja stworzyła „Ukrainę bez Żydów”, oglądamy zwykłych ludzi zaplątanych w tryby wielkiej historii. Masy hajlujące hitlerowskim „wyzwolicielem”, fetujące OUN i Bandę, gorliwa ukraińska milicja, wieszanie flag ze swastyką i portretów Führera... Już za dwa lata, po wygranej przez Sowietów bitwie o miasto, sięgną one bruku, by ustąpić miejsca podobiznom innego wodza. Lecz zanim to nastąpi, nastają te dwa wrześniowe dni, kiedy mieszkańcy Kijowa „odetchnęli po oczyszczeniu miasta z orientalnych barbarzyńców” (cytat z lokalnej gazety).

Ów beznamiętny ton, brak intensywnej dramatyzacji wydarzeń, surowa prezentacja wojennych okropności sprawiają wrażenie zbyt monotonnej obserwacji, aczkolwiek pracuje ona w filmie na pewien zamierzony efekt. Czyni z widza biernego świadka lub raczej ulicznego gapia przyglądającego się żydowskiej tragedii. Teoria o banalności zła okazuje się wtedy jeszcze bardziej dotkliwa, jej wzmocnieniem zaś stają się przelotne spojrzenia w kamerę anonimowych bohaterów.

Współproducentem dokumentu, powstałego z okazji 80. rocznicy masakry, jest Babyn Yar Holocaust Memorial Center – fundacja, która w radzie nadzorczej ma takie nazwiska, jak Swietłana Aleksijewicz, Joschka Fischer, Wołodymyr Kłyczko i Aleksander Kwaśniewski, a została założona przez urodzonych w sowieckiej Ukrainie rosyjskich oligarchów o żydowskich korzeniach. Mamy więc kolejny kontekst tego filmu wpisujący się we współczesny, niedawno bardzo żywy w Ukrainie spór o upamiętnianie – kto go dokonuje, przeciw komu i w czym tak naprawdę imieniu.

„Babi Jar. Konteksty” wyrasta przede wszystkim z przekonań i emocji środowisk żydowskich, z lęku przed każdą formą agresywnego nacjonalizmu i podkreśla wyjątkowy charakter Zagłady, aczkolwiek wiadomo, że nie tylko szczątki Żydów spoczywają w podkijowskim wąwozie. Trudno jednak w obecnym stanie wojny przejść obok takiej narracji całkiem obojętnie.

Łoznica nie składa broni w rozpracowywaniu mechanizmów dziejowych. Cannes za chwilę pokaże jego najnowszy film inspirowany książką „Wojna powietrzna i literatura” W.G. Sebald, podczas gdy Krakowski Festiwal Filmowy ma w programie „Mr. Landsbergisa” – czterogodzinny dokument relacjonujący dramatyczne okoliczności, w których Litwa wywalczyła sobie niepodległość od ZSRR, torując drogę innym republikom. W „Babim Jarze” reżyser otworzył zięjącą jamę, przez dekady wypełnianą milczeniem i odpadami z pobliskiej fabryki.

Ten czarno-biały (w większości) film ma przypominać, że historia nie jest czarno-biała i że mimo to, a może właśnie dlatego, trzeba ją opowiadać. To jeden z tych dokumentów, który łatwo uznać za tendencyjny, ale z pewnością warto się z nim skonfrontować, angażując samodzielne myślenie, a następnie podyskutować. Chociażby o kształtowaniu zbiorowej pamięci przez współczesną kulturę wizualną i przez tych, którzy za nim stoją. ©

BABI JAR. KONTEKSTY (*Babyn Jar. Kontekst*) – reż. Siergiej Łoznica. Prod. Holandia/Ukraina 2021. Film będzie pokazany w ramach festiwalu Millennium Docs Against Gravity 13-22 V, edycja online 24 V – 5 VI.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Rozdzielenie



Serial, reż. Ben Stiller, Aoife McArdle, USA 2022, odc. 1-9, Apple TV+

W idealnym świecie ludzka pamięć zostanie rozszepiona na tę, która dotyczy wyłącznie pracy, i tę, która wiąże się tylko ze sferą prywatną. Zapewni to zwiększenie wydajności i bezwzględnej lojalności wobec firmy. Łącząc thriller z s.f., a dramat psychologiczny z komedią absurdu, twórcy konstruują niepokojącą i zarazem bardzo stylową wizję przyszłości. Ale może ona właśnie się wydarza?

2. Truflarze



Dokumentalny, reż. Michael Dweck, Gregory Kershaw, Grecja/Włochy/USA 2020, VoD

Po takich filmach życie smakuje zdecydowanie lepiej. Opowieść o tradycyjnym zbieraniu truflí przenosi nas do piemontskich lasów i w skromne progi niekonwencjonalnych grzybiarzy. Na przekór snobizmowi i wielkiemu biznesowi, z pomocą ukochanych psów, sędziwi bohaterowie kultury mają dawny etos i celebrytą po swojemu każdy dzień.

3. Jimmy Savile: brytyjski horror



Miniserial dokumentalny, reż. Rowan Deacon, Wielka Brytania 2022, odc. 1-2, Netflix

Dlaczego pedofil, którego przestępstwa – popełniane na ogromną skalę! – były tajemnicą poliszynela, przez całe dekady pozostawał bezkarny? Śledztwo przeprowadzone po śmierci celebryty związanego z BBC i znanego z działalności charytatywnej przynosi mroźny obraz społeczeństwa, w którym rządzi zmowa milczenia, a właściwie stojące za nią środowiskowe interesy i układy.

4. Attica



Dokumentalny, reż. Traci Curry/Stanley Nelson, USA 2021, Viaplay
Tytuł nominowanego do Oscara dokumentu to nazwa więzienia, gdzie

w 1971 r. doszło do buntu, którego następstwem były 43 ofiary śmiertelne. Ten przełomowy moment w historii amerykańskiego więziennictwa zwrócił uwagę na kwestie rasowe i konieczność zreformowania całego systemu. Dzięki współczesnym relacjom dowiadujemy się, co tak naprawdę się wtedy zdarzyło.

JAN

Klata: Taksowanie rzeczywistości



JEST MAJ, A ZATEM OSOBY FIZYCZNE MUSIAŁY się rozliczyć rocznie z niejakim fiskusem. Z PIT-em nie ma żartów, ale jest dużo zabawy, dzięki niezwykle pocuciu humoru kolejnych generacji szlachetnego korowodu ministrów finansów najróż-

niejszych politycznych proveniencji, systematycznie systematyzujących system podatkowy.

Podatki są jak wiedza – niosą cierpienie, i być może dlatego nasi rodacy wolą raczej nie wiedzieć o podatkach. Polscy posłowie nieraz nie mają zielonego pojęcia, jaki paszтет właśnie przegłosowali, nie dziwota więc, że jedna piąta zwykłych obywateli nie wie, że płaci jakiejkolwiek podatki. Naród fiskalnych Jourdainów, po prostu! Niemal połowa Polaków nie zdaje sobie sprawy, że kiedykolwiek zapłaciła VAT.

Nie chce się wierzyć, że aż tylu rodaków aż tak radykalnie zaciska pasa, nie kupując nic, omijając sklepy szerokim łukiem, oddając się orgii antykonsumpcjonizmu odcięci od prądu, pijący deszczówkę. O podatku akcyzowym nie wspomnę, choć niewątpliwie konsumpcja części dóbr obciążonych ową daniną pozwala zapomnieć o fiskusie, choćby o podstawowej stawce VAT, która wynosi niemal jedną czwartą ceny towaru.

Oczywiście, dobrze jest wszystko tak skomplikować, żeby tylko samemu mniej więcej system ogarniać – wtedy można po upływie kadencji doradzać podatkowo... jednak ta lukratywna ścieżka kariery dana zostaje nielicznym. Reszta Polaków płacze i płaci, albo raczej płacze i nie wie, że płaci. Po co ludzi denerwować? Minister Czarnek z kurator Nowak mają inne problemy na głowie niż edukacja młodych obywateli w zakresie podstawowych funkcji społecznych, była edu-minister Zalewska jako europosłanka nie płaci PIT-u w Ojczyźnie i nie musi się martwić tym, czego Polacy nie wiedzą. Jakby się dowiedzieli, władza być może miałaby problemy, a tak problemów nie ma, i głośniejsze się uciucha, bo ciemnotę łatwiej wciskać.

PS. Relacja Bono z irlandzkimi podatkami jest bardzo turbulentna. ©

Lektor: Odwołany koniec historii



TU MÓWI UKRAINA

„Znak”, nr 804,
maj 2022,
ss. 120.

DZIŚ NIE BĘDZIE KSIĄŻKI – ale najnowszy numer krakowskiego miesięcznika jest tak ważny, że przeoczyć go byłoby grzechem. Oglądanie obrazów wojny w Ukrainie wywołać może poczucie bezsilnego znużenia – w „Znaku” temat agresji rosyjskiej stanowi punkt wyjścia dla rozważań o przeszłości i teraźniejszości Ukrainy, jej mitach założycielskich i kształtowaniu się jej tożsamości (Andrij Łysenko, Jarosław Hrycak), klasykach jej literatury i sztuki oraz ich współczesnym oddziały-

waniu (Urszula Pieczek, Joanna Majewska). Zamiast toczyć spory o to, czy wystawiać teraz w Warszawie „Borysa Godunowa”, lepiej zwrócić się ku kulturze ukraińskiej – i „Znak” to właśnie zrobił. Najpierw jednak wojna – oczami pisarzy. Rozmowa z Jurijem Andruchowyczem i przejmujące relacje autorstwa jego córki Sofiji, Wołodymyra Rafiejnki, Wiktorii Ameliny, Petra Jacenki, Tarasa Prochaški i Ołeny Szeremet, a także opowiadanie Kateryny

Babkiny. Jeden cytat, z Rafiejnki, który pochodzi z Doniecka, a wybuch wojny zbiegł się z rocznicą jego ślubu: „Wpatrywałem się w wiecznie przestraszone oczy mojej żony i wiedziałem, co będzie dalej: dwie torby rzeczy, ewakuacja, bezdomność i pałacy wstyd, że twoim językiem jest rosyjski”... Analizę możliwych skutków tej wojny dla agresora przynosi rozmowa Łukasza Pawłowskiego z Adamem Danielem Rotfeldem, a także esej Serhija Płochija „Odwołany koniec historii”. Siergiej Czapnin pisze o „Cerkwi rozłamanej”, a Łukasz Najder i Jan Jęcz – o spiskowych teoriach, jakie wokół tej wojny rozkwitły. Janusz Poniewierski (podziękowania!) przypominał skandal, jakim była likwidacja w 2015 r. kaplicy świętych Borysa i Gleba przy

ul. Kanoniczej, arcydzieła Jerzego Nowosielskiego. Cóż, wprawdzie modlił się w niej Jan Paweł II, ale łatwiej wznieść mu kolejny paskudny pomnik, niż ocalić bliski mu symbol dialogu narodów i religii. Dominika Kozłowska przypomina z kolei w edytoriale, że pierwszy ukraiński numer „Znaku” miał się ukazać w 1984 r. – cenzura jednak go zatrzymała, grożąc pismu odebraniem koncesji. Jako świadek tamtych dni oraz posiadacz „szczotek” widmowego numeru chciałbym przywołać dwóch ludzi zaangażowanych w jego powstanie: redaktora „Znaku” Franciszka Blajdę oraz prof. Andrzeja Vincenza, sławistę, syna autora „Na wysokiej połoninie” i – jak ojciec – przyjaciela Ukrainy. Obaj są już po tamtej stronie; wyobrażam sobie, z jaką apatnią przeglądaliby numer 804... ©P

PAWEŁ

Bravo:

Mieszając w kajmaku



ZERO, PIĘĆ, OSIEM, DWADZIEŚCIA TRZY. Może to kombinacja w moim sejfie do przechowywania najkosztowniejszych surowców, jako to prawdziwy perski szafan, piemontskie białe trufle, węgierskie czereśnie albo polskie maliny? Bynaj-

mniej, w *cucina povera*, którą przeważnie stosuję, jedynie cenne, co mógłbym stracić, to mój czas. Te liczby to po prostu różne stawki procentowe podatku VAT, który obecnie płacicie, kupując paczkę krówek lub – co na jedno wychodzi – puszkę masy kajmakowej.

Już słyszę protesty, że obce są wam tak pospolite łakocie. Walory smakowe żadne, sam cukier i tłuszcz, czyli dwa niezawodne wytrychy do najbardziej pierwotnego ośrodka nagrody w mózgu. Wyższe, niewątpliwie rozwinięte u was warstwy systemów nerwowych nie reagują na takie tępe bodźce. Żeby je pobudzić, trzeba co najmniej belgijskich pralin, zatem będziecie mogli spojrzeć na aferę krówkową z odpowiednim dystansem. Bo przecież nie o cenę mordoklejki tu chodzi, tylko o Polskę.

Tak przynajmniej głosi Ruch Narodowy, gdy na swoim fejsbukowym profilu demaskuje spisak „państwa PiS” przeciwko polskiemu przedsiębiorcy. Otóż jedna z poważnych, gospodarczych gazet, która widocznie wpadła dziarskim chłopcom w ręce, kiedy grzebali w śmietniku w poszukiwaniu inspiracji, ujawniła, iż w ciągu niespełna roku organy skarbowe i sądowne wydały sprzeczne interpretacje w kwestii tego, czym jest w istocie krówka. Kolekcjonerów potworków językowych pokurczonych niczym lalki Bellmera odsyłam do szczegółowej lektury tekstu o „wiążących informacjach stawkowych”. Na potrzeby naszej rubryczki starczy wiedzieć, iż skarbowe głowy rozkminiwały miesiącami, czy kajmak jest produktem mleczarskim, produktem spożywczym „gdzie indziej nie wymienionym ani niewłączonym”, czy może produktem cukierniczym niezawierającym kakao.

Urzednicy zabrnęli przy tym w dociekania, których nie powstydziliby się Sorbona w czasach scholastycznej chwały. Otóż kajmak składa się przede wszystkim z mleka (czy raczej pochodnej mleka – śmietanki). Ale jednocześnie zawiera sporo cukru – najwyższy dla mnie w dziedzinie takich potraw autorytet, czyli Nela Rubinstein, zaleca 400 gramów na pół litra. Czy sam jednak dodatek obcego mleku elementu pozbawia uzyskaną całość mlecznego charakteru? Ale kajmak to nie jest po prostu przesłodzone mleko. Swoją istotę zawdzięcza działaniu ciepła, które powoduje odparowanie wody i uruchamia procesy chemiczne – przede wszystkim karmelizację i reakcję Maillarda.

Dodałbym jeszcze do tego czas, ale pewnie żaden z występujących w tej sprawie urzędników nie mieszał w rondelku prawdziwego kajmaku na mazurki. Nela pisze lakonicznie: „gotować dalej, aż masa zgęstnieje”, nie dodając, że to minimum dwie godziny medytacyjnego sterczenia przy kuchni. Dlatego smak kajmaku to dla mnie fizjologiczna, zmysłowa postać odczuwania powolnego upływu czasu.

Ale dość dygresji, tu nie o żadną drogę do krótkowej pełni czy tao karmelka chodzi, lecz o najzupełniej racjonalną, arystoteleską z ducha analizę materialnej prawdy o istocie krówki. Prawda fiskalna jest za to zmienna, jako przynależna do polityki zależy bowiem od okoliczności i kontekstu. Na obecnym etapie rozwoju polskiego państwa krówka jest teraz produktem cukierniczym (czyli wymaga najwyższej stawki VAT-u).

Ktoś mógłby zakpić, że sam, własny rozum mając za jedynego eksperta, wykonałby szybko i tanio tę samą operację, zaczynając od końca, od pytania: czemu krówka lub masa kajmakowa służy? Otóż zaspokaja drugorzędne dla przetrwania osobniczego łakomstwo. Pomimo prostej formy jest w istocie przedmiotem zbytku, luksusem, tak jak cała domena cukiernicza. Granice tego obszaru są nieostre, ale, tak jak w przypadku pornografii, łatwo nam powiedzieć, co jeszcze do niego nie należy (np. kajzerka), a co już należy (np. drożdżówka z kruszonką). Intuicja podpowiada, że sprawiedliwe będzie nie traktować podatkowo takich rzeczy na równi z podstawowymi dla danej kultury w danym czasie artykułami spożywczymi.

Nie róbmy jednak afery z tego, iż urzędy miesiącami zajmowały się ustalaniem, że krówka jest cukiernikiem. „Nieżyciowie” przepisy i samowystarczalna, oderwana od realiów biurokracja to efekt tej samej „nieżyciowej” skłonności, jaka każe nam komplikować pożywienie. Zwierzę w nas wychleptałoby z miski śmietankę i zlizalo ze spodka cukier. To, co w nas ludzkie i społeczne, każe jednak połączyć substancje, rozpalic w piecu i mieszać. Mieszać jest rzeczą ludzką. ©P

W kategorii łakoci bardzo prostych, najwyższej trójskładnikowych, zaraz za kajmakiem lokuje się u mnie crème brûlée, czyli tak naprawdę zapiekanka śmietankowo-jajeczna, która wcale nie musi być słodka – kiedyś opowiadałem wam tu o wersji, w której żółtka uciera się z tartym parmezanem zamiast cukru (i aromatyzuje gałką muszkatołową zamiast wanilii). Ale tym razem zrobimy inny, słodki wariant, znacznie lżejszy: do 500 ml mleka kokosowego dodajemy startą

skórkę z limetki, podgrzewamy do ok. 80 stopni.

W misce pokrótce mieszamy 8 żółtek

ze 100 g cukru. Dodajemy bardzo powoli, ciągle mieszając, gorące mleko kokosowe, a kiedy się wszystko połączy, przelewamy do ramekinów na wysokość ok. 2 cm, wstawiamy do brytfanki, którą wypełniamy wrzątkiem, i na ok. godzinę do pieca w temperaturze 180 stopni, aż się ładnie zetnie i zrumieni. Oczywiście na koniec, tuż przed wydaniem, dobrze zrobić skorupkę z przypalonego płomieniem cukru.





UCIEKAM, WIĘC JESTEM

Uciekinierzy to najbardziej radykalna postać nas samych.

To my, wypowiedzeni do końca.

Przedstawienie bytu w podczerwieni, kiedy ujawnia się jego skryta istota.

MAREK BIEŃCZYK

W WYDANYM NA WOJENNYM WYGNANIU W AMERYCE eseju „Mythos und Alterstil” Hermann Broch (1886-1951) pisał wprost: „Czym stały się obecnie stare problemy literatury, kwestie miłości, małżeństwa, zdrady i zazdrości, kiedy morderstwo, gwałt i zniszczenie zagrażają bez przerwy człowiekowi i poza smutkiem i żałobą nie pozostaje nic? I jaki malarz zapraszałby widza na odpoczynek wśród idyllicznych drzew jego pejzaży, skoro pejzaże tej ziemi stały się wyłącznie drogami ucieczek i prześladowań?”.

Wiadomo, że cokolwiek dziś piszemy, towarzyszy nam, piszącym „wbrew sobie” (Hannah Arendt nazwała Brocha „pisarzem wbrew sobie”), poczucie dyskomfortu; wiadomo, że nawet w obliczu wojennych zbrodni karuzela się kręci, że ta beznadziejna fraza „życie toczy się dalej” jest w swej głupocie prawdziwa. Głupie życie.

ICH OCZY | Ale jeszcze ten obraz pejzaży zamienionych w miejsca ucieczek i prześladowań. Powszechna przemiana przestrzeni z życiodajnej w śmiercionośną. Woda na młyn wyobraźni. Od chwili, gdy dowiedziałem się w dzieciństwie o ucieczce rodziny z wojennego Lwowa i kilku jej szczegółach. W Warszawie, Krakowie i innych miastach jestem dziś na końcu tunelu; dla uciekinierów chwila oddechu, może i radości albo smutku uładowanego. Ci, którzy ich przewożą z Ukrainy lub przyjmują na granicy, stanęli wcześniej, u wlotu, i wiedzą więcej. Tutaj – przypuszczam – gesty przyjeżdżających są już nieco pozbierane, bardziej opanowane.

W oczach coś z przyszłości: to pierwsze spojrzenie na mieszkanie, w którym trzy kobiety z Charkowa – wyjechały jak stały, nagle, w pośpiechu, między bombardowaniami – będą teraz żyły. Spojrzenie badawcze, jakby nagle wyzwolone z martwej obojętności i nieobecności: ach, więc tu, w tym pokoju, na tej kanapie, przy tym oknie. Po chwili u dwóch starszych, córki i matki, spojrzenie na powrót zasnute niepewnością i lękiem, i zarazem wysilone próbą uśmiechu, by niezdarne pokazać wdzięczność; tylko u najmłodszej, dwudziestoletniej, spojrzenie jest bardziej ciekawskie, już po stronie

wolności. Wejść do mieszkania to najpierw spotkać tamte niejasne oczy, wie o tym pewnie większość gospodarzy. Przebić się przez przezroczystą barierę; przestać odczuwać wyższość własnego wzroku nad ich wzrokiem.

Chwila przejścia z miejsca zagrożonego w miejsce bezpieczne, postawienie stopy za linią dzielącą jeden świat od drugiego, nie przestaje wzywać. Pociąga i prześladowuje od bardzo dawna. Jak wyglądała, czy była oddzielna, euforyczna, pamiętna? Pytałem przez lata wielokrotnie; nie chciano odpowiadać.

Pytam też teraz: moment samego wyjazdu z Charkowa, moment, kiedy wsiadły do pociągu, moment, kiedy odwołano alarm lotniczy i pociąg mógł ruszyć dalej, moment przejazdu przez granicę czy wejścia do mieszkania? Raczej chwila, mówią, gdy wyszły z autobusu na Dworcu Zachodnim i zobaczyły – po wielogodzinnej podróży w ciemnościach – światła miasta. Myślałem, że może to dla nich scenografia teatralna, sztuczna, nierealna, ta palma na drodze do mieszkania jak podróbka palmy w odeskim ogrodzie botanicznym, kopia, która mówi symbolicznie, że wszystko, co się stanie, będzie tylko naśladowaniem czy podrabianiem życia, a nie samym życiem. Lecz nie, nie różnica była ważna, lecz podobieństwo, które uspokaja; coś w Warszawie z Charkowa („bardzo podobny”), coś z Kijowa („bardzo podobny nad rzeką”), a nawet tu i ówdzie z Lwowa („w paru miejscach całkiem podobny”).

Uchwycić ten moment, ten diament w czasie, gdy życie, pstryk, znowu okazuje się możliwe. W snach o ucieczkach dawało się ten moment złapać; nagła fala błogostanu. No i w literaturze. Jak osad na dnie pamięci leżą ulubione obrazy – a na wierzchu wątpliwość, czy warto je teraz przywoływać: „Pożegnanie z bronią” Hemingwaya, ucieczka z wojennych Włoch przez jezioro do Szwajcarii. „Później chmury znów zasłoniły księżyc, znikły góry i jezioro, ale było o wiele widniej niż przedtem i mogliśmy dojrzeć brzeg (...) – Zdaje mi się, że jesteśmy w Szwajcarii, Cath – powiedziałem. (...) – Jeżeli jesteśmy w Szwajcarii, to zjedźmy sobie wspaniałe śniadanie. W Szwajcarii mają wyborne bułeczki, masło i marmoladę” (przeł. Bronisław Zieliński). Albo kino, wyjście z lwowskich kanałów w filmie Agnieszki Holland, oczekiwanie przez cały

Rondo de Gaulle’a. Warszawa, 18 marca 2022 r.

→ film na scenę, gdy uciekinierzy kryjący się w podziemiach wynurzą się na światło dzienne. Można dobrze pokazać radość kanalarza („Żydzi, moi Żydzi”), niechęć i zdumienie świadków gapiących się we właz do kanału, lecz nie da się przedstawić tego wewnętrznego przekroczenia granicy między śmiercią a życiem. Zmrużenie oczu? Głębszy oddech? Spojrzenie na własną dłoń zawieszoną w powietrzu? Tak i nie; jeszcze coś, o czym się nie dowiemy.

FUGOLOGIA | Nasze mieszkania są dzisiaj ucywilizowanymi kryjówkami. Dla uciekinierów spod bomb dokonuje się w nich odczarowywanie przestrzeni, stopniowe przywracanie jej do codzienności, łóżko to łóżko, szafa to szafa. Nie wiemy wiele o kryjówkach piwnicznych, pod gruzami, w piwnicach, w ogrodach, w innych miejscach, których nie możemy sobie wyobrazić. Świadcstwa będą się pojawiały, stopniowo, z czasem coraz więcej; pomyślmy o Mariupolu wczoraj, dzisiaj i z pewnością jutro. Jak to Anny Serdiuk, malarki z tego miasta, która z rodziną trzykrotnie zmieniała piwnice, czy raczej to, co z nich zostało: „Udało nam się przejść miasto z jednego końca na drugi. Nie spałimy, bo nie było to możliwe. Bomby wybuchały dookoła. Jak się później okazało, te bomby trafiały w sąsiednie budynki. Powtarzamy teraz, że wygraliśmy »rosyjską ruletkę« (...) Nie mieliśmy bieżącej wody i prądu, straciliśmy zasięg komórkowy. Żyliśmy w kompletnych ciemnościach i strachu, bez jakichkolwiek informacji o tym, co dzieje się w naszym mieście, w naszym kraju, bez wiedzy o tym, co stało się z naszymi krewnymi”.

W Warszawie otworzono właśnie od dawna przygotowaną przez Natalię Romik niezwykłą wystawę „Kryjówki”. Przedstawia ona dokumentację dziewięciu kryjówek na terenie Polski i Ukrainy, w których chowali się żydowscy uciekinierzy podczas wojny. Dziupła w drzewie, szafa, puste groby, pakamery, zaułki zaaranżowane w pieczarach czy kanałach, cała wielka (bo przecież to tylko dziewięć przykładów spośród setek innych), jak piszą autorzy, „architektura przetrwania”. Nad dokumentacją pracowali antropolodzy, architekci, historycy, dendrologi, archiwiści, osoby z kilku dziedzin nauki.

Wszyscy tamci uciekinierzy żyli życiem udawanym, pozornym, skoro nieobliczonym na najkrótsze nawet trwanie. Ich kryjówki również wymagały pozorów, pozostawienia złudy, zewnętrznej formy wydrążonej z pisanego jej przeznaczenia. Na przykład ten dąb w Wiśniowej, 650 lat życia. Tak zwane drzewo kominowe, puste w środku; wejście do niego po latach zarosło, lecz kamera USG prześwietliła je, ukazując wydrążone stopnie i metalowe klamry. Kawałki kory do obejrzenia; świadectwa mieszkańców, botanika, dziennikarza, który rzecz rozgłosił. Do tego drzewo genealogiczne tych, którzy w dębie zamieszkałi, braci Denholzów, tych nowych eremitów dendrytów, ukrywających się po ucieczce z obozu KL Plaszow w różnych miejscach. Dzięki drzewu udało im się przeżyć.

Owa wspólna refleksja badaczy i świadków, bezpośrednich lub przekazujących usłyszaną opowieść, byłaby – myślę

– pierwszą może na tak zbiorową skalę realizacją niejasnej dyscypliny (a może ciemnej zadumy), którą nazywam fugologią, nauką o ucieczkach. Nauką efemeryczną, ożywianą raz na jakiś czas – i zapewne, znając dotychczasowe dzieje ludzkości – mającą gwarancję przetrwania do końca czasów. Bo czegoż oczekiwać na ziemi, z której „bogowie uciekli”?

Fugologia byłaby krokiem w stronę tych, którzy pozostają pod spodem zdarzeń. Chciałaby oddać głos nie władzy wyznaczającej zasady i uznawanej za motor historii, lecz outsiderom, nieuczestniczącym w danej chwili w walkach czy skazanym z góry na ratowanie się z ognia. Ale przede wszystkim opisać ze wszystkich stron zjawisko ucieczki i ukrywania się

w jego duchowym i materialnym, egzystencjalnym i historycznym, metafizycznym i technicznym wymiarze.

Tamte dawne wojenne miejsca ucieczki, skrytki niekiedy tak wymyślne, że chciałoby się wręcz mówić o ich artystyczności i zaliczać je do dzieł sztuki, w większości przepadły. A pozostałe – tylko z niewielu udało się stworzyć muzealne miejsce pamięci – przepadną wkrótce. W Ukrainie i na granicy polsko-białoruskiej są (wiemy o kryjówkach na bagnach puszczańskich) i będą pojawiały się nowe, zapewne nie tak spektakularne, jak w Wiśniowej.

Inny typ zagrożeń wytwarza inny rodzaj obrony, ukrywania się i zbiegania; wielu uchodźców ukraińskich zbiegło z terenów względnie bezpiecznych. Ale znowu: pomyślmy o Mariupolu, o tym, czego się jeszcze dowiemy.

Oczywiście nie chodzi o porównanie jednej sytuacji historycznej z drugą ani też o statystyki ofiar i przeżywców (to dziwne, że polszczyzna do niedawna nie miała tego słowa); chodzi o opukanie zjawiska ze wszystkich stron, by dostrzec ten inny wymiar bytu, jaki tworzy sytuacja ucieczki przed zagrożeniem; by rozszerzyć spojrzenie na ludzki (i zwierzęcy) byt o skutki przemocy, które nie są czymś okolicznościowym, lecz wpisanym w jego fundamenty. Rozważać byt w stanie zagrożenia, uznając, że to jest właśnie byt jako taki. Boję się, więc jestem. Uciekam, więc jestem.

SAM RUCH ŻYCIA UZNAJĄC | Wielokrotnie przyszło mi wyobrażać sobie interaktywną mapę dziejów od zarania po dzień dzisiejszy. Bo z fugologicznego punktu widzenia przedstawiałaby miliardy ruchomych punkcików rozbiegających się na wszystkie strony. I znowu, i znowu. Wiek X, wiek XV, wiek XX, XXI. Punkciki istnień szukających schronienia, kryjówki, miejsc odosobnienia, architektury przetrwania. Jakkolwiek toczyłyby się dzieje, jakąkolwiek postać przybierałyby ich obroty, zawsze da się je przedstawić jako sumę zbiegania i wylapywania. Ucieczki i krycie się – z nożem na gardle albo na wszelki wypadek – to nieuchronny skutek dziejowych wydarzeń, nieuchronne odpadki Historii.

Narrator nowej powieści Mircei Cărtărescu „Solenoid” mówi: „Gdybyśmy mieli intuicję, że istnieje jeszcze jeden dodatkowy wymiar, gdybyśmy mogli sobie wyobrazić inne kierunki niż prawo i lewo, niż przód i tył, niż wysoko i nisko,

uzmysłowilibyśmy sobie, że nic nie może nas utrzymać w więzieniu naszego świata (...) rzeczywistość, nasza prawowita ojczyzna, powinna być najpiękniejszym z brzegów, lecz jest najcięższym z więzień. Naszym losem musi być ucieczka”.

„Ucieczka to wyzdrowienie”, jak pisał Victor Hugo w „Nędznikach” z myślą o wiecznym uciekinierze Janie Valjean. A Norwid znajdował „dodatkowy wymiar” poza ładem i poza ludźmi:

*Morze! ty będziesz mą pociechą jedną
(Cmentarzem będąc nieustannie żywym!).
Głębie twe gdyby objęły mię wcześniej,
Fal ukochałabym wierne uściski,
Przenosząc mdławie blaski konch nad czucia
Ludzi! — — Uchodźmy!...*

... i nie wróćmy nigdy!

Kiedy widziało się fotografie i urywki filmów z granicy z Białorusią, kiedy spacerowało się po Warszawie w pierwszych dniach rosyjskiej napaści i widziało kobiety płaczące w telefon (teraz takie dramatyczne obrazy uchodźczej obecności w mieście bardzo złagodniały i zanikają), łatwo można uderzyć w metafizyczne tony. Uciekający to najbardziej radykalna postać nas samych, potencjalne *alter ego*, to my wypowiedzeni do końca. Odpadki Historii, tak, ale skupiające w swoich drobnych losach jej powszechny kierunek i (bez)sens. Przedstawienia bytu w podcierwieni, kiedy ujawnia się jego skryta istota.

Więc myśli się banalnie – bo któryż to raz – lecz nieodparcie o „dodatkowym wymiarze”, o obłokach spoza stąd, w które wpatruje się Bołkoński ranny na polu bitwy: „Tak! Wszystko jest puste, wszystko jest oszustwem z wyjątkiem tego nieskończonego nieba” (Lew Tołstoj „Wojna i pokój”, przeł. Andrzej Stawar). Albo znacznie trudniej, kiedy żaden „dodatkowy wymiar” się nie otwiera, o „strasznych obłokach, stróżach świata” Miłosza: „Wtedy spuszcza oczy / i czuję wicher, co przeze mnie wieje / pałący, suchy”.

Literatura jest niebem dla ziemi, „straszyną stróżem” lub, przeciwnie, miejscem otwarcia, „dodatkowym wymiarem”, lecz fugologia musi zważać, by nie zasłonić nią dzisiejszego konkretnego, ludzi szukających schowków przed ostrzałem czy bombardowaniem, bo są rzeczy, które nie tylko filozofii, o wiele bardziej nieuważnej, lecz także literaturze się nie śniły. Dopiero po latach jej opowieści zaczną współtworzyć z dokumentalnymi zapisami jedną pamięć historyczną. „Proszę państwa do gazu” Borowskiego jest małą, lecz ważną częsteczką naszej pamięci o Auschwitz.

Tristan Tzara, założyciel dadaizmu, w czasie wojny krył się, uciekał i znowu krył w południowej Francji. W 1946 r. opublikował poemat dramatyczny „Ucieczka” transponujący jego doświadczenia. Jego tematem jest, jak to streszczał Michel Leiris, „rozdarcie, stałe rozdzielanie, rozłaska odpowiadająca samemu ruchowi życia”. W wyniku swojej konkretnej ucieczki Tzara zaczyna rozumieć, że los wszystkich rzeczy polega właśnie na oddalaniu się, że „sam ruch życia” jest odśrodkowy. Bieg Historii przynosi uchodźstwo i odwrót, życie rodzinne przynosi odejścia (dzieci od rodziców chociażby), ludzie, nawet ci sobie bliscy, odchodzą od siebie, aby się inaczej spełnić, bieg czasu jest czystą ucieczką... Człowiek jest *homo profugus* w każdym sposobie istnienia.

NADZIEJA RADYKALNA | „(...) bez tej ucieczki, bez tego oddzielenia się od siebie samego i bez powrotu do źródeł, bez końca świata i kresu człowieka, jaki przeżył wtedy, gdy wszystko negował i uznawał życie tylko życiem rzeczy – pisze Leiris – Tzara nie nabyłby tej dogłębnej wiedzy, raczej organicznej niż racjonalnej, dzięki której dziś tworzy poezję” (przeł. Tomasz Swoboda). W naszym myśleniu o życiu figura przekroczenia niewyobrażalnej granicy, przejścia przez zero, dotknięcia dna, by się od niego odbić, przynosi często jedyną możliwość ciągu dalszego, odbudowania sensu. W tekście „O uciekaniu” z 1935 r. Emmanuel Lévinas wyobrażał sobie to przejście jako ucieczkę nie w „dodatkowy wymiar”, lecz jako „opuszczenie bytu”: „Tak oto w potrzebie uciekania bycie nie wydaje się tylko przeszkodą, którą swobodna myśl musi pokonać (...) ale jawi się nam jako więzienie, z którego trzeba się wydostać (...) A zatem uciekanie jest potrzebą wyjścia z samego siebie, to jest zerwania najbardziej radykalnych, nieusuwalnych kajdan, faktu, że ja jest samym sobą” (przeł. Agata Czarnecka).

Podczas kryzysu uchodźczego sześć lat temu o tekście Lévinasa pisał w „Tygodniku” Grzegorz Jankowicz – o rozszczelnianiu własnych granic jako postawie tyleż poetyckiej, umożliwiającej prawdziwą poezję (jak, dodam, powojenna poezja Tzary), co postawie etycznej, umożliwiającej przyjęcie u nas i w nas uciekinierów. Ucieczka od nas samych pozwoli na spotkanie uciekających z pożogi.

Teraz sprawy zaszły dalej, cały świat, Europa przede wszystkim, kraje sąsiadujące z Rosją jeszcze bardziej, znalazł się na skraju. Bardziej niż o Lévinasie myślę zatem o generale von Clausewitzu i jego przekonaniu, że każdy ludzki konflikt dąży do ostateczności. Co prawda dodaje on, że „wojenna mgła”, na przykład źle przekazane lub niewykonane rozkazy, mylna taktyka, fałszywe informacje itd., tamuje drogę do absolutnego zniszczenia; pierwszy miesiąc wojny w Ukrainie byłby tego przykładem. Lecz w przypadku konfliktu nuklearnego dzieje się na odwrót: fałszywe informacje i przypadkowe posunięcia przyspieszają jego ewentualny wybuch. Jak opowiadał Robert McNamara, amerykański sekretarz obrony, wielokrotnie nie doszło do niego o włos. A dlaczego nie doszło? Odpowiedź McNamary: „Mielismy szczęście” (cytuje za katastrofologiem Jeanem-Pierre’em Dupuy). Byłoby durnotą nie brać tego szczęścia pod uwagę.

Nikt nie wie, dokąd nas uniesie ten czarny nurt, w który wpadliśmy. Ile jeszcze wielkich dokonanych potworności odkryje się w Ukrainie i ile nowych wielkich potworności będzie się zdarzało; ile nic nieznaczących w porównaniu, lecz przecież niepojętych lajdactw wydarzy się w kraju, w którym wampiry wykorzystują krew z Buczy i innych miejsc, by ożywić smoleńską katastrofę.

I co będzie z synem jednej z kobiet, który pozostał w Charkowie. Uczą się po polsku, kupiły sobie buty. Jaka jest w nich nadzieja? Podobna jak nasza. Nie racjonalna, lecz organiczna. „Nadzieja radykalna” (określenie Jonathana Leara), to znaczy nie optymizm, nie nadzieja, że zdarzy się coś dobrego, coś konkretnie potrzebnego tu i teraz. Nadzieja wydrążona jak dąb w Wiśniowej, pusta, pozbawiona jakichkolwiek wyobrażeń o lepszej przyszłości, bez wiedzy, czym by ona miała być, gotowa zderzyć się heroicznie z tym, o czym nie wiemy nic.

© MAREK BIENIŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:

Defilada



PRZECZYTALIŚMY, ŻE Z OKAZJI DOROCZNYCH obchodów Dnia Zwycięstwa nad hitleryzmem w Moskwie na placu Czerwonym miałyby się jakoby odbyć defilada, której główną atrakcją mieliby być ukraińscy jeńcy. Pisząc te słowa nie mogliśmy wi-

dzieć, czy owe zapowiedzi były prawdziwe, czy była to tylko plotka. Tak czy owak, wydało nam się, że nikt – przynajmniej za naszej pamięci – nie zajął się choćby pobieżnie sensem defilowania, czy to z udziałem jeńców, czy bez.

Na początek rzecz trzeba, że udział jeńców w defiladzie jest oczywiście pomysłem na rekonstrukcję historyczną, jakiej nowoczesny świat jeszcze nie widział. Z uściśleniem, że uczestnicy nie będą wynajętymi aktorami. Mieliby owi być prawdziwie schwytanymi podczas wojny żołnierzami i wystąpić w autentycznych dekoracjach, czyli na placu Czerwonym. Rzecz tu od razu trzeba, że gdyby tak się w istocie stało, świętowanie zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami weszłoby natychmiast na inny poziom, stałoby się całkowicie innym niż od wielu dziesiątek lat spektaklem. Idzie nam o to, że każdy mający ochotę zorganizować gdziekolwiek w świecie defiladę z tej okazji będzie musiał mieć przed oczyma idących przez plac Czerwony jeńców wojennych z Ukrainy. Jesteśmy wręcz pewni, że na jakiegokolwiek defilowanie trzeba będzie teraz patrzeć inaczej. Póki jednak pomysł ten nie został zrealizowany, póty możemy o defiladach wojskowych mówić i myśleć po staremu.

Z defiladami od dawna mamy zgryz. Zaczniemy od uroku, jaki rzucają podstawowymi cechami: muzyką, porządkiem i czasem trwania. W defiladzie – popatrzmy – nie ma miejsca

na muzykę inną niż skoczna i powszechnie znana, oraz na bałagan, nierównomierność i brak harmonii. Można sobie łatwo wyobrazić nieudaną, rozwlekłą defiladę wojskową i dlatego, gdy oglądamy w telewizji dowolną, w dowolnym mieście na świecie, świetnie wiemy, na czym polegają tego typu spektakle. Idźmy dalej. Można by po ilościach transmitowanych defilad wywieść wniosek, że *Homo sapiens* je absolutnie uwielbia. Coś w tym jest, gdy patrzymy na nieprzebrane tłumy okłaskujące maszerujących czy gdy zerkamy na liczni puszczania sobie przez ludzi tej planety filmów nakręconych podczas defilad. Skłania nas to do mniemania, że defilada jest najważniejszym i najlepiej tu zrozumiałym wydarzeniem artystycznym. Jest też najbardziej lubianym. Porównaliśmy liczbę widzów defilady z okazji zdobycia Bastylli i bardzo ważnego meczu piłkarskiego. Liczby są podobne, tak jak są zapewne podobni widzowie tych wydarzeń. Idźmyż dalej.

Wiele się zmienia w stylistyce defilad wojskowych, okazuje się, że defilada nie jest martwym i klasycznym spektaklem, tkwiącym muzycznie w rytmicznym biciu w bębny, trąbieniu, równomiernym tupaniu ludzi identycznie ubranych czy równo jadących koników, dosiadanym przez wąsaczy z szablami, bądź to czarno odzianych panów salutujących w wieżyczkach czołgów. Armia – popatrzmy – chińska, niemała, jak wiadomo, broniąca niemałej liczby ludzi na niemałym terytorium, każe z dowolnego, ale patriotycznego powodu defilować ogromnej liczbie żołnierzy w miniowach. Tak. Naprawdę. Tegośmy się jednak po armii chińskiej nie spodziewali. To znaczy, nie spodziewaliśmy się rewolucji w tym sensie, czyli połączenia jakiegoś rodzaju erotyki i militarystyki w defiladzie. Od lat zmagamy się z poczuciem, że świat wyprzedza naszą własną podejrzaną pomysłowość, i mamy rzecz jasną rację.

Defilada, to też warto na koniec powiedzieć, jest spektaklem zawsze imperialnym bądź pseudoimperialnym, oczywiście starodawnym, z urodzenia może egipskim i rzymskim, w dorosłości stalinowskim i hitlerowskim. Defilada nie powinna się dobrze kojarzyć. Wszystkie – zważmy – są defiladami zwycięstw, a są to jakże często zwycięstwa, z którymi nie chcielibyśmy mieć nic wspólnego. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



KREDYTOBIORCY W POLSCE

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**

**15.
FESTIWAL
MUZYKI
FILMOWEJ
W KRAKOWIE**

23 – 29 MAJA 2022



**RMF
CLASSIC**



ZDOBAŹ BILETY W RMF CLASSIC!

**UWAGA! SPECJALNA PUŁA BILETÓW
DOSTĘPNA DLA SUBSKRYBENTÓW RMF CLASSIC+**

SZCZEGÓŁY NA [RMFCLASSIC.PL](https://rmfclassic.pl)

ORGANIZATORZY:

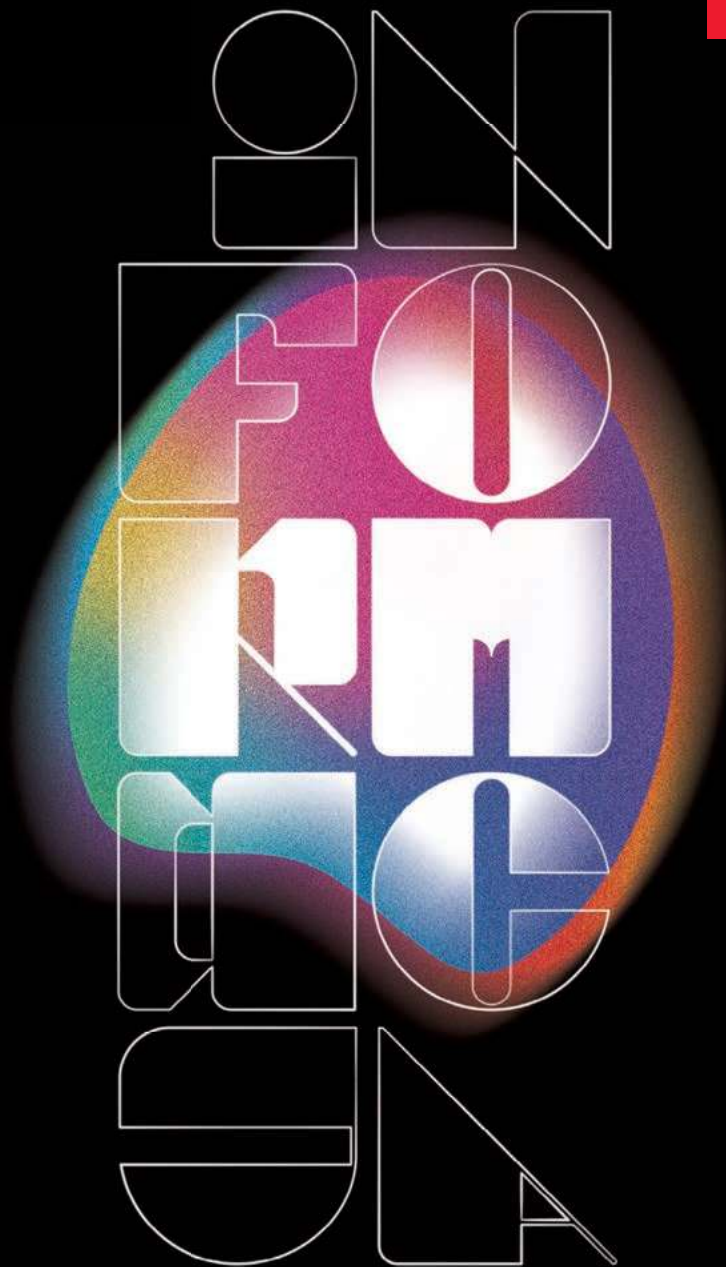


Kraków

kbf:

RMF

CLASSIC



**Jak przekazywano kiedyś informacje?
Podziwiał z nami zabytki techniki
Dostępne online, także w animacji 3D!**

www.zbiory.mim.krakow.pl



Odbiornik radiowy Ramona 62118

Zakłady Radiowe Diora, 1961, projekt Jan Kowalczyk

Za opracowanie wyglądu obudowy korpusu odbiornika radiowego Ramona, pieśzcotliwie nazywanego „świnką”, odpowiadał metaloplastyk Jan Kowalczyk. Jego dwuwypukły, soczewkowaty kształt nadał ton rodzimemu wzornictwu przemysłowemu lat 60. W uznaniu oryginalności, odbiornik uhonorowano złotym medalem za najbardziej efektowny model polskiej kolekcji podczas XXX Międzynarodowych Targów Poznańskich w 1961 roku.



Komputer Apple Lisa 2

Apple Computer Inc., 1984

Apple Lisa to pierwszy dostępny komercyjnie komputer osobisty z graficznym interfejsem użytkownika (ang. graphical user interface, GUI), z pulpitem widocznym na ekranie monitora. Na wygodną obsługę tak pomyślanego interfejsu pozwalało zastosowanie myszy. Przed wprowadzeniem GUI komunikacja użytkownika z komputerem odbywała się tylko za pomocą komend tekstowych.



Telewizor Wiśła

Warszawskie Zakłady Telewizyjne, 1956

Wiśła, to pierwszy produkowany w Polsce odbiornik telewizyjny. Jego konstrukcję oparto na zakupionej licencji radzieckiego telewizora Awangard TL-1 z 1953 roku. Telewizor był przeznaczony do odbioru programów telewizji czarno-białej. Włączano go przez podniesienie górnej pokrywki, pod którą znajdowały się dwa wbudowane głośniki i pokręta regulacyjne. Wiśła była wyposażona w okrągły kineskop, odgradzony szybą ochronną.



Aparat telegraficzny systemu Morse'a

Państwowa Wytwórnia Aparatów Telegraficznych i Te-lefonicznych, przed 1939

Wynaleziony w XIX wieku aparat telegraficzny rewolucjonizował obieg informacji. Nie tylko przyspieszył jej przekazywanie na niespotykaną wcześniej skalę, ale też diametralnie zwiększył jej zasięg. Aparat telegraficzny został wyposażony w aparat drukujący znaki złożone z kropek i kresek na papierowej taśmie.



COPERNICUS FESTIVAL 2022 / INFORMACJA



amy dla Państwa dwie ważne wiadomości – obie dobre.

Po trzech edycjach przeniesionych w całości do internetu wydarzenia Copernicus Festival znowu odbywać się będą z udziałem publiczności. W nowym dla nas miejscu – w Muzeum Inżynierii i Techniki przy ul. św. Wawrzyńca 15 w Krakowie. Przed pandemią COVID-19 podczas aż sześciu edycji festiwalu korzystaliśmy z gościnności Muzeum Narodowego w Krakowie, któremu za te lata współpracy jesteśmy ogromnie wdzięczni.

W tym roku główne wykłady będą tłumaczone symultanicznie na język ukraiński.

Przypomnijmy jeszcze podstawowe informacje. Festiwal trwa od 17 do 22 maja i poświęcony jest fenomenowi informacji. Pierwszego dnia w Muzeum Inżynierii i Techniki zaplanowaliśmy tylko jedno wydarzenie (studio festiwalowe o godz. 20.45), ale w każdym kolejnym dniu spędzimy w tym miejscu popołudnie i wieczór – spotykać się będziemy od godz. 16.30 do 21.45. W tym czasie odbywać się będą wydarzenia w ramach czterech festiwalowych pasm.

W Perceptio posłuchamy o działaniu naszych zmysłów i tym, jak umożliwiają nam odnajdywanie się w złożonym świecie zjawisk fizycznych i społecznych. UNA Talks to seria wykładów o fascynujących interakcjach życia społecznego, nauki, sztuki i technologii cyfrowych, które wygłoszą naukowcy z uniwersytetów zrzeszonych w sieci UNA Europa. Wykłady główne w tym roku poprowadzą: psycholog Michał Kosiński, reportażystka

Krystyna Kurczab-Redlich, informatyk Michael Rovatsos, genetyczka Ewa Bartnik, fizyk Artur Ekert oraz pisarz-sawant Daniel Tammet. Posłuchamy w nich o rozwoju sztucznej inteligencji i tym, jak wiele intymnych informacji algorytm mogą wyczytać z naszej twarzy, spróbujemy wgrzyźć się w rosyjski imperializm, podejrzmy nasze geny w działaniu, rozszyfrujemy kwantową kryptografię i zastanowimy się, w jaki sposób słowa nabierają znaczeń.

Wieczór zakończymy studium festiwalowym, w którym przypomnimy najważniejsze wydarzenia danego dnia i porozmawiamy z zaproszonymi gośćmi. Wszystkich, którzy nie będą mogli dotrzeć do Muzeum Inżynierii i Techniki, zapraszamy do śledzenia transmisji internetowych (na kanale Youtube.com/CopernicusCenter) z pasma Perceptio, wykładów głównych i studia festiwalowego.

Poza tym do sieci trafi mnóstwo materiałów przygotowanych przed festiwalem – będzie je można obejrzeć i wysłuchać na naszej stronie internetowej (copernicusfestival.com) i Facebooku (fb.com/copernicusfestival).

Pełna lista wydarzeń i przygotowanych materiałów znajduje się w programie, który publikujemy w środku tego katalogu. Znajdą w nim Państwo również artykuły wprowadzające w różne wymiary fenomenu informacji, mówiące o tym, jak się od niej uzależniliśmy i jak próbujemy się z nią zmierzyć.

Życzymy przyjemnej lektury. Do zobaczenia podczas festiwalowych wydarzeń!

© ZESPÓŁ COPERNICUS FESTIVAL



4. Paradoxy informacji
ŁUKASZ ŁAMŻA

9. Zanieczyszczone umysły
JĘDRZEJ GRODNIEWICZ

12. Kuksańce w neuronach
KATARZYNA DZIADOWICZ

16. Jesteśmy skomplikowani
ROZMOWA Z MICHAŁEM KOSIŃSKIM

21. Program festiwalu

24. Gdy sieć się rwie
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

28. Nadchodzi era kwantów
MICHAŁ ECKSTEIN,
PAWEŁ HORODECKI

32. Geny i dużo więcej
ŁUKASZ ŁAMŻA, LECH MAZURCZYK

34. Jeszcze za mało wiemy
ROZMOWA Z EWĄ BARTNIK

38. Retoryka
kolorowych zadków
WOJCIECH BONOWICZ

40. Czy warto wahać sztukę
ROZMOWA
Z MAJĄ STARAKIEWICZ
I JAKUBEM WOYNAROWSKIM

WSPÓŁWYDAWCY



REDAKCJA: ŁUKASZ KWIATEK | WSPÓŁPRACA: KATARZYNA DZIADOWICZ, TOMASZ FIAŁKOWSKI, MATEUSZ HOHOL, ŁUKASZ ŁAMŻA

OPIEKA WYDAWNICZA: ANNA DZIURDZIKOWSKA | WSPÓŁPRACA: MICHAŁ FURMAN, SABINA JANECZKO, DIANA SAŁACKA

PROJEKT GRAF. MAREK ZALEJSKI | FOTOEDYCJA: GRAŻYNA MAKARA, EDWARD AUGUSTYN, JACEK TARAN | TYPOGRAFIA: ANDRZEJ LEŚNIAK

KOREKTA: KATARZYNA DOMIN, SYLWIA FROŁOW, MACIEJ SZKLARCZYK | GRAFIKA NA OKŁADCE: KAROLINA KŁOS

KRAKÓW 2022, ISBN 978-83-65811-10-3



Paradoksy informacji

ŁUKASZ LAMŻA

**Pojęcie informacji przebojem wdarło się
do wielu dziedzin nauki:
od psychologii, przez biologię, aż po fizykę i kosmologię.
I wszędzie są z nim problemy.**

Stoję w oknie pokoju hotelowego i z wysokości pięciu pięter przyglądam się ruchliwemu skrzyżowaniu. Zielone... czerwone... zielone... czerwone... Setki lśniących chrabąszczy, posłusznie zatrzymujących się w miejscu i ruszających po chwili. Mżawka rozmywa światła, czas łagodnie przyspiesza, a dwie kolumny samochodów zamieniają się w wątek i ośnowę jakiegoś gigantycznego, świetlistego, mechano-elektronicznego krosna. Lewo... prawo... lewo... prawo...

Zginęło sto tysięcy Japończyków – a energii nie wystarczyłoby na uśmiercenie pszczoły.

Z czysto fizycznego punktu widzenia to, co dzieje się na skrzyżowaniu, to absurd. Ilość energii potrzebna do zatrzymania i przyspieszenia setek pojazdów jest gigantyczna, a przyczyną tego całego ruchu jest parę tuzinów lampek. Nie da się strumieniem światła zatrzymać tony stali – a jednak właśnie to się dzieje. Ba, nie ma żadnego związku fizycznego między czerwienią i zatrzymaniem się oraz zielenią i przyspieszeniem – mogłoby być dokładnie na odwrót. Brak tego związku oraz dysproporcja pomiędzy przyczyną i skutkiem to znaki rozpoznawcze świata rządzonego przez informację. Enola Gay zrzuciła swój ładunek na Hiroszimę, ponieważ 25 lipca 1945 r. generał Thomas Handy umieścił na pewnej kartce papieru nieco ciemnego tuszu – poświęcił prawdopodobnie na ten ruch porcję energii, której nie wystarczyłoby na uśmiercenie pszczoły. A jednak właśnie ten podpis był jednym z członów łańcucha przyczyn prowadzących do śmierci 100 tysięcy Japończyków.

Żeby uświadomić sobie, jak nieprawdopodobne są te wszystkie zjawiska, spójrzmy na nie okiem przyrodnika. Na skinięcie ręki generała kolumna żołnierzy pada na ziemię. A czy zdarzyło się kiedyś, że na skinięcie brzoźowego listka wszystkie drzewa w lesie padły jak długie? Nazwisko generała na kartce papieru wywołało eksplozję bomby jądrowej, ale czy wulkany wybuchają, gdy chmury na niebie ułożą się w „L”? Tajemnica ewidentnie tkwi w naszych mózgach, które potrafią zareagować w sposób skrajnie różny na bodźce różniące się tylko o włos, opierając się na rozwijających od tysiącleci umowach społecznych.

Z drugiej strony, w głębinach komórek żywych, od mojego neuronu po najskromniejszą bakterię, dochodzi do zjawisk niepokojąco przypominających przepływ informacji w społeczeństwie. Procesy komórkowe komunikują się ze sobą nawzajem przy użyciu precyzyjnych komunikatów, wyrażonych przy pomocy alfabetu aminokwasów i nukleotydów – zobaczcie, ile tu słów związanych z rzeczywistością językową! Czy oznacza to, że powinniśmy się doszukiwać mózgów i umów społecznych w cząsteczkach białka?

Co więcej, pojęcie informacji jest dziś używane do opisu zjawisk zachodzących na fundamentalnym poziomie wszechświata.

Teoria Einsteina nakłada, mówią fizycy, ograniczenia na możliwość przesyłu informacji w czasoprzestrzeni, a czarne dziury usuwają ze świata informację zawartą w cząstkach. Procesy chemiczne, dodają chemicy, przebiegają w kierunku wyznaczanym przez przepływ informacji. To jak to jest – kto puścił w ruch karuzelę informacji? Ludzie? Życie? Świat?

Barszcz serwowany jest tylko jeden jedyny raz, w Wigilię.

W latach 40. i 50. XX w., w bezpośrednim związku z rozwojem elektroniki, telekomunikacji i maszyn obliczeniowych, narodziły się ilościowe badania nad informacją i komunikacją. Wykształcił się też wówczas uczony do dzisiaj idealny model sytuacji komunikacyjnej: nadawca koduje swój komunikat przy pomocy pewnego standardowego kodu, po czym przesyła go określonym kanałem (który może wprowadzać szum „kasujący” informację), a odbiorca dokonuje jego odkodowania. Claude Shannon i Warren Weaver, twórcy tego modelu, pracowali wówczas dla Bell Laboratories, gdzie pytania o informację miały znaczenie praktyczne. W Bell Labs łamano kody i opracowywano technologie bezpiecznej komunikacji; to tam pod koniec lat 40. powstał pierwszy tranzystor i jedno z pierwszych komputerów. W 1948 r. zaś w wydawanym tam czasopiśmie „Bell System Technical Journal” Claude Shannon po raz pierwszy użył słowa *bit*.

Pomówmy chwilę o tej pięknej fikcji, jaką jest bit. Bit – od *binary digit*, czyli „cyfra dwójkowa” – to jednostka informacji, odpowiadająca wyborowi spośród dwóch możliwości, które są równie prawdopodobne. W świecie komputerów te dwie możliwości to zwyczajowo zero i jeden. Gdy więc ktoś mnie zapyta: „Zero czy jeden?”, a ja odpowiem „Zero”, to właśnie przekazałem swojemu rozmówcy jeden bit informacji. Jeśli możliwości są cztery, to odpowiedź na pytanie przekazuje dwa bity; jeśli możliwości jest osiem, to moja odpowiedź ma „ładunek informacyjny” wynoszący trzy bity – i tak dalej. Matematyka uczy, że gdyby generał Handy musiał wybrać do zbombardowania jedno

→

→ spośród 256 japońskich miast, to do zakomunikowania swojego wyboru potrzebowałby dokładnie ośmiu bitów – a więc ośmiu elementarnych sygnałów typu „zero/jeden”. Mogłoby to być cokolwiek, co ma dwa stany: podniesienie/opuszczenie ręki, mrugnięcie lewym/prawym okiem, ugryzienie kanapki od przodu/od boku – byleby odbiorca znał kod.

To piękna teoria, jednak praktycy kodowania, jak Shannon, szybko zdali sobie sprawę z tego, że realne sytuacje komunikacyjne są znacznie bardziej skomplikowane. Pierwszy problem tkwi w założeniu o równym prawdopodobieństwie ewentualności.

Przypuśćmy, że w pewnej kantynie zakładowej serwowane są tylko dwie zupy – pomidorowa i barszcz. Gdyby podawano je równie często, to informacja o tym, która z nich będzie dziś, rzeczywiście dostarczałaby mi dokładnie jeden bit. Przypuśćmy jednak, że barszcz serwowany jest tylko w Wigilię – pewnie aby wynagrodzić pracownikom fakt siedzenia w pracy, gdy Bóg się rodzi, a moc truchleje – przez pozostałe zaś 364 dni w roku ów nieludzki zakład karmi swych pracowników pomidorową. W takim przypadku informacja, że „dzis serwujemy barszcz”, ma sporą wartość informacyjną: zawęży bowiem naszą wiedzę o tym, jaki jest dziś dzień, do tylko jednego spośród 365 dni! Formalnie rzecz biorąc, odpowiedź „barszcz” ma więc wartość informacyjną aż 9 bitów, a odpowiedź „pomidorowa” ułamek bitu.

Claude Shannon na bazie podobnych doświadczeń myślowych zaproponował swą własną definicję informacji: miała być ona „miarą zaskoczenia”. Można by też powiedzieć: „miarą zawężenia” – komunikat zawiera tym więcej informacji, im silniej zawęży pewien zbiór możliwości. Co istotne, w myśl takiej definicji tę samą ilość informacji można zawrzeć w komunikatach o różnej długości.

Wyobraźmy sobie, że organizujemy wesele i wysyłamy gościom maila o treści: „Czy życzysz sobie menu: 1) mięsne; 2) bezmięsne?”. Czysto formalnie każda użyteczna odpowiedź zawsze będzie zawierała dokładnie bit informacji. Jedni goście odpowiedzą jednak „1”, inni: „Dla mnie menu wegetariańskie”, a jeszcze inni rozpoczną od powitania, potem przejdą do długiej opowieści o roli wołowiny w systemie ich wrażliwości duchowej, a dopiero w ostatnich słowach łaskawie

zaakceptują menu mięsne. Bliski współpracownik Shannona, Warren Weaver, zaproponował jeszcze nieco inną definicję: „informacja to miara wolności wyboru przy tworzeniu komunikatu”. Intuicja jest podobna: gość weselny, bez względu na swoją gadatliwość, może wskazać w mailu wyłącznie na jedną z dwóch możliwości, a więc jego komunikat zawsze będzie zawierał dokładnie bit informacji – oczywiście z wyjątkiem przypadków, gdy mail będzie „bezużyteczny” i nie pozwoli nam zawęzić menu: wtedy będzie zawierał zero bitów informacji, nawet gdyby weń wklejono całą Britannikę. Ilość informacji w komunikacie zależy więc też od tego, czego w nim szuka odbiorca.

Ta ostatnia uwaga może wydawać się przesadzona, ale lektura dzieł teoretyków informacji uczy, że niekoniecznie: wspólny kod to wszystko. Prosty przypadek ku refleksji: w 1912 r. antykwarisz Michał Wojnicz nabył tajemniczą książkę zwaną dziś manuskryptem Wojnicza. Większość 240-stronicowego dzieła pokryta jest znakami nieznanego alfabetu, łącznie składającymi się na ok. 35 tysięcy „słów”, i tajemniczymi ilustracjami. Datowanie radiowęglowe mówi, że manuskrypt powstał w I połowie XV w. Pytanie za 100 punktów: czy manuskrypt Wojnicza zawiera informacje? Jedni uważają, że to rzeczywisty tekst, inni – że wy rafinowana zabawa jakiegoś renesansowego dowcipnisia, za którą nie kryje się żadna treść. Jak widać, uzgodnienie kodu to rzecz o fundamentalnym znaczeniu.

Są też przypadki pośrednie, kto wie, czy nie jeszcze bardziej fascynujące. Przypuśćmy, że któryś gość weselny odpowiada: „Moja żona zje nawet turducken, ja jednak tylko sun-dubu”. Czysto „teoretycznie”, komunikat ten zawiera dwa bity informacji: turducken to danie ultramięsne (pieczony indyk nadziewany kaczka nadzianą kurczakiem [sic!]), a sun-dubu to odmiana tofu. Mail przekazuje więc, choć w postaci zawoalowanej i silnie pretensjonalnej, preferencje dietetyczne dwójki gości. Jeśli jednak czytająca go osoba nie zna tych słów, komunikat nagle traci bity. Pomyślmy też o biednym Watsonie, który na miejscu zbrodni może tylko bezradnie wpatrywać się w rozrzucone na podłodze przedmioty, podczas gdy Holmes pływa w morzu informacji, skutecznie zawężającej zbiór podejrzanych.

Klikam na chybił trafił w okienka, próbując jak najsilniej skompresować podręcznik Floridiego.

Wróćmy do sfery życia, w której powinniśmy się spodziewać pomiaru informacji o absolutnej precyzji. Przecież, na litość, plik komputerowy zajmuje konkretną liczbę komórek pamięci, z których każda reprezentuje jeden bit – powinniśmy więc choć tutaj zaznać metafizycznego spokoju. Ot, plik z niniejszym artykułem zajmuje w chwili obecnej 17 794 bajty, czyli 142 352 bity. I kropka. Prawda? Niestety, nawet na pytanie, ile informacji zawiera dany plik, nie da się odpowiedzieć automatycznie. Piękną demonstracją tego faktu jest proces kompresji, potocznie zwanej „pakowaniem”, który sprowadza się do sprawienia, aby „ten sam” plik zajął mniej miejsca na dysku.

W przypadku kompresji „stratnej” dzieje się to kosztem detali: obraz robi się ziarnisty, a dźwięk zaszumiony i metaliczny. Znacznie bardziej interesująca filozoficznie jest jednak kompresja bezstratna, ponieważ oznacza zmieszczenie dokładnie tej samej porcji informacji z użyciem mniejszej liczby bitów. Przykładowo, obraz o wymiarach 1000 na 1000 pikseli składający się wyłącznie z białych pikseli można by po prostu zapisać jako długą ciąg: „biały piksel, biały piksel, biały piksel...”, jednak nieco mądrzej jest wyrazić go poprzez znacznie krótszą komendę „napisz milion razy »biały piksel«”. Idea kompresji bezstratnej wydaje się kompletnie sprzeczna z definicją informacji i bitów. Jeżeli bity mają służyć do mierzenia ilości informacji, to mamy niejaki problem, mówiąc o tej samej ilości informacji zakłętą w innej liczbie bitów. To trochę tak, jak gdybyśmy powiedzieli, że potrafimy upchnąć większą masę w tej samej liczbie gramów albo 20 złotych w dwóch pięciolotówkach.

W 1965 r. radziecki matematyk Andriej Kołmogorow wyraził te intuicje w postaci tzw. algorytmicznej teorii informacji, a niedługo później, być może niezależnie, podobną teorię przedstawił argentyńsko-amerykański matematyk Gregory Chaitin. Algorytm to ustalony sposób postępowania, przepis. Prototypem algorytmu jest program komputerowy: lista jednoznacznych komend, które wykonuje komputer. Miara ilości informacji w danym komunikacie mia-

łaby się zaś stać długość najkrótszego programu komputerowego generującego ten komunikat. To jeszcze bardziej wyrafinowana teoria informacji. Zauważmy, że algorytm „pakujący” wyszukuje w zadanej mu sekwencji wszelkie formy porządku, a następnie wyraża je w bardziej zwartej formie. Zawartość informacyjna danego ciągu znaków miałaby być ilością obecnego w nim „prawdziwego porządku”.

Budzi to oczywiście kolejne wątpliwości: w jakim właściwie języku miałby zostać wyrażony ów algorytm? Jak staranne ma być „upakowanie”? Mój podręczny program kompresujący zna 5 głównych algorytmów o nic niemówiących mi nazwach i całą paletę dodatkowych opcji, z których rozumiem jeszcze mniej. Klikam na chybił trafił w okienka, próbując jak najsilniej skompresować podręcznik filozofii informacji Luciano Floridiego. Ile bitów informacji chce mi przekazać Floridi „tak naprawdę”? Każda próba daje inny wynik. Ostatecznie znów, mimo na pozór precyzyjnej definicji, informacja wymyka się próbom jednoznacznego zmierzenia.

**„Sztuczne oko żaby”,
„podświadomość”,
„efektywność
działań bojowych”...
To naprawdę miała być
nauka od wszystkiego!**

Praca Kołmogorowa nie poszła jednak na próżno, a definicja algorytmiczna wprowadziła do teorii informacji powiew świeżości. Przede wszystkim, „porządek” to pojęcie znacznie ogólniejsze od „zaskoczenia”, co daje nadzieję na szukanie informacji w świecie fizycznym. Zauważmy, że definicje Shannona i Weavera lokowały informację w świecie nadawców i odbiorców, kodu i języka, a nawet zjawisk tak subtelnych, jak intencja komunikacyjna. Jesteśmy więc w samym środku rzeczywistości ludzkiej. Tymczasem już wtedy wielu badaczom marzyło się uczynienie z informacji nadpojęcia, które mogłoby dostarczyć fundamentu wszystkim dziedzinom nauki. Metodą Kołmogorowa można równie łatwo opisywać sekwencję znaków w książce, co sekwencję „literek” ludzkiego genomu, a nawet układ atomów w kryształ. To świetna wiadomość dla poszukiwaczy kosmicznego porządku: gdyby udało się poprzez pojęcie porządku ukorzenić teorię informacji w fizyce,



Stan kosmosu w jego
najwcześniejszych
chwilach można opisać
jako wielki szum –
niemal doskonale
jednolita temperatura
i prosty skład
cząsteczkowy, gdzie
okiem sięgnąć.

otrzymalibyśmy naprawdę piękną konstrukcję intelektualną!

Norbert Wiener, jeden z wizjonerów komputera, ukuł w 1948 r. słowo „cybernetyka” dla „teorii komunikacji i kontroli, czy to zachodzącej w maszynie, czy w zwierzęciu”, a niedługo później w każdym wyobrażalnym kontekście. Informacja miałaby być pojęciem podstawowym cybernetyki, jak punkt w geometrii albo zbiór w teorii mnogości, i nie domagać się istnienia dwóch komunikujących się ze sobą umysłów. W 1946 r. Wiener pisał, że „informacja to miara porządku”, sugerując, że po takim zdefiniowaniu będzie ją można stosować do opisu dowolnego zjawiska naturalnego. Mam na półce „Mały słownik cybernetyczny” z 1973 r., kiedy to cybernetyka przeżywała szczyt popularności. Pośród haseł w tym słowniku są pozycje tak intrygujące jak „sztuczne oko żaby”, „podświadomość” czy „efektywność działań bojowych” – to naprawdę miała być nauka od wszystkiego!

John von Neumann, kolejny geniusz i wizjoner z ery powstawania komputera, zaproponował Shannonowi, aby informację połączyć z pojęciem entropii. Oto rekomendacja, jakiej udzielił: „Powinieneś nazwać ją [tj. „informację Shannona”] entropią z dwóch powodów: po pierwsze, funk-

cja ta jest już używana w termodynamice pod tą samą nazwą; po drugie i najważniejsze, większość ludzi nie wie, czym tak naprawdę jest entropia, więc jeżeli użyjesz w dyskusji słowa entropia, to wygrasz za każdym razem”. Była to naprawdę celna uwaga: definiowanie informacji przez entropię to gaszenie pożaru benzyną. Pojęcie to ma szereg precyzyjnych definicji, z których żadna nie zadowala wszystkich zainteresowanych stron, a ponadto wiąże się z nią wiele mętnych intuicji (np. „entropia jako miara nieporządku”) i gigantyczne nadzieje. Czyli zupełnie jak informacja. Co więcej, istnieją dwa kompletnie ze sobą sprzeczne sposoby, w jakie można te dwa pojęcia połączyć.

Spróbujmy może zrekonstruować w najogólniejszym zarysie, jak miałyby wyglądać fizyczna wersja pojęcia informacji sformułowana tak, aby odpowiadała naszym codziennym intuicjom. Te zaś, jak się okazuje, nieźle wyraża termodynamika – niegdyś skromna nauka o silnikach, kotłach i tłokach, dziś jeden z korzeni fizyki. Słynna druga zasada termodynamiki w swojej podstawowej wersji, sformułowanej przez Rudolfa Clausiusa w 1854 r., głosi, że ciepło nie może spontanicznie przepłynąć z ciała zimniejszego do cieplejszego. Chłodny stół zawsze rozgrzeje się od gorącej kawy, ale kawa nigdy nie rozgrzeje się dodatkowo od stołu.

Z każdą kolejną dekadą konsekwencje tego niezaprzeczalnego prawa przyrody zaczęły się stawać coraz poważniejsze – okazuje się bowiem, że istnieje w przyrodzie więcej procesów, które, choć czysto na papierze mogłyby zachodzić w dowolnym kierunku, „lubią” zachodzić w tylko jedną stronę. Entropia została początkowo zdefiniowana jako właściwość układu pozwalająca przewidzieć, w którą stronę będą przebiegały zmiany w tym układzie: z definicji każdy układ przyrodniczy miałby przechodzić do stanu o wyższej entropii. W tym ujęciu druga zasada głosi, że entropia izolowanego układu – czyli takiego, który ewoluuje spontanicznie i którego nikt sztucznie nie pobudza z zewnątrz – nigdy nie będzie malała, a w praktyce zawsze rośnie.

To już nieco lepiej, jednak termodynamika nabrała prawdziwych rumieńców, gdy pojęcie entropii powiązano z porządkiem i prawdopodobieństwem. Drugą zasadę można by wówczas, z lekkim przybliżeniem oka, rozumieć jako zasadniczą skłonność świata do przechodzenia →

→ od układów bardziej uporządkowanych do mniej uporządkowanych. Kolejne pokolenia filozofów i popularyzatorów nauki zabawiają nas kolejnymi anegdotami ilustrującymi codzienne znaczenie tej zasady. Kubki z czasem obtłukają się w toku zwykłego użytkowania, ale odłamki nie skleją się już same. Spontanicznie używane mieszkanie brudzi się i bałagani, a nie czyści i porządkuje. Książki odkładane byle jak nie ułożą się same w porządku alfabetycznym. Na poziomie czystej fizyki klarownym przykładem jest gaz wypełniający pojemnik, np. powietrze w pokoju. Przypuśćmy, że zaczynamy od rozkładu niejednorodnego: z jednej strony pokoju jest cieplej. Druga zasada nakazuje, aby z czasem temperatura samoistnie się wyrównała, a skrajnie mało prawdopodobna jest historia odwrotna: w pokoju spontanicznie powstaje strefa gorąca i strefa zimna.

Spróbujmy teraz wpuścić do tego opisu pojęcie informacji. Zaczniemy od dokończenia cytatu Wienera. „Informacja to miara porządku” to bowiem tylko połowa jego powiedzonka. Reszta brzmi: „entropia to miara nieporządku”.

Nie jest łatwo to skonkretyzować, ale korzystnych intuicji dostarcza teoria Kołmogorowa. Wyobraźmy sobie, że dzielimy w myślach pomieszczenie na tysiąc regionów o identycznej objętości i wypisujemy dla każdego z nich z osobna panującą w nim temperaturę – ciąg tysięcy liczb. Jeżeli chcemy wiedzieć, ile informacji kryje się w rozkładzie temperatury naszego pokoju, szukamy najkrótszego programu komputerowego, który potrafi wygenerować tysiąc opisujących go parametrów. Algorytm dla pokoju o jednorodnej temperaturze jest bardzo prosty: „Dla każdego regionu temperatura to 21°C”. Każdy dodatkowy poziom komplikacji wydłuża algorytm, co oznacza, że w układzie tym zakłeta jest większa ilość informacji. Przy odrobinie pomysłowości da się powiązać tego typu „informację fizyczną” ze zwykłą „informacją komunikacyjną” – niejednorodność rozkładu temperatury w pokoju mogłaby przecież zostać wykorzystana do zostawienia komuś wiadomości. Ciepłej przy wejściu – będzie pomidorowa. Ciepłej przy oknie – barszcz. I oto jeden bit przekazany przy pomocy jednej „dwójkowej” formy porządku fizycznego. Kolejna taka forma porządku (np. cieplejsza lewa lub prawa strona pokoju) to kolejny bit.

Lodówka zawsze ogrzewa pomieszczenie, w którym się znajduje.

Wszystko to brzmi, mam nadzieję, w miarę sensownie. Aż zbyt sensownie – czyżby rzeczywiście udało się stworzyć „ogólną teorię informacji”, a sama informacja może stanowić bezpieczny naukowy „powszechnik” obok pojęć takich jak „energia” czy „proces”? Niestety, wciąż pozostają poważne paradoksy, które uniemożliwiają nawet wyrobienie sobie elementarnych intuicji na temat tego, jakiego typu układy zawierają minimalną, a jakie maksymalną ilość informacji. Nie zapominajmy też o dziwnej uwadze von Neumanna, że informacja i entropia to jedno i to samo. Moment – a czy nie miało być na odwrót?

Istotę problemu najłatwiej zrozumieć po odwołaniu się do pojęcia szumu. W termodynamice klasycznej nie ma układu o wyższej entropii, a więc – zdawałoby się – zawierającego mniej informacji niż pojemnik wypełniony całkowicie jednorodnym gazem. To szum idealny, a więc – wróćmy myślą do Shannona – wróg informacji. Całkowicie zaszumiony kanał komunikacyjny nie jest w stanie przekazać choćby jednego bitu.

Pomyślmy teraz o prostym matematycznym odpowiedniku szumu: milionie doskonałych losowych liczb z przedziału 1-100. Problem polega na tym, że zgodnie z definicją algorytmiczną jest to sekwencja o maksymalnej możliwej ilości informacji. Nie da się „spakować” listy liczb losowych, ponieważ nie ma w niej żadnego porządku. Mówiąc jeszcze inaczej, nie istnieje krótszy sposób zapisania miliona losowych liczb niż same te liczby: nawet najdoskonalszy program do kompresji nigdy nie skróci miliona losowych bitów o ani jeden bit. Porównajmy to choćby z sekwencją kolejnych cyfr po przecinku w liczbie pi – tę da się wygenerować na podstawie przepisu matematycznego, znacznie krótszego od miliona znaków. Dochodzimy więc do kłopotliwego wniosku, że książka całkowicie wypełniona losowymi znakami zawiera więcej informacji od tomu Britanniki: tę drugą bardzo łatwo przecież skrócić bez utraty informacji, choćby wprowadzając ustalone na wstępie skróty.

Pokrewny problem pojawia się w skali kosmologicznej. Oglądany oczami termodynamika wszechświat może budzić po-

ważne wątpliwości. Stan kosmosu w jego najwcześniejszych chwilach można opisać jako wielki szum – niemal doskonale jednolita temperatura i prosty skład cząsteczkowy, gdzie okiem sięgnąć. Każdy kolejny miliard lat wiązał się zaś ze spontanicznym wyłanianiem się najrozmaitszych form porządku: od atomowego i chemicznego po artystyczny i technologiczny. Wszechświat wydaje się być całkowicie pochłonięty generowaniem informacji. Stoi to w niejkiej sprzeczności z drugą zasadą, która wydaje się nakazywać, aby entropia świata stale rosła. Owszem, może maleć, jednak zawsze kosztem wypompowania chaosu do środowiska zewnętrznego. Nie ma chyba lepszej wizualizacji tej zasady niż talerz z pięknym daniem na tle kuchennego chaosu, którego ogarnięcie zajmie wiele godzin. Każda dawka porządku, jaki wpompujemy w świat, zostaje okupiona jeszcze większą dawką nieporządku. Lodówka zawsze ogrzewa pomieszczenie, w którym się znajduje, a śmieci zamiecione z ulic trafiają na ukryte za miastem wysypiska.

Jeżeli więc chcemy upierać się, że druga zasada działa również w skali kosmicznej, to musimy znaleźć „zaplecze Boga”, gdzie walają się wszystkie odrzucone skrawki galaktyk i opiłki po szlifowaniu płyt tektonicznych. Albo radykalnie przemysłuć ideę entropii. Starzy termodynamicy uznaliby jednorodną porcję gorącego gazu za układ o maksymalnej entropii, czysty nieporządek; chaos, z którego dopiero wyłoni się kosmos. A może jednak położenie każdej cząstki w młodym wszechświecie należy potraktować poważnie, a kosmos obecny – uporządkowany, a więc dający się pięknie „skrócić algorytmicznie” – zawiera w sobie znacznie mniej informacji niż niegdyś?

■■■

Nie liczcie na to, że z paradoksów informacji uda się jakimś prostym sposobem wykręcić. Ale to dobrze – ilekroć jakieś pojęcie sprawia tyle problemów, to znak, że jest naprawdę ważne. Tymczasem za oknem mija setny cykl światła, a ludzki rój wciąż się przemieszcza: a bo przyszedł ważny SMS, a bo duża wskazówka jest już na dziewięć, a bo w Chinach kontenerów zabrakło... To ruch harmonijny, bo sterowany przez informację – której jesteśmy posłuszni, ale której nikt z nas tak naprawdę nie rozumie.

© P ŁUKASZ ŁAMŻA



NATALIA POLASIK / MOONWATER.PL

Natalia Polasik „Let's Walk to the Moon”, 2018-2022 r.

Zanieczyszczone umysły

JĘDRZEJ GRODNIOWICZ

**Każdy z nas ma dziś dostęp do nieprzebranych zasobów informacji.
Niestety, nie zawsze sprawia to, że wiemy i rozumiemy więcej.**



→ **C**odziennie po drodze do pracy mijam ekran informujący o stanie powietrza w Krakowie. Zwykle w zimie, w lepsze dni widnieje na nim napis „umiarkowany”. Pod spodem żółty emotikon o zupełnie prostych ustach ani się cieszy, ani smuci. W gorsze dni buźka na ekranie jest czerwona i wyraźnie niezadowolona: „Normy stężeń pyłu zawieszonego przekroczone. Stan powietrza zły”.

Zanieczyszczenie powietrza jest problemem dobrze znanym. Znałe są też jego konsekwencje: astma, niewydolność układu krążenia, niewydolność oddechowa, a to tylko początek długiej listy. Znacznie mniej wiemy o innym rodzaju zanieczyszczenia, które również utrudnia nasze codzienne funkcjonowanie i niesie ze sobą daleko idące konsekwencje. Chodzi o poznawcze zanieczyszczenie środowiska społecznego, w którym odbywa się wymiana wiedzy i informacji. Zanieczyszczenie to trudniej jest mierzyć i monitorować. A szkoda. Może dobrze byłoby czasem zobaczyć na ekranie swojego smartfona zatrważony, czerwony emotikon podpisany „Zanieczyszczenie poznawcze wysokie. W miarę możliwości pozostań offline”.

Wyprawa po oliwę

Dziedzina filozofii, która zajmuje się naturą, źródłami i ograniczeniami ludzkiej wiedzy, jest epistemologia. Sama jej nazwa pochodzi od greckiego słowa *episteme* oznaczającego wiedzę pewną i sprawdzoną, odmienną tym samym od potocznej opinii zwanej po grecku *doкса*. Ale czym konkretnie wiedza różni się od opinii? Od czasów Platona, który poruszał ten temat najobszerniej w dialogach „Menon” i „Teajtet”, aż do drugiej połowy XX w. najbardziej rozpowszechnioną i wpływową była tak zwana „trzyczęściowa definicja wiedzy”. Według niej wiedza jest (i) prawdziwym i (ii) uzasadnionym (iii) przekonaniem. Co to znaczy w praktyce?

Wyobraźmy sobie, że w trakcie przygotowywania sobotniej kolacji orientuję się, że skończyła się oliwa. Czy o tej porze uda mi się ją jeszcze gdzieś kupić? Przypuszczam, że sklep, w którym zawsze zaopatruję się w oliwę, jest już zamknięty, ale nie wiem tego na pewno – nigdy nie byłem tam późnym popołudniem w sobotę. Cóż, niestraszny mi krótki spacer. Kiedy docieram do sklepu, zastaję na drzwiach

kartkę z napisem „zamknięte” i widzę, że światło w środku jest zgaszone. Moje przekonanie, że sklep jest zamknięty, może być teraz uznane za wiedzę – jest prawdziwe (sklep naprawdę jest zamknięty) i uzasadnione (przekonałem się o tym sam, stojąc pod drzwiami). Oczywiście bezpośrednia percepcja nie jest jedynym – ani najlepszym – źródłem uzasadnienia naszych przekonań. Np. uzasadnieniem prawdziwości przekonań dotyczących obiektów matematycznych jest posiadanie przez nas popierających je dowodów, czyli ciągów rozumowań, które pokazują, że konkluzje wynikają z przyjętych przesłanek.

Trzyczęściowa definicja wiedzy święciła triumfy do drugiej połowy XX w. To, co doprowadziło do załamania jej dominacji, znakomicie ilustruje specyfikę rozwoju myśli filozoficznej. W 1963 r. nikomu nieznanemu amerykańskiemu filozofowi Edmundowi Gettierowi, pracującemu na niewielkim uniwersytecie w stanie Michigan, opublikował na ten temat króciutki, trzystronicowy artykuł. Poza wprowadzeniem, w artykule zmieściły się dwa kontrprzykłady do trzyczęściowej definicji wiedzy, których echo niesie się po współczesnej epistemologii do dziś. W obu przypadkach podmiot posiada prawdziwe i uzasadnione przekonanie niejako przez przypadek.

Zamiast przywoływać dosłownie przykłady Gettier’a, możemy sami skonstruować taki argument na podstawie historii mojego poszukiwania oliwy w sobotnie popołudnie. Jak pamiętamy, uznałem, że sklep jest zamknięty, ponieważ zobaczyłem, że światło jest zgaszone, a na drzwiach wisi kartka z napisem „zamknięte”. Założmy, że kiedy tam dotarłem, sklep faktycznie był zamknięty – moje przekonanie było zatem prawdziwe i uzasadnione. Jednak moja konkluzja mogła równie dobrze być fałszywa, ponieważ właściciele często zapominają zdjąć z drzwi kartkę z napisem „zamknięte”, a oszczędzając na prądzie, niemal ciągle siedzą przy zgaszonych światłach. Większość współczesnych epistemologów – uznając siłę argumentów Gettier’a – nie byłaby skora w tej sytuacji przypisać mi wiedzy, mimo że, czysto formalnie, spełniłem warunki trójdzielnej definicji. Posiadając te same informacje, które posiadam teraz, zbyt łatwo mógłbym z nich wyciągnąć fałszywy wniosek.

Argumenty Gettier’a dobitnie pokazują, że wiedza nie jest wcale łatwa do uzyskania – sam fakt, że wypowiadam lub myślę zdanie prawdziwe, nie gwarantuje jeszcze, że jestem w posiadaniu wiedzy. To raczej dopiero pierwszy z wielu warunków. Jeszcze bardziej wymagające jest osiągnięcie – pokrewnego wiedzy – zrozumienia. Żeby zrozumieć jakieś zagadnienie, musimy nie tylko posiadać wiedzę na temat opisujących je faktów, ale też w odpowiedni sposób uchwycić relacje, jakie między nimi zachodzą. Żeby zrozumieć przyczyny wybuchu I wojny światowej, nie wystarczy wiedzieć, że dane zdarzenia miały miejsce w konkretnym czasie. Trzeba również być świadomym zależności i wzajemnych powiązań między nimi. To znaczy, trzeba umieć odpowiedzieć nie tylko na pytanie „co się działo?”, ale także „dlaczego?”, „w jaki sposób?” i „co z tego wynikało?”.

Wiedza z drugiej ręki

Być może najważniejszą cechą przedsięwzięcia, jakim jest zdobywanie wiedzy i zrozumienia, jest fakt, że bardzo rzadko robimy to w pojedynkę. Gdybyśmy mogli polegać wyłącznie na informacjach, które zdobyliśmy samodzielnie, wiedzielibyśmy tylko ułamek tego, co wiemy teraz. To dzięki świadectwu innych osób wiem, że Huascarán znajduje się w Andach oraz że mitochondria zawierają DNA. Gdyby ktoś mi nie powiedział, nie wiedziałbym, czy wyniki moich badań krwi są w normie ani co dzieje się na wschodniej granicy Polski. Od ciekawostek, po informacje o zupełnie zasadniczym znaczeniu jesteśmy zależni od siebie nawzajem. Dlatego też zagadnienia związane z tzw. epistemologią indywidualistyczną, skoncentrowaną na prawdziwości przekonań i sile uzasadnienia posiadanego przez konkretną jednostkę, ustępują w ostatnich latach miejsca problemom „epistemologii społecznej”.

W idealnej sytuacji byłoby tak. Założmy, że chcę dowiedzieć się czegoś na temat rynku kryptowalut. W tym celu udaję się do osoby, o której wiem, że jest ekspertką w tej dziedzinie. Ekspertka ta nie tylko posiada zrozumienie i wiedzę na temat interesującego mnie zagadnienia, ale też jest skora, żeby mi je przekazać, ponieważ nie ma żadnego interesu w tym, żeby pozyskane przeze mnie informacje były fałszywe lub niepełne. Co więcej, ma ona niezerwane umiejętno-

ści komunikacyjne. Dzięki jej objaśnieniu nie tylko poznaję wszystkie istotne fakty na temat zagadnienia, które zgłębiłam, ale także jestem w stanie uchwycić relacje zachodzące między nimi. Po krótkiej wymianie kurtuazji opuszczam moją informatorkę z nowo nabytą wiedzą i zrozumieniem oraz szerokim uśmiechem na ustach.

Jeśli powyższy opis wydaje nam się naiwny – niemal ironiczny – to dlatego, że jesteśmy świadomi, iż tego rodzaju idealne scenariusze należą do rzadkości. W większości sytuacji nieprawdziwy jest przynajmniej jeden element powyższego opisu. Po pierwsze, często trudno jest ustalić, kto faktycznie w danej sprawie zasługuje na status eksperta. Posiadanie takiego statusu wiąże się z wieloma korzyściami, jak choćby możliwością szerokiego propagowania swoich poglądów i interesów, dlatego zabiega o to wiele podmiotów o potencjalnie złych intencjach. Po drugie, nawet eksperci w danych dziedzinach rzadko posiadają na ich temat pełną wiedzę i zrozumienie. Ci z nich, którzy są najbardziej uczciwi, jasno to komunikują. Niestety, oczekiwania społeczne niejednokrotnie wypychają ekspertów na niebezpieczną ścieżkę uzupełniania braków swojej wiedzy siłą perswazji.

Jak zauważa Philip Tetlock w swojej książce „Expert Political Judgment”, zwykłe eksperci, którzy lepiej wypadają w ocenie kompetencji według standardów naukowych, są mniej medialni, a tym samym mniej popularni wśród potencjalnych konsumentów ich wiedzy. Po trzecie, przekazywanie wiedzy jest zadaniem wymagającym ogromnych umiejętności. W szczególności musi być dostosowane do konkretnego odbiorcy i jego wiedzy bazowej. Przekazywanie zrozumienia danego tematu jest jeszcze trudniejsze. Nie wystarczy bowiem, żeby odbiorca dowiedział się, że dane informacje są prawdziwe. Musi też uchwycić zachodzące między nimi zależności, a to stanowi dodatkowe wyzwanie. Wie o tym każdy, kto próbował kiedyś odpisywać odpowiedź na pytanie otwarte w trakcie sprawdzianu z historii.

Nie daj się oszukać

W związku z wymienionymi problemami środowisko społeczne, w którym funkcjonujemy, jest – by użyć frazy proponowanej przez filozofa Neila Levey’ego – poznawczo zanieczyszczone. Je-



Przekazywanie wiedzy jest zadaniem wymagającym ogromnych umiejętności. W szczególności musi być dostosowane do konkretnego odbiorcy i jego wiedzy bazowej.

śli dziś brakuje nam wiedzy i zrozumienia, to zwykle nie dlatego, że nie mamy dostępu do informacji. Wręcz przeciwnie, na wyciągnięcie ręki mamy ich niemal nieprzebrane zasoby. Niestety, wiele z tych informacji jest wzajemnie sprzecznych, a wszystkie poparte autorytetem kogoś zabiegającego o status eksperta. Bardzo trudno jest zatem ocenić, w co wierzyć, czyje świadectwo przyjąć i czyimi wypowiedziami kierować się podczas podejmowania własnych decyzji.

Skoro trudno jest odróżnić ekspertów od osób, które tylko się za nich podają, może powinniśmy zaufać własnej intuicji i zdolności odróżniania prawdy od kłamstwa? Badania Charlesa Bonda i Belli DePaulo pokazują, że byłaby to bardzo zła strategia. Gdy chodzi o umiejętność rozpoznawania, czy jesteśmy oszukiwani, nasza skuteczność plasuje się w okolicach 54 proc. To znaczy, że niemal równie dobrze szłoby nam, gdybyśmy zamiast zastanawiać się, czy nasz rozmówca kłamie, podejmowali decyzję przy pomocy rzutu monetą (według jednego z popularnych wyjaśnień, dodatkowe 4 proc. wynika stąd, że niektóre kłamstwa bardzo łatwo przejrzeć).

Warto zauważyć, że eksperymenty, z których płynie ta pesymistyczna konkluzja, badały zdolność wyłapywania kłamców w trakcie konfrontacji z nimi twarzą w twarz. Dziś jednak większość informacji, na podstawie których staramy się wyrobić sobie zrozumienie danego tematu, pozyskujemy online. Jeśli trudno jest rozpoznać kłamstwo stojącej przed nami osoby, której mimikę czy intonację możemy na bieżąco obserwować, nasze szanse spadają niemal do zera, gdy informacja ta pochodzi na przykład od – nieznanego nam skądinąd – użytkownika @sprawdzonawiedzamedyczna na Twitterze.

Poznawcza niewydolność

Jak w takim razie funkcjonować w środowisku zanieczyszczonej poznawczo? Przede wszystkim musimy pogodzić się z faktem, że tak jak zbyt duża ilość pyłów zawieszonych prowadzi często do niewydolności oddechowej, tak samo natłok niesprawdzonych informacji prowadzi do niewydolności poznawczej. Wiedza i zrozumienie są dobrami tyleż wartościowymi, co trudnymi do osiągnięcia. I nie zmienia tego fakt, że dziś na każdym rogu, od Instagrama po aktualizowane co minutę serwisy informacyjne, ktoś próbuje nam sprzedać całe ich naręcza. Fakt, że odpowiedź na niemal każde pytanie można sobie dzisiaj wygooglować, powoduje, że odczuwamy presję, by posiadać silne zdanie na każdy z bieżących tematów. Na początku marca tego roku doskonale ilustrował to mem przedstawiający mężczyznę zacierającego ręce nad swoim laptopem, podpisany „Byłem już ekspertem od epidemiologii, teraz mogę być od wojskowości”.

Jeśli chcielibyśmy na poważnie rozważyć problem poznawczego zanieczyszczenia naszego środowiska, powinniśmy zastanowić się, co tak naprawdę wiemy, a jakie informacje powielamy tylko dlatego, żeby sprostać oczekiwaniom społecznym. Zwłaszcza że oczekiwania te wygenerowane są w dużej mierze przez wielkie korporacje, które – nawet jeśli umożliwiają wymianę informacji – zyski czerpią z ruchu mierzonego w ilości kliknięć i czasu spędzonego w odpowiednich aplikacjach, a nie przyrostu wiedzy czy świadomości swoich użytkowników. Być może sama ignorancja nie jest cnotą, natomiast świadomość swojej ignorancji – już tak.

© JĘDRZEJ GRODNIEWICZ



Natalia Polasik „Tissue Issue”, 2018 r.

Kuksańce w neuronach

KATARZYNA DZIADOWICZ

**Pozorna prostota impulsów nerwowych
może być myląca,
ale to one są podłożem wszystkiego, czego doświadczamy.**

Gdy ktoś próbuje przygotowanego przez nas obiadu, a my kątem oka dostrzegamy jego zmarszczony nos, atmosfera natychmiast się ochładza. Być może potrafimy zrozumieć, że nie ma w tym grymasie celowej złośliwości, może nawet nie czujemy się nim urażeni, ale na pewno wolelibyśmy go nie widzieć. Przede wszystkim dlatego, że stanowi dla nas konkretną informację: następnym razem (jeśli będzie następny raz) musimy skorzystać z innego przepisu.

Dzięki pracy naszego mózgu w ciągu kilku sekund rozeznajemy się w sytuacji i na nią adekwatnie reagujemy – tzn. nasze zachowanie jest pewną odpowiedzią na to, co się dzieje. Ten proces zachodzi tak płynnie, że traktujemy go jako przyrzoną oczywistość. Jednak zaobserwowany grymas przy kolacji, który możemy potraktować jak dostępną natychmiast informację, z perspektywy naszego mózgu jest gigantycznym zbiorem serii impulsów wędrujących wieloma nerwami jednocześnie, rozprzestrzeniających się między odległymi obszarami mózgu. Czy nie są oknami, przez które nasz mózg może zobaczyć wyraz twarzy albo słonia, ale narządami reagującymi na pewne właściwości fizyczne świata zewnętrznego i przekształcają je na „zrozumiały” dla mózgu sygnał. „Zrozumiały” przynajmniej na tyle, na ile czyni nasze doświadczenia subiektywnie sensownymi.

Podaj dalej

W latach 20. XX w. Edgar Adrian i Yngve Zotterman próbowali uchwycić istotne cechy impulsów przemierzających nasze włókna nerwowe. Żywili nadzieję, że skoro impulsy te pobudzają do działania mózg, to w dłuższej perspektywie takie obserwacje mogą pozwolić lepiej zrozumieć złożoność funkcji poznawczych człowieka.

Było już jasne, że „substancją” płynącą przez nerwy była elektryczność. Najprostszym sposobem demonstracji tego efektu było rażenie prądem zwierząt – w ten sposób łatwo było pokazać, że dostarczana z zewnątrz energia wprawia w ruch mięśnie, podobnie jak my robimy to „siłą woli”. Niedługo później poznano także strukturę sieci odpowiadających za rozprowadzanie tej energii po organizmie. Dziedzina optyki wciąż nakładała ograniczenia na obserwację najdrobniejszych struktur, ale zaprezentowana w 1873 r. przez Camilla Golgiego metoda barwienia tkanek solami srebra znacznie ułatwiła to zadanie. Kilkanaście lat później Santiago Ramón y Cajal tak przystosował ją do barwienia neuronów, że po raz pierwszy możliwe stało się wyraźne dostrzeżenie ich granic. Tym samym unaoźnił się fakt, że układ nerwowy (w tym mózg), jak cała reszta organizmu, składa się z oddzielnych komórek. A to inspirowało do tworzenia szczegółowych teorii zachodzącej pomiędzy nimi współpracy.

Charles Sherrington umieścił psy na specjalnej uprząży, po czym kłuł je w łapy i skrupulatnie analizował czas ich reakcji. Z jego obliczeń wynikało, że odruch odsunięcia łapy następuje wolniej, niż by mógł, biorąc pod uwagę znaną wówczas prędkość przewodzenia impulsu przez włókna nerwowe (po raz pierwszy oszacował ją Hermann von Helmholtz – z jego eksperymentów wynikało, że wynosi ona ok. 50 metrów na sekundę).

Dla układu nerwowego prędkość jest istotna, ale nie kluczowa. Występowanie dużych opóźnień pomiędzy działaniem bodźca a jego dotarciem do mózgu byłoby problematyczne, zwłaszcza dla takich zwierząt jak żyrafy. Jeszcze większym problemem byłoby jednak wytracanie energii gdzieś po drodze – tak mogłoby się stać, gdyby skonstruować organizm, w którym siła impulsu słabłaby wraz z pokonywaną odległością (ponie-

waż nerwy nie byłyby dobrym przewodnikiem). Uszczypnięcie w stopę, jeśli w ogóle byśmy je poculi, zawsze wydawałoby się łagodniejsze, niż takie samo uszczypnięcie w ramię. W ewolucyjnej historii wygrało rozwiązanie pośrednie – aksony, czyli włókna nerwowe, nie działają jak drut, po którym po prostu wędruje impuls, ale jak pasmo ogniw, po których ten impuls przeskakuje. Za pojedyncze ogniwa można uznać fragmenty aksonu pomiędzy przerwami w osłonce mielinowej – tłustym materiale izolacyjnym, który zwiększa przewodnictwo.

Aby w ogóle doszło do pobudzenia, coś musi sprawić, że neuron zostanie wytrącony z dotychczasowej równowagi. Zwykle jest to łączny wpływ sąsiadujących neuronów lub receptorów – jeśli one dostaną cynk, że czas zareagować, to mogą podnieść (a niektóre z nich obniżyć) stężenie odpowiednich związków chemicznych w synapsach – „złączach” występujących między neuronami czy neuronem i receptorem. Jeśli podniosą je wystarczająco, by przekroczyć próg pobudzenia kolejnego neuronu, to na początku jego aksonu dojdzie do wytworzenia tzw. potencjału czynnościowego. Ten z kolei uruchomi reakcje łańcuchową – różnice w stężeniu pewnych molekuł pomiędzy kolejnymi fragmentami aksonu będą przewodzić pobudzenie, odnawiając je z każdym „ogniwem”. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, sygnał dotrze w niezmiennionej formie aż do kolejnej synapsy, gdzie będzie mógł spełnić swoją rolę informacyjną.

Na początku XX w. Sherrington stwierdził, że do zwolnienia przesylu musi dochodzić właśnie na połączeniach między neuronami. Nie pomylił się – synteza substancji chemicznych w aksonie, ich oddziaływanie na dendryty (czyli część neuronu odbierającą sygnał) czy ich przetworzenie na odpowiednią reakcję zajmują czas. Dokładnie: mniej niż jedną →

→ pięćsetną sekundy. Sherrington nie wiedział jednak jeszcze, że komunikacja w synapsach (to on wprowadził to pojęcie) odbywa się na ogół na drodze chemicznej, dzięki takim substancjom jak serotonina czy dopamina. Dziś liczba rozpoznanych tych tzw. neuroprzekaźników przekroczyła już sto, a tylko niewielka część neuronów, znajdujących się bardzo blisko siebie, odpuszcza sobie to chemiczne za pośredniczenie i komunikuje się bezpośrednio za pomocą impulsów elektrycznych. Sherrington rozpoznał za to kilka fundamentalnych zasad: zaobserwował, że kilka słabych pobudzeń może dać reakcję odpowiednią dla jednego silniejszego, oraz że bodźce z różnych lokalizacji mogą docierać do tego samego neuronu i łącznie wpływać na jego pobudzenie.

Kropka w kropkę

Sposób, w jaki neurony realizują wszystkie te zasady, był jednak dla badaczy z początku XX w. niezbyt przejrzysty. Dotychczas udawało się przechwycić impulsy biegnące w nerwach, czyli wiązkach aksonów, ale przez ich bliskość reakcje pojedynczych włókien łączyły się w jeden sygnał. A przez to nie dało się wyróżnić tej informacji, która docierała do kolejnego neuronu. Jednocześnie taka kumulacja uniemożliwiała określenie, jak dokładnie zmienia się odpowiedź aksonu w zależności od działającego na receptory bodźca. Edgar Adrian i Yngve Zotterman nie byli usatysfakcjonowani takimi danymi.

Pojedyncze włókna nerwowe ze względu na swoją wielkość były jednak trudne do wyekstrahowania bez uszkodzeń, a nie pomagało i to, że ich aktywności elektrycznej daleko do spektakularnej – występują w nich potencjały rzędu kilku mikrowoltów, trwające tysięczne ułamki sekund. Wydawało się, że ówczesna aparatura nie jest wystarczająco czuła, by umożliwić ich obserwację. Badacze musieli znaleźć na to sposób.

Obiektami eksperymentalnymi zostały żaby. Nie był to zresztą pierwszy raz, kiedy te płazy przysłużyły się rozwojowi tej dziedziny – jeszcze w XVIII w. rażenie ich nerwów prądem przez Luigiego Galvaniego zapoczątkowało przełom w rozumieniu działania nerwów. Niestety, tym razem nie obchodzono się ze zwierzętami mniej brutalnie. Adrian i Zotterman zostawili nad brzuchem żaby tylko niewielki kawałek skóry, do którego przypięli jedwabną nić. Napinała ona jeden

z mięśni skórnych w kończynie żaby – taki, który zawierał niewielką ilość włókien nerwowych, dzięki czemu łatwiej było go tak spreparować, by zostawić tylko jedno z nich. Następnie do włókna podpięto elektrodę, po czym wzmacniano sygnał i przy użyciu kilku przyrządów obserwowano, jak zmienia się napięcie w odseparowanym aksonie.

Zarejestrowane potencjały okazały się o tyle interesujące, że... w zasadzie wszystkie impulsy były takie same. Miały zarówno stałą wielkość, jak i czas trwania, niezależnie od siły działającej na mięsień. Neurony nie mają wielkiego wyboru – mogą przekazać pobudzenie dalej lub uznać je za zbyt słabe i nie przekazać go wcale. Jak to się zatem dzieje, że mogą przekazywać całe spektrum wrażeń o różnej intensywności?

Właściwość, która okazała się kluczowa, nie dotyczyła jednak impulsów, ale ich serii. Chodziło o częstotliwość – Adrian i Zotterman zaobserwowali, że wraz ze wzrostem intensywności bodźca (w ich eksperymencie – wzrostem siły naciągania mięśnia), wzrastała częstość występowania potencjałów czynnościowych.

Zidentyfikowana wtedy zasada „wszystko albo nic” do tej pory jest jedną z tych, którymi określa się sposób funkcjonowania układu nerwowego. Jednocześnie wskazuje się, że kodowanie oparte jedynie na częstotliwości nie dla wszystkich bodźców byłoby rozwiązaniem optymalnym, choćby ze względu na prędkość transmisji. Stąd zaczęto proponować modele, które uzupełniałyby te braki – np. poprzez przypisanie roli nie tylko częstotliwości występowania potencjałów czynnościowych, ale także konkretnemu momentowi ich pojawiania się. Zgodnie z tą hipotezą analizowanie tylko uśrednionego czasu przerwy pomiędzy wzbudzonymi potencjałami czynnościowymi sprawia, że tracimy jakąś część istotnych dla mózgu informacji dotyczących bodźca.

Posłuchaj obrazu

W naszym subiektywnym odczuciu aktywacji grup neuronów w pewnych obszarach mózgu przybierają formę obrazów, w innych z kolei dźwięków czy dotyku. Częstotliwość może odpowiadać za intensywność ich odczuwania, ale pomiedzy gorzkim smakiem potrawy ze zbyt dużą ilością czosnku a goryżkością czyje-

goś wyrazu dezaprobaty wobec naszego dania jest przecież różnica.

Nasz mózg uczy się rozpoznawać informacje zakodowane w potencjałach czynnościowych jako komunikaty dotyczące pewnej modalności zmysłowej – „widzi” to, o czym informacji dostarczają nerwy wzrokowe, i „słyszy” to, o czym informacji dostarczają nerwy słuchowe. Chociaż impulsy docierające do mózgu mają ten sam charakter, to pochodzą z różnych miejsc – każdy receptor, od którego najczęściej zaczyna się interakcja układu nerwowego ze środowiskiem, specjalizuje się w odbieraniu jednego rodzaju energii. Określone ośrodki w mózgu specjalizują się z kolei w odbiorze informacji powstałych w wyniku specyficznych pobudzeń – na przykład światła padającego na siatkówkę. Starając się nadać sens tej zagadkowej zdolności naszego umysłu, Johannes Müller w 1838 r. sformułował „prawo specyficznych energii nerwowych”, według którego różnorodność jakości zmysłowych miałyby mieć źródło w specyfice nerwów i być w jakimś stopniu niezależna od działającego na nie bodźca. Wahał się natomiast, czy ta specyfika wynika z cech samych nerwów, czy raczej ich lokalizacji.

Kiedy nie występują żadne komplikacje i rozwój organizmu pod żadnym rozpoznaniem względem nie odbiega od normy, te dwie cechy może być trudno w ogóle oddzielić – określone neurony wytwarzają kluczowe połączenia w konkretnych obszarach mózgu, dendryty odbierają sygnały od odpowiednich receptorów i aksonów, a w konsekwencji określone obszary mózgu specjalizują się w interpretacji danych w określonej modalności zmysłowej. Zarówno kształt dendrytów, jak i utworzone przez nie połączenia synaptyczne są ściśle powiązane z funkcją, którą mają pełnić.

Czasem jednak czynniki zewnętrzne sprawiają, że mózg musi zmienić swoje pierwotne założenia.

W 2000 r. Jitendra Sharma wraz z zespołem chcieli się przekonać, czy można sprawić, by fretki przetwarzały sygnały świetlne częścią mózgu odpowiedzialną normalnie za słyszenie. U młodych fretek układ nerwowy jest jeszcze niedojrzały, więc zachowuje znaczną plastyczność. Badacze spowodowali, że u fretek w lewej półkuli mózgu nerw, którym biegały informacje od oka, stworzył połączenia z tą częścią mózgu, która normalnie

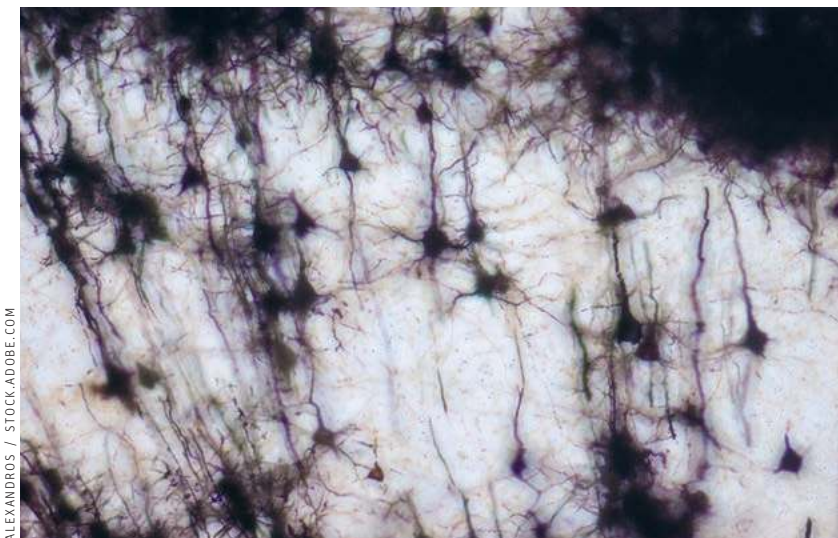
przetwarza sygnały dźwiękowe – a nie z korą wzrokową. Następnie nauczono zwierzęta, by za każdym razem, gdy zobaczą czerwoną lampkę, obróciły głowę w określony sposób. Przy czym uczono je tej zasady, wyświetlając obraz docierający do prawej półkuli, czyli tej, w której nie doszło do żadnego „przekablowania”.

Kiedy badacze upewnili się, że fretki opanowały tę umiejętność, zaprezentowali lampkę tak, by jej obraz mógł dotrzeć wyłącznie do lewej półkuli. Zastanawiali się, czy fretka zareaguje – w końcu informacje docierały do fragmentu mózgu, który normalnie interpretuje odbierane pobudzenia jako bodźce słuchowe. A jednak fretka obróciła się zgodnie z wyuczoną zasadą, czyli rozpoznała światło jako bodziec wzrokowy. Jej obszary kory słuchowej przyjęły niektóre cechy charakterystyczne dla kory wzrokowej, a nie występujące w korze słuchowej.

Aby obszary kory mózgowej przyjęły inne funkcje, niż te standardowo przypisane im przez naturę, nie zawsze potrzeba zresztą interwencji z zewnątrz. Zdarza się, że informacje nie docierają do kory wzrokowej np. w wyniku uszkodzenia któregoś z nerwów biegnących z oczu. Badania pokazują, że ten obszar przekwalifikowuje się wtedy na przetwarzanie informacji innego typu, jak choćby czytanie w języku Braila, ale jednocześnie zachowuje część funkcji wspólnych z osobami widzącymi – aktywuje się w reakcji na pewne dźwięki. Takie obserwacje tylko potwierdzają, że w mózgu cały czas mogą kształtować się nowe połączenia, ale część z nich jest silnie uwarunkowana genetycznie.

Razem raźniej

Swój wykład noblowski Edgar Adrian (otrzymał Nagrodę w 1932 r. wspólnie z Sherringtonem) rozpoczął od stwierdzenia, że narządy zmysłów „reagują na pewne zmiany w swoim otoczeniu, wysyłając wiadomości lub sygnały do ośrodkowego układu nerwowego”. Wyróżnienie pojedynczych jednostek pozwoliło uchwycić coś na kształt najmniejszego elementu znaczeniowego w „języku neuronów”. W połowie XX w. Claude Shannon rozpoczął intensywne poszukiwania tego, co zarówno w przyrodzie i nauce umożliwia dokonywanie przekształceń, np. głosu na impuls elektryczny. Doszedł do wniosku, że za każdym takim proce-



ALEXANDROS / STOCK.ADOBE.COM

Mysie neurony wybarwione metodą Golgiego. Impulsy odbierane są zazwyczaj przez mające kształt drzewa dendryty, a następnie długim aksonem przekazywane do kolejnych komórek.

sem stoją informacje – ich najmniejsze jednostki, nazwane bitami, mają być tym, co odróżnia jeden stan od drugiego. W takim rozumieniu praca pojedynczego neuronu stale dostarcza nowych danych, ale w praktyce nie jest szczególnie informatywna – nabiera jakiegokolwiek znaczenia dopiero w grupie. Dendryty zwykle nie odbierają takich informacji pojedynczo. To, czy próg pobudzenia neuronu zostanie przekroczony, jest wynikiem łącznego wpływu wielu receptorów lub aksonów, z którymi łączą się liczne odgałęzienia dendrytyczne. To, co zmierza aksonami do mózgu, to już pewna wypadkowa ich wzajemnej współpracy i dopiero ona, poprzez połączenia z kolejnymi komórkami, daje źródło wszystkim naszym doświadczeniom.

Kiedy dotkniemy gorącego garnka, silnie stymulowane receptory od razu przekażą pobudzenie dalej, by jak najszybciej dotarło do rdzenia kręgowego, skąd zostanie przekierowane bezpośrednio do neuronów ruchowych, które wprawiają nasze mięśnie w ruch. Dzięki temu cofniemy rękę, zanim w ogóle zdamy sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Odruchy, które nie dają nam wyboru, są przetwarzane utartymi szlakami, z zaangażowaniem policzalnej na palcach jednej ręki liczby neuronów, ale to niewielka część naszych interakcji ze środowiskiem.

Częściej jednak nasze reakcje są wynikiem współpracy całych grup złożonych z milionów komórek nerwowych, z których każda niesie jakąś składową naszego

doświadczenia. W naszych czaszkach – puszkach o pojemności niewiele przekraczającej jeden litr – znajduje się przeszło 80 miliardów neuronów. Komórki nerwowe łącząc się, tworzą sieć około bilarda połączeń (10 do potęgi 15). Szacuje się, że do naszych zmysłów w każdej sekundzie dociera 11 milionów bitów informacji (niewiele więcej, niż może pomieścić staromodna dyskietka), niekwestionowana większość pochodzi ze zmysłu wzroku.

Zamykając oczy, możemy ograniczyć dopływ części bodźców, ale nie wszystkie zmysły na to pozwalają. A nawet gdybyśmy mogli, to wciąż nie wszystko – mamy jeszcze informacje zakodowane w naszym mózgu, które „na wrywki” są stale uwzględniane w ocenianiu sytuacji, formułowaniu poglądów i postrzeganiu otoczenia. Mózg pozbawiony pamięci jakiegokolwiek doświadczenia nie byłby w stanie pomóc nam w interpretacji takich wskazówek społecznych jak czyjś grymas. Gdybyśmy nie przyjmowali pewnej konwencji, która zakłada, że przygotowanie komuś posiłku jest aktem dobrej woli, który powinien zostać doceniony, nie moglibyśmy nawet się gniewać.

Skoro już mózg niefortunnie podsunął nam tę emocję, możemy przynajmniej spróbować przywołać z pamięci kilka wspomnień, kiedy nasz gość budził w nas inne uczucia – być może one pozwolą nam podjąć słuszną decyzję w kwestii kolejnego obiadu.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

PROFESOR MICHAŁ KOSIŃSKI pracuje na Uniwersytecie Stanforda. Bada zachowanie ludzi z wykorzystaniem nowoczesnych narzędzi – algorytmów uczenia maszynowego i big data. Wykazał m.in., że ślady cyfrowe zostawiane przez użytkowników Facebooka pozwalają dokładnie przewidzieć wiele ich prywatnych cech, takich jak wiek, płeć, orientację seksualną, pochodzenie etniczne, poglądy polityczne i religijne, poziom inteligencji czy zadowolenia z życia. Jako jeden z pierwszych ostrzegł przed możliwością wykorzystania tak zdobytych informacji do manipulowania odbiorcami reklam politycznych.

ŁUKASZ KWIATEK: Zaskoczyło mnie, że udostępnia Pan publicznie swój kalendarz. Nie wierzy Pan w moc algorytmów, które nas śledzą w internecie, czy już się Pan poddał?

MICHAŁ KOSIŃSKI: Algorytmy, które śledzą nasze zachowanie, najczęściej ułatwiają nam życie. I nie ma od nich odwrotu. Trudno wyobrazić sobie, żebyśmy przestali korzystać z map Google'a czy wyszukiwarek i systemów rekomendacyjnych w internecie. A wszystkie te technologie opierają się na naszych danych i bez nich nie mogą funkcjonować.

Ale kalendarz? Dostaje Pan reklamy restauracji w porze obiadowej albo maile z pobliskiej kawiarni po zakończeniu wykładu?

Oczywiście. Dostaje też reklamy, które świetnie odpowiadają temu, czym jestem aktualnie zainteresowany. Nie ma co się dziwić – to są komercyjne technologie i są wykorzystywane po to, żeby na nas zarobić. Zajmuję się badaniem tych technologii po to, by zrozumieć i opisać wynikające z nich zagrożenia. Ale nie mam wątpliwości, że w 99 proc. przypadków one ułatwiają i przedłużają nam życie. Ten sam algorytm, który może wyczuć, czym jesteśmy w danej chwili zainteresowani, i zasugerować nam reklamę, która nam najskuteczniej opróżni portfel, może być wykorzystany do tego, by pomóc nam zdiagnozować chorobę czy znaleźć optymalną dla nas pracę.

Wyglądam według Pana bardziej na liberała czy konserwatystę?



Jesteśmy skomplikowani

MICHAŁ KOSIŃSKI, PSYCHOLOG:

Możemy już mówić o zjawiskach psychicznych u sztucznej inteligencji. Algorytmy mają uprzedzenia i stereotypy albo zachowania, które w przypadku człowieka nazwalibyśmy emocjami. Bywają też gadatliwe.

Człowiekowi to nie tak łatwo ocenić, jednak algorytmy do rozpoznawania twarzy radzą sobie z takim zadaniem. Potrafią nas nie tylko zidentyfikować na wielu różnych zdjęciach, zrobionych na przestrzeni lat, przy różnej pogodzie i z różnych kątów. Są też w stanie, niestety, określić nasze bardzo intymne cechy –

takie jak poglądy polityczne czy orientację seksualną.

Jakim cudem?

Często nie będziemy rozumieli, jak algorytmy osiągają swoje cele – bo robią to zwykle w sposób, który dla nas nie jest intuicyjny albo jest na tyle zaawansowany,



ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Michał Kosiński, Warszawa, 2019 r.

że może być niezrozumiały. Dobry przykład to algorytm szachowy. Nie tylko nie jesteśmy w stanie z nim wygrać, ale nawet nie jesteśmy w stanie wszystkich strategii tego algorytmu zrozumieć. Podobnie nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jak działają nowoczesne algorytmy generujące język czy właśnie rozpoznające twarze.

Tylko że w szachach to problem czysto obliczeniowy. Mamy skomplikowaną pozycję, którą algorytm potrafi ocenić głębiej, umie przeprowadzić bardziej kompleksowe analizy najlepszych posunięć. Z czytaniem poglądów politycznych czy orientacji seksualnej z cech twarzy sytuacja jest przecież inna.

Absolutnie nie – to też skomplikowana sytuacja obliczeniowa. Zachowanie człowieka nie bierze się z magii czy jakiegoś małego homunkulusa, który siedzi w tyle

głowy i pociąga za sznurki. Nasze zachowanie, nasze poglądy czy preferencje, nasza osobowość, nasze wartości oparte są na chemii, „elektryce” i fizyce zwojów neuronowych, które mamy w głowach. Ludzie to bardzo skomplikowane, ale jednak maszyny, więc nasze zachowanie jest w dużej mierze przewidywalne. Jeśli ktoś się to wydaje *science fiction*, to proszę pamiętać, że praca psychologa polega na tym, by zanalizować przeszłe zachowanie człowieka i postarać się przewidzieć przyszłe – tak jak w przypadku systemu rekomendacji Netfliksa czy Amazona. Czy dana osoba będzie miała problemy z depresją? Czy sprawdzi się na danym stanowisku? Jaki film będzie chciała obejrzeć? To wszystko są zadania predykcyjne. Okazuje się, że dzisiaj algorytmy komputerowe, tak samo jak w szachach, potrafią przeskoczyć poziom osiągalny dla psychologa.

Nie znamy szczegółów działania tego algorytmu oceniającego twarze, ale wiemy, że to działanie opiera się na intuicyjnej zasadzie. Jeżeli weźmiemy twarz jakiegoś człowieka i porównamy ją z twarzami liberałów i konserwatystów, to okazuje się, że liberałowie są troszkę bardziej podobni do innych liberałów, a konserwatysty – do innych konserwatystów. To bardzo małe różnice – ale nowoczesne algorytmy są wspaniałe w wykrywaniu małych różnic. I są w stanie dzięki temu z dokładnością do 70-80 proc. zakwalifikować poglądy polityczne człowieka tylko na podstawie zdjęcia jego twarzy.

Opisał Pan ten wynik dwa lata temu w „Scientific Reports”. Dalej nie mieści mi się to w głowie. W przeprowadzonym przez Pana badaniu algorytm korzystał wyłącznie ze zdjęć twarzy? Nie zerkał przypadkiem na to, że ktoś pozuje z amerykańską flagą, z bronią albo z partnerem tej samej płci?

Zdarzało się, że ktoś źle wytrenował algorytm i pomylił się w ocenie tego, co faktycznie robi – ponieważ dane treningowe były błędnie dobrane. Jeśli damy algorytmowi np. zdjęcia smutnych, poważnych ludzi z policyjnych archiwów oraz uśmiechnięte selfie z mediów społecznościowych, a potem każemy mu zakwalifikować osoby na zdjęciach jako przestępców lub porządných obywateli, to algorytm nauczy się odróżniać pomiędzy tymi rodzajami zdjęć i nieuśmiecha-

jących się ludzi uzna za przestępców. Ale nie znaczy to, że jeśli dobrze sformułujemy zadanie, to ten algorytm by sobie z nim nie poradził. Jeśli na zdjęciu jest informacja o tendencjach, preferencjach czy wartościach danej osoby – że nawet człowiek mógłby z niewielką dokładnością to zadanie wykonać – algorytm też sobie z nim poradzi, bo po prostu ma nad nami dużą przewagę.

Ludzie są w stanie ocenić, czy ktoś jest konserwatystą, czy liberałem, choć robimy to z dokładnością niewiele większą niż 50 proc., czyli taką, którą byśmy mieli przy ocenie losowej. Ale ten wynik pojawia się konsekwentnie w wielu badaniach. Nawet jeśli dokładność w ocenach ludzi jest niska, to potwierdza, że na zdjęciu jakiś sygnał musi być zawarty.

Mnie się to nie wydaje kontrowersyjne. Wiadomo, że konserwatysty mają inne podejście do mody. Inaczej spędzają wolny czas – słońce czy mróz będą inaczej wpływały na ich skórę. Liberałowie i konserwatysty mają też trochę inną kulturę, inne podejście do tego, czy na zdjęciu warto się uśmiechać, jak trzymać głowę, czy się ogolić, jak dużo makijażu nałożyć na twarz... Wszystkie te czynniki będą, choć w małym stopniu, różnicować liberałów i konserwatystów. Dla człowieka takie niewielkie sygnały mogą być niewidoczne – ale nie dla algorytmu.

Jak Pańskie badania postrzegają klasyczni psychologowie? Czy nie patrzą podejrzliwie na każdego, kto twierdzi, że jest psychologiem, ale nie stosuje kwestionariuszy i nie mierzy czasów reakcji na różne bodźce?

Ale ja jestem bardzo klasycznym psychologiem. Mam z psychologii doktorat, magisterium z psychometrii, drugie z psychologii osobowości. Spędziłem dużą część mojej kariery z kwestionariuszami i zegarkiem w ręku. Są to wspaniałe narzędzia, z których warto korzystać – i do dzisiaj to robię. Jednak to, że są inne źródła sygnału, które można wykorzystać, aby dowiedzieć się czegoś o człowieku, nie jest wcale wielką kontrowersją. Psychologowie zaczęli w ten sposób, że obserwowali zachowanie ludzi w naturalnym środowisku, często chodząc za obiektami badawczymi z małym notatnikiem i długopisem. Ale proszę sobie wyobrazić spędzenie dnia czy dwóch z gościem w białym kitlu, który za →

→ panem siedzi i zapisuje wszystko, co pan robi. Nasze zachowanie nie będzie wtedy w pełni naturalne. Poza tym takie metody są drogie.

Dzisiejsza technologia spowodowała, że jesteśmy otoczeni czujnikami, które zapisują nasz każdy krok, naszą komunikację z innymi, o której idziemy do łóżka i z kim do tego łóżka idziemy, nasze zachowania w pracy... To jasne, że taki zbiór danych może być wykorzystany do lepszego zrozumienia danej osoby.

Czyli nie ma konfliktu między naukowcami od algorytmów i big data a klasycznymi badaczami?

Różnice w nauce oczywiście są – i dobrze. To wtedy, gdy w nauce nie ma konfliktów czy różnic zdań, należy się zastanawiać, czy nie osiedliśmy na laurach, dłaczego nie kwestionujemy poglądów wypracowanych w poprzednich pokoleniach. Z wykorzystaniem śladów cyfrowych do przewidywania zachowania było podobnie jak z wieloma nowymi koncepcjami w dziejach nauki. Zaczyna się od odrzucania i pukania się w czoło, a wkrótce dochodzimy do powszech-

nego przekonania, że to było zupełnie oczywiste i każdy to wie. Kilka lat temu wykorzystanie w psychologii takich algorytmów jak te, o których rozmawialiśmy, było kontrowersyjne. Dzisiaj już nie jest.

Trzeba pamiętać, że różne metody badawcze mają zastosowanie w różnych kontekstach. Metody, które ja stosuję, też mają swoje ograniczenia i są problematyczne – w swoich pracach także o tym piszę. Ale tak właśnie działa nauka – w oparciu o wiele niedoskonałych metod, które wdrażane są przez wielu niedoskonałych naukowców, jesteśmy w stanie przyjmować wiele różnych perspektyw i jakoś tę wiedzę powoli rozwijać.

Ciekawi mnie, czy rozkwit metod związanych z algorytmami jest spowodowany kryzysem, który dotknął psychologię – zwłaszcza psychologię społeczną. Upadają całe teorie, wyników wielu badań opisywanych w podręcznikach nie udaje się potwierdzić w kolejnych eksperymentach.

Nie mówiłbym o kryzysie – to naturalny proces samooczyszczania się psychologii. To raczej na te dyscypliny naukowe, w których do podobnych zjawisk nie dochodzi, należy patrzeć podejrzliwie. Jest wielu wspaniałych naukowców – takich jak Daniel Kahneman – którzy, gdy okazało się, że są w błędzie, potrafili się do tego przyznać i nie robili dramatu ze zmiany poglądów. Są oczywiście i tacy uczeni, nie tylko w psychologii, którzy będą bronili słabych teorii. To problem całej nauki, która działa tak, że naukowcy nagradzani są za tworzenie nowych teorii. W efekcie mamy tych teorii zbyt wiele.

Myślałem więc, że będzie Pan bardziej złośliwy w stosunku do kolegów, którzy nie korzystają z algorytmów. Wykazał Pan niedawno dzięki sztucznej inteligencji, że osoby żyjące w długich związkach nie upodabniają się z twarzy do partnerów, w co wcześniej wierzyło wielu badaczy. Gdy czyta się o sukcesach metod używanych przez Pana, to tradycyjna

Zostań Patronem Podkastu Powszechnego



Na przegląd najciekawszych wydarzeń naukowych miesiąca w Podkście Powszechnym zaprasza kosmolog i filozof **Łukasz Lamża**, laureat Nagrody im. Tischnera.

Wejdź na [Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego](https://patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego) i wesprzyj niezależne dziennikarstwo

*Po co człowiekowi sen?
Co pozostawiła po sobie woda
na Marsie? Czy da się naukowo
badać uitość od pierwszego
wejścia?*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAŻYNA MAKARA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

psychologia może się wydawać trochę zacofana.

Nie zgadzam się. Jeśli chodzi nam o badanie zachowania milionów ludzi korzystających z mediów społecznościowych, trudno byłoby to robić tradycyjną metodą kwestionariuszową czy zapraszając ich do laboratoriów. Ale jest oczywiście wiele rzeczy, których na Facebooku nie zaobserwujemy. Nie zapominajmy też o tym, że mamy za sobą przeszło sto lat rozwoju klasycznej psychologii. Wiele z tych najbardziej oczywistych badań laboratoryjnych zostało już wykonanych. A środowisko cyfrowe, badania wykorzystujące media społecznościowe czy telefony komórkowe to nowe rzeczy. W którą stronę się nie spojrzy, jest coś nowego, ciekawego, czego ktoś nigdy wcześniej nie robił ze śladami cyfrowymi. Może się wydawać, że nowe metody rozwiązują problemy, których metody tradycyjne nie mogą rozwiązać. Wynika to jednak tylko z historycznej kolejności. Badania laboratoryjne rozwiązały już sto lat temu wiele problemów, których badania w mediach społecznościowych do dzisiaj by nie mogły rozwiązać.

W przeszłości skupialiśmy się na teoriach.

Były eleganckie, ale nie pozwalały nic przewidywać. Dzisiaj większy nacisk kładzie się na modele przewidujące zachowanie, które są mniej teoretyczne.

Tylko gdy porównujemy nowe metody oparte na algorytmach i te tradycyjne badania kwestionariuszowe czy laboratoryjne, to różnica nie dotyczy jedynie kosztów i ilości gromadzonych danych. Ważniejsze, że gdy ktoś rozmawia z psychologiem o sobie albo wypełnia kwestionariusz, to niekoniecznie powie prawdę. Ślady cyfrowe nie kłamią?

W jakimś stopniu też fałszują nasz obraz. Swoim wizerunkiem sterujemy zarówno podczas rozmowy z psychologiem, jak i spędzając czas w sieci. Zresztą w internecie możemy zachowywać się inaczej niż w kontakcie z żywym człowiekiem, więc jedno i drugie badania dotyczyć mogą innych zjawisk i zachowań.

Ale mnie w ostatnich latach nawet bardziej niż psychologia człowieka zainteresowała psychologia sztucznej inteligencji. Okazuje się, iż algorytmy uczenia maszynowego zrobiły się na tyle skomplikowane, że można dzisiaj mówić o czymś przypominającym zjawiska psychologiczne. Algorytmy mają uprzedzenia, stereotypy, zachowania, które w przypadku człowieka nazwalibyśmy emocjami. →

REKLAMA

WYDAJEMY DO MYŚLENIA



Nowa książka
Daniela Tammeta!

www.ccpres.pl

tel.: 12 448 14 12

zamowienia@ccpress.pl



www.facebook.com/CopernicusCenterPress

www.instagram.com/copernicuscenterpress

→ Algorytm może zmienić swoje działanie w interakcji ze środowiskiem. Można w ich przypadku mówić o teorii umysłu, może nawet osobowości. Sieci neuronowe odpowiedzialne za generowanie języka mają różne tendencje behawioralne – niektóre z nich są bardziej gadatliwe, inne mniej, część jest bardziej skłonna, by żartować, inna mniej. Te cechy na przestrzeni czasu i w wielu interakcjach są bardzo stabilne – co przypomina cechy osobowości człowieka.

Skąd te cechy psychologiczne biorą się u algorytmów?

Nie mamy jeszcze pełnej odpowiedzi. Z jednej strony algorytmy trenowane są na danych tworzonych przez człowieka. I jeśli w tych danych zawarte są nasze uprzedzenia, to algorytm może się ich nauczyć.

Z drugiej strony jest też tak, że nasze psychologiczne zachowania wynikają z samych właściwości sieci neuronowych, a niekoniecznie z naszej kultury czy edukacji. Przykładem jest zjawisko torowania semantycznego. Jeśli zapytam kogoś, co pije krowa, często odpowie, że mleko – a przecież tylko cielaki piją mleko. Obecność słów „krowa” i „pije” spowodowała aktywowanie sieci semantycznych w naszym mózgu, które obejmują słowo „mleko” – i stąd to słowo automatycznie się pojawia. Wiemy już dzisiaj trochę o neuronalnych aspektach tego zjawiska. Okazuje się, że to po prostu cecha sieci neuronowych, wynikająca z ich konstrukcji. I jeśli trenuje się sztuczne sieci neuronowe, by uczyły się języka, to one zachowują się w bardzo podobny sposób jak nasz mózg. Gdy sztuczna sieć usłyszy słowo „krowa”, neurony połączone ze słowem „mleko” też się zaczynają aktywować. Część mechanizmów psychologicznych u algorytmów może nie być więc kwestią uczenia się z danych.

Ale to nie jest tak, że algorytmy będą uprzedzone do psów – wolą kotki, bo te wydają im się bardziej miękkie i słodko wyglądają na zdjęciach?

Może dojść do takiej sytuacji. Procesy ewolucyjne, które stworzyły nasz mózg i nasze środowisko, opierają się na sprzężeniach zwrotnych. Może się więc okazać, że obecność różnych uprzedzeń jest cechą naturalną samych tych procesów, a nie tylko dla ludzkich umysłów. Wy-

Kiedys uważano, że jeśli ktoś jest smutny, ale zacznie się uśmiechać, to wkrótce poprawi się mu humor.

Dziś wiemy, że takie proste teorie nie są poprawne.

obrażmy sobie algorytm, który ma szukać ludziom pracy. I że w środowisku są dwie grupy osób tak samo zdolnych do wykonywania tej samej pracy. Ale któregoś dnia algorytm zupełnie losowo zatrudni 100 osób więcej z grupy A niż z grupy B. W przyszłości ten algorytm będzie patrzył na dane archiwalne i uzna, że jest więcej ludzi typu A wykonujących tę robotę – więc pewnie to oni bardziej się do niej nadają. W efekcie może się zmienić charakter tej pracy i charakter środowiska, w którym ona się odbywa. Może wręcz dojść do sytuacji, kiedy faktycznie grupa A będzie lepiej tę pracę wykonywała.

Badania z wykorzystaniem śladów cyfrowych mówią coś głębokiego o człowieku? Czy to nowa prawda, którą odkrywamy o sobie?

Nie jest to rewolucja, ale możemy mówić o postępie, pewnie coraz szybszym.

W przeszłości skupialiśmy się na teoriach. Były eleganckie, ale miały ograniczone możliwości przewidywania przyszłego zachowania. Dzisiaj większy nacisk kładzie się na modele przewidujące zachowanie, które są mniej teoretyczne. Moim zdaniem nie jest to duży problem – zamiast tworzyć teorie, które są eleganckie i mają coś wyjaśniać, ale niewiele przewidują, powinniśmy się skupić na modelach jak najskuteczniej przewidujących, by potem dopiero zastanawiać się, jak taki model przekuć w teorię. Mamy więc dzisiaj lepszą możliwość przewidywania przyszłego zachowania, ale nie idzie to często w parze ze wzrostem zrozumienia tego zachowania. Można powiedzieć, że to model czy komputer rozumie, a nie człowiek czy operator takiego modelu.

Trzeba też pamiętać, że model bardziej skomplikowany jest zwykle lepszy w przewidywaniu przyszłości niż model prosty. Zbliżyliśmy się chyba do końca ery,

w której wskazywaliśmy dwa czy trzy czynniki połączone w prosty sposób. Uważano np., że jeśli ktoś jest smutny, ale zacznie się uśmiechać, to wkrótce faktycznie poprawi się mu humor. Dziś wiemy, że takie proste teorie nie są poprawne.

O takich teoriach myślałem pytając, czy Pańskie badania pokazują głęboką wiedzę o człowieku. Z badań prowadzonych w paradygmacie ucieleśnionego poznania, dzisiaj często krytykowanych, mogliśmy się dowiedzieć np., że gdy widzimy cudzy uśmiech, to aktywujemy te same mięśnie i struktury neuronalne jak w chwili, gdy sami się uśmiechamy. Te aktywacje na widok emocji innych są nieco słabsze, ale i tak miałyby świadczyć o tym, że jesteśmy powiązani ze sobą, a nasze relacje społeczne są głęboko wyryte w naszych mózgach. Pan z kolei pokazuje, że mamy wypisane na twarzy poglądy polityczne i że wystarczy kilkanaście lajków zostawionych na Facebooku, by nas na wiele sposobów sklasyfikować. Zastanawia mnie, co to znaczy – że jesteśmy bardzo złożonymi maszynami czy raczej prostymi?

Jesteśmy bardzo skomplikowani. Okazuje się, że różne nasze strony są bardziej powiązane, niż nam się to wydaje. Być może mówimy o subtelnych powiązaniach, ale rzeczywistość z takich subtelnych zjawisk się składa. Sądzę, że z zastosowaniem big data w psychologii jest trochę jak z mikroskopem w biologii. Słonia czy konia łatwo biologowi opisać bez dodatkowych narzędzi. Ale by stwierdzić, jak bakterie czy wirusy wpływają na zachowanie i zdrowie ludzi i ssaków, to już potrzebny jest mikroskop. By stwierdzić, że udział w działaniach wojennych powoduje stres i traumę, też nie potrzeba specjalnych narzędzi. Ale by ustalić, jak reklama w internecie czy gra komputerowa, w którą człowiek grał dwadzieścia lat temu, wpływa na jego zachowanie, potrzebne już są algorytmy i wielkie bazy danych.

Ciekaw jestem tylko, czy jesteśmy wystarczająco skomplikowani, byśmy to nasze skomplikowanie mogli zrozumieć. A może jednak musimy to zostawić algorytmom?

© Rozmawiał ŁUKASZ KWIATEK



COPERNICUS FESTIVAL 2022

FESTIWAL ODBYWA SIĘ W KRAKOWIE. Wszystkie wydarzenia są bezpłatne i – poza zaznaczonymi wyjątkami – otwarte. W przypadku materiałów nagranych wcześniej podajemy czas publikacji i nazwę serwisu, w którym zostaną udostępnione.

Wydarzenia oznaczone będą transmitowane na żywo na kanale [youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter) (pasma Perceptio, Wykład, Studio festiwalowe).

Wykłady wygłoszone w języku angielskim będą tłumaczone symultanicznie na język polski. Wykłady oznaczone będą tłumaczone symultanicznie na język ukraiński.

Więcej informacji na www.copernicusfestival.com

17 MAJA, WTOREK

17.00–18.00

Gala Mądrej Książki Roku 2021

Prowadzenie: Wojciech Wocław, Stanisław Kistryn
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)
(materiał nagrany)

18.00–19.00

Cricoteka (Nadwiślańska 2/4)
Oprowadzanie kuratorskie po wystawie „Z kurzu w kurz” oraz po Archiwum Tadeusza Kantora

19.30 – 20.30

Wykład: Michał Kosiński

Co można wyczytać z twarzy
[Youtube.com/CopernicusCenter](https://www.youtube.com/CopernicusCenter)
(materiał nagrany)

20.45–21.45

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)
Studio festiwalowe

18 MAJA, ŚRODA

10.00–10.45

Śniadanie Mistrzów:

Jacek Gmoch
Prowadzenie:
Maja Strzelczyk
RMF Classic
[copernicusfestival.com](https://www.copernicusfestival.com)
(materiał nagrany)

11.00–11.30

Nauka czytania

Julian Tuwim, „Ptasie radio”
Prowadzenie: Diana Sałacka
[fb.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)
(materiał nagrany)

12.00–13.00

(Dla zgłoszonych liceów)

Lekcja czytania: Stanisław Dehaene, „Jak się uczymy”
Prowadzenie: Łukasz Kwiatek

14.00–15.00

Mądra Książka

Rozstrzygnięcie konkursu dla szkół średnich
Prowadzenie:
Wojciech Wocław
[fb.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)
(materiał nagrany)

15.00–16.00

Rozmowy o człowieku

Dominika Dudek,
Michał Rusinek
[fb.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)
(materiał nagrany)

16.30–17.45

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)

Perceptio: De sensibus,
a więc słów kilka o zmysłach
Rafał Piprek

18.00–19.00

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)

UNA Talk:

Digitalizing early childhood
(Dzieciństwo w świecie cyfrowym)
Andrew Manches

19.30–20.30

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)

Wykład: Krystyna Kurczab-Redlich
Droga Putina do Ukrainy

20.45–21.45

Muzeum Inżynierii i Techniki (Świętego Wawrzyńca 15)
Studio festiwalowe

19 MAJA, CZWARTEK

10.00–10.45

Śniadanie Mistrzów:

Wojciech Wocław
Prowadzenie: Krzysztof Story

RMF Classic
[copernicusfestival.com](https://www.copernicusfestival.com)
(materiał nagrany)

11.00–11.30

Nauka czytania

Jan Brzechwa,
„Akademia Pana Kleksa”
Prowadzenie:
Bartosz Janik
[fb.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)
(materiał nagrany)

12.00–13.00

(Dla zgłoszonych liceów)

Lekcja czytania

Russell Poldrack,
„Nauka czytania w myślach”
Prowadzenie:
Mateusz Hohol

14.00–15.00

Mądra Książka

Spotkanie z laureatami konkursu
Prowadzenie:
Marta Trzeciak
[fb.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)
(materiał nagrany)

15.00–16.00

Rozmowy o człowieku

Dominika Dudek,
Piotr Chłosta
[fb.com/CopernicusFestival](https://www.facebook.com/CopernicusFestival)
(materiał nagrany)

16.30–17.45

Muzeum Inżynierii i Techniki (Świętego Wawrzyńca 15)

→



Z kurzu w kurz

Wystawa będąca zbiorową opowieścią o archiwach. Mówi o wewnętrznym przymusie dokumentowania, katalogowania, zbierania i zabezpieczania informacji. Dotyczy pewnej obsesji, która daje poczucie bezpieczeństwa i tworzy

swego rodzaju symulację nieśmiertelności, ale też pozwala wziąć we władanie prawdę i rzeczywistość. Bo przecież każde archiwum jest jakąś kreacją, autorskim wyborem, a każda biblioteka ma skończoną liczbę książek i przez kogoś opracowany katalog.

Kuratorami wystawy są Kamil Kuitkowski i Kinga Nowak.

Cricoteka, ul. Nadwiślańska 2/4.
Wystawa jest już otwarta i potrwa do 22 maja. Zwiedzać ją można od czwartku do niedzieli, w godz. od 11 do 19.



Perceptio: Nie tylko światło.
Nowa era astronomii
Sebastian Szybka

18.00–19.00

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)

UNA Talk:

Growing up in a digital society
(Dorastanie w społeczeństwie
cyfrowym)

Laura Vandebosch

19.30–20.30

Muzeum Inżynierii
i Techniki (Świętego
Wawrzyńca 15)

Wykład: Michael Rovatsos
*Computation, intelligence,
and society*
(Obliczanie, inteligencja
i społeczeństwo)

20.45–21.45

Muzeum Inżynierii
i Techniki (Świętego
Wawrzyńca 15)

Studio festiwalowe

20 MAJA, PIĄTEK

10.00–10.45

Śniadanie Mistrzów:

Jakub Zakrzewski
Prowadzenie: Tomasz Miller
RMF Classic
copernicusfestival.com
(materiał nagrany)

11.00–11.30

Nauka czytania

Stanisław Lem, „Opowieści
o pilocie Pirxie”

Prowadzenie: Łukasz Lamża
fb.com/CopernicusFestival
(materiał nagrany)

12.00–13.00

(Dla zgłoszonych liceów)

Lekcja czytania

Paul Davies,
„Milczenie gwiazd”

Prowadzenie:
Tomasz Miller

15.00–16.00

Rozmowy o człowieku

Dominika Dudek,
Wojciech Cegielski
fb.com/CopernicusFestival
(materiał nagrany)

16.30–17.45

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)

Perceptio:

Czy na szachownicy
istnieje życie
Tomasz Miller

18.00–19.00

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)

Future Law Lab Talk:

Can a robot judge be fair?
(Czy sędzia-robot może
być sprawiedliwy?)

Michał Araszkiewicz

19.30–20.30

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)

Wykład:

Ewa Bartnik
Nasze geny – testy
i modyfikacje

20.45–21.45

Muzeum Inżynierii i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)

Studio festiwalowe

21 MAJA, SOBOTA

10.00–10.45

Śniadanie Mistrzów:

Monika Soćko,
Bartosz Soćko
Prowadzenie: Filip Zieliński
RMF Classic
copernicusfestival.com
(materiał nagrany)

11.00–11.30

Nauka czytania

A.A. Milne, „Kubuś Puchatek”
Prowadzenie: Justyna Kierat
fb.com/CopernicusFestival
(materiał nagrany)

12.00–13.00

(Dla zgłoszonych liceów)

Lekcja czytania

Mai Thi Nguyen-Kim,
„Śmierć przy myciu zębów.
Chemia dla zabieganych”

Prowadzenie:
Małgorzata Krzeczowska

14.00–15.00

Mądra Książka

Spotkanie z laureatami
konkursu

Prowadzenie:
Marta Trzeciak
fb.com/CopernicusFestival
(materiał nagrany)

15.00–16.00

Rozmowy o człowieku

Dominika Dudek,
Marek Sanak
fb.com/CopernicusFestival
(materiał nagrany)

16.30–17.45

Muzeum Inżynierii
i Techniki (Świętego
Wawrzyńca 15)

Perceptio:

Czy diabeł gra w kości?
Andrzej Dragan

18.00–19.00

Muzeum Inżynierii
i Techniki (Świętego
Wawrzyńca 15)

UNA Talk: *Historians
and artificial intelligence*
(Historycy i sztuczna
inteligencja)

Mikko Tolonen

19.30–20.30

Muzeum Inżynierii
i Techniki (Świętego
Wawrzyńca 15)

Wykład: Artur Ekert



Inventio

Kiedy możemy uznać wystawę za dobrą? Interaktywna ekspozycja „Jak wam się podoba?” przygotowana w paśmie Inventio przez Maję Starakiewicz i Jakuba Woynarowskiego koncentruje się na prezentacji strategii gromadzenia i porządkowania informacji za pomocą narzędzi wizualnych.

Muzeum Inżynierii i Techniki,
ul. Świętego Wawrzyńca 15.
Wystawa otwarta w dniach
17-22 maja od 10 do 18. Wstęp wolny.

Elementami wystawy są nagrane
krótkie wykłady:

- Aleksandra Powierska, Czym kar-
mimy algorytmy? O informacji
w serwisach społecznościowych
- Joanna Zabawa, Obieg danych
w cyfrowej przyrodzie, czyli gdzie

jest użytkownik w internetowym
łańcuchu pokarmowym

- Kazimierz Krzysztofek,
Świat w chmurze. Informacja jako
piąty żywioł
- Tomasz Goban-Klas,
Media-mediacyzacja-mediocen.
Od tam-tamów do smartfonów
- Dorota Rak,
„I coś powie ta kruszyna?” –
o czatbotowych blamażach
dziesięciolecia

*Information is physical:
from bits to qubits*
(Informacja jest
fizyczna:
od bitów do kubitów)

20.45–21.45 

Muzeum Inżynierii
i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)
Studio festiwalowe

22 MAJA, NIEDZIELA

10.00–10.45

Śniadanie Mistrzów:

Jan Peszek
Prowadzenie: Paulina
Puślednik
RMF Classic
copernicusfestival.com
(materiał nagrany)

11.00–11.30

Nauka czytania

Mit o Dedalu i Ikarze
Prowadzenie:
Monika Tarasek
fb.com/CopernicusFestival
(materiał nagrany)

12.00–13.00

(Dla zgłoszonych liceów)

Lekcja czytania

Lyman Page,
„Mała księga kosmologii”
Prowadzenie:
Sebastian Szybka

14.00–15.00

Mądra Książka

Spotkanie z laureatami
konkursu
Prowadzenie:
Marta Trzeciak
fb.com/CopernicusFestival
(materiał nagrany)

15.00–16.00

Rozmowy o człowieku

Dominika Dudek,
Jowita Michalska
fb.com/CopernicusFestival
(materiał nagrany)

16.30–17.45 

Muzeum Inżynierii
i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)
Perceptio:
Co chcesz mi przez
to powiedzieć?
Magdalena Śmieja

18.00–19.00 

Muzeum Inżynierii
i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)
UNA Talk: Polifonia:
*a digital harmoniser for
musical heritage knowledge*
(Polifonia: ścieżka
dźwiękowa naszej historii)
Valentina Presutti

19.30–20.30  

Muzeum Inżynierii
i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)
Wykład: Daniel Tammet
*Every word is a bird
we teach to sing*
(Słowa są jak ptaki, które
uczymy śpiewać)

20.45–21.45 

Muzeum Inżynierii
i Techniki
(Świętego Wawrzyńca 15)
Studio festiwalowe

WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE

NIC, księgarnia-kawiarnia
(Sławkowska 28)

17–22 maja

Wystawa „Wojna
bliżej niż myślisz”
poświęcona Ukrainie

20 maja, godz. 20.30

Pokaz plenerowy filmu
„Propała gramota”
reż. Borys Ivchenko

21 maja, godz. 18.00

Ukraińsko-polski
koncert jazzowo-folkowy
artystów z Cho na pole!
oraz CreativeM

Festiwalowe Śniadanie Mistrzów codziennie rano

W **RMF
CLASSIC**

Rozmowy
dostępne również na
rmfclassic.pl

Gdy sieć się rwie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Na naszych oczach fundament naszej gospodarki i całego globalnego społeczeństwa rozpada się na drobne, odizolowane fragmenty. Nadchodzi koniec internetu, jaki znamy?

Splinternet – to słowo, które może definiować internetowe sieci przyszłości. Zamiast globalnego systemu wymiany informacji, opinii, towarów, pieniędzy i usług, ekosystem informacji może zmienić się w archipelag niezależnych wysp, tylko czasem wchodzących z sobą w kontakt.

Samo określenie, którego pierwszy człon pochodzi od angielskiego *split* (rozdzielić) lub *splinter* (drzazga), nie jest nowe. Zjawisko ma swoje źródła już u narodzin współczesnej sieci WWW. Ale w ostatnich latach procesy, które napędzają fragmentację internetu, wydają się przyspieszać. Nie tylko ze względu na działania autorytarnych reżimów, które tak jak Chiny dążą do spalenia większości internetowych mostów łączących je ze światem zewnętrznym i ścisłego kontrolowania pozostałych. Przyczyniają się do tego również działania największych firm czy zachodnich państw i organizacji, nawet te podejmowane w najlepszej wierze.

Nie wszyscy są miłymi gośćmi

Sieć WWW miała u podstaw akademicką otwartość i przekonanie o tym, że dzielenie się sprawdzonymi danymi jest z korzyścią dla wszystkich. Nieprzypadkowo pierwszy serwer WWW został uruchomiony przez Tima Bernersa-Lee w międzynarodowym ośrodku badań fizycznych CERN pod Genewą, jednym z największych laboratoriów naukowych na świecie.

Architektura sieci ukształtowała się na początku lat 60., kiedy amerykańskie siły powietrzne poprosiły Paula Barana, urodzonego w Grodnie informatyka z RAND Corporation, o opracowanie wojskowej sieci komunikacyjnej, która mogłaby wytrzymać atak nuklearny. Baran zaproponował sieć bez centralnego węzła; zamiast tego informacje, dzielone na małe pakiety danych, byłyby przekazywane

z dowolnego miejsca w sieci do dowolnego innego przez wiele zdecentralizowanych rozdzielników lub routerów. Dzięki temu sieć była szybka i trwała, bo jej konstrukcja pozbawiała ją pojedynczego punktu ewentualnej awarii. Zniszczenie czy wyłączenie dowolnego łącza sprawia jedynie, że pozostałe routery muszą wypracować nową ścieżkę między punktem początkowym a docelowym.

Sieć zbudowana według schematu Barana wkrótce połączyła nie tylko bazy wojskowe, ale i ośrodki akademickie. I stała się czymś zupełnie innym, niż przewidywali jej pomysłodawcy. Otwartym kanałem komunikacji, do którego mógł dołączyć każdy.

„Na początku sieć działała w oparciu o duży poziom zaufania – mówił w 2011 r. magazynowi „New Scientist” Jon Crowfort z Uniwersytetu Cambridge. – Właśnie się połączyliśmy i zakładaliśmy, że wszyscy inni też są miłymi gośćmi”. Otwartość, zaufanie i decentralizacja były od początku wbudowane w DNA internetu. To one pozwoliły rozkwitnąć kreatywności i przedsiębiorczości, które zmieniły go w kręgosłup świata. Ale nie wszystkim były one w smak.

Wielka Chińska Zapora Ogniowa

Clyde Wayne Crews nie widział przyszłości przed internetem. Ówczesny dyrektor ds. technologicznych libertarianiskiego think-tanku Cato Institute, w opublikowanym w 2001 r. w magazynie „Forbes” tekście wyobraził sobie sieć o innym kształcie. Zamiast jednego, wspólnego pola wymiany informacji – dziesiątki, setki czy tysiące „wszechświatów równoległych”. Zamiast anarchii – ścisłe reguły rządzące każdym z prywatnych internecików.

„Kiedy masz zasoby publiczne, w których panuje anarchia, są zasadniczo dwie rzeczy, które możesz zrobić – albo uregu-

lować je, czego libertarianie nienawidzą, albo je sprywatyzować, aby firmy mogły ustalać własne zasady” – pisał Crews. W tym samym tekście jako pierwszy użył słowa „splinternet”.

Libertariański aktywista uważał swoją wizję za coś w rodzaju sieciowej utopii. Nie chesz widzieć wokół siebie liberałów, konserwatystów, gejów, katolików, wegan, mięsożerców, czarnych, białych, Żydów? Nic prostszego, jeśli nawet jakaś firma nie stworzyła już splinternetu specjalnie dla Ciebie, możesz zrobić to samodzielnie i zacząć zarabiać na swoich uprzedzeniach. Jeśli w dzisiejszych bańkach informacyjnych w mediach społecznościowych jest nam ciasno, to splinternety Crewsa zafundowałyby nam informacyjne trumny, do których już zupełnie nie przedostawałyby się informacje z zewnątrz. „Ludzie przede wszystkim chcą kontaktować się z ludźmi podobnymi sobie” – kwitował w 2001 r. i, co pokazały ostatnie lata, niestety w tym jednym miał rację.

Kiedy Crews publikował swój komentarz, jeden kraj nad swoim splinternetem pracował już od trzech lat. Chiny uzyskały połączenie ze światowym internetem w 1994 r., trzy lata po Polsce. Początkowo zastrzeżony dla ośrodków naukowych, internet zdobywał tam stopniowo popularność, ale płynące z niego zagrożenia dla reżimu zostały dostrzeżone przez Pekin bardzo szybko.

W 1998 r. Komunistyczna Partia Chin zatwierdziła pracę nad systemem nadzoru i cenzury, znanym dziś jako Wielka Chińska Zapora Ogniowa. Projekt, którym kierował szef chińskiego Centrum Komputerowego Szybkiego Reagowania Fang Binxing, był rozwijany przez przeszło dekadę i kosztował od 2001 r. 20 mld dol. rocznie.

Dziś większość ruchu internetowego do Chin przechodzi przez trzy wąskie gardła



KEVIN FRAYER / GETTY IMAGES

Pomieszczenie treningowe autonomicznych taksówek Apollo Go, produkowanych przez Baidu, chińskiego giganta technologicznego. Pekin, kwiecień 2022 r.

wyposażone w urządzenia blokujące niepożądaną zawartość, a treści generowane w samych Chinach są pod stałą kontrolą automatycznych i żywych nadzorców. Chiński internet w zasadzie jest czymś w rodzaju gigantycznego intranetu – wewnętrznej sieci firmy czy organizacji.

Choć Chiny oddzieliły się od globalnego ekosystemu informacji głęboką fosą, ich sieć wciąż opiera się jednak na tych samych protokołach i technologiach. Podobnie zbudowane na zbliżonych zasadach wewnętrzne sieci Iranu czy Korei Północnej. Są osobne, ale ich odizolowanie wynika z polityki, a nie technologicznego rozłamu. Przynajmniej na razie.

Ban na Rosję

Kluczową datą może okazać się 11 marca 2022 r. Tego dnia miały miejsce dwa wydarzenia, które mogą istotnie wpłynąć na przyszłość internetu.

Pierwszym był list skierowany przez władze Ukrainy do Internet Corpora-

tion for Assigned Names and Numbers (ICANN). To organizacja non profit zarządzająca globalnym systemem nazw domen (DNS), który jest czymś w rodzaju wielkiej książki adresowej internetu: DNS tłumaczy adresy IP, indywidualne identyfikatory wszystkich urządzeń czy serwisów działających w sieci, na rozpoznawalne dla użytkowników nazwy takie jak www.tygodnikpowszechny.pl.

W liście – i w drugim, bliźniaczym piśmie skierowanym do regionalnego rejestru internetowego dla Europy, Bliskiego Wschodu i Azji Środkowej (RIPE) – Ukraina domagała się unieważnienia rosyjskich domen takich jak .ru. W rezultacie rosyjskie strony *de facto* zniknęłyby z globalnej sieci.

Obie organizacje odrzuciły wniosek. Dyrektor generalny ICANN Göran Marby przestrzegając w swojej odpowiedzi, że „taka zmiana miałaby niszczący i trwały wpływ na zaufanie i użyteczność tego globalnego systemu”. Nawet gdyby

on się zgodził, nie jest jasne, czy decyzja ICANN miałaby jakikolwiek praktyczny skutek: organizacja nie ma prawnej władzy nad systemem nazw domen, a jej decyzje są akceptowane dobrowolnie przez operatorów internetowych. Wszystko, co dotyczy funkcjonowania sieci, wymaga globalnego konsensusu.

Rosja jednak woli nie czekać na to, aż taki konsensus się ukształtuje. Tego samego dnia, którego Ukraina skierowała wniosek do ICANN, decyzją wiceministra ds. cyfryzacji Andrieja Czernienki wszystkie strony i portale internetowe w Rosji zostały zobligowane do wdrożenia działań, które miałyby uczynić rosyjski internet odpornym na podobne sankcje – między innymi do przeniesienia danych do Rosji i korzystania z serwerów DNS fizycznie tam zlokalizowanych.

Ten zabieg mógłby potencjalnie pozwolić Rosjanom spalić mosty. Już teraz cały ruch sieciowy do i z Rosji jest kierowany przez 10 „posterunków granicznych” →

→ zarządzanych przez regulatora telekomunikacyjnego Roskomnadzor, który może blokować witryny uważane za nieprawomyślne. Przyjęta w 2015 r. rosyjska strategia bezpieczeństwa zawierała zalecenie wymiany zagranicznego sprzętu IT na krajowe odpowiedniki, a w maju 2019 r. Putin ogłosił powstanie RuNet, „suwerennej” sieci niezależnej od reszty świata.

RuNet w swoich założeniach jest bliźniaczo podobny do chińskiej Wielkiej Zapory Ogniowej. Opiera się na trzech filarach: sprzęcie monitorującym dane przesyłane w sieci, prawnej podstawie centralizującej kontrolę nad siecią w Rosji i wspomnianym już krajowym systemie DNS. Podobieństwo do chińskich rozwiązań nie jest przypadkowe: już w 2016 r. Rosję odwiedził Fang Binxing, który miał doradzać Rosji przy budowie RuNet.

24 grudnia 2019 r. Rosjanie mieli z powodzeniem przeprowadzić test odcięcia się od globalnego internetu. Rzeczywista skuteczność rosyjskich rozwiązań jest jednak nieznana, a wiele wskazuje na to, że odcięcie się od globalnej sieci będzie dla Rosji zdecydowanie trudniejsze, niż było dla Chin.

„Rosja aspiruje do naśladowania Chin, ale samymi Chińczykom nie było łatwo. Nie sądzę, aby Rosja zainwestowała w to podobną energię. Istnieje sporo krajów, które chciałyby mieć to, co mają Chiny, ale po prostu nie mogą. Nie mają do tego ludzi” – mówił w „Wired” Doug Madory z monitorującej sieć firmy Kentik.

Odcięcie dostępu obywateli do nieprawomyślnych serwisów takich jak Facebook, Twitter czy Instagram jest stosunkowo proste. W różnym stopniu dostęp do serwisów czy aplikacji uznawanych za szkodliwe (np. stron pornograficznych albo propagandowych mediów rosyjskich) ograniczają nawet zachodnie demokracje. Rosja ma już też własne zamienniki zachodnich stron – VKontakte jest dla Rosji tym, czym Facebook, Google czy Uber Eats dla świata zachodniego.

Poważniejszym wyzwaniem byłoby zastąpienie infrastruktury, na której polega internetowa gospodarka. Chodzi zarówno o dostęp i aktualizacje do popularnych aplikacji, takich jak Zoom czy Teams, jak i o moc obliczeniową gigantycznych, zachodnich centrów danych.

Amazon, Google czy Microsoft swoją pozycję zawdzięczają nie tylko popularności tworzonych przez siebie narzędzi czy usług, ale w ogromnym stopniu temu, że ich komputery obsługują miliony baz danych, aplikacji i serwisów tworzonych przez inne firmy. Chiny swoje odpowiedniki takich megaserwerowni tworzą od dziesięcioleci. Rosja w dużym stopniu musiałaby tę infrastrukturę stworzyć od początku. Chyba że pójdzie na skróty.

Wyścig o Afrykę

W czerwcu 2021 r. ówczesny brytyjski minister spraw zagranicznych Dominic Raab ogłosił, że Londyn przekaze 22 mln funtów na stworzenie afrykańskiego centrum operacji cybernetycznych, które miałyby zabezpieczyć sieć państw takich jak Nigeria, Rwanda, Etiopia i Ghana przed cyberatakami i cyberprzestępczością. Centrum miałoby być sposobem na wciągnięcie Afryki do gry o przyszłość internetu po stronie Zachodu. Ale znaczna część tego kontynentu wybrała już innego partnera.

Chiny od dziesięcioleci inwestują w Afryce miliardy – także w rozbudowę tamtejszej infrastruktury komputerowej. Pekin planuje położyć podmorskie kable wzdłuż zachodnich i wschodnich wybrzeży Afryki, aby zapewnić dostęp do internetu wcześniej zaniebanym miastom i wioskom. Chiński kabel SAIL już dziś łączy Afrykę z Ameryką Południową, a PEACE – z Azją.

Tyle że internet, do którego chcą Afrykanów podłączyć Chińczycy, ma być zbudowany na ich modłę. Ma być ograniczony i pozostawać pod kontrolą państwa – oraz Chin. Dla jednych krajów uznanie chińskiej cyfrowej zwierzchności to niska cena za darmową infrastrukturę. Dla innych kontrola własnej populacji jest wartością samą w sobie.

„Každy obóz ideologiczny stara się zbudować masę krytyczną poparcia, rekrutując dla swojej sprawy niezdecydowane państwa” – piszą Marjorie Buchser i Joyce Hakmeh z brytyjskiego think-tanku Chatham House. „Wciąż są one w trakcie rozwijania swojej infrastruktury cyfrowej i określenia tego, jakie ramy regulacyjne i etyczne będą stosować. Jednak wybory polityczne dokonywane przez te kraje mogą mieć duży wpływ na kierunek międzynarodowego zarządzania cyfrowego w przyszłości”.

Poza Rosją kluczowym dla przyszłości globalnej sieci państwem mogą okazać się Indie, które, po początkowym okresie budowy wolnego, otwartego internetu, dziś coraz szybciej zmierzają w stronę cyfrowego autorytaryzmu. Tylko w 2018 r. władze w Delhi ponad stukrotnie wyłączyły dostęp do sieci na różnych obszarach kraju w odpowiedzi na niepokoje, strajki i zamieszki. W Kaszmirze internet został odłączony na kilka miesięcy w ramach pacyfikacji zamieszkującej region ludności muzułmańskiej.

Upowszechnienie autorytarnej formy zarządzania internetem byłoby cyfrowym odpowiednikiem żelaznej kurtyny z czasów zimnej wojny – podziału nie między Zachodem a Wschodem, tylko między krajami o swobodnym dostępie do informacji a tymi, gdzie sieć jest jeszcze jednym narzędziem aparatu kontroli i ucisku. Dla Moskwy przyłączenie się do chińskiej sieci mogłoby być sposobem na szybkie uniezależnienie się od Zachodu, paradoksalnie kosztem części cyfrowej niezależności.

Surfowanie w izolacji

Zachód sam ma jednak problemy ze spójnością swojej sieci. Coraz wyraźniej widać różne wizje jej przyszłości, jakie roztaczają politycy w Europie i USA. Unia, za pośrednictwem takich aktów prawnych jak RODO czy przygotowywane rozporządzenia o cyfrowych usługach i cyfrowych rynkach, dąży do wyznaczenia granic, zarówno dotyczących praktyk biznesowych, jak i ochrony użytkowników, w jakich musieliby działać wszyscy dostawcy usług w UE. W odpowiedzi część amerykańskich serwisów – m.in. należących do amerykańskiej lokalnej prasy – wołała odciąć Europejczyków od swoich usług, niż spełnić wymogi Brukseli.

Za inną rysę w spójności odpowiadają jednak sami internetowi giganci. Na swój sposób, małymi kroczkami, przyczyniają się do fragmentacji sieci, budując własne ekosystemy usług niekompatybilnych z usługami konkurencji, łącząc kontynenty prywatnymi światłowodami, ale też próbując przekuć swoją siłę biznesową na polityczną. Bitwa między Facebookiem i Google z jednej strony a rządem Australii z drugiej o opłaty, jakie cyfrowi giganci powinni wносить na rzecz mediów, których arty-

kuły cytują, niemal skończyła się odcięciem całej populacji kontynentu od najpopularniejszych na świecie internetowych serwisów.

Według Milтона Muellera ze School of Public Policy w Georgia Institute of Technology faktyczny rozpad sieci może przybrać jedną z dwóch form. „Poważne rozbitcie internetu wiązałoby się z wprowadzeniem nowego, technicznie niezgodnego protokołu, używanego przez masę krytyczną światowej populacji” – uważa ekspert. Protokoły internetowe, dziś wspólne dla wszystkich podpiętych do sieci urządzeń, regulują to, jak maile, wiadomości, zdjęcia i przelewy wędrują przez routery, przełączniki, światłowody i radiowe łącza. Ten rodzaj rozbitcia nie byłby jednak jeszcze ostatecznym kataklizmem. „Specjaliści prawdopodobnie znaleźliby sposób na szybkie połączenie obu protokołów” – zaznacza Mueller.

O wiele większym problemem byłoby nie technologiczne, a polityczne rozbitcie sieci. Dziś zarządzanie globalnym internetem opiera się na delikatnym systemie zależnym od dobrowolnego konsensusu.

Indie oraz szybciej zmierzają w stronę cyfrowego autorytaryzmu.

W 2018 r. władze ponad stukrotnie wyłączyły dostęp do sieci na różnych obszarach kraju w reakcji na zamieszki.

Jeśli Chiny, Rosja i inne kraje ustanowią własne, rywalizujące z globalnymi organy zarządzające siecią, w tym własne „książki adresowe” DNS, tylko nowe globalne porozumienie mogłoby odbudować jedność sieci. Era połączonego świata dobiegłaby końca.

Dziś internet, mimo lokalnych ograniczeń i obostrzeń, działa według zasad, które kształtowały się od dziesięcioleci. Jest połączonym zbiorem ponad 32 tys. sieci prowadzonych przez rządy, firmy, uczelnie, które rozmawiają jednym językiem i stosują się do wspólnych zasad. Ale rysy stają się coraz głębsze. Ukraiński konflikt i rosyjska próba zamknięcia własnym obywatelom dostępu do rzetelnych informacji o zbrodniach mogą okazać się punktem zwrotnym, po którym globalna, otwarta czy choćby półotwarta sieć wymiany informacji ostatecznie się rozpadnie. A my też obudzimy się na jednej z dryfujących po oceanie informacji niezależnych gór lodowych. Może nawet największej, najbardziej przyjaznej, ale w dalszym ciągu odizolowanej od znacznej części świata.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

REKLAMA

Polskie Towarzystwo Reasekuracji S.A. wspiera rozwój polskiego rynku ubezpieczeniowego.
Świadczymy usługi reasekuracyjne już na wszystkich kontynentach.

W tym roku PTR S.A. kolejny raz
jest sponsorem Copernicus Festival



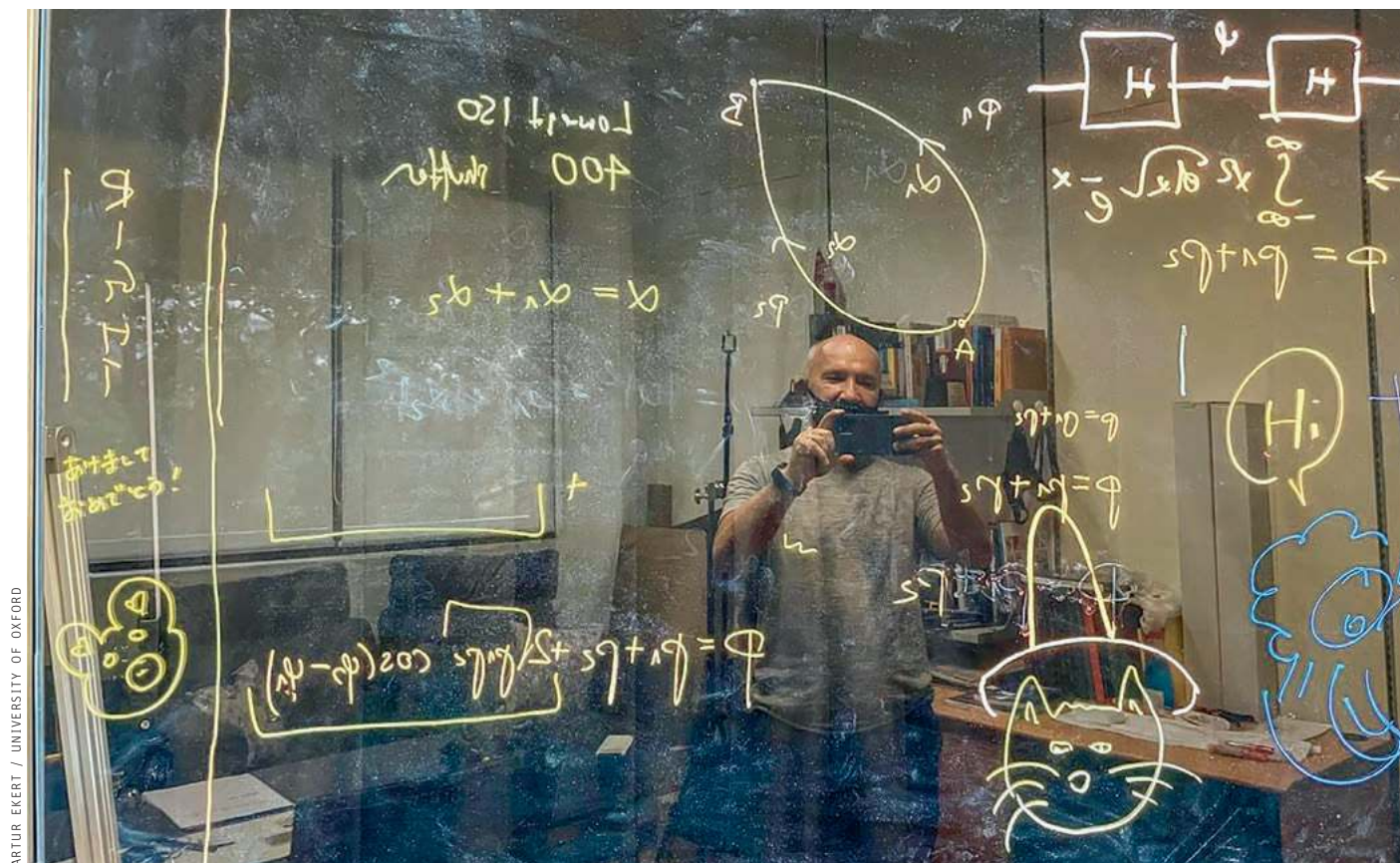
POLSKIE
TOWARZYSTWO
REASEKURACJI

A FAIRFAX Company



COPERNICUS
FESTIVAL

Ubezpieczamy ubezpieczycieli



ARTUR EKERT / UNIVERSITY OF OXFORD

Nadchodzi era kwantów

MICHAŁ ECKSTEIN, PAWEŁ HORODECKI

**Do czego może być przydatna informacja,
która nie istnieje, dopóki nikt jej nie czyta?**

Mechanika kwantowa wyróciła nasze spojrzenie nie tylko na fizykę mikroświata, ale również na teorię informacji, a nawet samą metodologię fizyki. Zmusza nas ona do zadawania pytań, które wydają się mieć niewiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Albert Einstein postawił jednemu ze swoich adwersarzy pytanie, czy naprawdę wierzy w to, że Księżyc istnieje tylko wtedy, gdy się na niego nie patrzy. Otóż kwantowa mechanika przekonuje nas, że w pewnych sytuacjach cząstka ani nie istnieje, ani nie jest tak, że jej nie ma – dopóki ktoś nie spróbuje jej zobaczyć. Niektórzy wolą myśleć, że cząstka „w jakimś

sensie” istnieje i równocześnie „w jakimś sensie” jej nie ma.

Być może najbardziej zadziwiające jest to, że mechanika kwantowa naprawdę działa! I to nie tylko dlatego, że pozwala nam opisywać całe spektrum zjawisk w mikroświecie, ale również dlatego, że potrafimy ją wykorzystać do przetwarzania informacji i wykonywania obliczeń. Brzmi to wszystko dosyć paradoksalnie: jak bowiem można sensownie mówić o informacji w kontekście cząstek, o których nawet nie można powiedzieć, że istnieją?

Kwantowe klocki

W każdym fizycznym eksperymencie mamy do czynienia z przetwarzaniem in-

formacji. Mamy jakieś „dane wejściowe” – ustawienia aparatury badawczej, oraz „dane wyjściowe”, czyli wskazania urządzeń pomiarowych. Można też spojrzeć na sprawę odwrotnie – każde urządzenie przetwarzające informację jest jakimś układem fizycznym. Sprawdzając nawigację na smartfonie czy wpisując tekst na laptopie, przeprowadzamy pewne doświadczenia fizyczne. Informacja jest fizyczna – jej przetwarzanie zawsze wiąże się z jakimś fizycznym procesem.

Zanim będziemy mogli wykorzystać dany układ fizyczny do przetwarzania informacji, musimy najpierw ustalić, jakie są jego podstawowe rozróżnialne własności. Drewniane klocki mogą być niebie-



PROFESOR ARTUR

EKERT (na zdjęciu obok) pracuje na Wydziale Matematyki Uniwersytetu Oksfordzkiego. Studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest współtwórcą teorii kryptografii kwantowej, która łączy takie dziedziny jak mechanika kwantowa, matematyka, logika i informatyka. Jego prace teoretyczne mają fundamentalne znaczenie dla budowy bezpiecznej, niemożliwej do podsłuchania komunikacji. Nagrodzony m.in. Medalem Hughesa, przyznawanym przez Towarzystwo Królewskie w Londynie. Jeden z głównych gości tegorocznego Copernicus Festival.

skie albo żółte – to kategoria koloru. Te same klocki mogą mieć określony kształt, np. kostki albo walca, mogą też różnić się swoim położeniem na stole albo prędkością przesuwania się po nim. Jedna taka własność jest zupełnie niezależna od drugiej i możemy je swobodnie modyfikować.

Okazuje się, że fundamentalne „klocki”, z których składa się materia – czyli cząstki elementarne – są znacznie dziwniejsze. Mechanika kwantowa mówi nam, że niektóre z ich podstawowych własności są „komplementarne”. Oznacza to, że im więcej wiemy o jednej z cech, tym mniej wiemy o drugiej. Na przykład, kiedy poznamy pęd elektronu (czyli pewną wielkość powiązaną z prędkością), to jego położenie będzie zupełnie nieokreślone. I odwrotnie, wiedząc dokładnie, gdzie zlokalizowany jest elektron, musimy przyjąć, że nie ma on żadnego konkretnego pędu.

Choć mogłoby się wydawać, że zawsze możemy zwiększyć precyzję jakiegoś pomiaru i zmierzyć daną cechę dokładniej, mechanika kwantowa mówi nam, że nie możemy zwiększać równocześnie dokładności pomiaru własności komple-

mentarnych. To słynna zasada nieoznaczoności Heisenberga.

Ulotne stany

Pozostaje jednak pytanie, jakie są własności cząstki „tak naprawdę”, kiedy nikt (ani nic) nie próbuje ich zmierzyć.

Sęk w tym, że kwantowe cząstki w ogóle nie mają określonych cech, kiedy są pozostawione same sobie. Każdy pomiar elektronu zwróci nam pewną losową wartość położenia i pędu, w ramach pewnego przedziału nieoznaczoności. Ale owa nieoznaczoność nie wynika tylko z niedoskonałości naszego urządzenia pomiarowego. Możemy się o tym przekonać, zwiększając dokładność pomiaru położenia i patrząc, jak równocześnie „rozjeżdżają” nam się wyniki pomiaru pędu. Przeprowadzono wiele eksperymentów sprawdzających zasadę nieoznaczoności Heisenberga i w każdym przypadku okazywało się, że faktycznie tak się dzieje.

No dobrze, ale jednak w każdym pojedynczym doświadczeniu dostajemy konkretny wynik – nasze „dane wyjściowe”. Przypisujemy mu nieoznaczoność dopiero *post factum*, uśredniając po wielu wynikach takich samych pomiarów i uwzględniając znaną nam dokładność aparatury. Mechanika kwantowa tego nie kwestionuje – zakłada ona, że bezpośrednio po pomiarze, który np. wykazał, że cząstka jest w punkcie x, cząstka **r z e c z y w i ś c i e** jest w punkcie x. Prowadzi to do zaskakującego wniosku, że pomiary cząstek kwantowych nie tyle ujawniają ich własności, co je **k r e u j ą**! Jak współczesna fizyka opisuje ów sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem świat kwantowy?

Cząstce kwantowej przypisujemy pewien stan. Zawiera on maksymalną informację na jej temat, jaką możemy odczytać. Poznajemy jej fragmenty, dokonując pomiaru wybranej cechy, np. położenia albo pędu elektronu. Sam stan elektronu nie jest jednak ani położeniem, ani pędem – koduje on wszystkie możliwe wyniki pomiarów wszystkich cech, wraz z prawdopodobieństwem ich zaistnienia. Stan kwantowy pojedynczej cząstki jest zatem czymś bardzo ulotnym. Jeżeli jednak mamy do dyspozycji wiele cząstek kwantowych w takim samym stanie, to możemy ten stan odtworzyć z dowolną dokładnością. Co więcej, mechanika kwantowa umożliwia nam rów-

nież przygotowanie konkretnego stanu układu kwantowego.

Blaski i cienie bitów

Tym sposobem dotarliśmy do koncepcji informacji kwantowej. Jest ona po prostu stanem danego kwantowego układu fizycznego. Jej podstawową jednostką jest kwantowy bit, czyli kubit, a więc stan, który ma tylko dwie rozróżnialne cechy. Innymi słowy, dowolny pomiar kubitu może nam zwrócić tylko dwie wartości, 0 albo 1, ale sam kubit jest „niezdecydowany” i koduje prawdopodobieństwa uzyskania zera lub jedynki.

Fizycznie kubit można zakodować na wiele różnych sposobów, np. poprzez „kierunek falowania” pojedynczego fotonu, czyli tzw. polaryzację. Ma ona dwa stany bazowe: polaryzacja horyzontalna i wertykalna, które można rozróżnić przy pomocy polaryzatora. Kubity koduje się również poprzez stany energetyczne atomu, stany spinowe jąder atomowych albo pozycje elektronów w półprzewodnikach.

Wydawać by się mogło, że owo niezdecydowanie kwantowych bitów jest niepożądane z punktu widzenia przetwarzania informacji. Ma ono jednak również swoją jasną stronę stanowiącą podstawę kwantowej kryptografii, której pionierami byli Charles Bennett i Gilles Brassard. Skoro bowiem pomiar kubitu kreuje konkretny wynik 0 lub 1, to znaczy, że informacja w nim zakodowana ulega zmianie. Rzecz jednak w tym, że jeśli jakiś intruz spróbuje przechwycić przesyłaną informację, to zawsze pozostawi po sobie wyraźny ślad, który odbierający może zobaczyć.

Co ciekawe, mechanika kwantowa zabrania również samego skopiowania informacji kwantowej, bez jej odczytania. Próba „sklonowania” stanu kwantowego skończy się niepowodzeniem i w dodatku również zostawi po sobie ślad. Na tę fundamentalną własność, zwaną zakazem klonowania informacji kwantowej, natknął się już w 1970 r. James Park, a wkrótce potem Stephen Wiesner wpadł na pomysł użycia owego zakazu do stworzenia niepodrabialnego „kwantowego pieniądza”. Ich idee wyprzedzały jednak swoją epokę, a pełne konsekwencje zakazu klonowania zostały zrozumiane dopiero ponad dekadę później za sprawą prac Dennisa Diecksa, Williama Woottersa i Wojciecha Żurka.

Co dwa kubity, to nie jeden

→ Zaraz, zaraz – ale z tego, że nie możemy zmierzyć jakiejś własności cząstki lub innego układu fizycznego, nie wynika jeszcze, że owa własność w ogóle nie istnieje. Być może problem jest z samą mechaniką kwantową, która daje tylko pewien przybliżony opis zjawisk, a nie z samym światem? A co, gdyby istniały jakieś „ukryte zmienne”, determinujące własności cząstek, których mechanika kwantowa nie uwzględnia? Podważałoby to bezpieczeństwo kwantowych protokołów kryptograficznych, bowiem intruz mógłby mieć lepszą teorię fizyczną i owe ukryte zmienne wykorzystać do bezszelestnego przechwycenia informacji.

Taki pogląd konsekwentnie wyznawał Albert Einstein, twierdząc, że mechanika kwantowa działa bardzo dobrze, ale jest zbyt uboga, by opisać pełną naturę zjawisk w mikroświecie. Twierdził on, że losowość wynikająca z kwantów jest w istocie pozorna, a każdy pomiar jedynie ujawnia pewną głęboko schowaną własność układu. Einstein opierał swój pogląd na analizie układu dwóch cząstek kwantowych, które – jak się okazuje – zachowują się zupełnie nieintuicyjnie.

Na początku lat 30. XX w. Erwin Schrödinger, odkrywca podstawowego równania rządzącego dynamiką stanów kwantowych, zorientował się, że istnieją takie stany kwantowe, dla których zachowanie układu dwóch cząstek jest bardziej przewidywalne niż każdej z osobna. Schrödinger w swojej publikacji z 1935 r. nazwał te stany „splcionymi” – dziś mówimy o nich: stany splątane. W tym samym roku Einstein wspólnie z Borisem Podolskim i Nathanem Rosenem opublikowali głośny artykuł zawierający analizę eksperymentu myślowego na układzie dwóch cząstek splątanych, które zdają się komunikować w sposób natychmiastowy. Jeżeli cząstka A uzyskuje jedną z własności, które zgodnie z zasadą Heisenberga nie mogłyby współistnieć, to cząstka B natychmiast uzyskuje tę samą własność. Einstein argumentował, że takie natychmiastowe uzgodnienie stanów jest niemożliwe (bo musiałoby się dokonać z nieskończoną prędkością, czego zabrania teoria względności). A to oznacza, że obie cząstki od początku musiały już mieć daną własność, tylko formalizm kwantowy nie potrafi jej wydobyć.

Należy tu jednak podkreślić, że tego natychmiastowego uzgadniania stanu nie

W 2019 r. na procesorze kwantowym

Sycamore dokonano pewnej operacji, która według oszacowań najmocniejszym klasycznym komputerom zajęłaby przeszło 10 tys. lat.

da się wykorzystać do komunikacji szybszej od prędkości światła. Rzecz w tym, że własności cząstek ujawniają się w pomiarze w sposób losowy. Innymi słowy, to sam układ „decyduje”, która własność ujawni się w pomiarze. Zagadkowość stanów splątanych polega zatem na tym, że choć układ dwóch cząstek ma ściśle określony stan, to własność żadnej z indywidualnych cząstek nie istnieje. Typowym przykładem stanu splątanego dwóch kubitów jest kombinacja: oba kubity są w stanie 0, albo oba z nich są w stanie 1. Całość jest jednak niezdecydowana i ustala się losowo dopiero w momencie pomiaru.

Choć okazuje się, że kwantowe splątanie nie stoi w sprzeczności z zasadami teorii względności, to podstawowy zarzut Einsteina pozostaje w mocy: to, że mechanika kwantowa nie potrafi nam udzielić konkretnej, nie-losowej, odpowiedzi na temat własności cząstek, nie oznacza, że tych własności w ogóle nie ma. Jednak w 1964 r. John Bell przedstawił bardzo proste twierdzenie matematyczne, które otworzyło drogę do faktycznej realizacji eksperymentu myślowego Einsteina–Podolsky’ego–Rosena, a już w latach 70. przeprowadzono teksty eksperymentalne według przepisu Bella. Również i najnowsze wyniki eksperymentalne nie pozostawiają żadnych wątpliwości: Jeśli tylko możemy swobodnie dobierać ustawienia urządzeń (nasze „dane wejściowe”), to możemy uzyskać korelacje wyników (czyli „danych wyjściowych”) niemożliwe do osiągnięcia przy użyciu żadnych klasycznych ukrytych zmiennych.

Kwantowy internet

Istota twierdzenia Bella zasadza się na tym, że nie zakłada ono prawdziwości mechaniki kwantowej. Mówi jedynie o tym, że jeśli istnieje jakakolwiek teoria zmiennych ukrytych opisująca cząstki, to prawdziwa będzie pewna nierówność matematyczna. Eksperymenty pokazują zaś dobitnie, że nierówność ta jest łamana. Nawet więc jeśli mechanika kwantowa zostanie kiedyś zastąpiona inną dokładniejszą teorią, to w jej ramach cząstki wciąż nie będą miały własności niezależnych od aktu pomiaru!

Ten fakt wykorzystał w 1991 r. Artur Ekert, absolwent fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, a obecnie profesor fizyki kwantowej na uniwersytecie w Oksfordzie, do stworzenia nowego kwantowego szyfru. Jego protokół, w odróżnieniu od tego zaproponowanego przez Bennetta i Brassarda, bazuje bezpośrednio na łamaniu nierówności Bella. To oznacza, że nie musimy znać zasady działania urządzeń pomiarowych ani nośników informacji, żeby mieć pewność, iż protokół jest bezpieczny. Odkrycie Ekerta doprowadziło do powstania nowego paradygmatu, w ramach którego układy fizyczne traktujemy jako „czarne pudła” – urządzenia, do których wrzucamy dane wejściowe i wyciągamy dane wyjściowe. Na podstawie samej analizy korelacji pomiędzy danymi z dwóch lub więcej pudeł możemy stwierdzić, że owe pudła są silnie powiązane. A to z kolei pozwala wykorzystać je do przetwarzania informacji bez konieczności wnikania w szczegóły ich fizycznej budowy. Co istotne, same dane wejściowe i wyjściowe są klasyczne – to ciągi bitów, czy też innych symboli kodujących klasyczną informację. Zatem informacja kwantowa, czyli stany układów kwantowych, służą ostatecznie do tego, aby zwykłą klasyczną informację bezpiecznie przekazać bądź w jakiś sposób przetworzyć. Stany kwantowe dają nam jednak o wiele więcej swobody niż klasyczne. Jak pamiętamy, jeden kubit koduje w sobie nie tylko możliwe wyniki pomiarów, 0 i 1, ale także ich pewną miarę „niezdecydowania”. Jeśli chcielibyśmy opisać owo niezdecydowanie przy użyciu klasycznych bitów, to potrzebowalibyśmy ich... nieskończenie wiele!

Kwantową informację można zakodować na jakimś nośniku, np. fotonie, i po prostu przesłać do odbiorcy, np. standardowym światłowodem. Okazuje się jed-

nak, że mechanika kwantowa otwiera przed nami zupełnie nową możliwość transmisji informacji – kwantową teleportację. Potrzebujemy do tego dwóch cząstek w stanie splątanych, zapewniających „kwantowe łącze” pomiędzy dwoma węzłami, które mogą znajdować się na przeciwnych końcach Ziemi, albo i galaktyki – odległość nie ma znaczenia! Przypuśćmy, że nadawca posiada jeszcze jedną cząstkę, w której zakodowany jest jakiś nieznaną kubit. Pozwala on na oddziaływanie obu swoich cząstek, a następnie dokonuje na nich pomiaru. Otrzymał w ten sposób klasyczną informację (dwubitową) przesyła on do odbiorcy w zwykły sposób. Przy jej pomocy odbiorca może „obrócić” stan swojej cząstki w taki sposób, aby był w nim zakodowany dokładnie ten sam kubit, który początkowo znajdował się u nadawcy.

Czyli jednak można używać stanów splątanych do przesyłania informacji? Owszem, ale tylko jeśli równocześnie wysyłamy klasyczną informację potrzebną do końcowego „obrotu”. Jeden z odkrywców fenomenu kwantowej teleportacji, nieżyjący już Asher Peres z Uniwersytetu w Hajfie, został w trakcie wywiadu zapytany przez dziennikarza, prawdopodobnie inspirowanego filmem „Star Trek”, czy z pomocą kwantowej teleportacji można przesłać zarówno ciało, jak i duszę. Odpowiedział z właściwą sobie przenikliwością: „Tylko duszę!”.

Kwantowe łącza oparte na splątanych parach cząstek mogą zrewolucjonizować całą technologię komunikacyjną. Nie dość, że są one odporne na ataki cybernetyczne, dzięki kwantowej kryptografii, to pozwalają na bardziej efektywną komunikację. Dalekosiężnym celem jest stworzenie kwantowego internetu opartego na sieci kwantowych łączy satelitarnych. Jego podwaliny już powstają! W 2017 r. zespół chińskich naukowców kierowanych przez Jian-Wei Pana dokonał udanej teleportacji kwantowej informacji z laboratorium w górach Tybetu do satelity Micius, który znajdował się w odległości nawet 1400 km.

Kamień milowy

Klasyczną informację można nie tylko przesyłać, ale również przetwarzać w inny sposób – prowadząc obliczenia na komputerach. Podobnie sprawy się mają z informacją kwantową. Za prekursora idei komputerów kwantowych uznaje się

Mechanika kwantowa naprawdę działa!

Pozwala opisywać
całe spektrum zjawisk
w mikroświecie
i potrafimy ją
wykorzystać do
przetwarzania informacji
i wykonywania obliczeń.

Richarda Feynmana – genialnego amerykańskiego fizyka, uhonorowanego Nagrodą Nobla za nieoceniony wkład w rozwój teorii kwantowej.

Modelowanie złożonych układów kwantowych, np. w zastosowaniach chemicznych lub inżynierii materiałowej, wymaga bardzo dużej mocy obliczeniowej na klasycznym komputerze. Feynman zauważył jednak, że można całkiem dobrze symulować taki złożony układ na dużo prostszym układzie kwantowym, nad którym mamy pełną kontrolę. Kwantowe symulatory już dziś są wykorzystywane jako narzędzie modelowania. Programowalne układy atomów lub jonów pozwalają na symulację bardzo złożonych zagadnień z fizyki ciała stałego czy fizyki wysokich energii.

Świętym Graalem jest jednak stworzenie uniwersalnego komputera kwantowego, na którym będzie można modelować dowolne układy i programować dowolne obliczenia. Już Feynman sugerował, że moc takiej „kwantowej maszyny liczącej” znacznie przekraczałaby możliwości klasycznych komputerów. W uproszczeniu, niezdeterminowanie układu kubitów można wykorzystać do równoległego wykonywania wielu operacji. Dzięki temu można znacznie zredukować ilość komórek pamięci, a także czas działania urządzeń, wymaganych do wykonania danego obliczenia.

Podstawową strukturą klasycznej maszyny liczącej są bramki logiczne, np. bramka NOT zamieniająca 0 na 1 i odwrotnie. Mając do dyspozycji zaledwie kilka typów bramek, możemy zbudować uniwersalną maszynę mogącą wy-

konać dowolną operację logiczną. Podobnie, aby stworzyć uniwersalny komputer kwantowy, wystarczy nam kilka bazowych kwantowych bramek, dokonujących operacji „logicznych” na kubitach. Logika kwantowej informacji jest jednak zupełnie inna i wymaga tak dziwacznych bramek jak „pierwiastek z NOT”!

Zbudowanie danej bramki kwantowej nie jest szczególnie trudne. Obecnie na rynku jest kilka technologii pozwalających zaimplementować podstawowe kwantowe operacje. Należą do nich m.in. wspomniane już sieci atomów lub jonów, a także układy optyczne pozwalające manipulować pojedynczymi fotonami. Bardzo obiecująca jest także nowa technologia oparta na tzw. transmonach – kubitach generowanych w nadprzewodnikach. Zasadniczym problemem takich układów jest to, że trzeba je utrzymywać w ekstremalnie niskich temperaturach, rzędu jednej setnej stopnia powyżej zera bezwzględnego. W przeciwnym razie szum termiczny zagłuszy całą naszą kwantową informację i zniszczy splątane łącza kwantowe.

Prawdziwym wyzwaniem jest jednak kwestia skali. Obecnie dostępne chipy kwantowe, wykonane w technologii ekstremalnie zimnych nadprzewodników, mają kilkadziesiąt kubitów. Pozwoliły one niedawno na osiągnięcie pierwszego kamienia milowego. W 2019 r. na google'owskim procesorze kwantowym Sycamore dokonano pewnej operacji, która według ówczesnych szacowań najmocniejszym klasycznym komputerom zajęłaby przeszło 10 tys. lat. Rok później podobny wynik zaprezentował niezależnie zespół z Chin pod wodzą Jian-Wei Pana. Te maszyny nie są jednak uniwersalne, a i oszacowanie mocy klasycznego komputera, potrzebnej do przeprowadzenia owej operacji, okazało się dyskusyjne. Z drugiej strony, w listopadzie tego roku IBM zaprezentował 127-kubitowy procesor i ogłosił, że w ciągu dekady będą w stanie zbudować maszynę mającą milion kubitów! Nadprzewodnikowe chipy kwantowe mają podobne rozmiary co „klasyczne”, krzemowe, ale wymagają skomplikowanej i kosztownej aparatury chłodzącej. Zatem pomimo spektakularnych sukcesów technologii kwantowych wciąż nie jest pewne, czy, a jeśli tak to kiedy, uda się stworzyć kwantowego peceta.

© MICHAŁ ECKSTEIN, PAWEŁ HORODECKI

Geny i dużo więcej

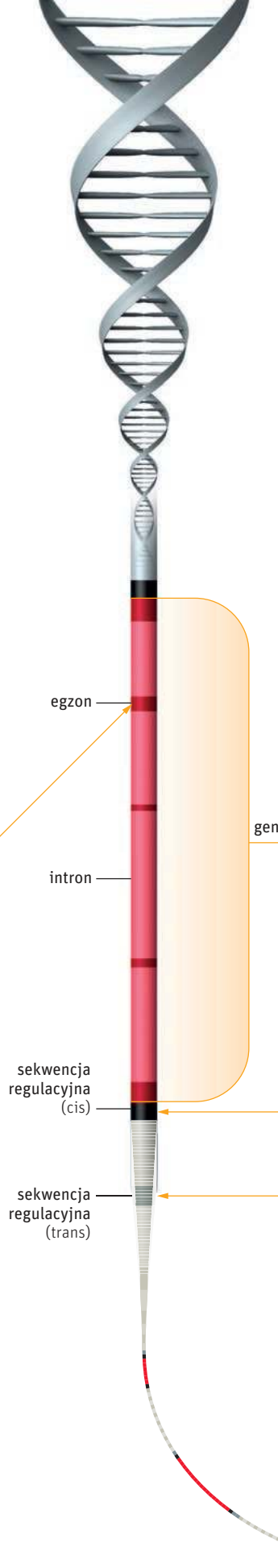
TEKST **ŁUKASZ ŁAMŻA**
INFOGRAFIKA **LECH MAZURCZYK**

W każdej naszej komórce znajduje się przepis na cząsteczki, z których jesteśmy zbudowani, i narzędzia komórkowe zajmujące się konstruowaniem naszych ciał. Przepisy te zapisane są przy pomocy zaledwie czterech chemicznych literek, w długim łańcuchu znanym jako DNA. Komplet przepisu na człowieka nazywamy genomem, a składa się on z około 3 mld takich literek. Gdybyśmy chcieli go wydrukować w postaci książkowej, wypełniłby mniej więcej tysiąc solidnych tomów.

W rzeczywistości tomów, zwanych chromosomami, jest 46, a mieści się w nich około 63 tys. przepisów zwanych genami. Można by więc sobie wyobrazić, że genom to po prostu 46-tomowa książka kucharska zawierająca 63 tys. przepisów. Sytuacja jest jednak znacznie bardziej skomplikowana.

Zacznijmy od podstaw

INFORMACJA GENETYCZNA zawarta w DNA „tłumaczona” jest na białka – to wiemy już od kilkudziesięciu lat. Dopiero jednak niedawno ustaliliśmy, że coś, co uważaliśmy za skromnego pośrednika w drodze ku białkom – cząstki o nazwie RNA – to olbrzymia rodzina zupełnie samodzielnych związków. Spośród 63 tys. genów tylko 20 tys. to przepisy na białka, a pozostałe 43 tys. opisuje sekwencje dziesiątków odmian RNA, których przeznaczenie dopiero poznajemy. To nie koniec problemów. Gdy zsumujemy długość wszystkich tych genów, otrzymamy zapis złożony z 35 mln „liter”, czyli zaledwie nieco ponad 1 proc. całego genomu! Co to za książka kucharska, która w 99 proc. nie składa się z przepisów kulinarnych?!



Pierwsza komplikacja

W 1977 R. OKAZAŁO SIĘ, że części zasadnicze genu, czyli przepisy na białka i cząstki RNA (mówimy na nie: egzony), poprządkowane są przerywnikami, które w procesie tłumaczenia zostają wycięte (intronami). W genomie człowieka jeden gen składa się średnio z 8 egzonów poprządkowanych intronami. Intronów jest objętościowo 20 razy więcej niż egzonów – i to tylko dzięki nim geny zajmują łącznie ok. 26 proc. genomu. Choć „pomysł”, żeby poszatkować przepis na 8 części może wydawać się dziwny, w istocie jest genialny. Dzięki temu każda z owych części jest do pewnego stopnia niezależna, a w naszych organizmach na etapie „tłumaczenia” możliwe jest manipulowanie ich składem i kolejnością. To trochę tak, jak gdyby w przepisie na zupę wydzielić fragment o zabieleniu śmietaną, który raz aktywujemy podczas gotowania, a raz nie. Ta sprytna sztuczka nosi techniczną nazwę „alternatywny splicing”.

Czemu zaś owe przedziałki są tak długie? Jest to wciąż w dużym stopniu niejasne, zwłaszcza że u niektórych organizmów introny są zredukowane do minimum, a wszystko wydaje się funkcjonować prawidłowo. Pewną odpowiedź jest jednak fakt, że treść intronów to w dużym stopniu... bzdury. Więcej o tym w ramce „Powtórki”.

Sekwencje regulatorowe

WYOBRAŹMY SOBIE, że organizujemy catering dla całego miasta. Nie będziemy stale korzystać z wszystkich przepisów – inne będą potrzebne w przedszkolu, a inne w stołówce zakładowej przy hucie. Dieta zmienia się też zależnie od pory dnia i roku oraz w reakcji na sygnały (o, bób już potaniał!). Podobnie jest z genami. Za poziom ich aktywności odpowiadają tzw. sekwencje regulatorowe, które mogą reagować na odpowiedni sygnał chemiczny, wzmacniając lub osłabiając aktywność genów, a nawet wpływając na sposób alternatywnego splicingu – a więc czy zjemy dziś zupę zabieloną, czy nie. Sekwencje bezpośrednio przyległe do genów, zwykle z obu stron (tzw. cis) lub od nich oddalone (trans) zajmują łącznie ok. 8 proc. całego genomu.

Powtórki

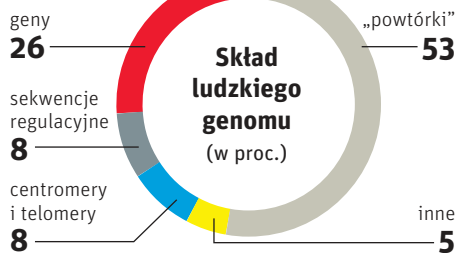
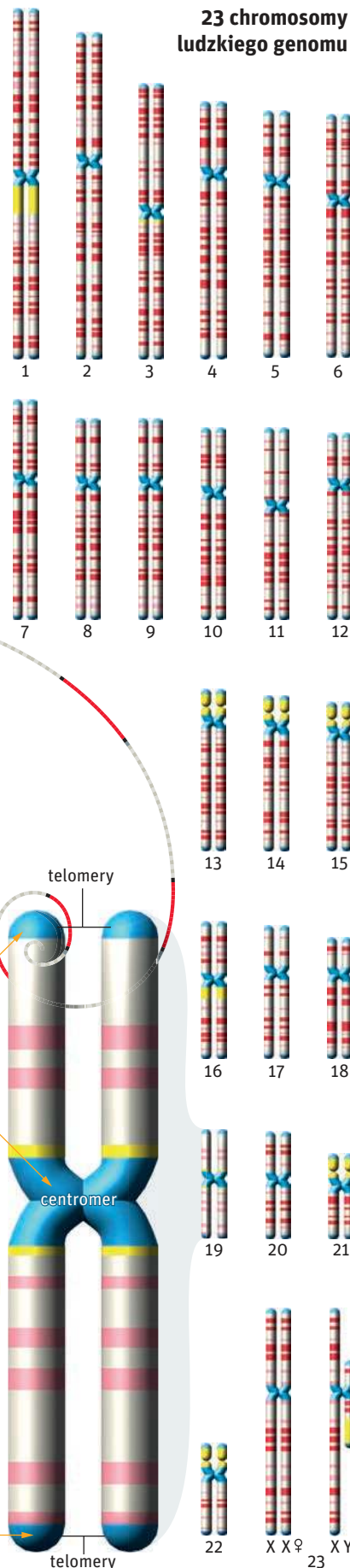
PONAD POŁOWA NASZEGO GENOMU to „powtórki” – sekwencje niebędące genami, a jednak występujące nawet w tysiącach kopii. Czasem zawierają fragmenty starych przepisów, czasem wydają się być zupełnym bełkotem. Podobny chaos panuje we wnętrzach intronów.

Tajemnica częściowo wyjaśniła się, gdy okazało się, że w większości przypadków owe powtarzające się sekwencje zawierają w sobie... przepis na białko kopiujące geny! To trochę tak, jak gdyby w środku książki kucharskiej znajdowała się kartka wypełniona tekstem, z wielkim napisem: „Ej, skseruj tę stronę i wszyj ją gdzieś dalej!”.

Sekwencje takie to transpozony, nazywane też elementami mobilnymi, ponieważ potrafią „skakać” po genomie, tworząc swoje własne kopie. Są więc trochę jak wirusy, z których mogą się zresztą wywodzić. To jednak „nasze własne wirusy”, zwykle niewywołujące chorób – choć gdy wkleją się w jakieś ważne miejsce, skutki mogą być tragiczne.

Łącznie aż ok. 53 proc. genomu to różne „powtórki”, z czego 45 proc. to transpozony, a 17 proc. całego ludzkiego genomu to setki tysięcy kopii jednej tylko szczególnie płodnej sekwencji o nazwie LINE-1! Cemu one istnieją? Bo mogą! W biologii tak to już jest, że co potrafi się kopiować, to istnieje.

23 chromosomy ludzkiego genomu



Dwie okładki i uchwyt

TELOMERY to „czapeczki” zabezpieczające końcówki DNA przed nadgorliwymi komórkowymi „naprawiaczami”, dla których luźno dyndające DNA to czerwony alarm. Możemy sobie wyobrazić, że telomery tworzą okładkę.

CENTROMERY to z kolei miejsca „uchwyty”. To w centromerach łączą się dwie siostrzane kopie genomu – tzw. chromatydy – tworzące dopiero chromosom w prawidłowym sensie i właśnie za centromer chromosomy zostają pociągnięte w przeciwne strony w trakcie podziału komórki. Telomery i centromery nie zawierają normalnych genów, tylko szczególnego rodzaju sekwencje i powtórzenia. Łącznie odpowiadają za 8 proc. genomu.

TO NIE KONIEC

Wszystkie wymienione dotychczas procenty sumują się do 95 proc. A co z resztą?

Choć genom ludzki zsekwencjonowano po raz pierwszy w 2001 r., co kilka lat publikowane są coraz lepsze i bardziej kompletne jego wersje; najnowsza, z kwietnia 2022 r., nosi uroczą nazwę T2T – Telomere-to-Telomere. Choć ma to być rzekomo pierwsza kompletna mapa, „od telomeru do telomeru”, w tej genetycznej książce kucharskiej cały czas są niejasne fragmenty. Ba, ich objętość 5-krotnie przekracza długość egzonów, a co najlepsze – nie są to powtórki, lecz sekwencje „jedyne w swoim rodzaju”. Co to?

Odpowiedź jest chyba najlepsza z możliwych: jeszcze nie wiadomo. ©



FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP”

Ewa Bartnik, Warszawa, kwiecień 2022 r.

Jeszcze za mało wiemy

EWA BARTNIK, GENETYCZKA:

**Gdyby to rzeczywiście wilczyca wykarmiła Romulusa
i Remusa, nie założyliby Rzymu.
Człowiek jest kombinacją różnych genów
z setkami tysięcy lat kultury.**

MARIA HAWRANEK: Wirusy, szczególnie ostatnio, kojarzą nam się źle, a tymczasem Pani zaczyna książkę „Co kryje się w naszych genach?” stwierdzeniem, że możliwe, iż dzięki nim istniejemy.

PROF. EWA BARTNIK: Mamy coraz więcej dowodów na to, że wirusy odegrały bardzo ważną rolę w ewolucji zaawansowanych organizmów, szczególnie wirusy olbrzymie i retrowirusy. Wskazywały do naszego DNA w różnych momentach istnienia. Być może to właśnie olbrzymi wirus, który wskoczył do pradawnej bakterii, przekształcił najprostsze, archaiczne komórki w takie z jądrem komórkowym – a to był milowy skok w historii życia.

Białko syncytyna, kluczowe dla funkcjonowania łożyska, pochodzi od wirusów. Powinniśmy się z nimi przeprzeć również dlatego, że przeżywamy absolutny *boom* terapii genowej, co prawda drogiej, ale w miarę skutecznej. Aby ją przeprowadzić, trzeba wprowadzić do komórki gen, a najlepiej do tego celu nadają się właśnie wirusy. Jest np. taka choroba: pęcherzowe oddzielanie naskórka. Nie brzmi groźnie, ale to *de facto* nigdy niegojąca się rana. Niedawno naukowcy ze Stanfordu opracowali maść, do której dodaje się wirus z właściwym genem, smaruje się i rany osób cierpiących na tę chorobę genetyczną się goją. To niesamowite – można już wprowadzić gen przez skórę.

Z szympanсами i gorylami dzielimy 98 do 99 proc. genów. Co kryje się w tych 1-2 procentach, które nas różnią?

Olbrzymia większość genów jest takich samych, ale sekwencja to nie jest regulacja. Chodzi o to, że taki sam gen może być aktywny w organizmie w innych miejscach czy momentach. Dawniej myślano, że być może uda się namierzyć konkretny gen lub geny, które zadecydowały o tożsamości *Homo sapiens*, ale już porzuciliśmy tę nadzieję. Przez chwilę pokładano ją w słynnym genie FOXP2, który wykryto u pewnej rodziny w Anglii mającej kłopot z opanowaniem mowy. Na drodze do człowieka ten gen szybko ewoluował. Neandertalczyk też miał jego wersję, co ucieszyło tych badaczy, którzy byli przekonani, że mówił. Okazało się później, że ten gen jest bardzo aktywny u ptaków śpiewających, a laboratoryjne badania myszy, w których wstawiono ludzką wersję genu, poskutkowały zwiększeniem

u nich wokalizacji. Na pewno nie był to jedyny istotny gen w naszej ewolucji.

Co decyduje o tym, że jakiś gen się aktywuje?

U bakterii sprawa jest prosta – aktywacja i dezaktywacja działa jak włączanie i wyłączanie pstryczka w lampie. Jest cukier, to włączają się geny, które mają go strawić. U nas bardziej przypomina to taką zabawkę dla dzieci, w której trzeba dopasowywać rozmaite kształty do odpowiednich dziur, ale gen zadziała dopiero jak wszystkie kształty są dopasowane. Gdy studiowałam, mieliśmy taką trochę socjalistyczną wizję komórki – każde białko miało swoją funkcję: krawiec szył ubrania, szewc buty itd. Uważaliśmy też, że białko było albo w jądrze, albo w cytoplazmie, albo w mitochondriach, albo w błonie. A tymczasem olbrzymia większość białek nie ma tylko jednego miejsca w komórce, co więcej – olbrzymia większość genów produkuje więcej niż jedno białko. A dodatkowo mamy jeszcze interakcje między nimi. Nawet w przypadku drożdży, które są uprzejmie mieć tylko 6 tys. genów, nie znamy wszystkich interakcji między nimi.

Oczywiście badamy je w laboratoriach, np. poprzez wyłączanie genu w niektórych komórkach i obserwowanie, czy zdechną, czy nie, a jeśli nie, to co się w nich zaburzy. Tylko w naszym przypadku tych genów jest ponad 20 tys., więc jeszcze dużo badań przed nami.

Czyli nie dowiemy się, co sprawiło, że człowiek jest człowiekiem?

Wiemy, że są geny odpowiedzialne za zuchwę, podstawę czaszki, postawę pionową, owłosienie, mięśnie. Ale powiem tak: gdyby rzeczywiście to wilczyca wykarmiła Romulusa i Remusa, oni nie założyliby Rzymu. Mamy kombinację różnych genów z setkami tysięcy lat kultury. To nie jest taki ładnie wyrysowany schemat: małpa idzie, trochę się prostuje, coraz bardziej i wreszcie jest człowiek.

Jaki jest najczystszy rasowo *Homo sapiens*?

Wygląda na to, że Afrykańczycy. Na północy krzyżowaliśmy się z neandertalczykami i dziś nosimy nawet kilka procent ich genów, do tego jeszcze przynajmniej z jednym lub dwoma wariantami ludzkimi. U współczesnych Afrykańczyków tych obcych domieszek genetycz-

nych jest mniej, bo przodkowie tych ludzi byli bardziej odizolowani od innych populacji, z którymi mogliby się krzyżować.

Przy czym koncepcja rasy jest absurdalna, bo różnorodność genetyczna w obrębie jednej grupy, np. o jasnej skórze, jest o wiele większa niż między grupami o różnym kolorze skóry. Bardziej różni nas co innego, ale kolor skóry najbardziej rzuca się w oczy.

Czy testy na nasze pochodzenie, które ujawniają, że jesteśmy potomkami innych ras, co do których być może żywimy jakieś uprzedzenia, mogłyby być jakimś remedium na rasizm?

Pochodzenie można badać, testy genealogiczne są powszechne i w miarę wiarygodne. Tylko osobście nie wiem po co. Mnie jest wszystko jedno, skąd wzięli się moi przodkowie. Poza tym nie jestem przekonana, że jeśli ktoś żywi przekonanie oparte na nieracjonalnych argumentach, to można go przekonać przy pomocy racjonalnych argumentów. Z antyszczepionkowcami niezbyt się to udaje.

Dlaczego nie możemy sobie wyliczyć, jaki kolor oczu będzie miało nasze dziecko, tak jak uczono nas tego w szkole?

Jest kilkanaście genów, które wpływają na kolor oczu. Są w obiegu testy, wykorzystywane na styku genetyki i medycyny sądowej, które na podstawie pozostawionego na miejscu zbrodni DNA pomagają ustalić, jaki kolor włosów i oczu miała osoba tam obecna. Robią to z prawdopodobieństwem sięgającym 85 proc. Ale w przypadku dziedziczenia wciąż nie możemy ferować wyroków. W kryminałach Agaty Christie przynajmniej dwa razy się okazuje, że ktoś nie może być czymś dzieckiem, bo ma brązowe oczy, a rodzice mieli niebieskie. To duże uproszczenie, bo owszem – może. Poza tym barw oczu jest znacznie więcej – szare, zielone, nie da się tego tak prosto przewidzieć. Zresztą za prawie wszystkie ludzkie cechy odpowiada więcej niż jeden gen.

Z jakimi jeszcze nieadekwatnymi wyobrażeniami o genetyce wychodzimy ze szkoły?

W szkole nauczyciele genetyką zajmują się z reguły niechętnie, a jeśli już, to rzeczami prostymi. Nabieramy więc przekonania, że ważne są choroby spowodowane

→ przez mutację w pojedynczym genie. One oczywiście są ważne, ale są też bardzo rzadkie. Najczęstsze choroby genetyczne w Europie to mukowiscydoza, z którą rodzi się jedna osoba na 2-2,5 tys., i zespół Downa – tu mamy 1 na 700. Ale jeśli pomyślimy szerzej – nie kto się jaki rodzi, ale co nam szkodzi, to najważniejsze okazały się choroby układu krążenia, cukrzyca i nowotwory, a to są schorzenia w większości przypadków silnie wielogenowe albo w ogóle o słabym podłożu genetycznym. Mniej więcej co trzecia osoba zachoruje na nowotwór – odpowiada za to kombinacja naszego środowiska, naszych genów, sposobu naprawy naszego DNA, który jest bardzo złożony, a do tego jedni reperują je lepiej, drudzy gorzej. W szkole zbyt rzadko podkreśla się, że za nasze zdrowie są odpowiedzialne interakcje naszego środowiska z genami.

Czy zatem należy się poddawać testom genetycznym?

Dla osoby pełnoletniej potencjalnie obciążonej rodzinnie lub osoby z objawami choroby wykonanie testu jest formą diagnozy. Ale weźmy sztandarowy przykład – chorobę Huntingtona. Jeżeli rodzic ją ma, to ryzyko, że przekaże ją dzieciom, wynosi 50 proc. Lepiej wiedzieć, że się zachoruje czy nie, skoro na tę chorobę nie ma żadnej terapii? Są osoby, które gorzej zniosą niepewność niż informację, która jest formą wyroku, a są osoby, które gorzej zniosą wyrok niż niepewność. Tu decyzja jest indywidualna, sama nie wiem, jaką bym podjęła w takiej sytuacji.

Kilka lat temu pisałam reportaż o rodzinach obciążonych pewną mutacją genu, który powoduje wczesne zachorowanie na Alzheimera. Żyją w słabo zaludnionym górskim rejonie w Kolumbii. Od lat trwają badania z ich udziałem, w których testuje się nowe leki. Uczestnicy projektów badawczych nie są *a priori* informowani, czy są nosicielami genu, czy nie, ich statusu nie znają też badacze, by ich jakoś inaczej nie traktować. Są im przypisane specjalne kody. To powszechna praktyka?

W badaniach klinicznych często stosuje się tzw. próbę podwójnie ślepa – tak jak pani opowiedziała. Tu nie ma kłopotów etycznych – nie ma lekarstwa na tę chorobę, a jest ona częsta, i jest nadzieja,

Co trzecia osoba zachoruje na nowotwór.

Odpowiada za to kombinacja naszego środowiska, naszych genów i sposobu naprawy DNA, które jedni reperują lepiej, a drudzy gorzej.

że badania jej genetycznie uwarunkowanej postaci doprowadzą do znalezienia skutecznej terapii.

W społeczności Żydów, m.in. aszkenazyjskich, istnieje taki ciekawy program Dor Yeshorim. Zainicjował go amerykański rabin, Josef Ekstein, któremu czwórce dzieci zabrała choroba Taya-Sachsa. U nastolatków przeprowadza się badania pod kątem mutacji kilku genów, które powodują najczęstsze choroby w tej społeczności – m.in. chorobę Taya-Sachsa, mukowiscydozę, chorobę Canavana, zespół Blooma. Nie informuje się badanych o wynikach, w rejestrach ich dane są kodowane, aby uniknąć stygmatyzacji. Dopiero w momencie, gdy dwie osoby rozważają wspólną przyszłość obejmującą posiadanie dzieci, dzwonią do centrum i dostają zielone światło, albo nie, jeśli oboje są nosicielami ryzykownego genu. Nigdy nie dowiadują się, o jaki gen chodzi, tylko czy jest ryzyko. W Omanie podobne próby badania przedmałżeńskiego nie były tak dobrze przyjęte.

Gdzie w Polsce można przeprowadzić testy genetyczne? Z tego, co wiem, rynek nie jest uregulowany.

W Polsce wystarczy założyć działalność gospodarczą, by się zajmować diagnostyką genetyczną, więc rzeczywiście trzeba uważać. Większość instytucji, które robią porządną diagnostykę, ma laboratoria mające numer nadany przez Krajową Izbę Diagnostów Laboratoryjnych, atest od Polskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka i podlegają zewnętrznym testom EMQN (European Molecular Genetics Quality Network). Miałabym za-

ufanie do laboratoriów polecanych przez lekarzy genetyków.

Np. w Poznaniu jedna z firm robi badania genomu u pacjentów onkologicznych, którzy nie reagują na standardową terapię. Można wykonać sekwencję DNA nowotworu i dla porównania sekwencję DNA zwykłej tkanki – i spróbować znaleźć taką mutację, na którą mamy lek. Badanie wymaga pogłębionej analizy informatycznej i kosztuje 20 tys. złotych. Ale dla niektórych jest to szansa na odzyskanie zdrowia.

Ale mamy też laboratorium oferujące badanie talentów dzieci... No bardzo przepraszam, to niemożliwe.

No właśnie, co Pani myśli o testach genetycznych, które służą ustaleniu naszych predyspozycji?

Nazywa się je testami lajfstajlowymi – np. na tolerancję laktozy czy ilość wosku w uszach. Jeśli ktoś chce na nie wydawać pieniądze, to mu nie zabronię, bo wiele z nich ma wiarygodne wyniki. Tylko znów pytanie: czy to potrzebne? Bo przecież często wiemy, jak jest – nie muszę robić badania na tolerancję kofeiny, wiem z doświadczenia, że mam ogromną, wiem też, ile mi się gromadzi wosku w uszach. Natomiast testy dotyczące dyspozycji atletycznych i dietetycznych w tym momencie to jest piramidalna bzdura. Być może w przyszłości te dyspozycje będą do ustalenia, ale na razie to niemożliwe. Lepiej więc zainwestować w dietetyka lub trenera.

Żydzi – ale tylko mężczyźni – mogą robić testy na obecność konkretnego wariantu chromosomu Y, który świadczy o tym, że pochodzą od kapłanów. Tylko co z tego wynika? Z kolei robienie testów na ogólne predyspozycje do nowotworów nie ma moim zdaniem większego sensu, bo jest bardzo wiele rzeczy dotyczących stylu życia, które mają wpływ na ich rozwój. A na swój styl życia z kolei my mamy wpływ.

Genetyka to dziedzina, z którą wiąże się wiele fantazji – strasznych i pięknych. Ale nastrocza też wielu etycznych dylematów. Co obecnie można w ludzkich genach ruszać, a czego nie? I jak się to ustala?

Wiosną 2015 r. zaczęły w środowisku krążyć informacje o tym, że Chińczycy biorą się za modyfikowanie zarodków. Pojawił się wtedy w czasopiśmie

„Science” list otwarty z pytaniem, czy w zasadzie kiedykolwiek należałoby dopuścić do modyfikowania ludzkich zarodków, a jeśli tak – jakie warunki miałyby zostać spełnione. To z kolei spowodowało powstanie różnych ciał, m.in. specjalnej komisji WHO dotyczącej modyfikacji ludzkiego genomu, do której należę. W 2018 r. przyszły na świat bliźniaczki, u których doktor He Jiankui zmodyfikował geny na etapie zarodków w próbówce. Ich tata jest nosicielem wirusa HIV, a wiemy, że wnika on do komórek, korzystając z białka produkowanego w organizmie człowieka – CCR5. Wiemy też, że osoby, które mają mutację usuwającą niewielki kawałek genu w obu jego kopiach, nie są podatne na AIDS. Usunięcie tego białka miało uczynić dziewczynki odporne na HIV. Okazało się, że mu się to nie udało, a jego badania wywołały wielki skandal.

Dlaczego?

Wcześniej, jeśli w ogóle, prace badawcze prowadzono na zarodkach niezdolnych do rozwoju, powstałych po zapłodnieniu *in vitro*, np. wtedy, kiedy do komórki wnikają dwa plemniki i tworzy się potrójny garnitur chromosomów. I to tylko w niektórych krajach zezwalających na takie manipulacje, jak np. Wielka Brytania. Ale i w nich są jasne ograniczenia: trzeba uzyskać zezwolenie na taki eksperyment i zarodki po manipulacji mają być zniszczone w ciągu dwóch tygodni. He Jiankui wziął zarodki zdolne do rozwoju i do tego je wprowadził do macicy ich matki, co było nie tylko nieuprawnione, ale też nieuzasadnione. W przypadku ojca nosiciela lub chorego na AIDS i zdrowej matki oraz zapłodnienia *in vitro* wystarczy dobrze przepłukać plemniki przed zapłodnieniem. Do tego AIDS to nie jest choroba nieuleczalna, mamy przyswoić terapię. Najważniejsze jest jednak to, że na tym etapie nie było wiadomo, czy taka interwencja genetyczna nie przyniesie dodatkowych, szkodliwych efektów. Wciąż tego nie wiemy.

Jak by Pani rozstrzygnęła etyczne dylematy, jakich nastręcza manipulacja genami w zarodkach?

Pierwsza wątpliwość ma charakter teoretyczny: czy mamy prawo poddać terapii zarodki i wpływać na przyszłe pokolenia, druga związana jest z technologią –

PROFESOR EWA BARTNIK jest genetyczką i popularyzatorką nauki. Specjalizuje się w chorobach ludzkich będących skutkiem zmian w mitochondrialnym DNA. Jest członkinią specjalnej komisji WHO, zajmującej się problemem modyfikacji ludzkiego DNA. Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi na rzecz nauki w Polsce i na świecie oraz wspieranie międzynarodowej współpracy naukowej. Autorka ok. dwustu prac naukowych i książki „Co kryje się w naszych genach?”.

czy przypadkiem czegoś nie uszkodzimy. Wydaje mi się, że najważniejsze jest rozwiązanie problemów technicznych. Na razie nie potrafimy tego zrobić idealnie i możemy doprowadzić do uszkodzenia innych genów albo jakichś nowych, niekorzystnych między nimi interakcji. Nie chcę wystawiać szyi pod toporek, ale gdyby można było idealnie przeprowadzić ten zabieg, to dlaczego miałyby się urodzić dziecko chore, które umrze na daną chorobę, jeśli mogłoby się urodzić dziecko zdrowe? Natomiast w tym momencie prace, które doprowadzają do narodzenia się dziecka, są nieakceptowalne. Jeszcze za mało wiemy.

Jak rozumiem, to kwestia czasu.

Być może, ale nieprędko. Diagnostyka prenatalna i preimplantacyjna jest już prowadzona w rodzinach ryzyka genetycznego. Jednak znów podejmowane działania zależą od przekonań rodziców – dla niektórych rodziców akceptowalna jest diagnostyka preimplantacyjna i wybór na tej podstawie zdrowszego zarodka, ale nie prenatalna, gdzie w konsekwencji wykrycia wad u płodu następuje jego usunięcie.

Jest taka książka „Hakowanie Darwina”, napisana przez Jamiego Metzla – jednego z członków komisji WHO, w której rozważa przyszłość rasy ludzkiej. Państwo Brown idą do poradni genetycznej, bo chcą mieć dziecko, a tam doradza się im rozwiązanie nowoczesne, bo wtedy można wybrać zarodek, który nie ma defektów, najlepszy. Za 20 lat nie będzie chodziło tylko o najlepszy zarodek, ale jeszcze o to, co by poprawić, bo

ten miałby słabe mięśnie, a tamten byłby emocjonalnie rozchwiany. Taki świat mi się już nie podoba.

Ale to będzie w ogóle możliwe – tak sobie wrzucać różne pożądane cechy jak przyprawy do alchemicznego alembiku: tu szczyptę zdolności matematycznych i trochę empatii?

Nie wiem, czy kiedykolwiek będziemy na takim etapie.

W dużym uproszczeniu połowa naszych złożonych cech zależy od genów, a połowa od środowiska, czyli otoczenia, wychowania. Nie wiem, kiedy zaczną się pojawiać kliniki, które oferują ulepszone dzieci – boję się, że stanie się to, zanim taka możliwość rzeczywiście będzie istniała. A tak naprawdę myślę, że nie będzie istniała w ogóle. W USA jest w tej chwili ponad 600 klinik komórek macierzystych, prowadzących terapie za grube pieniądze, które nic nie wnoszą. U nas też jest ich trochę. Jeżeli jest człowiek ciężko chory, nie ma nadziei, ale ma pieniądze, to przyjmie prawie wszystko. Być może te pieniądze lepiej byłoby przeznaczyć na lepszą opiekę, zamiast na wątpliwą terapię.

Terapia komórkami macierzystymi nigdy nie działa?

Działa dla kilku schorzeń, ale muszą być do tego wykorzystane specjalne komórki macierzyste, a nie np. z własnego tłuszczu. Udokumentowanych przykładów jest bardzo mało.

W trakcie Pani kariery naukowej genetyka przeszła galopujący rozwój. Czego się Pani w związku z tym rozwojem obawia, a o czym marzy?

Boję się, że chęć ulepszania będzie galopowała przed możliwościami – łatwo wmówić ludziom rzeczy, które nie istnieją. A marzę o tym, by genetyka znów się trochę uproszczyła. Kilkanaście lat temu prowadziłam wykład o regulacji działania genów. Wtedy jeszcze potrafiłam odpowiedzieć na pytanie, które postawiła mi pani na początku: jak się uruchamia ludzki gen. W tym momencie nie mam pojęcia. Zatem chciałabym zrozumieć regulację działania genów. I jeszcze jedno mam marzenie: niektóre terapie genowe, np. anemii sierpowatej, już pięknie leczą, ale za milion dolarów. Marzę, by terapia genowa kiedyś była tańsza.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

Retoryka kolorowych zadków

WOJCIECH BONOWICZ

Można metafory, którymi posługują się literaci piszący o literaturze, traktować jako wyraz megalomanii, ale byłoby to małoduszne. Język naprawdę jest materia oporu, a robota literacka jest robotą „brudną”.

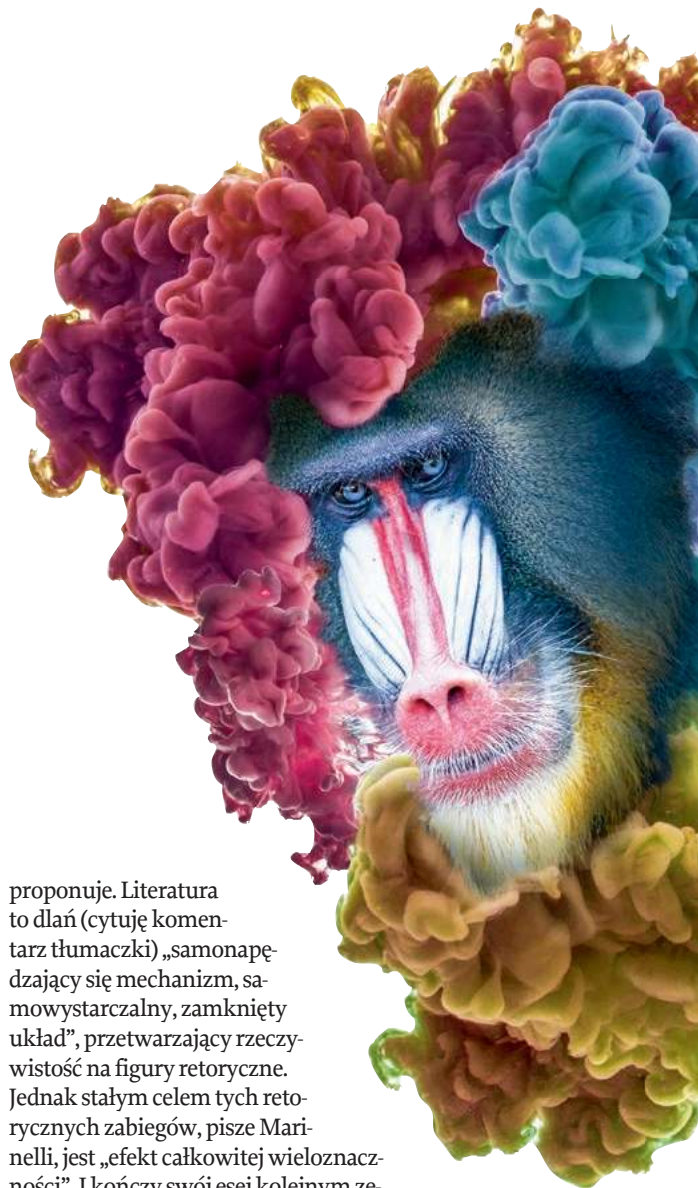
Istnieją zwierzęta o wielobarwnej sierści; na ich spiczastych pyskach i niewiarygodnych zadach widnieje prawdziwy katalog miniaturowych malowideł. Ich sylwetki wzmacnia i wspiera system znaków, sieć niezwykle izogłos, agresywnych i bezgłosnych, czyni z przypadkowego ciała dyskurs, sztuczną fantazję. Absurdalne i niepodważalne szlachectwo zdobi je niczym sztandar, materia, okrutny herb. Tak samo człowieka spowija bezużyteczna i zaszczytna chorągiew, płaszcz i całun nieprzylegający do ciała niczym niedopasowany i wytworny gorset. Podobnie jak mandryl nic nie może poradzić na retorykę swoich kolorowych pośladków, tak i my nie możemy uwolnić się od tego cudownego przekleństwa, tego miękkiego runa ze słów”.

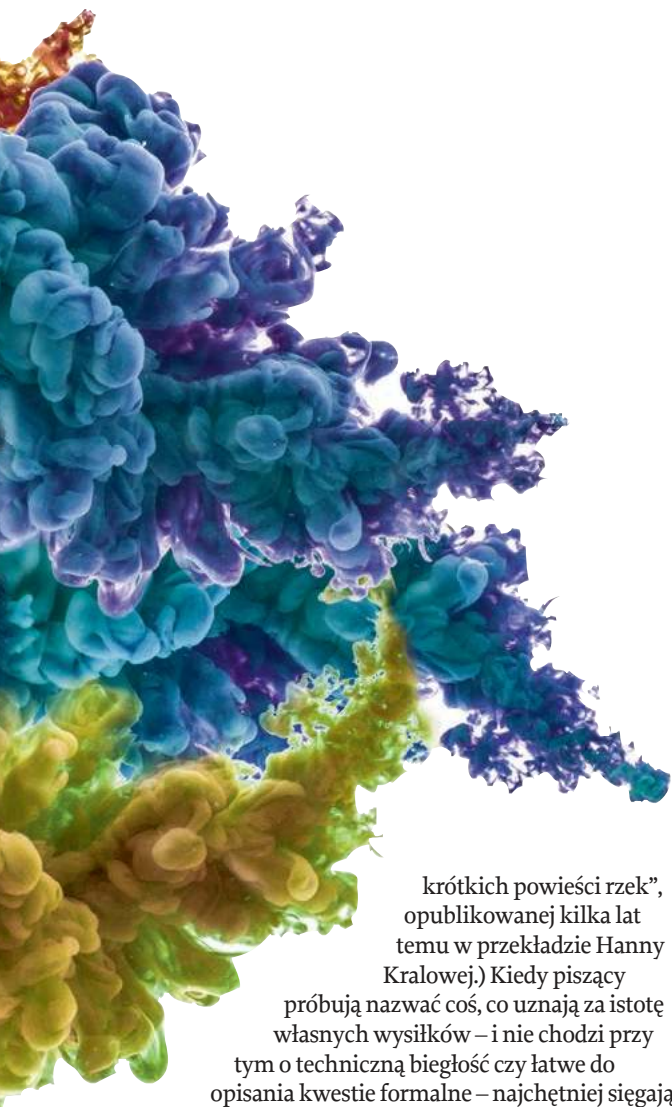
Uwierzcie Państwo, jeśli Wam powiem, że fragment powyższy mówi o tym, czym jest literatura? Że cała ta misterna i pełna sprzeczności konstrukcja, do której użyte zostały przykłady zaczerpnięte ze świata zwierząt, ale też z ludzkiej garderoby, jest głosem w dyskusji o jej moralności i niemoralności? Cytat pochodzi ze sławnego eseju zatytułowanego „Literatura jako kłamstwo”, opublikowanego w 1967 r. przez włoskiego krytyka Giorgia Marinello (na polski przełożyła go Joanna Ugniewska). W stosunkowo niedługim tekście Marinelli posługuje się całym ciągiem podobnych obrazów, czerpanych z różnych dziedzin – nauki, historii, religii, obyczajowości – niektóre opatrzone interpretacjami, inne pozostawiając jako sugestie. Jest przy tym żywiołowy i prowokujący, obie te cechy są dlań zresztą znamiennymi prawdziwej literatury. Szeregu metafor, którymi się posługuje, nie sposób sprowadzić do jednego znaczenia; byłoby to również sprzeczne z wizją literatury, którą

proponuje. Literatura to dlań (cytuje komentarz tłumaczkii) „samonapędzający się mechanizm, samowystarczalny, zamknięty układ”, przetwarzający rzeczywistość na figury retoryczne. Jednak stałym celem tych retorycznych zabiegów, pisze Marinelli, jest „efekt całkowitej wieloznaczności”. I kończy swój esej kolejnym zestawem porównań niedających się sprowadzić do niesprzeczności: literatura, powiada, „rzuca nam wyzwanie, ofiarowuje magiczną skórę zwierzęcia, mechanizm, kostkę do gry, relikwie, rozdartą ironię godła”.

Ryby rzucone na ląd

Esej Marinello jest bardziej manifestem niż tekstem *sensu stricto* krytycznym czy teoretycznym. Sposób formułowania i prezentowania poglądów jest w nim zgodny z tym, czego autor oczekuje od literatury. Mówiąc wprost: Marinelli postuluje i praktykuje jednocześnie. Ale jego esej, zwłaszcza w kontekście rozważań o literaturze jako informacji, jest interesujący także z innego powodu: otrzymujemy tu w dość wysokim stężeniu coś, co jest charakterystyczną cechą wielu metaliterackich komentarzy, zwłaszcza tych, których autorkami bądź autorami są osoby same parające się literaturą. (Godzi się w tym miejscu przypomnieć, że Giorgio Marinelli był także cenionym prozaikiem; polskim czytelnikom i czytelnikom może być znany jako autor książki „Centuria. Sto





MICHAŁ LOTWIJK / STOCK.ADOBE.COM

krótkich powieści rzek”, opublikowanej kilka lat temu w przekładzie Hanny Kralowej.) Kiedy piszący próbują nazwać coś, co uznają za istotę własnych wysiłków – i nie chodzi przy tym o techniczną biegłość czy łatwe do opisanego kwestie formalne – najchętniej sięgają po metaforę lub wiązkę metafor, w szczególności takich, które sugerują, że mamy do czynienia z czymś trudno uchwytym, paradoksalnym, tajemniczym.

Przykładów jest aż nadto. Przywołajmy – by trzymać się porównań odsyłających do świata zwierzęcego – sławne zdanie Carla Sandburga, że poezja to „dziennik życia zwierząt morskich, które chodzą po ziemi, a chciałyby latać”. O czym tu właściwie mowa? O literaturze czy o naturze ludzkiej, której literatura jest jedynie przejawem? Bez względu na to, jak odpowiemy na powyższe pytania, formuła Sandburga wskazuje na to, co – jak mówi definicja paradoksu – jest wewnętrznie nietożsame, rozdzielane sprzecznymi dążeniami. Słowo „dziennik” sugeruje, że mamy do czynienia ze stale odczuwanym napięciem, a odwołanie do trzech etapów ewolucji – że chodzi o coś tkwiącego w nas bardzo głęboko. Można by formułę Sandburga zinterpretować tak: literatura jest dzieckiem ewolucji, ale dzieckiem zbuntowanym wobec własnego rodowodu. Albo nawet tak: literatura pozwala nam przeżywać rzeczywistość we wszystkich jej wymiarach naraz, także w jej poniekanych możliwościach, nieokreślonych dążeniach i nieuzasadnionych tęsknotach. A taka interpretacja skojarzyłaby

się nam z kolei ze sławnym zdaniem wypowiedzianym przez Brunona Schulza w rozmowie z Witkacym: że gdyby sztuka miała tylko potwierdzać, co skądinąd zostało ustalone – byłaby niepotrzebna. „Jej rolą jest być sondą zapuszczoną w bezimienne. Artysta jest aparatem rejestrującym procesy w głębi, gdzie tworzy się wartość”.

Najwięcej znaczeń

Literatura – a ściślej: jej najambitniejsza, najbardziej skupiona na wewnątrzliterackich celach część – jest opowieścią o napięciu, jakie nieuchronnie powstaje na styku tych różnych dążeń. Przede wszystkim jednak – napięciu między żywiołem a formą, między (by raz jeszcze wrócić do formuły Marinello) tym, co bezkształtne, bezładne, a retoryką, obrzędem. Literatura chciałaby naśladować żywioł (mowy? życia jako takiego?) w jego spontaniczności, kapryśności, wieloznaczności, także w tym, co w nim pozasłowne czy nawet przedśłowne, ma jednak do dyspozycji tylko sformalizowany zapis, coś ukształtowanego, ustalonego, zatrzymanego w określonych gestach i znaczeniach. Co zatem może zrobić? Może się w nich rozpychać, mniej lub bardziej ostentacyjnie kwestionować to, co zastałe (nie zawsze najbardziej hałaśliwe wystąpienia są najbardziej rewelatorskie), szukać szczelin i zarysowań tam, gdzie przywykło się widzieć gładkie, solidne powierzchnie. Wydobywać na wierzch sprzeczności, obnażać własne niekonsekwencje, ale też troszczyć się, by język, którym się porozumiewamy, nie „kamieniał”, zachowywał niezbędną elastyczność. „Kij ma dwa końce, a język więcej”, miał powiedzieć kiedyś na spotkaniu z młodymi Tymoteusz Karpowicz. Stanisław Srokowski, który przywołuje tę anegdotę, zauważa, że gdy hasłem Norwida było: „Odpowiednie dać rzeczy słowo”, a hasłem Przybosa: „Najmniej słów”, Karpowicz przekracza tamte doświadczenia i powiada: „Najwięcej znaczeń”.

Można metafory, którymi posługują się literaci piszący o literaturze, traktować jako wyraz megalomanii, ale byłoby to małoduszne. Sugeruje, żeby na „politykę informacyjną”, jaką prowadzą, spojrzeć bardziej przychylnie: język naprawdę jest materią oporu, a robota literacka jest robotą „brudną”. Można, oczywiście, mówić o niej w sposób – jak to przywykliśmy nazywać – konkretny, nierozwiczony, ale czy rzeczywiście łatwiej byłoby się nam porozumieć, wcale nie jestem pewien. Metaforyczny obraz czy też, jak u Marinello, sekwencja obrazów, łapie kilka srok za ogon, przede wszystkim jednak zwraca naszą uwagę na złożoność tego niezwykle procesu przechodzenia od niewypowiedzianego do słowa. Zwłaszcza słowa – jak w literaturze – świadomego siebie, na sobie skupionego, przyglądającego się sobie z niedowierzaniem, czasem podziwem, czasem złością. ©



JACEK TARAN

Maja Starakiewicz i Jakub Woynarowski. Kraków, 29 kwietnia 2022 r.

Czy warto wąchać sztukę

MAJA STARAKIEWICZ, ARTYSTKA: 

Twórcom nie zawsze chodzi o zapewnienie gładkiego odbioru wystawy. W uzasadnionych okolicznościach można wywoływać u odbiorcy wrażenie zagubienia czy przytłoczenia, co jest równie ważne jak same ekspozyty.

MICHAŁ SOWIŃSKI: O czym będzie wystawa „Jak wam się podoba”?

JAKUB WOYNAROWSKI: Od kilku edycji festiwalu prezentujemy różne strategie wizualizacji wiedzy – w tym roku interesuje nas informacja.

Na czym polega wizualne ujęcie informacji?

JW: Narzędzia wizualne ułatwiają strukturyzowanie nadmiaru danych. Tym razem chodzi nam jednak nie tylko o wizualizację, ale o przedstawienie samego procesu gromadzenia i porządko-

wania informacji oraz o włączenie w te działania również odbiorców.

Dwa lata temu stworzyliście esej wizualny.

JW: Tak, „Chronos wyzwolony”, który opowiadał o przemianach w percepcji czasu. Chcieliśmy przetestować możliwości, jakie daje równoległe operowanie słowem i obrazem. Rok temu byłem kuratorem wystawy „Myślo-kszały” w Critotece – chodziło nie tyle o alternatywne formy przekazywania ustrukturyzowanej wiedzy, co myśli jako takiej. Wiele

prac ocierało się o abstrakcję, a nawet poezję. Integralną część ekspozycji stanowił esej wizualny „Introwizja”, który przygotowaliśmy razem z Mają Starakiewicz – dopełniał on wypowiedź kuratorką, tworząc metateoretyczną ramę dla całego projektu.

W tym roku idziecie jeszcze dalej.

JW: Teraz przygotowujemy wystawę o wystawie. Chodzi o stworzenie instalacji przestrzennej, która w kontakcie z odbiorcami sama się definiuje. Będziemy namawiać odwiedzających, aby nie tylko

oglądali naszą wystawę, ale ją współtworzyli, ingerowali w jej strukturę przy pomocy sensualnych ankiet. Chcemy pokazać, że odbiorca wystawy może wpływać na jej kształt, a w konsekwencji modyfikować zawarte w niej sensy.

Metawystawa?

JW: Można tak to ująć – chodzi o pokazanie tego złożonego procesu poprzez samo działanie i intelektualną zabawę, bez wikłania się w hermetyczne rozważania akademickie. By wizyta na wystawie była przyjemnym doświadczeniem.

Przykład konkretnego metaekspozycji?

JW: Powstaną interaktywne ankiety w postaci „układów współrzędnych”, w ramach których można przemieszczać zaprojektowane przez nas moduły, mapując w ten sposób gromadzone na bieżąco dane. Modułami byłyby na przykład ruchome „klocki” lub sznurki znajdujące się na stworzonych w tym celu tablicach.

Tablice będą analogowe?

JW: Tak, unikamy ekranów. Stawiamy na proste, minimalistyczne wręcz środki.

Dlaczego?

MAJA STARAKIEWICZ: Bo ekrany, wbrew pozorom, są mało interaktywne. To zimne, gładkie powierzchnie. Treści na nich są często zaprojektowane do dość biernego odbioru. W przypadku modeli analogowych odwiedzający wystawę mogą zostawić swój wyraźny, namacalny ślad.

Jaki jest cel tego eksperymentu?

MS: Zrealizowaliśmy już kilka autotematycznych projektów, tym razem chcemy wypróbować autotematyzm połączony ze zbieraniem informacji. Za pewne dowiemy się od odwiedzających wystawę różnych rzeczy, ale też przekonamy się, czego w ogóle w ten sposób dowiedzieć się można, ponieważ projektowanie eksponatów zbierających informacje to *de facto* projektowanie badania, ilościowego lub jakościowego.

A sam widz czego się dowie?

MS: Zależy nam na wskazywaniu rzeczy „przezroczystych”, czyli takich, na które zazwyczaj przy odwiedzaniu wystawy nie zwracamy uwagi. Między innymi na kontekst miejsca, strukturę prze-

strzeni, a także konkretne jej zaaranżowanie pod daną ekspozycję. Na kształt każdej wystawy wpływa szereg decyzji – nie chodzi wyłącznie o wieszanie rzeczy na ścianie, ale również operowanie światłem, wprowadzanie zapachów albo dźwięków, formatowanie sposobu poruszania się. Suma tych decyzji decyduje o wymowie i ekspresji całości.

Co można w ten sposób osiągnąć?

MS: Spektrum ekspresji jest bardzo szerokie. Nie zawsze celem musi być zapewnienie bezproblemowego odbioru. W uzasadnionych okolicznościach można wywoływać u odbiorcy wrażenie zagubienia czy przytłoczenia, co jest równie istotnym elementem wystawy jak same ekspozycje.

Sięgacie po narzędzia z domeny *user experience*?

MS: *User experience*, w skrócie UX, to dziedzina będąca skrzyżowaniem technologii, psychologii i humanistyki, mająca na celu między innymi badanie, w jaki sposób wchodzimy w interakcje z elementami otaczającej nas rzeczywistości. Mówiąc inaczej – to gałąź projektowania, bliska naszemu myśleniu o wystawianictwie, bo stosuje podobne narzędzia jak choćby w tworzeniu aplikacji czy stron internetowych. Chodzi o komunikatywność, przejrzystość czy używanie informacji zwrotnej, a także myślenie o tym, jakie emocje w odbiorcach wywołuje to, co im proponujemy. Badanie reakcji publiczności to dobra praktyka, bo traktuje odbiorców podmiotowo. Zamiast narzucania jednej wizji, mamy dialog, a z niego mogą wynikać rzeczy zupełnie nieoczekiwane.

User experience raczej nie kojarzy się z galeriami sztuki.

MS: Tego terminu używa się przede wszystkim w odniesieniu do rzeczywistości cyfrowej, ale wcale nie musi tak być. Osoba odwiedzająca wystawę jest jej użytkownikiem, nie tylko czyta teksty na planszach, ale także porusza się w określony sposób, może się zmęczyć, znudzić lub zgubić. Sama przestrzeń może być nieczytelna, zniechęcająca do nawigowania po niej. System wartości, do których się dąży zarówno w projektowaniu wystawy, jak i w projektowaniu produktów cyfrowych, jest miejscami zbliżony.

UX to zestaw narzędzi, które można wykorzystać do wielu celów. Od ułatwie-

nia zakupów w sklepie internetowym po zakomunikowanie złożonej idei.

Na przykład?

MS: Świadome wywoływanie u użytkownika dyskomfortu może być formą protestu albo krytycznym odniesieniem się do problemów społecznych czy politycznych. UX to także kompleksowe badania i zbieranie informacji o sposobach naszych interakcji z usługami czy przedmiotami. Jak później wykorzystamy te dane, to już inna kwestia.

Zawężmy nieco problem – co Wasza wystawa mówi o samej sztuce, szczególnie w kontekście polskich praktyk wystawienniczych?

JW: Dobrym kontekstem dla tego typu rozważań może być tak zwane kuratorstwo gonzo (*gonzo curating*), a więc obszar, którym od dziesięciu lat zajmujemy się razem z Anetą Rostkowską. Istotą tych działań jest eksplorowanie przestrzeni, które nie powstały z intencją wystawienniczą, ale z powodzeniem mogą być miejscami, gdzie pokazuje się sztukę.

Na czym polega wtedy rola kuratora?

JW: Bazujemy na przypadkowości – budujemy narracyjne powiązania między obiektami, które z jakiegoś powodu znalazły się w tej samej przestrzeni. Można powiedzieć, że tworzymy specjalne narzędzia literackie, służące porządkowaniu rzeczywistości. *Gonzo curating* wyrasta z nurtu sztuki *ready-made*, gdzie akt twórczy polega przede wszystkim na zawłaszczaniu danego obiektu i przenoszeniu go w inne konteksty. Przykładem takiego działania może być współtworzone przeze mnie i Anetę Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Wawelski – artystyczny projekt, w ramach którego zapraszamy twórców do „zawłaszczania” obiektów różnego pochodzenia, znajdujących się w przestrzeni wzgórza wawelskiego. Kreatywna interwencja nie wiąże się w tym przypadku z fizyczną ingerencją, a jedynie ze stworzeniem fikcyjnej, choć prawdopodobnie brzmiącej opowieści. Ktoś mógłby uznać to za naciąganie rzeczywistości dla własnych potrzeb, ale przecież ten sam mechanizm działa w przypadku klasycznych praktyk kuratorskich. Różnica polega na stopniu skonwencjonalizowania danego języka. To kolejny metakomentarz do sposobu, w jaki odbieramy sztukę.

$\Rightarrow$

ZW. PRZYCZYNOWO-SŁUTKOWE

„Model i metafora”, ilustracje
do książki Mai Starakiewicz i Jakuba
Woynarowskiego, wyd. Korporacja Ha!art,
Kraków 2019 r.; publikacja cyfrowa,
Wydawnictwo PWSFTviT w Łodzi. 2022 r.

MAJA STARAKIEWICZ – doktor sztuki, projektantka i ilustratorka, autorka monografii „Model i metafora” (w opracowaniu graficznym Jakuba Woynarowskiego) oraz cyfrowej adaptacji „Eposu o Gilgameszu”. Wykłada na ASP w Krakowie i ANS w Tarnowie.

JAKUB WOYNAROWSKI – doktor sztuki, interdyscyplinarny artysta, projektant oraz kurator; wykładowca ASP w Krakowie. Autor koncepcji artystycznej wystawy w Pawilonie Polskim podczas 14. Międzynarodowego Biennale Architektury w Wenecji. Laureat Paszportu „Polityki” w kategorii sztuk wizualnych.

MS: Praktyki cyfrowe kładą nacisk na komfort i ergonomię odbioru, co z kolei może być dobrą inspiracją dla wystaw analogowych. Te światy od dawna przenikają się i wzajemnie kształtują, nie ma już sensu utrzymywać między nimi ostrego podziału.

MS: Ciekawe byłoby zbadanie, ile osób zwróciło na to uwagę. I u ilu osób powstało skojarzenie zapachu ryby z Tate – przecież to właśnie zapachy najsilniej stymulują naszą pamięć. Proustowską magdalenkę wystarczy powąchać, nie trzeba jej zjadać.

www.youtube.com/CopernicusCenter

COPERNICUS

Rozbudzamy ciekawość
i popularyzujemy naukę

M
A
T
E
M
A
T
Y
K
A

F
I
L
O
Z
O
F
I
A

K
U
L
T
U
R
A

Z
Y
K
O
N
F
I
D
E
N
C
Y
J
N
O
S
Y
M
O
S
Y

SPRAWDŹ
NASZ KANAŁ NA:
 **YouTube**



ORGANIZATORZY



Copernicus
Center



PRZY WSPARCIU



Ministerstwo
Edukacji i Nauki



PARTNERZY



PARTNERZY MEDIALNI



Projekt „Copernicus Festival 2022: Informacja” jest współfinansowany z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” przyjętego do finansowania w drodze konkursu ogłoszonego 8 marca 2021 r. przez Ministra Edukacji i Nauki (Wartość dofinansowania: 188 400,00 zł, całkowita wartość zadania: 221 900,00 zł).